

BOss Rkps 15586/II.

Marian Tyrowicz: „Wędrówka przez życie.

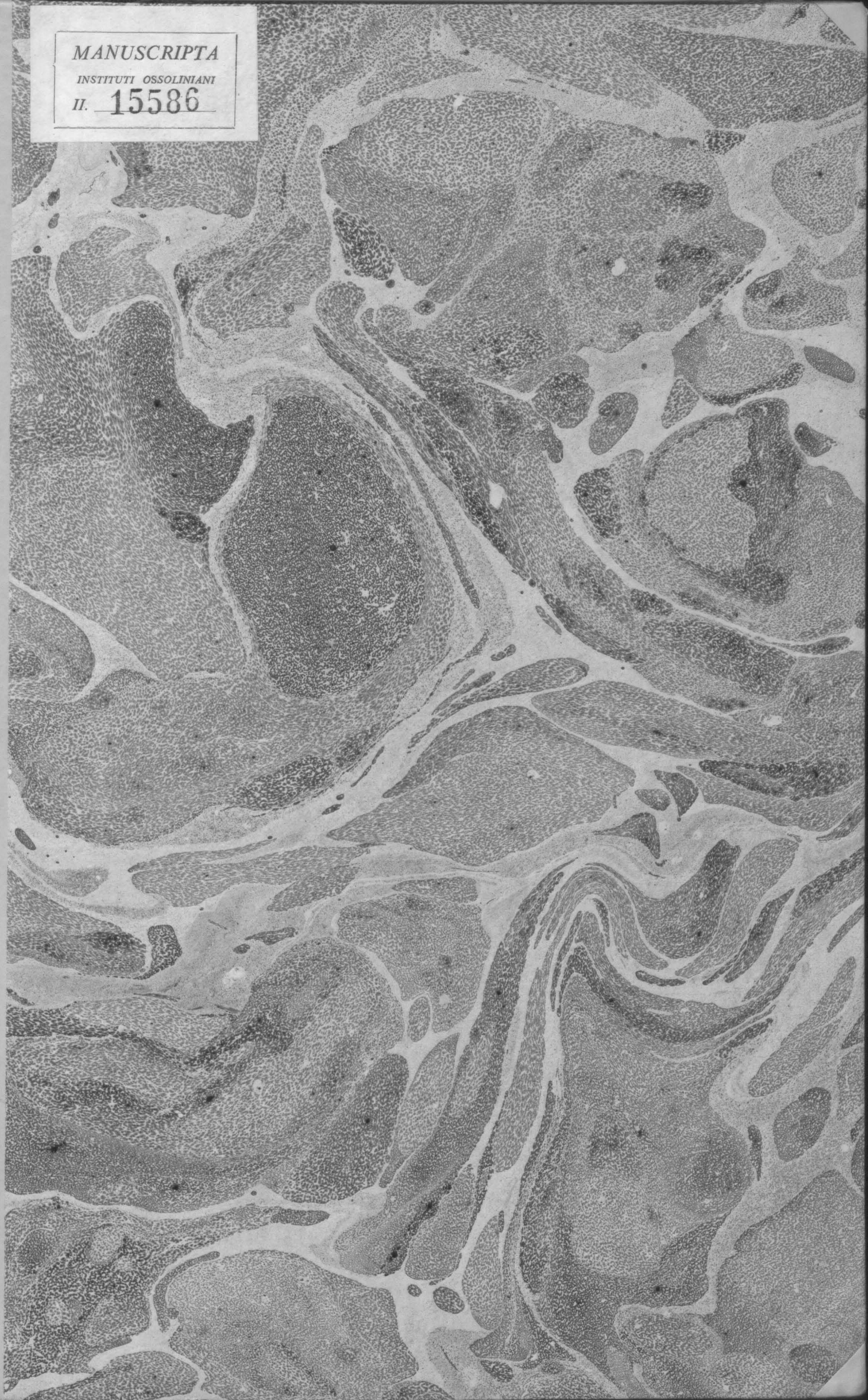
Wspomnienia rodzinne i osobiste” do 1981 r. Tom 1.

Pol. 1981. K. 296.

MANUSCRIPTA

INSTITUTI OSSOLINIANI

II. 15586



25/82/1

1

WĘDRÓWKĄ PRZEZ ŻYCIE

Wspomnienia
rodziane i osobiste

15586



15586 ^{IV}/₁

2

M A R I A N T Y R O W I C Z

W E D R Ó W K A P R Z E Z Ż Y C I E

Wspomnienia rodzinne i osobiste

Część I. Poe lwowski niebem

Część II. Krakowskie lata

Pamiętnik pisany w latach 1970 - 1981

K r a k ó w

Marian Tyrowicz
Wędrowką przez życie
Wspomnienia rodzinne i osobiste

Część pierwsza

Nieco z autobiografii zamiast przedmowy

Czytelnik tych wspomnień mógłby mieć niemały kłopot z rozeznaniem w mojej biografii, gdybym go nie zorientował w najważniejszej chronologii życiowych dat i okoliczności. Pragnę bowiem tę przeszłość zamknąć w rozdziałach stanowiących prawie odrębne całości. Tak więc niektóre daty życia powtórzyć się w nich mogą kilkakrotnie a innych być może zabraknie. W rozdziałach o odrębnej treści - powtórzą się niewątpliwie także pewne fakty i szczegóły, ^zco najmocniej Czytelnika przepraszam. Atoli jeden ciąg chronologiczny w tych wspomnieniach byłby tym bardziej nie pożądany, że dość urozmaicona działalność w moim życiu rozgrywała się w różnych dziedzinach, wśród różnych ludzi i okoliczności, często od siebie odległych. A zatem przy porządku chronologicznym - niebezpieczeństwo tłoku faktów i świadków moich przeżyć zamiast obraz rozjaśnić, mogłoby go zaciemnić i uczynić mniej zrozumiałym.

Niechaj więc będzie mi wolno ze wzorem troskliwego o publiczność Cania z opery Leoncaùulla zwrócić się do Czytelników słowami: "Panie i panowie ! pozwólcie, że się wam przedstawię !" i zamiast, jak to jest często w zwyczaju pamiętnikarzy, tłumaczyć powstanie tego tomu - odkryć w lapidarnym ujęciu najniezbędniejsze momenty życia i niektóre towarzyszące im okoliczności.

A więc oczywiście data najpierwsza : przyjście na świat. Stało się to 15 lipca 1901 r. we Lwowie - w pierwsze lato XX wieku, i oczywiście najzupełniej przypadkowo w ścisłą rocznicę wielkiego historycznego zdarzenia : bitwy pod Grunwaldem.

Świat tego lata zaczynał właśnie swą nową erę po "stuleciu pary i elektryczności". Marconi po raz pierwszy w dziejach ludzkości - nawiązał łączność radiową między Starym a Nowym Światem, zaczęły

unosić się Zeppelinów, odważano się coraz wyżej wlatywać ku niebu ^{Wracającym} Samolotami. Rzecz jasna - wszystko to działo się poza moją świadomością, ale rodząca się nowa "cywilizacja techniczna" jakby nie zapowiadała mi pomyślności na przyszłej drodze życia, na polu indywidualnych zainteresowań i pragnień.

Fakt mego przyjścia na świat - nie był znów dla mnie i otoczenia tak pospolity, jak rodzenie się milionów istnień ludzkich. Urodziłem się bliźniakiem. W owym czasie płodzenie trojaczków, czworaczków, pięcioraczków nie trafiało się tak częste, jak w kilkadziesiąt lat później; przynajmniej nie pisano o tym w gazetach z takim zainteresowaniem jak dzisiaj. Z bliźniakami akuszerki też nie miały do czynienia na porządku dziennym. Jak mi później opowiedziano, nawet mój papa, wróciwszy do domu z jakiejś podróży i zobaczywszy dwóch potomków w pudle na 5 kg. cukru /tak wówczas sprzedawano cukier kostkowy/ - machnął tylko ręką i szybko uciekł do swego warsztatu pracy. Bliźniaki zaś nie liznąwszy ani kszty^{ny}/cukru ze swego opakowania - zaczęli żyć, które do słodkich, jak się czytelnik z tych wspomnień dowie - nie należały. Pytano mnie wielokrotnie, skoro już podrosłem - który z nas był starszy : ja czy brat Ludwik ? A skąd też miał bym o tym wiedzieć ? Według lekarzy pierwszy rodzący się jest starszy ; podobno według prawa angielskiego - przeciwnie. Życie miało to rozstrzygnąć w skali psychologicznej: który bardziej w życiu się wybije i będzie dzielniejszy na ciosy losów.

Tak czy owak - to wspólne spojrzenie w światło dzienne sprzęgło nas, jak mitycznych Kastora i Poluksa, miłością tak dogłębną, jak rzadko, i podobieństwem wręcz nieprawdopodobnym. Nie rozróżnialiśmy się po latach na wspólnych fotografiach, nie rozróżniało nas

otoczenie i nauczyciele do pierwszych lat gimnazjalnych.

Rodziców wypadnie mi dokładniej przedstawić w następnym rozdziale. Ale wymóg biograficzno-metrykalny nie pozwala na pominięcie ich imion i wieku na tym miejscu. Ojciec Ludwik, czterdziestoletni mężczyzna, o typowo ormiańskiej twarzy, ruchliwy i energiczny, był - jak zapisano w którejś z metryk - "rzeźbiarzem w drzewie i kamieniu", w istocie prowadził przedsiębiorstwo robót kamieniarskich. Matka Józefa z Iżykiewiczów, równolatka rodzica - była już w tym czasie kobietą doświadczoną życiem i obowiązkami rzemieślniczego domu, wydała na świat przed nami trzech synów.

Jak toczyło się nasze dziecinne bytowanie - opowiem dalej. Tu pragnę podkreślić, że związek bliźniactwa odegrał olbrzymią rolę na kształtowaniu się mojej osobowości. Mitologiczna opowieść o miłości braterskiej Kastora i Poluksa znalazła we mnie i bracie chyba jedno z najdoskonalszych ucieleśnień. Szliśmy przez dzieciństwo w nierozzerwalnej więzi.

Tak więc dzieliliśmy się wspólną ławką przez wszystkie lata w szkole podstawowej i średniej, w domu rodzinnym mieliśmy wspólny stół do pracy aż do matury. Bez znaczących różnic ukończyliśmy Szkołę Powszechną pod wezwaniem św. Antoniego w r. szk. 1911/1912 - przy ul. Samuela Głowińskiego. Obaj też równocześnie wmaszerowaliśmy we wrześniu 1912 r. w progi VI Gimnazjum Państwowego przy ul. Łyczakowskiej. Wybuch pierwszej wojny światowej w 1914 r., zajęcie Lwowa przez armię carską, i dalsze przeżycia wojenne - nie ~~dotknęły~~ ^{zaznaczyły} się też odmiennie na naszej psychice. Zamknięcie szkół polskich zmusiło nas do nauki domowej przez r. szk. 1914/1915. Byliśmy już w tym momencie ukończonymi uczniami II klasy klasycznego gimnazjum z łaciną i greką; na sztywnych kołnierzach ^w identycznych wymiarami granatowych mundurków dopracowaliśmy się dwóch srebrnych pasków /złote

przysługiwały wówczas dopiero od kl.V/. Po powrocie rządów i wojsk austriackich do Lwowa, od 2 sierpnia 1915 r. kontynuowaliśmy naukę w tym samym zakładzie przez trzy lata, jako uczniowie III, IV, V i VI-tej klasy / w r.szk.1915/16 - na zarządzenie wiedeńskiego Ministerstwa Oświaty - przerobiono III i IV kl./ . Zmieniali się dyrektorzy i nauczyciele, ale my nadal nie rozstawaliśmy się ze wspólną ławką. I oto nową przerwę w nauce spowodowały walki ukraińsko-polskie o Lwów i nasze równoczesne zgłoszenie się do ochotniczej służby wojskowej; przerwa trwała od listopada 1918 r. do sierpnia 1919 r. Klasę VII zaliczono nam w związku ze służbą wojskową w ciągu jednego półrocza, ukończenie klasy VIII zajęło cały rok szkolny 1919/20. Maturę złożyłem z "wynikiem jednogłośnym" 12 czerwca 1920 r. Po raz pierwszy pobił mnie mój ukochany bliźniak, bo złożył ją "z odznaczeniem". Zresztą pewna różnica psychiczna zaznaczyła się już nieco wcześniej, o czym będzie mowa dalej. Jako matuzystom zamiast cywilnego życia akademickiego - wypadło nam znowu wciągnąć na siebie drelichy wojskowe wobec naporu wojsk bolszewickich na Polskę. Była to już służba o wiele krótsza i - jak na poprzednie "przygody żołnierskie" - choć już z dwoma pałkami kaprali na patkach - dość nudna, przypominająca robotę raczej biurkowo-pocztową. Odkomenderowani przez szefa łączności Dowództwa Okręgu, pułk. Zygmunta Zyguntowicza na lwowską Poczta Główną mieliśmy przeprowadzić jako wojskowi kontrolę depesz na oddziale Hughesa. Mimo oddalenia od frontu rok wojny przyniósł nam ^{dojmujące} ~~ciężkie~~ przeżycia rodzinne. Brat Ludwik zapadł ciężko na czerwonkę, zakażeniu uległa pielęgnująca go matka i zmarła latem 1920 r. Zwolnienie nas obu ze służby wojskowej nastąpiło w Brzeżanach a więc w mieście, z którym ~~były~~ związane były dzieje części naszej rodziny.

Jesienią 1920 r. drogi naszego bliźniaczego żywota już się ro-

zeszły, jeśli chodzi o rozwój intelektualny. Brat poświęcił się malarstwu, ja rozpocząłem w r. ak. 1920/21 studia historyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Ich przebieg i wyniki, moich preceptorów i promotorów opiszę czytelnikom odrębnie, bo sprawy te biegły innymi od dzisiejszych torami. Dyplom doktora filozofii otrzymałem 12 czerwca 1926 r., magistra filozofii 23 maja 1928 r. - oba na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza; dopiero po pięciu miesiącach, bo 29 października t.r. dyplom nauczyciela szkół średnich w zakresie historii. Wręczono mi go w Komisji Egzaminacyjnej Nauczycieli Szkół średnich w Warszawie, Kolejność powyższych faktów nominacyjnych była więc odwrotna niż dzisiaj. Egzaminacje nauczycielskie złożyłem w stolicy a nie we Lwowie, ponieważ w tym czasie pracowałem jako nauczyciel na prowincji /choć "karierę" nauczycielską rozpocząłem już w latach szkolnych 1924/25 i 1925/6/.

Ale mówiąc o swych studiach - nie mogę pominąć i innego szczegółu autobiografii : terminatorstwa w fachu ... dziennikarskim, ba! - narodzin pod moim piórem pierwszej drukowanej rozprawy publicystycznej. Demokratyczne przekonania zawiadły mnie już na pierwszym roku studiów pod znaki organizacji młodzieżowej pod nazwą Akademicka Młodzież Niezależna, której liderem na Wydziale Prawa był kolega z ławy gimnazjalnej Stanisław Olszewski. Wyższe uczelnie aż trzęsły się wówczas od organizacji akademickich. Nasza organizacja bardzo szybko pokusiła się o własną trybunę wypowiedzi i w tym nastroju narodził się miesięcznik "Akademicka Myśl Niezależna", w której wszelkie kłopoty "sekretarza redakcji" powierzono właśnie mnie. I wtedy zakosztowałem gorzkiego chleba "redaktorskiego": walki o papier, o pieniądze na druk, o kolportaż. Na szczęście o artykuły nie było kłopotu: rozognione ambicjami młode pióra są zawsze płodniejsze od piór wytrawnych. Mnogość organów prasy akademickiej

najróżniejszej maści i wartości - natchnęły mnie do pierwszego wystąpienia publicystycznego: był nim długi artykuł /podzielony na dwa zeszyty/ "Prasa akademicka w Polsce". Niestety nie zachował się ani w bibliotekach ani w moich zbiorach ani jeden zeszyt naszego pisma, które o ile pamiętam - zmarło z niedostatków materialnych ^{już} po...6 numerach.

Praktykę nauczycielską rozpocząłem - jak podaję wyżej - w 1924 r. w Prywatnym Koedukacyjnym Gimnazjum Jordanowskim we Lwowie /prowadzonym przez Aleksandra Warzenicę/ ^{1/}. W 1926 r. zmuszony byłem wobec redukcji sił w tym zakładzie przenieść się do prowincjonalnego, również prywatnego, Gimnazjum im. Marszałka Badeniego w Radziechowie. Radziechów było to żydowsko-ukraińsko-polskie miasteczko na pograniczu Galicji i Wołynia na linii kolejowej Lwów - Stojanów; dziura tak zapadła, że w porównaniu z nią inną najbliższą "dziurą galicyjską" - Kamionkę Strumiłkową nazywano ironicznie "Paryżem". I w tym "Paryżu" i w Radziechowie bruki uliczne należały do rzadkości, kamienice jednopiętrowe dumnie i zrzadka wznosiły się ponad drewniane przeważnie chałupy a rynki obu miasteczek w czasie cotygodniowych targów rywalizowały między sobą błotem, kałużami i gnojówką.

Ale Radziechów górował nad Kamionką nowoczesnym pałacem i parkiem

1/ Nie mogę tu nie zapisać śmiesznego incydentu w tej ~~mej~~ praktyce. Naukę rozpoczynano wtedy od modlitwy. W czasie mej pierwszej w życiu lekcji w tej ^{w szkole} wypadło mi wybrać kogoś z pierwszej ławki. Stali w niej dwaj chłopcy: jeden wyglądający na izraelitę, drugi o typowej fizjognomii aryjskiej. Oczywiście wskazałem ręką owego "aryjczyka", by odmówił "Ojcze nasz", Odmówienie to wypadło bardzo cicho i niewyraźnie a w dalszych ławkach towarzyszyły mu jakieś półuśmieszki. Notując następnie nazwiska uczniów dowiedziałem się, że ów "aryjczyk" był żydem a jego kolega katolikiem o rzadkim polskim nazwisku.

hr Stanisława Badeniego, syna marszałka krajowego i pana na rozległych włościach Stanisława Marcina. Stanisław Badeni - nie tylko ufundował gimnazjum i oddał na jego użytek lewe skrzydło pałacu, ale był autentycznym mecenasem, łożył na cele oświatowe i artystyczne, interesował się życiem kulturalnym zapadłego partykularza. Tu losy bliźniaczego żywota Kastora i Poluksa zacieśniły się na nowo. Brat Ludwik objął obowiązki nauczyciela rysunku i prefekta bursy, ja zaangażowany zostałem kolejno do szeregu przedmiotów, których dziś nie podjął by się z ochotą żaden z początkujących pedagogów. Nauczałem historii, nauki o Polsce współczesnej, geografii, propedeutyki filozofii /tj. podstaw logiki i psychologii/, nadto języka polskiego i ... francuskiego. O mojej karierze nauczycielskiej będę jeszcze dalej pisał w tych wspomnieniach; tu pragnę podkreślić, że tej różnorodności dyscyplin szkolnych zawdzięczałem nie tylko moją późniejszą łatwość wykładania na szczeblu uniwersyteckim, ale - co może i ważniejsze - dość szeroką podstawę interdyscyplinarnego korelowania wykładu i nieodzowne dla humanisty poszerzenie wiedzy z nauk pokrewnych i pomocniczych historii. Myślę, że być może nie bez znaczenia pozostał ten kontakt dydaktyczny z tyloma przedmiotami / przybyło ich później sześć dalszych / - na moją sztukę pisarską. Właśnie ta obecność w prowincjonalnym partykularzu zmusiła mnie w 1928 r. do wyjazdu do Warszawy, by w drodze wyjątkowego zezwolenia Komisji Egzaminacyjnej przewędrować przez prywatne gabinety różnych jej członków, profesorów : B.Nawroczyńskiego, Stefana Baleya, Stan. Kopczyńskiego, doc.A.Pohoskiej i być pasowanym na nauczyciela szkół średnich. Dalsze losy nauczycielskie zawiodły mnie w 1930 r. do innych zakładów już we Lwowie. Ciekawe jednak, że nawet pierwsze mizerne ówczasnie wynagro-

dzenie nauczyciela. ~~...~~ pozwolili mi w lipcu i sierpniu 1925 r. na podróż do Francji i południowych Włoch. Zawdzięczałem to wycieczce studentów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i udziałowi w niej brata Ludwika. Przewodził w tej eskapadzie niezwykle sympatyczny prof. Karol Tichy, artysta malarz, epigon Młodej Polski i wyborny znawca zakątków i uroków Francji. Lepsze już zarobki w "badeniowskiej uczelni" umożliwiły mi - również z bratem - drugą dłuższą wędrówkę do Włoch w 1928 r. W Paryżu mogłem osobiście zetknąć się z materiałami źródłowymi do dziejów Wielkiej Emigracji w Bibliotece Polskiej na Quais d'Orléans, wchłonąć, choć na krótko, atmosferę Hotelu Lambert ^{więc} w siedzibie Czartoryskich na Wyspie św. Ludwika, we Włoszech stanąć własną stopą na ścieżkach polskich na tej ziemi od Lombardii po Rzym, wydeptanych od czasów Legionów Dąbrowskiego po Wiosnę Ludów i Risorgimento. Mój bagaż intelektualny historyka w postaci wiedzy odczytanej z książek wzbogacił się więc o wizualną znajomość krajobrazu, miast i budowli, związanych z rodzimą przeszłością. I o tym przyjdzie mi opowiedzieć jeszcze niejedną przygodę, może przelotną, może nie zarysowaną w mojej biografii trwalszymi znakami. Ale życie składa się z setek i tysięcy takich niepozornych faktów, które zapadają w świadomość i w całą nieodgadzioną swym oddziaływaniem sferą emocjonalną życia.

Powrót mój z prowincjonalnego partykularza do Lwowa w lipcu 1930 r. spowodował śmierć ojca Ludwika 6 stycznia t.r. i czekające obowiązki rodzinne. 2/

Przygodą o ciężarze gatunkowym poważniejszym od podróży zagranicznych - stanowiły moje studia dyplomatyczne podjęte w latach 2/ Odziedziczyliśmy we trójkę z bratem Ludwikiem i Stanisławem /wówczas już architektem w Warszawie /dom z ogrodem i opiekę nad drugą matką, Zofią ze Świechłów I v. Szeparowiczową, którą poślubił ojciec w 1922 r. i której na podstawie testamentu przysługiwało dożywocie w naszym ciasnym domu ~~oraz~~ miesięczna renta, płacona przez najstarszego brata Tadeusza. Podział majątkowy dla



1930/31 - 1932/3 na Wydziale Prawa mego rodzimego Uniwersytetu. Jako jeden z pierwszych kandydatów otwartymi ramionami zostałem przyjęty przez prof. Ludwika Ehrlicha, założyciela i faktycznego kierownika Uzupełniającego Studium Dyplomatycznego. Jako historyk już o ambicjach naukowych odczuwałem niedosyt wiedzy z zakresu prawa, szczególnie międzynarodowego i jego roli szczególnie w dziejach XIX w. Wzbogaciłem się na tym Studium nie tylko o zasób wiedzy, ale i osobistą znajomość wielu wybitnych znawców prawa, stosunków międzynarodowych i ekonomicznych, uczonych i zawodowych dyplomatów. Poznałem więc osobiście i Hipolita Gliwica, głośną wówczas postać zarówno w handlu Polski ze światem, jak i w lożach masońskich, Karola Bertoniego zaprawionego w służbie dyplomatycznej, podobnie jak w konsularnej Władysława Namysłowskiego i Jana Frylinga i szereg innych. To też choć w własnych życiowych planach kariery dyplomatycznej nie brałem pod uwagę - trzeba by urodzić się synem ziemianina z klejnotem herbowym i zasobną kiesą tę przygodę naukową przeżywałem z wielką korzyścią i z nabytego kapitału korzystałem obficie w następnych etapach mej pracy pedagogicznej i badawczej.

Przygodę umysłu urozmaiciła przygoda serca. Przygoda nie bagatelna, skoro zakończona sakramentem małżeństwa. Dziwnymi kpinami losu - nie było mi danym znaleźć towarzyski życia na terenie rodzinnego miasta, słynącego z urodziwych kobiet i bujnego życia towarzyskiego. W czasie kawalerskiej eskapady wakacyjnej do Krynicy w 1933 r. poznałem skromną, ale niepospolicie dzielną życiowo

2.c.d. mnie i Ludwika był bardzo nierówny: brat Tadeusz aktem darowizny objął całe przedsiębiorstwo sp. ojca z wszystkimi dochodami za rozpoczęte wcześniej zamówienia budowlane - bez jakiegokolwiek - nawet niskoprocentowego - udziału naszego w obrotach. Decyzję tę powziął ojciec w głębokim przekonaniu, że wobec szalejącego kryzysu przedsiębiorstwu grozi katastrofa.

14

Łódziankę, pannę Reginę Rutkowską prowadzącą do spółki jeden z najpiękniej położonych pensjonatów u stoków pogórza, zwanego Huzarami. Nie powiódł mnie wprowadzić na to wzgórze temperament huzarski, ale zachęcająca perspektywa krajobrazu całej doliny krynickiej z okien owej "Halinówki" i równie zachęcająca reklama na drodze do niej wiodącej: "pokoje z obiadami na maśle od 5 zł." Wdrapałem się - oczywiście z bratem - na to wzgórze i para oczu mrugająca spod blond fryzury - z okna "zarządu pensjonatu" - ~~ta~~ ^{tehnęła} ~~ta~~ we mnie przeczucie ~~nie~~ ^{że} znalazłem właściwe locum. Locum nie tylko na ~~nie~~ ^{we} wcześniejszy letnie, ale - jak się niebawem przekonałem - na lata, jesie- nie, zimy i wiosny całego życia.

Niechaj mi cierpliwy czytelnik wybaczy, że wprowadzam tę nutkę uczuciową. Ale skoro zabrznieć miała w melodii całego życiorysu, trudno ją zbyć lapidarną datą ślubu: 28 grudnia 1935 r. Było by to grubym niedociągnięciem w autobiografii. Trzy niepełne lata trwało dobijanie do małżeńskiego portu. Moja narzeczona - po ukończeniu znakomicie prowadzonej Szkoły Gospodarczo-Hotelarskiej w Łodzi - nie chciała porzucić dopiero co rozpoczętej pracy. To też przez trzy lata prowadziła pensjonaty w Krynicy, przez dwie zimy w Zakopanem; ja swoje wakacje i urlopy spędzałem za każdym razem w innym jej domu. Radości i smutków - jak zawsze u zakochanych par - nie spisał by na wołowej skórze. Ale i korespondencja moja z tych lat urosła do rozmiaru opasłego pakietu. Może dla niejednego dzisiejszego młodzieńca stanowiła by pouczające vademecum, gdyby ^{się zachowała} ~~istniała~~. Niestety w 25 lat po jej zakończeniu - przy przeprowadzce do ostatniego domu - rzuciłem ją w ogień, ku szczeremu oburzeniu adresatki. Sam też dzisiaj żałuję.

Jakim nurtem płynęło me życie we Lwowie - odsłonię następane rozdziały. Tu nie sposób przypomnieć nawrotu do roboty publicystycz-

25

nej nie tylko w różnych periodykach, ale i w organie własnego własnego skupienia literackiego. Był to z wielkim trudem organizacyjnym założony we Lwowie "Tydzień Polski" organ Klubu Kultury Współczesnej narodzonego na przełomie 1934/1935 r. w domu Stefana Kawyna i naszym. Do założycieli Klubu obok Kawyna i jego żony Zofii - należeliśmy z bratem Ludwikiem ^{a także} Janina Garbaczowska, Tymon Terlecki Bolesław Włodzimierz Lewicki, Tadeusz Hollender, Karol Kuryluk, nawet astronom i matematyk Michał Orlicz ; żywiliśmy nadzieję, skupiliśmy wokół siebie - możliwie szerokie grono. Niestety po dwóch czy trzech zebraniach Klub się rozpadł - niewiadomo dokładnie z czyjej przyczyny. Wiem tylko, że już w 1934 r. Wacław Mejbaum redaktor zamierającego "Słowa Polskiego" zaprosił mnie do swej redakcji i w towarzystwie ^{uparcie} milczącego T. Terleckiego /był sekretarzem redakcji / jął w niezwykle zawiłym wywodzie namawiać mnie do stworzenia jakiejś nowej grupy o bardzo zakamuflowanej ideologii i formach niemal masońskich. Oczywiście odmówiłem, ale dochodziły mi niebawem słuchy, że właśnie Mejbaum rozbił nasz Klub. O "Tygodniu" wspominam dlatego, że powierzono mi w nim rubrykę "Na Widmokręgu nauki", w której omówiłem kilka nowości wydawniczych.

Tymczasem mijał rok za rokiem. Życiu towarzyskiemu, poznawaniu przez żonę Lwowa w jego zabytkach, muzeach, teatrach a także - jak innej od Łodzi - okolicy, wyjazdom na wakacje nad Bałtyk, w dolinę Prutu /Jaremcze, Podleśniów, Worochta /, wreszcie w okolice Doliny ^{w końcu zagranicę} /w Stryjskiem/, - położył kres wybuch drugiej wojny światowej. Była to ^{po} pierwsza i kampanii polsko-bolszewickiej już trzecia wojna w moim życiu. Nadciągnęły dla rodziny przeżycia za ciężkie i za zbyt wielu stron bijące w nasz byt, by je tu zmknąć tylko klamrą lat 1939-1945. W klamrze tej muszą się zmieścić również zmiany "miejsca pobytu": ze Lwowa do Tyńca i z Tyńca do Krakowa. W czasie pierwszych rządów

radzieckich we Lwowie /1939-1941/ - pracowałem jako nauczyciel XIII Szkoły Średniej z ukraińskim językiem nauczania /tj. w przedwojennym VII Gimnazjum Państwowym przy ul. Sokoła/; po zajęciu zaś miasta przez władze niemieckie - prowadziłem najpierw zakłady kamieniarsko-marmurowe / jako trzeci z kolei przedstawiciel rodziny z tej branży/; następnie od 1943 r. pracowałem w miejscowym Archiwum Państwowym pod dyrekcją Wiedeńczyka, dr Ottona Guglii. O jego uprzejmym stosunku do mnie - opowiem w innym rozdziale. W kwietniu 1944 r. na polecenie naczelnego dyrektora archiwów dystryktu "Galizien", dr Ericha Randta nadzorowałem kolejową eksportację /w siedmiu wagonach / wszystkich państwowych archiwaliów ze Lwowa do klasztoru benedyktynów w Tyńcu. W ten sposób związałem dalsze lata mego życia z Ziemią Krakowską, uroczym benedyktyńskim klasztorom, następnie prastarą stolicą Polski, z pięknym krajobrazem nadwiślańskiego, podhalańskiego i tatrzańskiego. Na tym^{też}/tę rozgrywały się dalsze moje przeżycia, stanowiące treść niniejszych wspomnień.

Uroki i specyficzne warunki podwawelskiego środowiska zabarwiły swym kolorytem i wypełniły resztę życia. Powiększyła się rodzina: w 1947 r. przyszła na świat córka Jolanta Elżbieta, w dwa lata po niej druga : Alicja Sylwia. Żona niezwykle przedsiębiorcza i śmiała w walce o byt - jeszcze przed porzuceniem Lwowa - zasilala ubogą kiesę męża najpierw produkowaniem wędlin / co za okupacji hitlerowskiej groziło obozem koncentracyjnym/, następnie fabrykowaniem damskiego obuwia. Kontynuowała je następnie w Krakowie; obuwie to, swymi modelami daleko odbiegające od produktów fabrycznych, cieszyło się takim powodzeniem, że najwytrawniejsze elegantki i aktorki Krakowa były jej najwierniejszymi klientkami. Za uciulany grosz zakupiła najpierw skromny, ale uroczy domek na stoku Gubałówki

w Zakopanem / 1951/, następnie sprzedawszy go - z moją finansową pomocą ^{wniosła} na drodze do Woli Justowskiej przemianą siedzibę, o której nie ^{jeszcze} jedno przyjdzie mi w dalszym opowiadaniu wspomnieć. Tu ciśnie się lapidarna uwaga o ^{nieodczowności} rzemieślniczego chleba żony pedagoga i naukowca; niechaj świadczy ^{ona} potomnym o głębokich przeobrażeniach społecznych i zawodowych, które sprowadził na nasz kraj kataklizm wojny i okupacji w Polsce, umocniając te zmiany na trwałe.

7 grudnia 1945 r. odbyłem przewód habilitacyjny w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na podstawie pracy historycznej "Polski kongres polityczny we Wrocławiu 1848 r." W wejściu w to grono naukowe podali mi pomocną dłoń :Juliusz Kleiner, Jan Czekanowski, i wspomniany mój od ławy szkolnej nieodstępny przyjaciel, doc. Stefan Kawyn; zdawali sobie już wtedy dobrze sprawę, że moje próby habilitacyjne na Jagiellońskiej Alma Mater - wobec specyficznej atmosfery tego środowiska - nie przyniosą mi sukcesu. Niestety uznanie lubelskiego przewodu habilitacyjnego zawisło od życzliwości ówczesnego Ministerstwa Oświaty i Szkół Wyższych a życzliwość ta od politycznego zaangażowania kandydata. Do żadnej partii wówczas jeszcze nie należałem a ministrem była Eugenia Krasowska, mimo swego członkostwa w Stronnictwie Demokratycznym bezwzględnie uległa rządzącej Polskiej Partii Robotniczej. To też starannie wygotowane akta habilitacyjne Senatu KUL jeszcze staranniej zostały zamknięte w biurku pani minister. Kiedy Senat ^{urgował} po roku o załatwienie, odpowiedziano, że "akta ... zaginęły" i nie sposób je odnaleźć. Niestety także z wielkim wysiłkiem wygotowany i wysłany do Warszawy duplikat całego przewodu nie pomógł. Cztery lata trwały oczekiwania, by wr-eszcze po powołaniu Rady Naukowej Ministerstwa doczekać się odrzucenia wniosku Senatu z ogólnikową i negatywną oceną rozprawy

habilitacyjnej; dowiedziałem się później, że recenzentami byli historycy krakowscy. Sapienti sat ! Dopiero w 1954 r. dyrektor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, prof. Tadeusz Manteuffel - /od 1952 r. bowiem pracowałem w krakowskim Zakładzie Dokumentacji podległym Instytutowi/ - wobec piekającej potrzeby rozszerzenia kadry naukowej o poważnym dorobku badawczym - złożył w międzyministerialnej Komisji Kwalifikacyjnej Pracowników Nauki wniosek o nadanie mi tytułu docenta. Wniosek poparł długi rejestr moich rozpraw naukowych i fakt liczącej się współpracy z Polskim Słownikiem Biograficznym - od pierwszego jego tomu /w 1935 r./. Istotnie miałem w swym dorobku już ośm książek i kilkanaście rozpraw w czasopiśmie historycznych, dość długą służbę archiwalną i wykłady z historii XIX¹ oraz dziejów dyplomacji w krakowskiej Wyższej Szkole Społecznych², następnie na Sekcji Dziennikarskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego /1948-1951/, adiunkturę Zakładu Historii Ruchów Społecznych tej uczelni, po roku jego kierownictwa /1949-1952/³. Poza to zyskałem sobie niemałe uznanie w muzealnictwie zorganizowawszy w Krakowie wielką Wystawę Wiosny Ludów /1948/, "Ks. Piotra Ściegiennego na tle epoki" w Kielcach /1949/ i znowuż w podwawelskim grodzie "Czerwony Kraków" /1951/. Wniosek T. Manteuffla został szybko zatwierdzony. Zrewanżowałem się Instytutowi szeregiem nowych publikacji i organizacją imprez na polu popularyzacji przeszłości narodowej, o czym będę pisał odrębnie.

"Uśmiech losu" w postaci tak niemiłosiernie odwleczonej nominacji - zrównoważył się po kilku latach ciężkim ciosem w innej dziedzinie mego życia. 9 lutego 1958 r. zmarł w Łodzi mój najdroższy brat Ludwik; z mego jestestwa oderwała się nie cząstka a potężna

^{3/} W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie rozpocząłem wykłady z historii powszechnej dopiero w r. akad. 1955/56. Prowadziłem również krótko seminarium z ustroju politycznego Galicji w miejscowej Akademii Ekonomicznej.

część mojej osobowości.

Na przełomie lat 1956/57 powstał w Krakowie Ośrodek Badań Prasoznawczych; wspólnie z dr Janem Lankauem, wytrawnym dziennikarzem i badaczem początków prasy polskiej ^{oraz} redaktorem Janem Krasickim należałem do jego pierwszych organizatorów. Sekcję historii prasy prowadziłem w tym Ośrodku z nie słabnącym zapałem; na moją biedę przewyższył on ewidentnie działalność innych sekcji i po roku moją ... zlikwidowano. Zanim poświęcę kulisom tej sprawy dalsze strony wspomnień, nadmienię tu, że wszedłem w skład redakcji periodyków Ośrodka /Prasy Współczesnej i Dawnej", "Biblioteki Wiedzy o Prasie", "Zeszytów Prasoznawczych"/, uczestniczyłem w jego imprezach krajowych, zwłaszcza w trzechsetleciu "Merkurjusza Polskiego" i międzynarodowych kongresach, wreszcie zostałem powołany w skład członków Association International des Etudes et Recherches sur l'Information w Paryżu i na członka Sekcji polskiej UNESCO w Warszawie. Prasoznawstwem i jako historyk i organizator badań pozostałem mimo różnych przeciwności wierny do obecnej chwili.

Tymczasem na terenie Wyższej Szkoły Pedagogicznej, w której z każdym półroczem poszerzała się moja działalność dydaktyczna, toczyłem walkę o wniosek na nominację na profesora nadzwyczajnego. Piszę "walkę", choć na pozór odgłosów tej walki nikt nie słyszał ani nie widział; na wniosek potrzebna była decyzja rektora /był nim Wincenty Danek/ a na jego decyzję - inspiracja kolegów historyków. Inspiracji nie było a mnie osobiście brakło zaciekleści i umiejętności w zabiegach. Dopiero w 1964 r. a więc blisko w dziesięć lat ^{uzyskania} od docenienia, po szeregu nowych moich publikacji i po zorganizowaniu przez mnie Muzeum Więźniów Polskich na Szpilbergu

potem

w morawskim Brnie /1961/, Celi Polskiej w tyrolskim Kufsteinie /1964/ - Rada Wydziału uchwaliła wniosek o awans mój na profesora nadzwyczajnego. Wniosek poparty był kilkudziesięcioma opiniami profesorów historii nowożytnej nadzwyczajnych i zwyczajnych wszystkich uniwersytetów polskich.

Z datą 27 lutego 1965 r. otrzymałem akt nominacyjny na profesora nadzwyczajnego historii, wystawiony przez przewodniczącego Rady Państwa w osobie Edwarda Ochaba. Data ta sprzęgła się z czterdziestolecie mojej działalności naukowej, zapoczątkowanej wystąpieniem wspólnym z prof. Szelańskim i kolegami na IV Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Poznaniu /1925/, Czterdziestolecie to uczcili moi wychowankowie i przyjaciele jubileuszu, godnym szerszego wspomnienia na dalszych stronach. Ale już rok^{poprzedni} /1964/ zapisał się w moim życiorysie trzema faktami doniosłymi w biografii naukowca. Obok wniosku o nominację i wspomnianej mojej akcji otwarcia Celi Polskiej w Kufsteinie - ujrzało właśnie w tym roku światło dzienne moje ^{opus} "Vitaes": Towarzystwo Demokratyczne Polskie 1832 - 1863. Przywódcy i kadry członkowskie, dzieło obszerne, wieńczące wysiłki dwunastu lat pracy.

Upłynęło od tego czasu ponad piętnaście lat. Każdy rok niósł za sobą - jak w życiu - jasne i chmurne chwile, zdobycze i straty, coraz głębsze doświadczenia i poznawanie tajników bytu i ludzkich charakterów. W 1959 r. mogłem zamieszkać już na stałe w pięknym domu na uroczym zboczu podkrakowskiego Sikornika. Tę frywolną nazwę nosi wspaniałe zalesione wzgórze Woli Justowskiej, ciągnące się od Kopca Piłsudskiego do Kopca Kościuszki, zwane krótko Lasem Wolskim; frywolną nazwę nadały okolicy nie tyle upierzone sikory i sikorki, co młode parki, szukające wśród drzew i krzewów ujścia

dla swych miłosnych zapędów. Zgromadzone ~~w~~^{przeze mnie / nowej} siedzibie książki i ~~prezenty~~^{rekwizyty} dzieła sztuki przez żonę - zyskały temu gniazdu rodzinnemu daleko biegnącą sławę, nieraz o zabarwieniu złośliwym, z czego ani ja ani zapracowana po uszy małżonka niewiele sobie robiliśmy.

W dzieje mego życia przy ul. Królowej Jadwigi, w domu ocienionym z jednej strony wysoko pnącymi się ku niebu cyprysami, z drugiej - owianym w upalne wieczory balsamicznym zapachem pobliskich lasów i łąk - wkraść się los dwoma rujnującymi spokoj datami. W 1958 r. - jak wspomniałem wyżej - zmarł w Łodzi mój brat; 1962 r. żona moja wróciła do rzemiosła, otwierając zakład "artystycznego obuwia damskiego". Śmierć brata pozbawiła mnie powiernika najsekretniejszych spraw życia; zajęcia małżonki, zdobywającej w pocie czoła środki dla dalszego utrzymania i upiększania domu - zubożyły bezlitośnie ciepło rodzinnego ogniska, przerwały tok ulubionego życia towarzyskiego.

Na szczęście podróże, przeważnie dla poszukiwań naukowych i muzealnych, nieprzerwany niepokój myśli w dociekaniach ~~o~~ zagadnieniami historycznymi i nowy krąg ludzi ze świata dziennikarskiego i prasoznawczego - wypełniły lukę w codziennym życiu.

Dopiero po kilku latach rozstanie się żony z "artystycznym rzemiosłem" i moje oderwanie się od zawodnych prób życia poza rodziną - pozwoliły zabłysnąć ognisku domowemu nowym płomieniem. Odrodził się nastrój spokoju a ~~bezpośrednie~~^{nijające} niemiłosiernie lata wzywały raz po raz do sięgnięcia pamięcią wstecz. Tak oto narodziły się niniejsze reminiscencje z wędrówki po kraju własnych i rodzinnych przeżyć.

Suche i pozornie ubogie w niezwykłą treść daty niniejszego rysu autobiograficznego ułatwią Czytelnikowi dalszych rozdziałów zrozumienie, dlaczego życie długie, ale niepozorne w przygodach w epoce ciężkich wojen i przewrotów, życie skromnego humanisty zasługuje na bliższe poznanie.

Prehistoria rodu w dwóch zaborach

Kiedy losy wojenne rzuciły mnie w 1944 r. w środowisko naukowe Krakowa - słyszałem często z ust ludzi w tym środowisku, że jestem synem ziemianina lub bogatego przemysłowca ze Lwowa. Przypuszczenie to było gruntownie mylne. Wprawdzie istotnie wyglądałem tu na "kogoś innego", ale ani mój sposób bycia ani ubiór, może staranniej dobierany niż kolegów krakowskich - nie dawał podstaw do takich supozycji. Być może miały one swe źródło w wyjątkowej wręcz rzadkości mego rodzinnego nazwiska.

Nazwisko Tyrowicz brzmiało i brzmi nawet dotychczas dziwnie w polskim katalogu nazwisk. Początek nazwiska "Tyr" nie ma odpowiednika w naszym słownictwie, któremu bliższe są nazwy i nazwiska od pierwiastka "tur". Końcówka nazwiska jest natomiast bardzo popularną u ormian polskich. Kiedy jako historyk zacząłem coraz szerzej i dogłębniej zajmować się studiami biograficznymi - zaciękały mi początki własnej rodziny, nazwisko rodowe, pochodzenie przodków, o których - o dziwo - z ust ojca słyszałem tylko bardzo fragmentaryczne wiadomości.

Przez kilka lat zbierałem dane z tradycji ustnej rodzinnej, kompletowałem z wielkim trudem dokumenty, wreszcie szukałem wzmianek w literaturze historycznej. O tym, że pochodzimy z ormian polskich wiedziałem od dawna. Wprawdzie nie byliśmy członkami Kościoła ormiańsko-katolickiego, ale wiem, że ojciec mój miał bliższe osobiste stosunki z arcyb. lwowskim tego Kościoła, ks. Józefem Teodorowiczem i niektórymi ziemianami ormianami w b. Galicji wschodniej. Mój sympatyczny starszy kolega, głośny antropolog, prof. Jan Czekanowski nieraz ze śmiechem zapewniał mnie: "Wystarczy spojrzeć na ciebie, by być pewnym twego ormiańskiego pochodzenia ... co za typowa czaszka!" Nie zdziwiłem się też, kiedy w 1969 r. bawiący w Polsce,

dr Georg B. Garab^{di}janian / wymawiać : Garabdżjanan /, prof. Uniwersytetu w Erywaniu i redaktor „Encyklopedii Ormian” odwiedził mnie w Krakowie i przez dwie godziny spisywał pilnie wszystko, co mu o sobie i swej rodzinie opowiadałem^{1/}. Jednakże podjęte przeze mnie wędrowki genealogiczne w poszukiwaniu kolebki rodziny nie zawiiodły mnie zbyt daleko. Za ledwie w dwa, trzy pokolenia wstecz. Okazało się przy tym, że dziadkowie moi, zarówno w linii prostej, jak i stryjeczni - nosili popularne w Polsce nazwisko Turowicz i pochodzili z zaboru rosyjskiego. Dziadek mój Feliks był kowalem w Ostrogu nad Horyniem a więc na Wołyniu i w 1864 r. zbiegł z babką moją Karoliną i ojcem moim Ludwikiem jako 3-letnim dzieckiem z zaboru carskiego do Galicji. Powodem do nagłej ucieczki mroźną zimą było ostrzeżenie go przez żydów ostrogskich, że dziadek, który kuł kosy dla powstańców 1863 r. ma być wkrótce wywieziony w głąb Rosji, może na Sybir. Jednym ze śladów tej ucieczki był fakt, że ojciec mój w czasie przeprawy odmroził sobie tak silnie palce u rąk, że cierpiał całe życie z tego powodu, co osobiście pamiętam. Dziadkowie zbiegli z paszportami rosyjskimi. W pisowni rosyjskiej nazwisko Turowicz pisze się przez y, spółgłoską r przez p. W Galicji łatwo było przerobić to nazwisko na Tyrowicz. I tak się stało.

Atoli w Galicji koło Brzeżan mieszkał już stryjeczny mój dziadek, artysta - malarz Tomasz Tyrowicz. I on jako Turowicz, wychowanek Akademii Wileńskiej /uczeń prof. Jana Rustema / w czasie

1/ Prof. Garab^{di}janian nawiązał ze mną niezwykle serdeczną korespondencję w 1974 r. i ogłosił o mnie artykuł w ormiańskim czasopiśmie p.t. „Głos Rodziny” /1971 /nr 3 /~~z kóxywxaxekxaxk~~
~~z kóxywxaxekxaxk~~ Równocześnie z fotokopią tego artykułu - nadesłał mi w 1973 r. przekład rosyjski tekstu oraz zaprosił do dostarczenia moich dat biograficznych dla „Encyklopedii Ormian”. Materiał ten /w j. niemieckim, którym prof. Garab^{di}janian dobrze władał/ wysłał mi w lipcu 1973 r.

powstania narodowego 1831 r. zaciągnął się w litewskie szeregi walczące z Rosją i wskutek tego po klęsce musiał szukać schronienia w Galicji. Ojciec jego Jan Turowicz był nauczycielem gimnazjalnym w Kuratorii Wileńskiej i na własną prośbę przeniesiony przez ówczesnego kuratora szkół, ks. Adama Czartoryskiego na Wołyń, uczył w Łucku. Niektórzy z rodziny wysuwają wątpliwość, czy nie był on także ojcem wspomnianego wyżej dziadka mego Feliksa, kowala w Ostrogu; co do tego jestem zupełnie odmiennego zdania. Kiedy w 1929 r. z bratem moim, Ludwikiem artystą grafikiem, wybraliśmy się w wakacyjną wędrowkę po Wołyniu - ojciec polecił nam odszukać grób swej rodziny w Ostrogu. Nagrobku - rzecz jasna - już nie znaleźliśmy, ale samo to polecenie jest dość orientującą wskazówką co do związków rodzinnych Turowiczów z Wołyniem. Warto tu dodać, że według pewnych źródeł w Kowalskiem, a więc na Wołyniu, działały na rzecz powstania także panny Turowiczówny. O tych przodkach moich zarówno wyżej wymienionych, jak i innych - podam szczegóły biograficzne w dalszym opowiadaniu. Tu tylko w sprawie metamorfozy nazwiska z Turowicz na Tyrowicz - warto dodać, że kiedy dziadek stryjeczny Tomasz znalazł się w wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych jako student - wpisano mu do akt uczelni początkowo nazwisko Typowicz. Mam odpis tego zapisu, to też niesłuszne jest w tej zmianie samogłoski dopatrywać się diabliska drukarskiego. Nie bez powodu wytrawny znawca życia galicyjskiego w I połowie XIX w., Stanisław Wasylewski wspominając Tomasza nazwał go "tajemniczym ... nikomu nieznanym talentem" /"Historie lwowskie "/.

Skoro zatem moi dziadkowie znaleźli się w Galicji - od mich wypada zacząć mi historię naszego domu. Będzie więc mowa najpierw o linii wołyńsko-lwowskiej, następnie jako stryjecznej dla mnie - wołyńsko-brzeżańskiej.

O Feliksie, dziadku mym kowalu - tradycja domowa nie przekazała mi wiele. Coś więcej o babce Karolinie z Heichlów. W Galicji urodziło im się drugie dziecko: córka Aniela. Dziadkowie - jak często slyszałem w domu - znaleźli życzliwych i możliwych protektorów w rodzinie Leona Sapiehy we Lwowie. Po rychłej prawdopodobnie śmierci dziadka, wdowa po nim pracowała w pałacu Sapiehy jako gospodyni domowa; slyszałem też, że określano jej rolę jako "klucznicy". Ojciec mój Ludwik jako mały chłopak wychowywał się pod tym życzliwym dachem razem z Adamem Stefanem Sapięhą, o kilka lat od siebie młodszym synkiem "czerwonego księcia" Adama Sapiehy. ~~On~~ ^{jako} Adam Stefan - później biskup, następnie arcybiskup - metropolita krakowski, zapisał się nie byle jak w dziejach kościoła odrodzonej Polski, najpierw próbując zamknąć podziemia katedry wawelskiej dla trumny Piłsudskiego a za okupacji hitlerowskiej - walcząc o niezależność hierarchii katolickiej w Polsce. W naszym rodzinnym albumie przechowała się do czasów drugiej wojny - wspólna fotografia tych chłopaków. Ks. Leon Sapięha zmarł w 1878 r. po swym niezwykle aktywnym życiu na polu polityki i "pracy organicznej" w zaborze. Syn jego "czerwony książę", śmiały działacz w sprawach narodowych, które wskutek jego udziału w akcji poparcia ^{powstania} styczniowego zaprowadziły go do więzienia - nie odegrał już w życiu mej babki i ojca roli tak troskliwego opiekuna, ~~co ks. XXXXX~~ ^{jak jego rodzic}. W bardzo młodym wieku ojciec mój sam musiał myśleć o swej przyszłości; niewątpliwie dzięki ks. Adamowi mógł jeszcze ukończyć szkołę powszechną /wówczas 4-klasową/ i cztery klasy szkoły realnej we Lwowie; jak mi opowiadano - kolegował tu z późniejszym arcybiskupem lwowskim, ks. Twardowskim. Pomoc Sapięhów była nieodzowna nie tylko pod względem materialnym. Prawdopodobnie dziadek Feliks - nie

nie uzyskał obywatelstwa austriackiego, skoro ojciec mój nie posiadał go do końca życia; pamiętam, kiedy w 1912 r. wybierał się w podróż do Włoch - nieuzyskał paszportu z braku ^{tego} obywatelstwa. Trzeba więc było autorytetem marszałka Sejmu Krajowego, którym do 1875 r. był ks. Leon Sapieha - pokryć brak obywatelstwa moich dziadków przy wpisach szkolnych ^{syna.} Stosunki w autonomicznej Galicji pełne były tego rodzaju wypadków w życiu Polaków zbiegłych tu spod caratu.

Dlaczego ojciec nigdy szkoły realnej nie ukończył - pozostało dyskretną tajemnicą w naszym domu; ani się tym nie interesowaliśmy ani o to pytaliśmy. Wiem, że był pełen temperamentu i miał naturę bujną, artystyczną; kobiety wcześniej zaczęły odgrywać rolę w jego życiu. Dostał się jako terminator do kilku pracowni rzeźbiarskich; terminował w rzeźbie w drzewie i kamieniu. Pociągała go wędrowka w świat. Jego czeladnicze Wanderjahre, wymagane według ówczesnych przepisów rzemieślniczych dla uzyskania tytułu mistrza /majstra/ - zawiadły go najpierw do oficyn rzeźbiarskich wiedeńskich, ~~stąd~~ opowiadał nam o wykonywanych przez siebie dekoracjach stiukowych w Burgtheater. Następnie przeniósł się do Budapesztu i tu pracował przy budowie parlamentu; poza doświadczeniem w swym rękodziele - wywiózł ^{ant} stąd miłe wspomnienia o pulsującym życiu naddunajskiej stolicy. W Budapeszcie niedaleko było już do Serbii, gdzie w rozwijającym się ambitnie młodym Królestwie budowano pałac panujących na wzgórzu Kalemegdan; dało mu to możliwość pracy kamieniarsko-rzeźbiarskiej i na tym terenie. Z tym bogatym doświadczeniem w zakresie swego fachu - wywiózł ojciec z wędrowek po Austrii dużo wspomnień, wielkie zamiłowanie do muzyki, zwłaszcza operowej i - co niemniej ważne w późniejszym jego życiu - biegłą znajomość języka niemieckiego. Zagranicą wszedł w zażyłe koleżeństwo z ar-

tystą - rzeźbiarzem Pawłem Wojtowiczem i malarzem Leonardem Podhorodeckim. Wróciwszy do kraju osiadł w Brzemyślu i tu nawiązał stosunki towarzyskie z domem mieszczańskim Wincentego i Apolonii Iżykiewiczów, bogatym aż w cztery córki. Młody rzeźbiarz wybrał jedną z nich - modystkę - na żonę; była to Józefa, równolatka ojca. Po ślubie w Przemyślu przenieśli się rodzice do Lwowa, gdzie ojciec postanowił założyć własną pracownię. Brak było funduszków na rozwinięcie szerszej inicjatywy; z „pomocą” pospieszył budowniczy lwowski pochodzenia ormiańskiego Bałłaban. Około 1890 r. zakupiono obszerny teren, tuż przy Cmentarzu Łyczakowskim, w najbliższym sąsiedztwie znanego wówczas we Lwowie artysty - rzeźbiarza niemieckiego, Antoniego Schimsera. Teren długi na ok. 70 mb. a szeroki na ponad 30 - był jeszcze tak zadrzewiony, że trzeba było sporo pięknych okazów wykarczować. Front pracowni wychodził na ul. Piekarską a tył na ul. św. Pawła i rozległe łąki, zwane Baworówką. Nazwa ta pochodziła od jednego z hr. Baworowskich, właściciela tych terenów, który z częstych podróży zagranicznych przywiózł dość liczne okazy fauny egzotycznej; wśród drzew, zarośli i strumyka swobodnie hasały te zwierzęta w tym niezwykłym dla nich terenie. Osobiście tego osobliwego ogrodu zoologicznego nie pamiętam, ale słyszałem o nim w dzieciństwie różne niezwykle gadki. Na zakupionym przez spółkę ojca z Bałłabanem gruncie wybudowano parterowy dom na kancelarię, jedną halę na maszyny, dwie szopy dla kamieniarzy. Miejsce ze względu na rzeźbę omentarną wybrane było doskonale, ale początki mnożyły liczne kłopoty i trudności.

Największy kłopot stanowił wspólnik. Zupełnie niespodziewanie około 1900 r. wycofał się z interesu, zmuszając ojca do szybkiej spłaty, co stanowiło źródło pierwszej katastrofy. Dług był poważny:

20.000 reńskich, tj. 40.000 koron austriackich. Ojciec się nie załamiał, choć cios ten wspominał później przez całe życie. Los niespodziewanie uśmiechnął się do niego - nieoczekiwanym spadkiem.

Zmarła ok. 1905 r. właścicielka rozległych terenów na przedmieściach Lwowa, w okolicach Persenkówki, niejaka Justyna Kamińska, wdowa z drugiego małżeństwa po zamożnym geometrze Heichlu a więc bliskim krewnym nieżyjącej już mojej babki Karoliny. Nigdy nie mogłem dociec, dlaczego owa Kamińska uczyniła ojca spadkobiercą tak rozległych terenów, które - już na progu XX w. - zaroiły się od pięknych domów i kamienic, pokryły się wielkimi zieleńcami, przecięte zostały ulicami /gen. Dwernickiego, św. Zofii, Snopkowskiej/, wiodącymi ku miłym terenom spacerowym i łagodnym wzgórzom nad tzw. Stawem Kamińskiego, ówczesnie jedynym kąpieliskiem miasta.

Spadek dodał ojcu skrzydeł. Już przed dziesięcioma prawie laty - na Powszechnej Wystawie Krajowej otwartej w stulecie insurekcji Kościuszki /1894/ - wraz ze wspaniałą Panoramą Racławicką - otrzymał ojciec jedną z pierwszych nagród za artystycznie wykonaną konchę ogrodową, którą znakomicie pamiętam. Spadek pozwolił wydatnie rozszerzyć urządzenia warsztatowe a także na import granitów ze Szwecji, marmurów włoskich z wielkich ich składowisk we Wiedniu i Belgii.

Przyszły w krótkich po sobie odstępach atrakcyjne zamówienia: na wykonanie w marmurze i alabastrach kaplicy Ogrojcowej w Katedrze Łacińskiej we Lwowie, na całą kamienną obudowę pomnika Adama Mickiewicza na Placu Halickim, prace kamieniarskie przy Teatrze Wielkim, Muzeum Przemysłu Artystycznego i wiele innych. Szereg pięknych nagrobków stanęło na Cmentarzu Łyczakowskim a dużo, mniej wartościowych pod względem artystycznym, ale dość intratnych finan-

sowo zamówień dostarczył bujnie rozwijający się ruch budowlany w mieście / fasady kamienio, z ciosów, schody, posadzki marmurowe itp./ W warsztacie ojca wprawiali się w sztuce rzeźbiarską, głośni później artyści, jak Wojciech Brzega, Janina Reichert /po latach żona rzeźbiarza dekoratora Todta / i inni.

Droga nasza matka Józefa z trudem i troską towarzyszyła ojcu w rozwijaniu jego inicjatywy i prowadzenia domu, który zakładano przy coraz to innych ulicach / z ul. św. Piotra przenieśli się rodzice na ul. Piekarską - bliżej ~~rodziny~~ ^{śródmieścia} niż Cmentarza Łyczakowskiego, w końcu do własnego domu i ogrodu przy ul. św. Pawła/. Te peregrynacje i domy przyjdzie mi wspomnieć jeszcze w następnych rozdziałach. W okresie rozwoju przedsiębiorstwa ojca - 15 lipca 1901 r. przyszedłem na świat w towarzystwie mego brata Ludwika. Byliśmy bliźniakami tak do siebie podobnymi /aż do lat gimnazjalnych/, że śmiano się po chrzcie, czy nadane nam imiona będą zawsze właściwie używane. Mieliśmy już braci :Tadeusza /ur.1893 r./ i Stanisława /ur.1895/; nasz najstarszy brat Stefan /ur.1890 r./ - zmarł bardzo szybko po urodzeniu.

Tu urywam opowieść o rodzicach, aby powrócić do niej, kiedy po latach dzieciństwa ~~xxxxxxx~~ ^{wypadnie mi mówić o początkach} orientowałem się i w sytuacji rodzinnej i własnym życiu. Wracam natomiast do najbliższych mi nosicieli nazwiska Turowicz - Tyrowicz, którzy w różny sposób wzbogacili historię naszego rodu.

Założyciel linii „brzeżańskiej” stryjeczny mój pradziad Jan Turowicz według Słownika biobibliograficznego dawnego Uniwersytetu Wileńskiego /opublikowanego przez Ludwika Janowskiego w Wilnie 1939 r./ był wychowankiem tegoż Uniwersytetu w latach 1816-1818, najpierw ukończywszy Seminarium Nauczycielskie w Wilnie; nie ulega

wątpliwości, że Seminarium to stanowiło jakby wydział Uniwersytetu. Z faktu studiów wynika, że pradziad stryjeczny musiał się urodzić w ostatniej ćwierci XVIII w., w dobie rozbiorów Rzplitej. W „Kijewskiej Starinie” z r. 1892 we fragmentach pamiętnikarskich A. Sołtanowskiego /Otrywki i zapiski .../ znalazłem wzmiankę o „patriotycznym nastroju” w rodzinie tegoż Turowicza. Można się tylko domyślać, że ktoś z kręgu tej rodziny uczestniczył czyto w wojnie 1792 r. czy w powstaniu Kościuszkowskim na Litwie. Wyżej powołany Janowski wyraźnie złączył ową opinię o patriotyzmie z Janem Turowiczem. Uniwersytet Wileński - przekształcony w 1802 r. z dawnego Kolegium Jezuickiego - przeżywał za kuratorstwa ks. Adama Czartoryskiego /1803-1824/ okres świetności dzięki wybitnym profesorom: braciom Śniadeckim, Joachimowi Lelewelowi i inn.; wszechnica ta obejmowała swym nadzorem całe szkolnictwo ośmiu „gubernii zachodnich” imperium carskiego. Szczegóły te nie są obojętne dla dalszych losów Turowiczów wileńskich. Już w czasie studiów Jan zarabiał na życie jako nauczyciel szkoły powszechnej w Międzyborzu /1821-1822/ i jak podaje protokół Senatu uniwersyteckiego za rektorstwa Józefa Twardowskiego uchwałą rektoratu z 11 lipca 1822 r. przeniesiony został na Wołyń do szkoły w Łucku, według Janowskiego do gimnazjum w Równem. Przypuszczać należy, że uczył w obu miejscowościach / w jakiej kolejności trudno dociec bez dostępu do archiwów radzieckich/. Jest to okoliczność obojętna; natomiast bezspornie ważnym i zupełnie niewątpliwym jest fakt rozrostu rodziny owego protoplasty, nauczyciela na Wołyniu.

Jan Turowicz ożeniony z Elżbietą Piłaszewską miał czterech synów, którzy przeszli do historii naszego domu już pod nazwis-

Osobiście jestem zdania, ~~xxxxxxx~~ ~~xxxxxxx~~ ~~xxxxxxx~~, czego dokumentarnie nie mogłem dotąd sprawdzić - a wiadomo, że herbarze rejestrują tylko rody szlacheckie, że ~~z~~ dziadek mój po mieczu, wspomniany już Feliks, kował w Ostrogu, ^{nie} był piątym synem Jana. ^{Natomiast} ~~oni~~ bezsporni synowie Jana i Elżbiety - to: najstarszy Michał /ur. w 1807 r./, Tomasz /ur. 1810/, Władysław i czwarty nieznanego mi imienia. Losami tej czwórki zajmę się niżej dokładniej; tu stwierdzić ~~nie~~ wypada, że i Michał i Tomasz znaleźli się w Galicji wskutek klęski wojny polsko-rosyjskiej 1831 r., w której uczestniczyli. O Michałe istniał do katastrofy pożaru zbiorów rapperswilskich w Warszawie w 1939 r. szkic życiorysowy w tekach biograficznych Agatona Gillera. Obecnie bardzo żałuję, że jako historyk - nie dokonałem przed wybuchem drugiej wojny światowej odpisu z tych tek; jest rzeczą charakterystyczną, że Giller kompletując swe teki do „Wieńca Pamiątkowego Muzeum Narodowego w Rapperswilu” /w latach 1880-tych/ zamieścił Michała jako powstańca 1831 r. pod nazwiskiem Tyrowicz; istotnie w latach wydania „Wieńca” był już oficerem austriackim.

Jak wynika z akt byłego Państwowego Archiwum we Lwowie /które osobiście przeszukałem/, szczególnie z podań Michała i Tomasza do władz galicyjskich i odpowiedzi na ~~ich~~ podania urzędów cyrkularnych /t.j. ówczesnych starostw / w Brzeżanach i we Lwowie, ~~ze~~ Jan i Elżbieta z Piłaszewskich znajdowali się również w Galicji w I poł. ubiegłego wieku. O Janie wiedziały urzędy cyrkularne, że był leśniczym w kilku dominacjach, m.i. w Niżyńcu / w cyrkule przemyskim / i wreszcie osiadł w Brzeżanach, gdzie dzierżawił i prowadził „niewielką gospodę”. Władze austriackie tak skrupulatne w swej biurokratycznej korespondencji - miały kłopoty nie do pokonania, kiedy w r. 1852 Michał domagał się od starostwa wyciągu z akt ^{swego} chrztu. Świadkowie

chrztu nie żyli a adresy innych osób, któreby potwierdzić mogły fakt narodzin - były dla tak wszechwładnej administracji „nieosiągalne”. W ostateczności urząd cyrkularny w Brzeżanach musiał się zadowolić zeznaniem ^{jedynie} żyjących rodziców. Nieporadność władz ^{jest} dla mnie zupełnie jasna. Uciekinierzy z zaboru rosyjskiego, jak i setki innych - musieli w Galicji zmieniać nazwiska, przy czym usłużne parafie wystawiały fikcyjne zaświadczenia urodzin i chrztu, nie wciągając ich do ksiąg metrykalnych. W ten sposób o Michale Tyrowiczu, urodzonym - według zapewne zmyślonego zapodania rodziców - 24 grudnia 1807 r. w ...Bokowie w powiecie podhajeckim /ówczesnym cyrkule czyli starostwie brzeżańskim/ - musiał urzędnik austriacki stwierdzić, że „ein formlicher Taufschein aus dem Grunde nicht ausgestellt werden kann, weil die Taufgathen gestorben sind” tak jakby nie wystarczyło zapytać o to odnośnego proboszcza.

Michał znalazłszy się w Galicji, jako człowiek „ohne Profession” i stanu wolnego - wciągnięty został do obowiązkowej dla nieszlachty służby wojskowej już w 1833 r. i po blisko siedmiu latach awansował na feldwebel w znanym historykom Galicji pułku piechoty hr. Nugent. W r. 1848 w czasie głośnej Wiosny Ludów, kiedy tyłu jego rodaków dobijało się o wolność Polski i innych narodów - nasz Michał jako feldwebel 45 pp. arcyks. Zygmunta - uczestniczył w wyprawie austriackiej do Lombardii i spisał się gracko w zwycięstwie pod Goito, co z uznaniem zapisano w raportach wojskowych. Później awansował na ppor./Unterleitnant 2-~~w~~ und 1 Classe/, aby wreszcie w 1854 r. przejść do cywilnej służby państwowej. W tradycji jego potomków zachowała się wersja, jakoby w czasie dalszej kampanii włoskiej dał się Włochom wziąć do niewoli i po wymianie jeńców - został karnie usunięty z armii. Wydaje mi się, że należałoby

to raczej „między bajki włożyć”.

W tymże 1854 r. brat jego Władysław, którego metryki nigdy nie miałem - wyróżniony został jako oficer austriacki wyższym awansem. Gen. Wilhelm Hammerstein ~~Equord~~, ten sam który rewolucyj-
nemu Lwowowi urządził krwawe Zaduszki bombardując miasto w 1848 r. -
mianował Władysława aktem wydanym w zamku Albrechtsberg 15 czerw-
ca 1860 r. rotmistrzem 1 klasy w pułku ułanów ks. Schwarzenberga
Nr 2. Kiedy zmarł i czy zostawił rodzinę - nie wiem. Mam natomiast
~~xxxx~~ ^{Michała,} portret olejny wykonany przez Tomasza Tyrowicza. Michał pojął
za małżonkę Rozalię Topolnicką. Tu dorzucić wypada, że i rodzina
Topolnickich pochodziła z Wołynia. W domu Rozalii trwała długo
pamięć o patriotycznej działalności „panien Topolnickich” w la-
tach „rewolucji moralnej”/1861-1862/ i powstania styczniowego.^{2/}
Synem Rozalii i Michała był Jan Michał, który wszedłszy po ojcu
na szlak austriackiej kariery biurokratycznej - dopiął stanowiska
starosty najpierw ~~na~~ w Buczaczu, potem w Jaworowie, wreszcie w Miel-
cu /odróżniał się tym od innych Tyrowiczów, że z Czeską z Kocow-
skich - prócz jedynego syna Stanisława - miał aż pięć córek: Jadwigę,
Marię, Janinę, Zofię i Stefanę - o ich losach przyjdzie mi mówić
jeszcze dalej/.

Niewątpliwie najciekawsza postać z potomstwa Jana i Elżbie-
ty Piłaszewskiej - był Tomasz, który wszedł do historii naszego
malarstwa. Z jego portretu ołówkowego wykonanego przez Szczęsnego
Morawskiego, również malarza i kronikarza Sądecczyzny - wygląda
ku nam typowa twarz Tyrowicza ~~xxxxxxxxxx~~ w charakterystycznej czap-
ce rosyjskiej, ^{pociągła,} ~~o~~ oczach rozognionych. Urodzony niewątpliwie na

2. Potwierdziła tę pamięć Maria Bruchnalska w książce
"Ciche bohaterki" poświęconej roli Polek w przygotowaniach i
działaniach powstania 1863/4 r.

na Wileńszczyźnie zdobył sobie, jak i inni z jego najbliższych „metrykę” galicyjską. Według niej urodził się w Szumlanach, w dobrach Potockich w Brzeżańszczyźnie - w 1810 r. Kłopoty z jego „przyszywaną” metryką, spowodowały różne omyłki z datą urodzenia.^{3/} Także obecne władze radzieckie w Tarnopolu i Archiwum Akt Zaburzańskich w Warszawie na usilne zabiegi metrykalne ze strony Heleny Kity/ jedynej monografistki twórczości Tomasza/ - odpowiedziały negatywnie. Podobnie zatem - jak z Michałem - metryka ta prawdopodobnie nigdy nie została spisana. Natomiast przypominam, że Tomasz odbywał studia malarskie w Akademii Wileńskiej, kiedy jego ojciec nauczał już dzieci albo w Międzyborzu albo już na Wołyniu. Według tradycji rodzinnej rozpoczął^{je} w klasie prof. J. Rustema, który cieszył się poparciem kuratora wileńskiego, ks. Adama Czartoryskiego; ta sama zatem tradycja łączy początki studiów Tomasza z mecenasem Czartoryskich. Istotnie w czasie studiów Tomasza kontynuowanych po ucieczce z Kongresówki we Wiedniu - cieszył się on opieką brata Adama, ks. Konstantego Czartoryskiego. Ucieczka spod caratu spowodowana była niewątpliwym faktem udziału Tomasza w powstaniu litewskim 1831 r. We Lwowie zapisał się na Wydział Filozoficzny tutejszego Uniwersytetu, zapewne aby uniknąć zaciągu do armii austriackiej, co spotkało jego brata Michała. Z pewnością trudno mu szło słuchanie niemieckich wykładowców a ciągnęło raczej do palety. W prywatnej Szkole rysunku i malarstwa znanego w tutejszych kręgach Jana Maszkowskiego - szukać miał już w 1832 r. dalszego ciągu przerwanej w Wilnie nauki. Z miejsca talent ujawnił

3. Wg artykułu Z. B a t o w s k i e g o w „Allgemeines Lexikon der bildenden Künstler” Thieme i Beckera, XXXIII /1939/ urodził się T.T. w 1812 r. - K. B a r t o s z e w i c z przedrukowując fragment pamiętnika Szczęsnego Morawskiego w felietonie Malarze i rytownicy lwowscy w 1849 r. /"Tygodnik Ilustr." 1913, nr 47/ podaje r. 1813, co też przed nim uczynił A. H a j d e c k i wzmiance w „Przeglądzie Powsz.” 1914, nr 367 ogłaszając esej z galerii zapomnianych malarzy polskich i poświęcając go rehabilitacji T.T. jako malarza.

nił nieprzeciętny. Przy poparciu finansowym Potockich już w r. ak. 1833/34 wpisał się na malarstwo w wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Najpierw kierowali jego studiami Leopold Kupelwieser i Karol Gsellhofer, pierwszy z nich w zakresie kompozycji religijnej, drugi historycznej. W katalogach Akademii przez pięć lat oceny bardzo dobre powtarzały się na przemian z dobrymi. Już w 1835 r. dyrektor Akademii Antoni Göttering wystawił mu nader chlubne świadectwo; mówi w nim o „Vorzügliche Fähigkeit” i „besonders fleisige Verwendung ... in der Historicum-Zeichnung.” Ale ze strony władz policyjnych padł na niego cień podejrzeń o udział w knowaniach antyrządowych młodzieży, wykrytych w 1836 r. w t.zw. Konwikcie Miejskim. Kiedy więc wniósł prośbę o paszport, by studiować malarstwo w Dreźnie - rozwinęła się wyczerpująca korespondencja urzędowa między Wiedniem, Lwowem i Brzeżanami. Wreszcie udzielono mu paszportu, ale dyr. Oberste Polizei-Stelle, znienawidzony hr. J. Sedlitz^{by} inspirował kanclerza ks. Metternicha, by „poleciał posłowi austriackiemu w Dreźnie śledzić za T. Tyrowiczem i zabronić mu przystawania z ludźmi złej opinii...”, ponieważ „Drezno jest miejscem koncentracji emigrantów polskich”. O faktach tych mówi ^{znane mi} akta Lwowskiego Archiwum Państwowego.

We Wiedniu twórczość Tomasza kształtowała się na wzorach stylu biedermajerowskiego w zakresie portretu a t.zw. szkoły nazareńskiej w tematyce religijnej. W Dreźnie, w którym spędził rok akad. 1838/39 - wydoskonalik się w portrecie. Stąd pogłębił się jego psychologizm w oddaniu charakteru modelu, przy silnym równocześnie przywiązaniu do naturalizmu. Myślę, że to, co napisała o dziełach Tomasza p. Helena Kita, ^{kompetentna} jego monografistka - zwalnia mnie od ich estetycznej analizy i omawiania gatunków jego płócien. Po powrocie z Drezna

nastąpił jego pierwszy wypad do Włoch i pobyt w Rzymie. W 1843 r. zakończył Tomasz swe dziesięcioletnie wędrówki malarskie poza krajem, otrzymał absolutorium i wrócił do Brzeżan.

Powrót do Galicji nie rokował mu wielkiego powodzenia. Po rozbudzonym artystycznie życiu biedermajerowskiego Wiednia - zapotrzebowanie na dzieła malarskie w kraju, który Niemcy określali "Bärenland", mogło występować w nielicznych dworach szlacheckich, i jeszcze skromniejsze w niektórych domach mieszczańskich. Wielkie ziemiaństwo szukało rzadziej drogich oryginałów, częściej ^{zaś} kopii głośnych mistrzów włoskich i holenderskich, mieszczaństwo portretów rodzinnych. Na zakupy muzealne artyści liczyć nie mogli, bo muzeów publicznych w dzisiejszym znaczeniu Lwów nie posiadał a do galerii prywatnych, jak Józefa Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce czy Czartoryskich w Sieniawie, zakupywano przeważnie płótna zagranicą. Brzeżany, w których osiadł ~~zbiorniki~~ Tomasz - były odsunięte od żywszych ośrodków kulturalnych; klientami mogły tu być tylko rodziny zamożniejszych mieszczan. Do takich należały domy Mozerów i Merlów, w których zamówiono u chorego na płuca Tomasza kilka portretów. Poza tym gościnnie podejmowali go Fryderykowie Hausnerowie w Łahodowie, gdzie jedną z córek nauczał rysunku a portretował wszystkie trzy siostry Hausner na zbiorowym portrecie; portret ten określili znawcy jako dzieło wyraźnej inspiracji malarstwa wiedeńskiego i niemieckiego z zastosowaniem krajobrazu w stylu nazareńczyków. 4/

Fryderyk Hausner z rodziny zamożnych kupców lwowskich i brodzkich podał pomocną dłoń Tomaszowi jeszcze w czasie studiów a i po nich wspierał go swymi stosunkami. Być może dzięki niemu otrzymał Tomasz

4. A. R y s z k i e w i c z. Polski portret zbiorowy. Warszawa 1961;
H. K i t a. Tomasz Tyrowicz. „Biuletyn Historii Sztuki” 1964,
nr 1.

zamówienia na obrazy kościelne: antypodium w farze brzeżańskiej /Matka Boska Skaplerzna/, scenę religijną ^{u/} tamtejszych Bernadynów, Świętą Trójcę w ołtarzu głównym kościoła w Pomorzanach i szereg kopii z Veronesa, Sassoferrato i Tycjana, które niewątpliwie interesowały zamożniejszy czy kulturalniejszy kler. Wykonał też Tyrowicz w tych latach kilka portretów nie tylko rodziny własnej: ojca matki, żony, brata Michała /dziś w posiadaniu moim i Muzeum Narodowego w Krakowie/, ale i osób innych, jak młodego Hausnera / o imieniu nieznanym/, Jakuba Kopyczyńskiego z Bestwiny, piękny portret mojej stryjanki Anieli Goldowej / który niestety w 1944 musiałem pozostawić we Lwowie opuszczając miasto na przymusową ewakuację/, Ludwikowej Wolskiej z córeczką; kopię tego ostatniego wykonaną przez Lele Pawlikowską pokazywał mi znany pisarz i właściciel Medyki Michał Pawlikowski w czasie wizyty u niego w 1936 r. ^{5/} Wszystkie dzieła oraz inne, których nie widziałem nigdy - skatalogowała i opisała p. Helena Kita we wspomnianym obszernym artykule. Dlatego nie wymieniam ich tutaj; na szczęście udało mi się w 1949 r. zakupić trzy portrety rodzinne : matki artysty, brata Michała i teścia jego córki Heleny, Izydora Buynowskiego /o typowej twarzy ormiańskiej/. ^{6/}

5. Oryginał kopii medycznej był wówczas własnością Zofii Zawiszy Kernowej z Gószyc k. Kocmyrzowa. Michał Pawlikowski, znający oryginał, twierdził, że kopia ta jakby "podrobiony banknot". W Medyce widziałem też ~~Martwą~~ nature, olej Tomasza Tyrowicza.
6. Obrazy te przeszły katastrofalny dla nich los wojenny. Będąc w posiadaniu mego stryjecznego brata Izzydora ~~Buynowskiego~~ /juniora/ w czasie jego wędrówki wojennej - były zdjęte z blejtramów a po jego śmierci złożone jak serwety przez jego żonę Marię zamieszkałą w Kutnie i ukryte w kufszce. Odkupiłem je silnie uszkodzone i oddałem do rekonstrukcji art. mal. Henrykowi Starzyńskiemu, który odnowił je nader umiejętnie. Wdowa po wyżej wspomnianym ~~Buynowskim~~ - mówiła mi o chęci nabycia tych płócien - nawet tak uszkodzonych - przez jednego z Kunsthandlerów niemieckich, którzy ~~xxxtxx~~ wywozili je z Polski, okupowanej przez Hitlera, wszystko co cenniejsze z dzieł sztuki.

W 1847 r. zorganizowano we Lwowie Wystawę obrazów malarzy krajowych, która dała możność szerszego poznania twórczości Tomasz Tyrowicza; wystawił na niej 11 obrazów, w tym aż 9 kopii. Jego kolega z czasów wiedeńskich Szczęsny Morawski napisał o tych kopiach, że w porównaniu z nimi „wszystkie prawie inne obrazy są ~~złe~~ wyglądają ...” a „kopia Chrystusa według Tycjana, znana pod nazwą Christo della moneta swoich czasów uwagę dworu ~~dreźnieńskiego~~ mocno zwróciła”.^{7/} Morawski miał tu na myśli wizytę dworu saskiego na publicznych ekspozycjach prac studentów Akademii w Dreźnie. Jednym z oryginalnych płócien Tyrowicza na wystawie lwowskiej był Judasz z Iskariotu zwracający Kajfaszowi 30 srebrników, chyba najznakomitsze dzieło mego dziadka. Napisał o nim Aleksander Hajdecki, zamiłowany kolekcjoner poloników we Wiedniu, że dzięki niemu malarz nasz „godnym był zostać polskim Tycjanem”. Ta niewątpliwie przesadzona nieco opinia miała swe źródło w wspomnieniach o malarzach galicyjskich Morawskiego, który w kompozycji Judasza i Kajfasza przerażonych widokiem Chrystusa prowadzonego na Golgotę widział „pojęcie wielkie charakterów ... i ... malowanie prawie weneckie ... Serce rośnie patrzeć na ten obraz, bo w nim wielka myśl potężnie pojęta” /dodaje od siebie, że obraz oddawał postacie w naturalnej wielkości/.^{8/}

7. Szcz. M o r a w s k i. Uwagi nad wystawą obrazów malarzy krajowych we Lwowie. „Biblioteka Naukowego Zakładu im. Ossolińskich” 1847, t. II, zesz. 2. s. 219, 220.

8. A. H a j d e c k i. Z galerii zapomnianych malarzy, j.w. Szcz. M o r a w s k i w fragmencie swych wspomnień, przedrukowanych po raz pierwszy przez K. B a r t o s z e w i c z a j.w.

Rozpisałem się nieco szerzej o samych obrazach, zaniehbując szczegóły biograficzne. Wtrącę tu jeszcze, że jako dziecko z bratem moim Ludwikiem nieraz za zezwoleniem ojca oglądaliśmy w naszym domu wiedeńskie czy drezdeńskie rysunki ołówkowe dziadka, m.i. piękną, niezwykle realistycznie i z głębią psychologiczną wykonaną ^{głową} starca oraz kilka rysunków anatomicznych. Być może brat mój, później artysta-grafik, czerpał z tych prac przodka zamiłowanie do rysunku; niestety te materiały wypożyczone któremuś z lwowskich historyków sztuki jeszcze przed 1914 r. nigdy do nas nie wróciły. Zachowały się w moim posiadaniu dwa rysunki z odlewów gipsowych.

Tomasz Tyrowicz, jak powiedziałem, osiadł w Brzeżanach, ale siedzibą jego stał się wkrótce skromny dom na folwarku podmiejskim w Adamówce. Tu przyszła na świat jego córka Helena; podobno miał więcej dzieci, lecz ani ich imion ani losów życiowych nie znam. W ciężkim i własną chorobą podciętym życiu - znalazł artysta pomoc niektórych swych klientów. Zapewne interesował się nim nadal Fryderyk Hausner. Faktem jest, że dzięki pomocy Konstantego Czartoryskiego z Wiednia, który mecenasował młodym talentom /znane były w jego domu wieczory artystyczne/ sfinansował wyjazd Tyrowicza do Włoch w 1847 r. Być może była to podróż dla poratowania zdrowia; może zapośredniczyli w tym wyjeździe Potoccy mający rozległe dobra w Brzeżańskim. Wiadomo, że dziadek mój przebywał wtedy we Florencji, Rzymie i in. miastach i zapewne sporo kopii mistrzów włoskich przewiózł z tej perygrynacji. Wyjechał tam ponownie za dwa lata; dowodzi tego jego autoportret na tle krajobrazu włoskiego datowany "Florencja 1849." Ale to i wszystko, co na jego karcie biograficznej zapisać mogę, poza roczną datą śmierci : zmarł w Adamówce, ^wukończony gruźlicą w 1870 r. Na grobie jego nigdy nie byłem, aczkolwiek jako chłopiec mniej więcej 10-letni odwiedziłem z rodzicami

i braćmi dworek w Olchowie /koło Brzeżan/, dzierżawiony przez Izydora Buynowskiego /seniora/, męża córki Tomasza, Heleny.

W rodzinie naszej pamięć o tym nie tuzinkowym człowieku kształtowała się raczej blado; nie ozdobiły naszego domu jego dzieła z wyjątkiem portretu Anieli Goldowej i Kopii św. Jana Chrzciciela w sypialni rodziców; wspomniane rysunki akademickie były pieczołowicie ukryte przez ojca. Wiem, że były jakieś niesnaski rodzinne między ojcem a Buynowskimi, ale ich tła nie rozumiałem. Życie i twórczość Tomasza zainteresowała mnie dogłębnie dopiero w okresie drugiej wojny światowej i po niej. Znając opinie o jego obrazach Szczęsnego Morawskiego, B. Zamorskiego^{9/} Stanisława Wasylewskiego i in. autorów, nie mówiąc już o ocenie studiów, wydanej przez dyrekcję Akademii Sztuk Pięknych we Wiedniu - wyrazić muszę wielkie zdziwienie, że wspomniana wyżej monografistka jego twórczości, która zadała sobie trud dotarcia do całej dostępnej twórczości i do dokumentacji biograficznej - zakończyła swą pracę konkluzją co najmniej nieprzemysłaną a w każdym razie niesprawiedliwą i nieobiektywną: "Prace jego zaliczyć należy do przeciętnych, ich poziom artystyczny jest naogół dość niski i nierówny".

Chciałbym się nie mylić, ale wydaje mi się, że źródło tej konkluzji tkwiło w tym, że prosiłem autorkę kilkakrotnie, by przed odesłaniem pracy do druku udzieliła mi jej do wglądu. Wyglądała na urażoną i mimo dostarczenia jej wszelkich posiadanych przeze mnie materiałów - rękopisu swego mi nie udzieliła a za śmiałość mej propozycji - zrewanżowała się^{chyba} końcową konkluzją.

Na tym zamykam dzieje gałęzi „brzeżańskiej”.

9. B. Zamorski. Kronika pomorzańska. Lwów 1867, s. 179.

Ojciec mój miał jak wspomniałem siostrę Anielę, która wyszła za Goldę, o ile pamiętam z opowiadania, kupca kwowskiego. Jak daleko sięga moja pamięć - Goldowie nigdy nie byli gośćmi w naszym domu. Natomiast ich córka Klementyna, wydana za Nowosielskiego, często nas odwiedzała i nieraz opowiadała o swym bracie Teodorze Goldzie, który wyjechał do Ameryki i zmarł w Nowym Jorku. I z rodziną Nowosielskich stosunki towarzyskie - w okresie mego dzieciństwa - popsuły się poważnie; wiem, że tu przyczyną były sprawy finansowe, ów najgroźniejszy wróg miłości rodzinnej. Dopiero ciężkie przejścia wszystkich ^{Polaków} w czasie pierwszej wojny światowej i oblężenia Lwowa w 1918/19 r. przyczyniły się do nawiązania zerwanych stosunków.

Lata dzieciństwa i nauki

Wejrzenie w swe najdawniejsze dzieciństwo - sprawa w pamiętnikach wydawałoby się tradycją uświęconą - nie wydaje się w moim wypadku - ani ważne ani zbyt ciekawe. Atoli czytelnicy wspomnień chcieliby zapewne wejść w najwcześniejsze środowisko pamiętnikarza, w etapy kształtowania się jego świadomości, w jego radości i smutki, nauki i zabawy, zainteresowania i skłonności - słowem w całokształt rozwoju psychicznego i krajobrazu lat dzieciństwa.

Piszę te wspomnienia w bardzo zaawansowanym okresie życia, co więcej - jako historyk, który z uwagi na specjalność swej pracy miał w życiu za zadanie odtwarzać żywoty i tło historyczne ~~xxxxxxx~~ ^{wielu} postaci. Sięgając przeto w przeszłość własnych "lat szczenięcych" i pierwszych faz rozwoju umysłowego nie mogę uwolnić się od nakazu krytycyzmu i rozsądnego rozważenia, co warto utrwalać jako niewątpliwe bodźce i fazy rozwojowe swej osobowości. Wydaje się, że konkretyzowanie się własnej osobowości związać by należało dopiero z wejściem w mury gimnazjum. A jednak i predyspozycje rozwojowe dziecka i dzieje rodziny, do której przyszło mu należeć - niewątpliwie formują jego psychikę wcześniej od 11 - 12 r.ż. - t.j. wejścia w ławy gimnazjalne. Tak było i ze mną.

Z najdalej wstecz sięgających wspomnień ~~xxx~~ dzieciństwa - odżywiają w mej pamięci obrazy, budzące ^{wtedy} jakiś lęk i ^{uczucie} niedoli: ~~xxxx~~ ^{feeria} ogni sztucznych strzelających w górę - nie wiem dziś, - z jakiego powodu - w podwórzu czynszowej kamienicy przy ul. Pekarskiej, następnie ^{przeżycie} choroby szkarlatyny w 5 czy 6-tym r.ż. Dziwne, to ^{było} wtargnięcie w budzącą się świadomość dziecka dwu przeciwstawnych

zjawisk : błyskotliwego ognia i smutnej niemocy. A jednak zapadły one bezspornie w świat najdalszych wspomnień. Pamiętam : stałem na ganku drugiego piętra, trzymając się rękoma żelaznych prętów prostej i zimnej balustrady, milcząco śledziłem strzelające w górę rakiety i spadające gwiazdki bez ładu i składu. Nie rozumiałem sensu tej świetlnej feerii, drżałem od strachu, ale nie chciałem odejść. Wreszcie zrobiło się ciemno / było to jakos latem / i jakby chłodno ; matka wciągnęła mnie do mieszkania. Także choroba utkwiała w świadomość jakąś tępą, nieskonkretyzowaną, jakby ^Wśnie zamgloną historią. Pamiętam pokój od podwórza, szerokim oknem wyglądający na ganek; w pokoju dwa łóżka, w jednym ja, w drugim brat. Zapadliśmy obaj na szkarlatynę, nie pomnę, jak długo to trwało. Wiem, że po minięciu tej biedy, kiedy jeszcze leżeliśmy w łóżkach - ojciec przyniósł frapujące zabawki : czarnego kominiarza z filcu z drabinką z drutu, jakiegoś misia i chyba coś jeszcze.

Jedno ~~tu~~ stwierdzenie uważam tu za nieodzowne dla zrozumienia tych dzieciennych przeżyć. Wszystkie one aż do końca lat gimnazjalnych włącznie były nierozzerwalnie sprzęgnięte z życiem mego brata - bliźniaka, Ludwika. Wszystko zatem, co przyjdzie mi tu opisywać, było częścią i jego i mego życia. Kochaliśmy się od ~~z~~arania niedoskonałego jeszcze rozumienia więzi braterskiej; było to coś tak nierozzerwalnego, że stanowiło jakby związek o podłożu somatycznego altruizmu : żaden z nas nie mógł wyświadczyć przykrości drugiemu, bo cierpiałby przykrość czy ból sam. Była to spójnia duchowa i życiowa, która mniej pomysłowych obserwatorów skłaniała do nazywania nas "braćmi siamskimi", inne życzliwsze nam osoby do traktowania nas jako dwójki nierozdziel-

nej i trudnej do odróżnienia. Te same ubranka, później mundurki szkolne, jedna ławka dla obu w szkole, te same zajęcia /łącznie ze służeniem do mszy/, wspólny zawsze udział w wycieczkach i zabawach szkolnych, słowem wszystko to samo dla obu. Fizyczne podobieństwo stwarzało nieraz trudności dla nauczycieli, ba nie tylko dla nich. Ojciec stale zaaferowany swą pracą ochrzcił nas zdrob- nieniami: Nusiek /od Mariana / i Dusiek /od Ludwika/ i nie zada- wał sobie trudu rozpoznawania, z którym ma do czynienia. Jeśli dawał nam zlecenia jakiegokolwiek - odnosiły się one na równi do obu. Matka chyba rozpoznawała nas lepiej, ale stosunek nasz uczuciowy do niej był chyba identyczny. Wydaje mi się wprawdzie że pewne jej smutki na tle współżycia z ojcem odczuwałem głę- biej; być może mylę się.

Od czego zacząć opowieść o dzieciństwie? Autentyczność dwu wymienionych wyżej przeżyć określa jakby próg rodzącej się świa- domości. Na dalsze jej kształtowanie się wpływały już impulsy z otoczenia - Najczęściej widzi się je w rodzicach. W jakim stop- niu tak właśnie było w moim dzieciństwie - trudno mi powiedzieć. Zapewne warunki materialne : żywienie, odzież, mieszkanie, w sferze duchowej; religijność może czasem pozorna, czego dziecko osądzić nie może, życie rodzinne, z wrażeń słuchu; głos matki, raczej miękki i cichy, ojca - bardziej stanowczy, czasem poirytowany, szybkie i jakby nieważne opowiadania przy stole w jadalni braci, czasem ich krótkie pomruki czy śmiechy - oto zespół wizualnych i słuchowych wrażeń w najbliższym nam kręgu. Sióstr czy innych młodych istot rodzaju żeńskiego w domu naszym nie było; nie było więc gwaru, chichotów i szeptów postronnych. Nie było też wówczas i muzyki mechanicznej, która dzisiaj - potrzebna czy niepotrzebna

- rozlega się nawet nad kołyską, nie mówiąc już o całej przestrzeni mieszkalnej. W uszy nasze uderzała inna melodia : najpierw gwar od podwórza i ulicy, po której w posępnej powadze przesuwały się raz po raz pogrzeby, niejednokrotnie przy dźwiękach szopenowskiego marsza żałobnego a w kilka lat później, gdy rodzice zajęli dom przy pracowni kamieniarskiej - stukot młotków, szum pracujących maszyn, przerywany metalicznym dźwiękiem cmentarnych dzwonów. Ten świat dźwięków wydawałby się mógł - czymś bezlitośnie smutnym. Urodzeni w nim przywykliśmy doń od zarania; powiedziałbym, że zespalał się on harmonijnie z surową dyscypliną, w której mijają życie rodzinne.

Od zaczątków mej pamięci - widzę w nim ojca zatroskanego i zaaferowanego czyto w czasie obiadu czy po kolacji; ~~do~~ do kolacji z przerwą na obiad - pracował bez przerwy w swej kancelarii, w warsztacie, albo biegał po budowach. Dla domu nie miał wiele czasu, tylko w niedzielę wychodził do ogrodu, gdzie - nie wiem za czyją sprawą - kwitły krzewy róż, naprawdę tak pięknych w swej kolorystyce : od białych i kremowych po ciemnobordowe, wiosną bzy okrywały ~~się~~ ^{się} ciężkimi kiściami ~~jasnymi~~ ^{białymi} i fioletowymi a jabłonie kwieciem puszystym; na całe życie pozostał mi ich obraz. Owszem czasem w dzień powszedni wpadał ojciec między kłomby: widziałem jak ścina naręcze róż lub innych kwiatów i wręcza je z uśmiechem tej lub innej młodej kobiecie. Z czasem dowiedziałem się, że były to sekretarki czy pracownice firm budowlanych i architektonicznych, z którymi łączyły ojca stosunki handlowe. Był to też widok miły.

Inną treść współżycia z ojcem w tym naszym najwcześniejszym rozwoju - niosły z sobą niedzielne przedpołudnia. Wychodziliśmy

gremialnie do kościoła OO zmartwychwstańców, najbliższym od osiedlenia się rodziców przy ul. Piekarskiej. Słuchaliśmy tu mszy św., zanim zaczęliśmy uczęszczać na egzorty i nabożeństwa ze szkołą. Rodzice wchodzili do ławek, my obaj w towarzystwie braci staliśmy pod chórem w nawie głównej. Po mszy następowało zjawisko, z którego regularności czy prawidłowości jako malcy - nie zdawaliśmy sobie sprawy : matka wracała do domu, bracia znikali a ojciec nieodmiennie ze swymi Nuśkiem i Duśkiem maszerował długą ulicą Piekarską, następnie przez Plac Bernadyński i Halicki na Wały Hetmańskie. Niedaleko Hotelu "Wiktoria" i pomnika Jana III Sobieskiego znajdowała się cukiernia /pamiętam właściciela / Bienieckiego; nigdy nie była przepełniona. Przy marmurowym stoliku jedliśmy lody śmietankowe i owocowe, żadne dzisiejsze Cassaty, ... jakże smaczne i pyszne w kolorze, zawsze podawane z cienkimi rarkami, które chrupały w ustach ; w najwykwintniejszej dzisiejszej cukierni nic podobnego nie znajdziesz!...

Popołudnie niedzielne łączyło nas z matką, wychodziliśmy z nią ^{tylko} na ~~sp~~ spacer, ~~ale~~ latem, często w towarzystwie jakichś pań, jej znajomych. Nie wiedzieliśmy, o czym mówią, ale były to pogadanki żywe i długie. Stosunki towarzyskie naszych rodziców sprowadzały się w tym okresie do jednej właściwie rodziny, bardzo licznej, jeśli chodzi o potomstwo: pięć córek i dwóch synów. Była to rodzina krawca Romana Pilawskiego, ^{przewadza} ~~prowadzącego~~ swą pracownię w centrum miasta, ale nie cieszącą się z bytnim powodzeniem. Rodzina mieszkała w Rynku Głównym naprzeciw Ratusza. W czasie uroczystości kościelnych, celebrowanych na ulicach, jak Boże Ciało lub unickie święto Jordanu - z okien II p. mieliśmy rozległy widok. Ale tkwiła jakaś tajemnica w stosunkach z tym domem, matka nie była im chętna,

ojciec je raczej preferował.

Poddaliśmy się własnym zainteresowaniom i skłonnościom, którym ojciec się nie przeciwstawił a matka nie przeszkadzała, choć je bliżej od niego obserwowała. Bawiliśmy się we dwójkę w szkołę : na przemian raz jeden, po nim drugi był nauczycielem i uczniem. Nauczyciela od ucznia dzieliło liczydło, program wypełniał głównie język polski i historia. Pisało się zadania, stawiało się noty. Zawsze dużą atrakcją były dla nas pisma, szczególnie ilustrowane i szczególnie stare, których już nikt nie czytał. Pamiętam tytuły: "Mowości Ilustrowane" / wydawane w Krakowie/, z niemieckich "Wiener Illustrierte Zeitung", których każdy numer jako premia dla prenumeratorów przynosił reprodukcję kolorową dzieł malarskich. ^{pechłaniały nas} Nietyle czytanie, co wycinanie różnych ilustracji i łączenie je w pewne grupy tematyczne i wklejanie do "albumów" zszywanych z kart gazet codziennych. To była głównie moja "specjalność". Ludwik chyba od 6-7 r.ż. wyżywał się w wypełnianiu małych albumików, też sporządzanych własnym przemysłem - rysunkami najrozmaitszej treści : portretami, widokami, scenami, ba nawet aktami, pod którymi umieszczał zawsze nazwisko któregoś z żyjących malarzy polskich. Był więc ^{tam}vi Kossak i Wodzinowski i Mehoffer i Okoń i dziesiątki innych. Oczywiście rysunek te wykonywane przeważnie różnokolorowymi i tłustymi kredkami - były czymś bardzo nieudolnym, nieraz rozśmieszającym swą karykaturalnością. Oglądali je rzadcy goście w naszym domu, m.i. młodzi adepci sztuki, koledzy braci; kiwali głowami, nigdy nie ganiąc ani wyśmiewając; widocznie dopatrywali się w tych pierwocinach załączków późniejszego talentu.

Kierunek naszych zainteresowań był zupełnie niewątpliwy już między 6 - 10 r.ż. Sztukę czytania posiadliśmy bardzo szybko i w lekturze znajdujemy przyjemność. W ślad zatem zrodziła się żądza do zbierania popularnych broszurek treści historycznej czy beletrystycznej, dostępnej naszemu poziomowi. Za pieniądze otrzymane od ojca - kupowaliśmy jedną broszurkę po drugiej ; mieliśmy komplet opowiadań historycznych Kazimierza Królińskiego, wydawanych przez Księgarnię R.Jasielskiego w Stanisławowie oraz inną serię opowieści fantastycznych i przygodowych, m.i. nowele A.F. Hoffmana. Droższe książki dla młodzieży kupował nam bardzo chętnie ojciec. W domowej bibliotece beletrystycznej w kilkuset tomach ułożonych w pięknej biedermajerowskiej szafie - zrobiliśmy porządek na swój sposób, ba - już jako studenci gimnazjum - sporządziliśmy nawet katalog.

Takie to były nasze zabawy w owe lata, kiedy trzeba było wreszcie wkroczyć do szkoły powszechnej.

Z przydziału dzielnicowego przypadła nam Szkoła Powszechna pod wezwaniem św. Antoniego przy ul. Samuela Głowińskiego, bocznej od długiej ul. Pijarskiej. Trzeba było dojść do niej przez opisaną wyżej Baworówkę i iść przynajmniej 20 - 25 minut najpierw wzdłuż koszar piechoty austriackiej, następnie klinik i Szpitala Powszechnego. Nikt nas nie odprowadzał; nawet nie było na tym szlaku linii tramwaju. A jednak opuszczenie bodaj jednego dnia nauki należało do największej rzadkości; dzisiejszych przerw w roku szkolnym wówczas nie znano. Kilkudniowe ferie związane były tylko z Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. Od września 1908 r. uczęszczaliśmy regularnie na te lekcje przez cztery lata. Prowadził Szkołę dyrektor Ludwik Pierzchała, gospodarzem naszej klasy był przez cały okres

nauki Wiktor Sielański utykający na jedną nogę, ale utrzymujący ład i ciszę w wzorowym stopniu. O ile pamiętam - nie używał nigdy trzciny, stale obecnej na katedrze. Natomiast często i jakby ze satysfakcją posługiwał się nią katecheta, ks. M. Sokołowski, człowiek wysoki i rosły, o dość surowym wejrzeniu. Na szczęście nie zapoznaliśmy się z tą staroświecką dyscypliną ani ja ani mój brat.

Warto tu dodać, że w ówczesnej szkole powszechnej w Galicji istniała prócz dyrektora i wychowawcy /gospodarza klasy/ także instytucja "nauczyciela kierującego" ; przez cztery lata czuwał nad naszą klasą Romuald Kwiatkowski. Obeznani z alfabetem i sztuką pisania już w domu - nie mieliśmy z nauką prawie żadnych trudności, choć nikt nam w rodzinie nie pomagał. Oprócz poprawnego używania języka polskiego, przy którym czytanki zawierały najważniejsze wiadomości z historii i geografii, nabyliśmy początków języków niemieckiego i ukraińskiego oraz rachunków i geometrii. Nie zawsze udawały się nam ćwiczenia gimnastyczne, ale ich nauczyciel Chomicki, zapalony działacz Sokoła-Macierzy umiał być pobłażliwy.

Jedynym urozmaiceniem tych lat w "powszechniaku" było uczestniczenie - o ile pamiętam - od 3 klasy w obchodach narodowych, głównie w rocznice Konstytucji Majowej, na które zezwalała administracja austriacka; innych nie pamiętam. Młodzież szkołami wyprowadzano przez długą ul. Łyczakowską na ~~polisko~~ ^{stadion} Sokoła - Macierzy u stóp Parku Bartosza Głowackiego. Tu na pięknym boisku o amfiteatralnym kształcie wbudowanym w naturalną nieckę wzgórza odbywało się uroczyste nabożeństwo z kazaniem, które nieraz wygłaszał ks. Władysław Bandurski, znany biskup patriota.

Uwagę moją zwracała większa grupa ludzi, stojąca poza terenem uroczystości na wzgórzach Parku Głowackiego, stanowiących jakby przedłużenie ^{niecki} boiska. Grupa milcząco uczestniczyła ze swym wysoko wzniesionym czerwonym sztandarem ^{jakby} w samej mszy a w uroczystości patriotycznej. Jak się później dowiedziałem byli to socjaliści lwowscy; tej demonstracji - poza terenem nabożeństwa - jeszcze nie rozumiałem.

Wycieczek zbiorowych w szkole tych lat nie znano. Nauka była wyraźnie werbalna, w salach zamkniętych. Nie znano też komitetów rodzicielskich ani zabaw szkolnych. Jedyne poszerzenie krajobrazu Polski w tym czasie - dały nam pierwsze w życiu wakacje spędzone poza Lwowem; był to miesięczny wyjazd z matką i ciotką Leopoldyną Iżykiewicz, wówczas nauczycielką w Dubiecku do Rymanowa Zdroju, głośnego ze swych wód i kąpeli mineralnych. Było to chyba r. 1911, kiedy ojciec odwiózł nas z matką do uzdrowiska i wynajął tam dwa pokoje w drewnianej i dość prymitywnej willi p.n. Gwiazda. Spędzanie rodzinnych czasów poza domem - należało w owej epoce Galicji do luksusu i raczej w bogatszych domach mieszczańskich, wyjątkowo wyższej biurokracji galicyjskiej. Czasów darmowych, nawet leczniczych lub organizowanych społecznie anno Domini 1911 - nie znano. Z Rymanowa na furkach żydowskich robiło się wycieczkę do mniej od Rymanowa popularnego Iwonicza; ^{rzecz jasna} z własnym prowiantem i napojami, by uniknąć "nadmiernych" wydatków. Tą eskapadą poszerzyliśmy nasz wąski widnokrąg rodzinnego kraju.

Kiedy latem 1912 r. opuszczałem gmach Szkoły Powszechnej połączonej ze Szkołą Wydziałową pod wezwaniem św. Antoniego /taka tytułatura widniała na świadectwach szkolnych/ moja cenzura wypełniona była ocenami z góry na dół "dobry" a w "pisanii" i "rysunkach"

"bardzo dobry". Trzeba było przygotować się do nauk już na wyższym poziomie, ba musiało się zmienić ubiór na określone przepisy - mundurki i sztywne czapki z daszkiem. W tej naszej metaformacie zewnętrznej otoczył nas opieką, dokonując wyboru uczelni i koniecznych zapisów - nasz brat cioteczny Władysław Uminowicz, ówczesnie student filologii Uniwersytetu Lwowskiego. Ojciec miał czas tylko na zaprowadzenie Nuśka i Duśka do krawca - trzeba przyznać-pierwszorzędnego dla sprawienia granatowych mundurków. Brat Uminowicz obserwując od dłuższego czasu - nasze zabawy i zainteresowania wybrał dla nas gimnazjum klasyczne z nauką łaciny i greki. Stawaliśmy przed nową przygodą umysłu, przed nowymi doświadczeniami. Odżywa we mnie pamięć tych przeżyć ; spoglądam na nie oczyma już człowieka u schyłku życia.

x x

Zanim przystąpię do szczegółowych reminiscencji osobistych, przeżyć w granatowym mundurku - niechaj mi będzie wolno stwierdzić olbrzymią różnicę między życiem dzisiejszego, współczesnego gimnazjum a owym z anno olim, t.j. sprzed trzech ćwierci wieku. Nie chodzi tu o programy, które rzecz jasna zmieniają czasy i rządy; chodzi o świat nauczycieli, wychowawców. Pod tym względem były to doprawdy dziwne czasy ; a dziwność odczuwał przede wszystkim chłopak wkraczający w nowe rzędy ławek. Co drugi nauczyciel był wykładowcą na Uniwersytecie lub Politechnice, przeważnie z tytułem docenta czy adiunkta, miał w swym dorobku pisarskim kilka prac naukowych ; często byli to publicyści i współpracownicy poważnych dzienników, ^{czytani} przeważnie jako recenzenci teatralni, literaccy, muzyczni, niejednokrotnie redaktorzy czasopism o wysokim poziomie, ^{pożytni} pisarze. czasem ~~Literaccy~~ Oczywiście pierwszoklasiści nie orientowali się

ani w stanowiskach uniwersyteckich swych pedagogów ani w ich do-
 robku naukowym, ale ich nazwiska widniejące na łamach prasy, na afi-
 szach bądź w witrynach księgarskich zwracały już uwagę młodzieży.
 Z każdym rokiem studiów ~~wzrastała~~ wiedza wychowanków o wychowawcach,
 orientowano się, co i gdzie piszą, w których kawiarniach przesia-
 duje w ściśle określonych porach, potrosze przebąkiwano o dyskretnie
 ukrywanych między nimi antagonizmach, w wyższych klasach nieraz
 sięgano w tajniki osobistego życia; oczywiście czyniono to naj-
 chętniej w odniesieniu do preceptorów nie lubianych czy to z powodu
 ich ostrości czy osobistej niedostępności. Atoli plotki te należały
 raczej - jak daleko wstecz sięgam pamięcią - do wyjątkowych wypad-
 ków. Gmach VI Gimnazjum Państwowego przy ul. Łyczakowskiej, do któ-
 rego w 1912 r. wkraczałem z bratem, był jednym z najstarszych bu-
 dynków szkolnych we Lwowie, wzniesionym nie dla celów dydaktycznych.
 W 1851 r. galicyjski dygnitarz "arystokrat" Królestwa Galicji i Lodo-
 merii", Wincenty Zaręba Skrzyński wybudował ~~z~~ na gruntach drugiego
 arystokraty hr. Macieja Miączyńskiego Zakład dla ociemniałych
 chłopców. Kamieniczka ta, jednopiętrowa, w niczym nie przypominała^{w r.} 1912
 budynku szkolnego, jakim była choćby Szkoła Powszechna przy ul.
 Głowińskiego bądź którekolwiek gimnazjum wybudowane za czasów Rady
 Szkolnej Krajowej/a więc w t. zw. "erze autonomicznej" kraju/
 W 1901 r. Zakład dla ociemniałych przeniesiono do nowego obszer-
 niejszego gmachu w bezpośrednim sąsiedztwie i w rozległym ogrodzie,
 natomiast kamienica mojej przyszłej uczelni została oddana w uży-
 wanie filii rozwijającego się coraz bardziej V Państwowego Gimna-
 zjum. Za rok filię przechrzcili władze szkolne na gabinety, ^{na} sale
 dla nauczycieli i kancelarię dyrektorską. Dzisiaj w takim lokalu
 mogłaby zagościć najwyżej wiejska szkółka podstawowa.

Ale wkraczając w te mury - po szczęśliwym złożeniu egzaminu pisemnego z j. polskiego i rachunków - z dużym nabożeństwem myśleliśmy nie o historii budynku a czekającej nas nauce, przede wszystkim nieznaney nam łaciny a następnie greki. Gimnazjum typu klasycznego, jak większość wszystkich ówczesnych, miało przygotowywać do studiów uniwersyteckich, przeważnie humanistycznych, prawniczych czy teologicznych, które bez obu języków nie były do pomyślenia; kto zamierzał poświęcić się w przyszłości karierze technicznej, agronomicznej czy leśnej - wybierał szkołę średnią realną. Jednakże o wyborze szkoły decydowali prawie bez wyjątku rodzice, nie konsultując się z dziećmi; niejednokrotnie stawało się to źródłem zwichniętego życia, o ile ^{nie} już w czasie studiów gimnazjalnych przed ich nieukończeniem, to po maturze przez błąkanie się po różnych uczelniach wyższych, by po dwóch, trzech latach opuścić je i szukać chleba w niższej administracji państwowej, prywatnych przedsiębiorstwach lub majątkach ziemskich, w dziennikarstwie a nawet teatrze. Na szczęście w latach, które tu opisuję, młodzież była bardziej ^{pli} zdyscyplinowana niż dzisiaj i wszedłszy raz w sale gimnazjalne czy szkół realnych trwała w nich aż do egzaminu dojrzałości. Po ukończeniu ósmej klasy nie przekazywano uczniów szkołom wyższym z obfitymi - jak dziś - kwestionariuszami co do ich uzdolnień, „pracy społecznej” czy stosunków majątkowych rodziców.

Już w pierwszej klasie nasze grono nauczycielskie miało w swym składzie ludzi o nieprzeciętnym poziomie intelektualnym i pedagogicznym. Sala nasza znajdowała się na I piętrze, okna wychodziły na dość obszerny podwórzec szkolny, do którego dokupiono pod koniec roku szkolnego przylegający ogród, częściowo sad z bardzo starymi i karłowatymi nieowocującymi już drzewami.

W upalne dnię użyczały nam one w czasie przerw upragnionego cienia; chętnie gromadkami szukaliśmy tam schronienia do rozmów, starsi koledzy nawet do palenia tytoniu. Dyżury profesorskie rzadko sięgały w te rewiry..

Wychowawcą naszej klasy był luminarz nauki wprawdzie nie polskiej, ale wiedzy germanistycznej i pedagog w zakresie języka niemieckiego wytrawny - dr Józef Fritz. Patrzyliśmy na niego z niemałym strachem ; dystans między nim a klasą był znacznie większy niż ze strony innych pedagogów. Oczywiście nie wiedzieliśmy o nim i jego karierze naukowej zbyt wiele, ale słyszeliśmy, że pisze uczone rozprawy w czasopismach naukowych niemieckich, francuskich, nawet holenderskich. Dopiero później z drukowanych rocznych sprawozdań Dyrekcji dowiedziałem się, że już w czasie sprawowania wychowawstwa nad naszą klasą był członkiem Maatschappij der nederlandsche Taal, Letter, Geschied en Oudheidskunde w Lejdzie a jego rozprawy z filologii niemieckiej i różnych zagadnień pedagogicznych i dydaktycznych pomieszczają i pisma polskie. W II klasie nauczał nas nadal j. niemieckiego, ale zaszła wyraźna zmiana w prowadzeniu przez niego lekcji; stale krążąc między ławkami czytał jakieś grube książki. Z czasem dowiedzieliśmy się, że przygotowuje się do egzaminów medycznych. Wtedy kazał nam bądźto cicho pracować bądź śpiewać dla rekreacji niemieckie pieśni . Jedną z nich pamiętam do dziś:

Hinaus in die Ferne der frohe Turner zieht,

Dabei sing er gerne ein hubsches, frohes Lied...

Śpiewanie tej i innych pieśni wymagało spisywanie ich tekstów; Fritz żądał, aby to robić w ładnie ozdobionych zeszytikach. Skłonności malarsko-graficzne mego brata i moje zamiłowanie w amatorskiej, drobnej introligatorce - podyktowały nam sporządzenie dla kolegów szeregu takich "śpiewników", za co otrzymywaliśmy od nich

popularne i tanie broszurki treści historycznej i literackiej, w ten sposób powiększając naszą domową biblioteczkę. Skompletowaliśmy wówczas wszystkie broszurki treści historycznej Kazimierza Królińskiego i inne wydawnictwa Księgarni Jaskólskiego w Stanisławowie. Dr Fritz zdał egzamin medyczny dopiero po I wojnie światowej i porzucił nauczania dla praktyki lekarskiej i historii medycyny, z której opublikował szereg rozpraw niemieckich.

Początków łaciny udzielał nam Stefan Grabiński, wówczas jeszcze nie tak głośny, jak za lat kilka, twórca powieści fantastycznej, ale już nowelista, autor "W pomrokach wiary" i wielu opowiadań z dreszczykiem, pomieszczanych w prasie i czasopismach. Sam wygląd tego nauczyciela dla chleba a poety z urodzenia - odpowiadał jego duchowej treści. Średniego wzrostu, szczupły, o twarzy zadumanej, krótkiej blond bródce i rozwianych włosach - stał przeważnie na katedrze i rzadko schodził między ławki, przeciwnie niż Fritz. Grabiński uczył nas tylko rok i znikł z naszego pola widzenia; przeniósł się na krótko do Przemyśla, by wróciwszy do Lwowa - rozpocząć płodną działalność literacką w "beletrystyce grozy". Jego "Demon ruchu" i "Księga ognia", jak i trylogia dramatyczna "Zaduszki" dały początek osobliwej gałęzi w naszym piśmarstwie fantastycznym może jako wyraz modnego wówczas ekspresjonizmu czy wpływu podobnej literatury amerykańskiej, zwłaszcza Allana Poe. Dziś nazwalibyśmy go polskim Hitchcockiem, choć elementy psychologiczne chyba bardziej górowały w jego utworach, niż u amerykańskiego filmowca. Ówczesne nauczanie łaciny, zwłaszcza jej początków - polegało na systematycznym, prostym, wdrażaniu w podstawy deklinacyjne i koniugacyjne, bez silenia się na specjalne i nowatorskie zabiegi dydaktyczne, którymi zaczęła się zajmo-

56

wać teoria nauczania dopiero po przekształceniu szkoły austriackiej w polską. Grabiński więc zostawił w mej pamięci - obraz nauczyciela wymagającego, ale ogarniętego ^{wyraźnie} ~~XXXXXX~~ ambicją w innej sferze myśli.

Polonistą naszym był znowu człowiek z tytułem docenta i dużym dorobkiem naukowym w zakresie filologii polskiej i słowiańskiej; nazywał się z czeska Franciszek Krček. W kronice gimnazjalnej napisano o nim "Człowiek olbrzymiej wiedzy, ponad siły pracujący, znakomity nauczyciel; pozostawił po sobie jako uczonej europejskiej miary szereg dzieł pierwszorzędnej wartości".^{1/} Mimo, że obejmując w naszej klasie lekcje języka polskiego liczył zaledwie 40 kilka lat - wydawał się nam starszkiem. Nieco pochylony, choć postaci raczej rosłej, kaszlący i cicho mówiący, o głowie przyprószonej już siwizną - budził w nas szacunek. Klasa na jego lekcjach zachowywała się bodaj najprzyzwoiciej. Przypominam sobie, że uczył nas jeszcze w kl. II, tj. w r. szkol. 1913/14, przy czym na lekcjach towarzyszyli mu także młodzi pedagodzy - poloniści : Edward Hauser i Juliusz Balicki. Krček w czasie wakacji 1914 r. wyjechał na Litwę, gdzie zaskoczyła go wojna światowa i skąd rozpoczęła się jego przymusowa wędrówka do Rosji, zakończona przedwczesną śmiercią w Nowogrodzie w 1916 r. W fizjognomii i tego naszego profesora - wyrażało się bogactwo jego myśli, wybiegającej dalego poza ściany klasy; kontaktu bliskiego z młodzieżą - niewątpliwie z powodu zagrożonego zdrowia - nie nawiązał.

Przez kołytarze przewijał się rzadko, ale zawsze budząc zainteresowanie prof. Juliusz Kleiner. Wiedzieliśmy już o jego sławie

1/ Lesław J a w o r s k i. Gimnazjum VI im. Stanisława Staszica we Lwowie. 1902-1927. Dzieje i ludzie. Lwów 1927, str. 89-90.

jako historyka literatury, bo zbyt często nazwisko jego figurowało w dziennikach bądź na afiszach wykładów publicznych. Nie miałem szczęścia zapoznać się z jego metodą prowadzenia lekcji jako uczeń, ale poznałem ją doskonale jako student Uniwersytetu. Wiem że uczniowie jego w wyższych klasach naszego gimnazjum - po godzinach lekcyjnych dyskutowali ^{o nich} ~~z~~ żywo na przerwach, zachwycając się jego rozległą wiedzą, życzliwym stosunkiem do młodzieży i oryginalnością ujmowania problematyki literackiej. Był już wówczas docentem Uniwersytetu Lwowskiego, autorem "Dziejów myśli Zygmunta Krasickiego", studiów o Juliuszu Słowackim z nowatorską analizą jego dzieł, wielu artykułów i rozpraw o mesjaniźmie i poezji romantycznej. Budził zatem w świecie studenckim podziw, może naiwnie pojmowaną interpretację jego rozległej wiedzy i oryginalności przekazywania jej słuchaczom. Toteż mimo groteskowego nieco wyglądu tego ~~pubercenta na twarzy~~ ^{o pulchnej twarzy} 26-letniego uczonego, pod miękkim kapeluszem, nakrywającym kędzierzawą jasną fryzurę - każde jego przemknięcie przez korytarz zwracało uwagę nawet pierwszoklasistów. Obserwowaliśmy, z jaką rewerencją odnosili się do niego także niektórzy nauczyciele.

Również wielką wprost sympatią młodzieży cieszył się nasz historyk Lesław Jaworski. Wyniosła, choć szczupła postać, twarz o jasnych życzliwych oczach i długiej blond brodzie nadawały postaci dostojeść i budziły respekt, daleki jednak od strachu. Jaworski nigdy nie zapisywał ocen za odpowiedzi w czasie lekcji a jednak umiał na świadectwach półrocznych postawić właściwą notę. W klasie nigdy się nie irytował ani nie unosił. Pytania, którymi egzekwował przerobiony materiał, były tak skonstruowane, że wydawały się nieraz sugestywne, a przecież zamykała się w nich

najistotniejsza treść lekcji. Wiedzieliśmy od starszych kolegów, że jest ^{to} człowiek bez reszty zamknięty w muzyce, że organizuje częste imprezy muzyczne z udziałem młodzieży, szczególnie melo-deklamacje, że sam jest kompozytorem, znanym w mieście z występów publicznych. Nazwisko jego często występowało na szpaltach prasy lwowskiej, zwłaszcza w dziale recenzji teatralnych i koncertowych. Kiedy za kilka lat - dzięki ojcu - staliśmy się z bratem Ludwikiem bywalcami opery lwowskiej, naszą niezawodną pomocą był "Przewodnik Operowy" właśnie w opracowaniu Jaworskiego.

Po nim uczył nas historii i geografii - Zdzisław Kultys, którego baliśmy się wyraźnie. Był wysoki, czaszkę miał łysą; sposób zadawania pytań ^{widzi} - nieraz zaskakujący a zawsze krótki i węzłowaty. Nie znosił zbytecznej frazeologii, którą z miejsca urywał. Na fakty historyczne miał pogląd realistyczny, nieraz ^{nie} /pozbawiony ironii, powiedziałbym nawet niestosownej ze względów wychowawczych. Np. słuchanie mszy przez Jagiełkę przed bitwą grunwaldzką tłumaczył strachem króla o wynik walki, długą obronę Częstochowy ~~z~~ wyjaśniał świadomym lekceważeniem przez Szwedów obrońców Jasnej Góry pod dowództwem zakonnika. Oczywiście nie pozwalał sobie na tego rodzaju interpretacje na każdej lekcji, ale dwa, trzy takie niespodziewane bon mots - zapadały głęboko w pamięć młodzieńców, wychowywanych raczej w pietyźmie dla dziejów ojczystych. Mimo, że jako historyk - ogłosił pracę o księżętach mazowieckich i dalej nad tą problematyką pracował - nie uchodził w gronie naszych proceptorów na naukowca. Cały jego sposób bycia - wykazywał, że był to pedagog ostry, bo wymagający, skłonny do surowych, choć lapidarnych, nagan; prawie nigdy uśmiech nie rozjaśniał jego twarzy.

Dużo kłopotu z uspakajaniem klasy miał szczupły, groteskowo się poruszający, o nieco piskliwym głosie - nauczyciel przyrody Zdzisław Opolński. Nie budził z miejsca respektu, irytował się więc często, chcąc ratować swój autorytet. W istocie rzeczy miał niewątpliwie wiedzę głęboką, ale nie umiał opanować klasowego mikrokosmosu. Przewyższał go o całe niebo Julian Tokarski, nasz nauczyciel botaniki a potem mineralogii w kl. II i następnych. Bardzo przy stojny i ruchliwy, świetnie pod względem dydaktycznym przekazujący wiadomości, często wyprowadzał nas poza miasto dla zetknięcia się z florą w stanie naturalnym i panował świetnie nad ruchliwą gromadą. Mimo częstych dowcipów - nie tracił nic na powadze. Widzieliśmy w nim naukowca-przyrodnika i mineraloga, bo podejście jego do każdego zagadnienia lekcyjnego było jasne, komunikatywne i oryginalne. Czasem nie mógł sobie dać radę z rozeznaniem mnie i brata jako bliźniaków. Po wielu, bo przeszło 40 latach zetknąwszy się ze mną na jednej z konferencji w Polskiej Akademii Nauk w Krakowie przypomniał mi z humorem ten swój kłopot; z żalem musiałem go informować, że teraz nie miałby go już, skoro mój brat ^{od kilku lat} nie żyje.

Religii nauczał nas od samego początku ks.dr Bartłomiej Szulc. Średniego wzrostu i krępy odznaczał się zawsze czerwonymi policzkami. Był misjonarzem i po misyjnemu pojmował swe zadania wychowawcze, kładąc nie tyle nacisk na osiągnięcia poznawcze uczniów, co ich etykę i światopogląd katolicki. Dlatego też godziny spędzane z nami w klasie - rzadko kiedy poświęcał programowi nauki religii w jej konkretnych kwestiach. Posiadał rzadki kunszt wypełnienia godzin szkolnych - rozmową, dyskusją, pouczeniami, związanymi z życiem szkolnym, domowym i towarzyskim młodych wychowanków. Kiedy brat mój dał mu się poznać z swych rysunków i szkiców -

zapytał go, czy potrafiłby skopiować twarz ks. Piotra Skargi ze znanego malowidła Matejki / warto dodać, że ks. Szulc napisał rozprawę właśnie o ks. Skardze i jego dziełach, wydaną w 1913 r./ Brat nie ościagał się z przyjęciem tego "zamówienia". Kopia-z powiększonej reprodukcji - samej twarzy kaznodziei, wykonana olejną sepią, wypadła tak znakomicie, że katecheta nasz nie ukrywał zadowolenia i z chęcią przyjął to jedno z pierwszych "dzieł malarskich" Ludwika, by je zawiesić w swym skromnym pokoju. Był wówczas prefektem Małego Seminarium Arcybiskupiego .

W matematyce ani ja ani mój brat nigdy nie byliśmy tędzy. Ojciec musiał wziąć do nas pomoc korepetytorską, choć przez wałe gimnazjum ani razu nie zasięgnął o naszych postępach informacji na t.zw. wywiadówkach. Sami prosiliśmy o sukurs, by zadowolić wymagania nauczyciela matematyki i geometrii, którym był Tadeusz Czeżowski, później profesor filozofii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Między nim a klasą nie wytworzyła się atmosfera, która zbliżyłaby nas do jego osobowości i wiedzy. Był w dwu pierwszych klasach „mego” gimnazjum tylko "zastępcą nauczyciela" a to w owych czasach wyraźnie ustalało jego początkową rolę w gronie nauczającym. Odczuwała to i młodzież i stąd być może wytwarzał się pewien dystans.

Dystans ten dał się odczuwać z naturalnych powodów między nami a dyrektorem Gimnazjum. Dyrektora widywało się raczej rzadko. Jeśli zjawiał się na lekcjach, by je hospitować - a wizyty takie należały do rzadkości - siadał w ostatnich ławkach, by nie być obserwowanym przez młodzież. Do kancelarii wchodziło się rzadko: albo z prośbą o jakieś nadzwyczajne zaświadczenie albo na wezwanie dyrektora, co budziło zrozumiały lęk. W czasie uro-

czystości szkolnych o charakterze państwowym - dyrektor musiał występować w paradnym garniturze urzędowym z nakryciem głowy w kształcie ozłoczonego piroga. Pamiętam doskonale taki paradny strój, ale chyba jeden jedyny raz, nie pomnę z jakiej okazji; strój ten bardzo nie pasował do osoby Konstantego Wojciechowskiego. Był już wówczas docentem historii literatury polskiej na Uniwersytecie. Objął dyrekturę po znakomitym swym poprzedniku i własnym mistrzu na polu pedagogicznym, Antonim Danyszu, nie poślednim wychowawcy i autorze z zakresu pedagogiki i dydaktyki.

Wojciechowski stanowił osobistość wybitną i nikt z młodzieży nie miał wątpliwości, że jest to naukowiec - humanista. Aczkolwiek w administrowaniu zakładem nie pamiętam żadnych zaburzeń, które zwłaszcza u uczni budzą sensację i na długo zapadają w pamięć - Wojciechowski nie sprawiał na nas wrażenia urzędnika bezdusznie strzegącego dyscypliny szkolnej; był dla nas skupionym i uważnym obserwatorem młodzieży, ale przede wszystkim badaczem. Niski, krępy - miał jasną czuprynę stojącą i wąs średniej długości. Gdy wchodziłem w mury gimnazjum liczył lat czterdzieści, ale powagą swą wydawał się starszy. Rozmawiał z młodzieżą rzadko; rzadko udzielał pochwał, ale jeśli wyróżnił kogoś z młodzieży pochlebną uwagą - znaczyło to bardzo dużo. Zanim spotkałem się z nim znów w sali uniwersyteckiej - już orientowałem się mniej więcej dobrze, że specjalnością jego jest literatura polskiego Oświecenia do początków romantyzmu, życie polskie doby Koźmianów, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, J. Ursyna Niemcewicza. To że miał olbrzymi dorobek w rozprawach o powieści polskiej z przełomu XIX i XX w. dowiedziałem się później, na Uniwersytecie. Najbardziej trafiała do naszej świadomości popularność jego nazwiska

dzięki wspomnianym "Wypisom polskim", wydanym przez niego najpierw wspólnie z Fr. Próchnickim, następnie Ignacym Chrzanowskim.

Takie to było grono pedagogów w owe czasy i taka panowała atmosfera w salach szkolnych. Musiały to być dla nas "dziwne czasy", skoro w rozgwarze szkoły - unosiła się ponad blatami ławek niewidzialna a odczuwalna powaga ludzi o wielkiej wiedzy, niektórych o zapale badawczym; twórczości ich praktycznie nie znaliśmy, ale nawet nieznaną budziła w nas wielki dla nich szabunek, przemawiało do nas ich umiłowanie piękna w słowie mówionym, pisanym, w geście. Ten kult piękna przemawiał do niektórych z nas ^{także} ze ścian szkolnych, ozdobionych reprodukcjami dzieł sztuki. Pamiętam, że na korytarzach wisiały reprodukcje cyklów grottgerowskich i malowideł Matejki.

Być może - co czytelnik tych wspomnień łatwo zauważy - że odczucie tego ładu i atmosfery rozumieliśmy z bratem, szczególnie wyczuleni na rzeczy piękne, silniej niż inni nasi rówieśnicy. Być może Koledzy pierwszo- i drugo-klasiści patrzyli na otoczenie szkolne, na uroki młodzieńczych lat, na możliwość wyżycia się w zabawach, wycieczkach a także i psotach szczeniackich - inaczej niż my. Sprzęgnięci ze sobą jak Kastor i Polluks, w bliźniaczej symbozie, o której już ^{tyle} mówiłem poprzednio - tworzyliśmy świat swych wyobrażeń i pragnień estetycznych jednaki dla obu, ale odbiegający od społeczności uczniowskiej. Przecież dowodem tego były - bardzo nieudolne ale z zapałem, ukrytym przed starszymi, tworzone próby wyżycia się w pisaniu, rysowaniu, "redagowaniu" różnych dzieciennych pisemek.

Najdłużej, bo chyba przez kilka miesięcy, bawiąc się w "prasę literacką" - wydawaliśmy, oczywiście ^{wyścześnie} dla siebie, tygodnik pt.

"Wiersz i Proza" zawierający nasze własne wierszyki i "nowelki", czasem wiadomość o jakimś wydarzeniu kulturalnym. Format "nume-
rów" był mały: jedna czwarta kartki zeszytowej, ale zawsze w od-
miennej okładce; treść wypełniona pismem ręcznym i ołówkowymi -
rzecz jasna nieudolnymi rysunkami-Ludwika. Po tym pisemku przyszła
kolej na „miesięcznik” pod fascynującym, jak na trzyklasistów, tytu-
łem "Via laūdis", ale ten "periodyk" szybko uschnął.

Rozwiewał się kraj lat dziecinnych i ^z szybko mijającymi lata-
mi rozwierał się przed nami świat inny, nieznany a pociągający,
z jednej strony przejmujący lękiem, czy się w nim znajdzie ^{sw} miej-
sce, z drugiej wabioący coraz to nowymi tajemnicami.

W tych nastrojach nieskrystalizowanych, zagadkowych oczeki-
wań - nastąpiła w naszym życiu cezura najmniej oczekiwana.

Wybuchła wojna - pierwsza wojna światowa, zwana wielką.

Dojrzewanie wśród wojny i wskrzeszenia Polski

Wiadomości o zbliżaniu się konfliktu zbrojnego - połykali z łam prasy codziennej ^{ludzie} starsi już od dłuższego czasu. Najchętniej czytany we Lwowie były : „Słowo Polskie” w dwu wydaniach, rannym i popołudniowym, „Kurier Lwowski” i rzadko spotykany w naszym domu, bardzo popularny „Wiek Nowy”. Ojciec prenumerował „Słowo Polskie”, które reporter przynosił dwukrotnie w ciągu dnia.

My malcy gazet początkowo nie czytaliśmy; interesowały nas pisma ilustrowane, o których wspomniałem poprzednio. Żadnych „gazetek szkolnych” ani lekcji polityczno-wychowawczych w salach szkolnych wówczas nie znano. Młodzież przekazywała sobie z ust do ust uwagi z zasłyszanych rozmów rodziców, starszego rodzeństwa czy kolegów, wreszcie bardzo już rzadko pochwyconych strzępów rozmów nauczycieli. Wśród w ten sposób przejętych wieści o jakichś wielkich, tajemniczych wydarzeniach w świecie - raz po raz wpadały w ucho takie określenia, jak „Kocioł bałkański”, „afery szpiegowskie”, wreszcie „Żużyny Bartoszone”, „Strzelcy” itp. Przeczuwaliśmy dziecinnymi mózgami, że coś się kroi poza światem przez nas dostrzeganym. Nocą na łąkach koło naszego domu, na wspomnianej Baworówce - odbywały się jakieś ćwiczenia wojskowe; przypominam sobie jedną noc letnią, kiedy jasne smugi reflektorów ^{rzucane} w różnych kierunkach biegały po nieboskłonie i to tak raptownie, że pies domowy ujądał zawzięcie, zamknięty na oszklonej werandzie. Ojciec rzucał nań pantoflami, by go uciszyć. Tymczasem tej nocy dokonano kradzieży w naszym przedpokoju, do którego ze względu na parter sprytny złodziej z łatwością się dostał, pewny, że szczekanie psa nie wzbudzi podejrzeń.

W naszych spacerach za miasto na przepiękne wzgórza nad boiskiem "Sokoła-Macierzy", ciągnące się ku lasom lesienickim od ul. Łyczakowskiej aż ku ul. Zielonej - spotykaliśmy niewielkie oddziały szaro umundurowanych jakby wojskowych a przecież nie żołnierzy austriackich, ćwiczących bronią, wykonujących ruchy marszowe, obroty kolumnami, czołgania się wśród traw i krzewów. Przyciągało to naszą uwagę, ale z respektem nie podchodziliśmy zbyt blisko. Była to pierwsze Kadry przyszłych Legionów Polskich. Pewnej niedzieli większy już oddział tych jednolicie już umundurowanych młodzieńców w maciejówkach na głowie maszerował ul. Zieloną, kiedy z ojcem przechodziliśmy tamtędy.

- "Wiecie chłopcy, co to za wojsko? - zapytał ojciec.

Spojrzeliliśmy niemo na niego.

- **Te przyszłe wojsko polskie..jeśli wybuchnie wojna...-**

Nie rozumieliśmy, z kim miała być ta wojna, ciągle; słyszeliśmy o Rosji. Ale ponieważ i ojciec nie był jeszcze pewny szybkiego wybuchu - wywiózł nas na wakacje 1914 r. dość daleko od Lwowa, do Dubiecka koło Przemyśla. Ciotka nasza Leopoldyna Iżykiewicz w tej znanej kolebce Krasickich była nauczycielką; samotna, stara panna - miała swój dom, u podnóża łagodnie wznoszących się wzgórz i niedaleko Sanu. Tam po raz drugi zetknęliśmy się z życiem cichej, galicyjskiej prowincji. W pogodne poranki zbiegaliśmy we dwójkę przez pola, popod parkiem otaczającym dwór Krasickich - ku rzece, by płuśkać się w wodzie, budować tamy, puszczać "okręty". Popołudniu lub wczesnym wieczorem wychodziliśmy z ciotką do re-jenta, adwokata, księdza proboszcza na kawę z ciastkami. Starsi najczęściej zasiadali do preferansa, nam dawano jakieś książki czy czasopisma do przeglądania. Ciotka znała nasze upodobania, bo zgromadziła w swym domu sterty roczników "Tygodnika Ilustrowanego", które wertowaliśmy namiętnie. Jak bardzo byliśmy podobni

do siebie - zapamiętałem naprawdę dziwny przypadek. Ciotka wybrała się z nami "z wizytą" do miejscowego sędziego. Wybiegłem z jego domu za czymś na podwórzu i za chwilę wkraczałem już do przedpokoju nieposiadającego żadnego okna, tylko drzwi wejściowe oszklone; na przeciw wejścia wisiało wielkie lustro od ziemi. Idąc w jego stronę w przekonaniu, że idę ku innym drzwiom nie poznałem się w lustrze i zawołałem - do siebie, jakby do brata :
 -Ludwik, już wychodzisz ?-dopiero po kilku krokach poznałem omyłkę. Jeszcze do dziś na niektórych fotografiach z tych czasów - nie odróżniam brata od siebie.

W te, pozorne beztroskie, dni zabaw nad Sanem - wpadła między starszych hiobowa wieść: mord sarajewski. Było to 28 czerwca 1914 r. Z miejsca zapanował nastrój jakby wojenny. Pamiętam panikarską atmosferę w tym cichym dotąd partykularzu galicyjskim. Nocą i dniem sunęły gościńcem chłopskie furki i wozy ku Przemyślowi-jak słyszeliśmy wśród starszych-" na forszpan wojskowy". W niedzielę w miejscowym drewnianym kościele było duszno i ciemno od tłumu chłopskiego z okolic; suplikacje "Od ognia, głodu wojny - wybaw nas panie ..." śpiewane z przejmującą do głębi żarliwością, powtarzały się w niekończących się refrenach, budząc w nas głuchy lęk i uczucie grozy. Ojciec nasz za tydzień zjawił się w Dubiecku, by nas wywieść do Lwowa. Pamiętam, jak niełatwo było o parę koni, innej komunikacji z Przemyślem ani śladu, aut nawet najbogatsi ludzie nie posiadali. W pociągu panował tłok niesamowity; pasażerowie nieludzko stłoczeni sprawiali wrażenie tłumu pędzącego w nieznane przed widmem jakiegoś zagłady.

Bardzo śpiący i znużeni dotarliśmy wreszcie do domu. Reszta wakacji upłynęła oczywiście w nastrojach coraz potężniejszego i narastającego z każdym dniem niepokoju, aczkolwiek działania militarne na frontach jeszcze się nie rozpoczęły. Natomiast w domu naszym coraz więcej gromadziło się młodzieży w wieku naszych bra-

ci. Byli to przyszli legionieści. Rozmowy ich jakieś nerwowe, porwane, niespokojne, uderzały w nasze uszy słowami dotąd nie słyszanyymi: ultimatum, wojna z Rosją, niepodległość Polski, Legiony itp. Przejmował mnie patos tych wyrażen i wiązał się w umyśle trzynastoletniego chłopca z wizją Polski udręczonej i rozdartej przez zaborców, z martyrologią narodowych powstań, Sybirem, słowem tematyką tych broszur K. Królińskiego, które z takim zamiłowaniem zbierałem i czytałem. Głębszego zrozumienia, że jednym ze sprawców tych nieszczęść była i Austria - w tym umyśle się jeszcze nie lęgå. Niewątpliwie bowiem luką w wychowaniu obywatelskim ówczesnego szkolnictwa, nawet średniego - stanowił brak politycznego uświadomienia młodzieży o odrębności polskiej racji stanu; kształcenie w duchu narodowym ograniczone^{było} do odrębności kulturowej - nawet w bardzo silnym stopniu, ale na polu literatury, sztuk pięknych, teatru i prasy. Mimo olbrzymich swobód oświaty w okresie autonomii Galicji - pokost czarno-żółtego patriotyzmu pokrywał, nieraz choćby cienką, częściej zaś grubą warstwą, ogół polskiego społeczeństwa; oczywiście świat intelektualny i polityczny, nawet w prasie i w otwartych wystąpieniach ostro demaskował austrofilizm i akcentował ducha narodowego w życiu publicznym. Ale cóż o tym mogli wiedzieć początkujący gimnazjaliści, których kształcenie - jakby nie było - opierało się o austriackie programy nauczania? Nawet wytrawni pedagogowie, z całą świadomością wydobywający na pierwsze miejsce w uświadamianiu młodzieży - dumę z wielowiekowej i świetnej historii narodu, jego kultury i wkładu w cywilizację powszechną - aktualnej polityki austriackiej nie wprowadzali w interpretację dziejów ojczystych. Obchodziliśmy corocznie rocznicę Trzeciego Maja, powstanie Kościuszkowskie, walk z Ro-

sją w 1830/1 r. i Noc Styczniową, ale zawsze przewodnim akcentem tych wieczorków, uroczystości szkolnych czy pozaszkolnych - było uświadamianie nieszczęść, które spotykały naród ze strony caratu. Manifestacja na Górze Stracenia we Lwowie, gdzie w 1847 r. zawisli Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński - organizowały kręgi ogółowi młodszej młodzieży nieznane : socjaliści, jakieś organizacje tajne, niepodległościowcy itp. Oczywiście starsza młodzież szkolna i rzemieślnicza brała w tym ludny udział, ale nie dzieciaki. Wyjątkowo słyszało się o tych manifestacjach nieraz w pokątnych rozmowach na korytarzach szkolnych lub poza szkołą. Na łamach dzienników ukazywały się o nich skromne wzmianki wtedy, kiedy były organizowane przez ugrupowania legalne.

A przecież tradycje powstańcze w rodzinach lwowskich były bardzo żywe; widziano często na ulicach weteranów 1863 r. w czaramarkach, zwłaszcza w czasie publicznych obchodów. Literatura piękna, obrazująca martyrologię narodu - wypełniała biblioteki szkolne, czytała je starsza młodzież chętnie, choć nie tak łapczywie, jak H. Sienkiewicza. Repertuar teatrów powracał często, szczególnie w okresie rocznic powstaniowych, do „Leci liście z drzewa” Józefa Wiśniowskiego, „Warszawianki” Wyspiańskiego i in. sztuk, na które poloniści prowadzili całe klasy. Ale zawsze w umysłach młodych - wyrastał jako widmo krwawego ucisku Carat. O Sybirze i katordze mówiły wielkie płótna zesłańca - malarza Aleksandra Sochaczewskiego, rozwieszane licznie w zbiorach Władysława Łozińskiego przy ul. Ossolińskich ; zwiedzaliśmy je z ojcem kilkakrotnie. Wspaniała wystawa historyczna powstania styczniowego w 1913 r. w olbrzymim Pałacu Sztuki na Placu Powystawowym - wywarła na mnie przejmujące wrażenie; co prawda przemawiała do mnie

treść raczej narracyjna i artystyczna, niż społeczna i polityczna.

Wybuch wojny i uaktywnienie się paramilitarnych formacji, które miały pójść na Rosję, nie mogły rzecz jasna ujść mojej uwadze. Nie mogłem też nie zaobserwować jakiejś nagłej - jak dla mnie - różnicy poglądów; w momentach pełnych napięć ^{zastrzała się} bystrość spostrzeżeń. Zaobserwowałem więc z jednej strony różne objawy ufności w szerość władz wobec polskich przygotowań, z drugiej objawy nieufności. Niewiele z tego w szczegółach jeszcze rozumiałem. Ale nawet w najbliższej rodzinie obserwowałem podniecenie na tle różnych stanowisk. Ojciec mój, syn zbiega politycznego spod caratu widział rozwiązanie kwestii polskiej w rozgromieniu Rosji, ale już drugi obok Władysława Uminowicza mój brat cioteczny, młody inżynier, Bolesław Uminowicz ostro przeciwstawiał się tej koncepcji.

Niewątpliwie taki podział zapamiętywań istniał i w gronie moich najbliższych wychowawców w ich rozmowach prywatnych. Ale wakacje 1914 r. jeszcze trwały, kiedy rozległy się pierwsze grzmoty kano nad. Urwał się kontakt ze szkołą; nie widywałem kolegów. Całe życie miasta przybrało inny od dotychczasowego charakter, ^{nastrój} zupełnie inny od dotychczasowego. Tłok wojsk, dużo napływowej ludności; jakieś tabory wojskowe i artyleria - coraz częściej przejeżdżały z hałasem szczególnie ulicami wiodącymi do rogatek. Gazety coraz bardziej czerniały od tłustych nagłówków; pamiętajmy, że prasa ówczesna nie operowała - tak jak dzisiaj - wielkimi i wytłuszczonymi nagłówkami, zwłaszcza na pierwszej stronie. W domu ruch nerwowy się potęgował; przyczyną był nietylko oczekiwany lada chwila wymarsz braci, ale i sprawy zawodowe ojca: właśnie w sierpniu oczekiwał większego transportu płyt marmurowych z Włoch i niedojście ich młogło spowodować różne komplikacje w jego przedsiębiorstwie.

Po raz pierwszy w mym życiu wpadło mi w oczy i słuch słowo : mobilizacja. Przypominam sobie że jakoś pod koniec lipca pojawiło się ono w gazetach i na wielkich afiszach ulicznych. Tę mobilizację odczuliśmy przede wszystkim w domu. Rwetes i nerwowość potęgowały wiadomości o pierwszych walkach na froncie serbskim już z końcem lipca, wreszcie wypowiedzenie wojny Rosji przez Austro-Węgry 6 sierpnia. Posypały się inne wypowiedzenia i „ultimata”. Nie orientowałem się zbyt trafnie ani w kolejności tych zdarzeń ani w ich powiązaniu pośrednim ze sprawami polskimi. Wydaje mi się, że ogólne napięcie nerwów panujące do momentu tych wydarzeń - teraz jakby nieco osłabło. W nastroju domowym zaczęła dominować jakby ukryte w zbiorowej świadomości niepewność i oczekiwanie, co będzie dalej.

Dzień 29 sierpnia zapadł mi głęboko w pamięć. Powiedziałbym obecnie, że właśnie ów dzień rozbudził nagle moje uświadomienie polityczne, podniósł zrozumienie chwili. Moi dwaj bracia dwudziestoletni Tadeusz, student Politechniki Lwowskiej i dziewiętnastolatek Stanisław, słuchacz Wydziału architektury tej uczelni - opuścili nasz dom. Ale nie sami. Wyszli w szeregach Legionu Wschodniego.

Mam w pamięci mimo upływu ponad 65 lat od tego faktu - niezwykle dokładny i plastyczny obraz tego wymarszu. Wraz z rodzicami udaliśmy się około godz. 9-tej do centrum miasta na ulicę Akademicką. Bracia wyszli z domu znacznie wcześniej wyekwipowani w plecaki, jakby na dłuższą wycieczkę w góry; ubrani byli w strój napóły skautowski i turystyczny, w tornistry i plecaki wojskowe. Szeregi legionistów uformowały się na przestrzeni między ul. Choręczyny a Zimorowicza, plecami do skweru spacerowego, ozdobionego pomnikiem Kornela Ujejskiego. Szeregi stały na jezdni, tłumy publiczności zajęły chodnik uliczny. Młode kobiety wybiegały raz po raz z chod-

nika, by wręczać kwiaty swoim najbliższym w szeregach, starsze panie wręczały jakieś pakunczki i zawiniątka, które legionieści wpychali do ~~swych~~ ^{tegieh} plecaków. Była w tych szeregach młodzież różnego wieku; nie brakowało wśród nich i niedorostków. Umundurowanie ich nie było jednolite, tu i ówdzie widać było nawet ubiór cywilny. Jak pamiętam - panował dziwny i raczej cichy nastrój; nie rozlegały się żadne śpiewy ani okrzyki. Czekano na ostatni przegląd przez dowódców Legionu; oczekiwanie się przedłużało. Wreszcie padł czyjś rozkaz, szeregi stężały w bezruchu, niewielka przestrzeń między Legionistami a ludnością cywilną na chodniku - opustoszała.

Zjawili się jacyś oficerowie. Na pierwsze miejsce wśród nich wysuwała się postać raczej średniego wzrostu, z charakterystyczną bródką w szarym umundurowaniu. Ojciec szepnął do matki: kapitan Haller. Był to głośny później w dziejach Legionów gen. Józef Haller; otaczało go kilku oficerów. Dowódcy ci przeszli wzdłuż szeregów. Zauważyłem, że jakiś chłopak /może 14 - lub 15-letni / musiał wystąpić z szeregu i przejść na chodnik; został widocznie uznany za nie nadającego się do marszu i służby wojskowej. Znajomi opowiadali, że z dalszych szeregów oficerowie usunęli jeszcze kilkunastu innych legionistów; nie byli należycie wykwapowani do marszu. Przegląd był zresztą raczej krótki i jakby powierzchowny. Padły jakieś rozkazy, legionieści zmienili postawę i niebawem szeregi przez centrum miasta ruszyły ku rogatce gróddeckiej.

W dziwnym milczeniu wróciliśmy z rodzicami do domu. Po raz pierwszy zjedliśmy obiad w gronie szczuplejszym o dwie osoby; rozmowy przy stole nie było. Wyczuwało się mimowolnie atmosferę

drażniącego niepokoju i niepewności losów Legionu. Wojska rosyjskie szybko maszerowały już w kierunku Lwowa. Nie mogę pominąć faktu, że właśnie w tym dniu głęboko przejęty nastrojem odmarszu - napisałem pierwszy wiersz w moim życiu w formie sonetu; ~~nosił~~ tytuł Odmarsz. Zaczynał się od słów : Stały się szeregi... i wydaje mi się - nawet po tylu latach - że jak na młodzieńczy poryw utwór nie przyniósłby mi wstydu i teraz /niestety ta luźna kartka wśród tylu przeprowadzek nie dochowała się do dzisiaj /.

Drugi obraz, który równie wyraziście wrył mi się w pamięć tych dni - to wkroczenie Rosjan do Lwowa; nastąpiło ono 3 września przed południem. Zanim to nastąpiło nie mogę nie pominąć innego, wcześniejszego o trzy dni widoku.

Od rogatki Łyczakowskiej przez ul. św. Piotra i popod murami Cmentarza, opodal którego mieszkaliśmy, w nieładzie i panice ciągnęły kolumny budzących litość żołnierzy austriackich. W skwarze ostatnich dni sierpnia, złani potem i śmiertelnie znużeni, w rozchełstanych mundurach, niektórzy bez broni, część obandażowani na rękach i twarzy - ciągnęły w nieładzie przed siebie. Niektórzy z mieszkańców ulicy podawali im wodę, chleb, papierosy. Byli to podobno Tyrolczycy, resztką rozbitych pułków austriackich pod Brodami i Rawą Ruską. W domu komentował ojciec z irytacją a może z ukrywaną satysfakcją - kłamliwe komunikaty wojenne i wiadomości z prasy o rozgromieniu pod Tarnopolem wielkiej armii rosyjskiego generała Re~~ne~~nkampfa. Była to wierutna plotka zrodzona wśród paniki z jednej strony a wiary w niezniszczalność armii austro-węgierskiej z drugiej. Jak wiadomo Re~~ne~~n^wkampf nie dowodził wogóle na tym froncie, lecz na terenie Prus Wschodnich, gdzie z końcem sierpnia doznał druzgocącej klęski od gen. Hindenburga. Ale o tym

dowiedziałem się dopiero później. Tymczasem do Lwowa docierały echa bardzo już bliskiej kanonady artyleryjskiej. Nastąpiły dni dziwnej ciszy w mieście. Znikły władze austriackie, szkoły nie rozpoczęły nauki. O tym, że wiele ludzi zaangażowanych politycznie uciekło jakby potajemnie - nie wiedziałem nic. Natomiast widoczna była ewakuacja władz gdzieś na zachód. W mieście zapanowała sytuacja, którą znakomicie pamiętam : bezpańskie miasto zostało jakby oddane własnemu losowi.

3 września sam widziałem nieprzeliczone oddziały rosyjskie wkraczające przez ul. Łyczakowską. Uderzył w moje powonienie ostry i gryzący smród dziegciu; buty żołnierzy były tak grubo pokryte warstwą tego tłuszczu, że mimo sprószczenia kurzem - rozsiewały dookoła uderzający zapach. Proste umundurowanie żołnierzy, twarze niespotykane u nas, zmęczone zresztą, zarośnięte i spocone - sprawiały wrażenie nawały niepowstrzymanej i zupełnie obcej temu wszystkiemu, wśród czego się wyrosło. Jeszcze bardziej niesamowite wrażenie wywarły na mnie konne oddziały kozaków w wysokich czapkach baranich, z długimi pikami, wetkniętymi w strzemiona.

W mieście powstała Miejska Straż Obywatelska, do której zaciągnął się i nasz ojciec. Kiedy z niej wyodrębniono Milicję Miejską - na Straż Obywatelską spłynęły inne obowiązki, niż służba bezpieczeństwa: zabezpieczenie aprowizacji, nadzór sanitarny / zwłaszcza wobec pogłosek, że wojska rosyjskie przywlokły cholereę, co nie miało miejsca/, kontrole cen rynkowych, stworzenie "taniach kuchni" itp. Zawsze z jakimś szacunkiem wymieniane słyszałem nazwisko dr Tadeusza Rutowskiego. Po ucieczce z fotela prezydenta miasta zamożnego obywatela, i właściciela drukarni Józefa Neumana - zajął jego miejsce Rutowski i jak często słyszałem w domu - potrafił zdobyć

sobie pogłuch nawet u władz rosyjskich . Te szybko przez obwieszczenia w języku rosyjskim i polskim, rozlepione na murach, stały się znane: gubernatorem wojennym Lwowa był gen. Szczeremetiew, naczelnikiem miasta wojskowym / gradonaczalnikiem / gen. Skałkon, prezydentem rządu cywilnego zajętych powiatów Galicji Michał Bobrińskij.

Ogłoszony manifest do Polaków w. księcia Mikołaja Mikołajewicza o planach wskrzeszenia Polski zjednoczonej i związanej z Rosją - przyjęty został przez ogół ludności obojętnie i z niedowierzaniem. Przedrukowało manifest "Słowo Polskie" i od tego czasu naszym dziennikiem domowym stał się "Kurier Lwowski"; ojciec nie chciał swą prenumeratą wspierać organu popisującego się rusofilizmem, nie tylko zresztą przez publikację manifestu.

Przedsiębiorstwo ojca było początkowo zupełnie nieczynne. Pamiętam, że pewnego dnia, gdy ojca nie było w domu, zjawił się u nas elegancki oficer rosyjski, bardzo przystojny i niezwykle uprzejmy. Przemówił do matki najczystszą polszczyzną; gdy wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa - rozszedł się w pokoju zapach wody kołńskiej. Prosił uwiadomić ojca, że wagon marmurów z Włoch stoi na dworcu kolejowym i jest do odebrania. W ten sposób naocznie i bezpośrednio zektnąłem się z faktem, że Legiony Polskie spotkają się w walce oko w oko z braćmi spod zabóru rosyjskiego. Była to druga praktyczna lekcja historii polskiej, lekcja, której nie przerobiliśmy w szkole.

Tymczasem od braci nie było żadnych wiadomości. Co dnia niemal docierały do domu różne plotki, najbardziej fantastyczne: to o rozbiściu całego ~~Legionu~~ ^{Legionu} a nawet wzięciu przez kozaków do niewoli, to o utworzeniu większych formacji legionowych, ^{a także} o wycofaniu się słabszych szeregów z powodów trudów marszu. Wreszcie było to już późną jesienią, gdy strapiony

75

ojciec przyniósł do domu jakąś broszurę ręcznie przepisana; nosiła frapujący tytuł: "Pod sąd!". Przeczytaliśmy ją przy wieczornej lampie od deski do deski. Anonimowy utwór w ostrym tonie polemicznym oskarżał sprawców rozwiązania Legionu Wschodniego w Mszanie Dolnej. Ton oskarżycielski był niezwykle namiętny i trafił znakomicie w nastrój zatroskanych o los synów rodziców. Obiło się o uszy w niedługi czas później, że autorem miał być prof. Stanisław Kasznica, członek Naczelnego Komitetu Narodowego, ale przeciwnik tworzenia polskich legionów przy boku Austro-Węgier., z powodu czego opuścił nawet szeregi N.K.N.^{1/} Te tarcie w łonie organizatorów Legionu były dla mnie trudne do pojęcia; wszak widziało się w tym orszaku bojowników o Polskę niepodległą, której bez orężnego starcia z Rosją nie da się zdobyć. O Józefie Piłsudskim, o kadrówce, która wkroczyła do Królestwa Polskiego już 6 sierpnia, o tworzeniu się Pierwszej Brygady - mało mówiło się we Lwowie, wobec przecięcia łączności z resztą Polski. Wtajemniczeni w te sprawy - byli nieliczni ludzie, zajmujący się praktycznie polityką. Tacy w naszym domu nie bywali; przynajmniej ja ich nie widziałem. Broszura "Pod sąd" wywołała przygnębienie u rodziców; los braci był nadal niewiadomy. Ojciec polecił mi przepisać pełny tekst broszury, by ją podać dalej. Zaznajomiłem się wtedy z jej treścią, która godna jest tu przypomnienia, bo już później nigdy nie spotkałem się z tym tytułem.

To była nowa lekcja najnowszej, żywej i aktualnej historii polskiej, nowy krok w moim uświadomieniu politycznym.

^{1/} Mowa o Naczelnym Komitecie Narodowym, utworzonym w Krakowie w sierpniu 1914 r. W wiele lat później dowiedziałem się, że Kasznica nie był autorem tego pamfletu.

Nadeszła dość ciężka zima. Wobec zamknięcia polskich szkół średnich - trzeba było pomyśleć o nauce domowej. Ojciec, jak zawsze dbały o nasze wykształcenie, zaangażował jednego z profesorów gimnazjalnych, pozbawionego pracy - do codziennego przerabiania z nami wszystkich głównych przedmiotów. Nie pamiętam jego nazwiska, ale wiem, że orientował się dobrze w materiale wszystkich przedmiotów, choć sam był przyrodnikiem i matematykiem. Codziennie mieliśmy z nim 2 - 3 godziny nauki, tak, że popołudniu trzeba było zużywać na solidne przygotowanie się do dnia następnego. Mimo to mieliśmy jeszcze ~~xx~~ czas na nasze umiłowane rozrywki w domu: "Wydawanie" pisemek, lektury poza planem szkolnym; brat oddawał się z zapalem rysowaniu i malowaniu farbami wodnymi.

Od lipca 1915 r. notowałem w własnym dzienniczku codzienne przeżycia, także rodzinne i szczególnie ważne wydarzenia; prowadziłem te zapiski aż do ukończenia gimnazjum.

Wiosną naukę naszą przerwała choroba / oczywiście obu naraz / na tyfus brzuszny. Rodzice nie pozwolili zabrać nas do szpitala, co doradzał lekarz. Położono nas w jednym, pokoju, w sypialni rodziców. Przebieg choroby był cięższy u Ludwika w sposób widoczny słabszego fizycznie. Ale i ja przeszedłem wszystkie stadia choroby, szczególnie przykrej ze względu na łaknienie pokarmów, których nie wolno nam było podawać.

Zima i choroba, brak wszelkich wiadomości o braciach - poza domysłami, że wskutek rozbicia Legionu Wschodniego - przeszli albo do szeregów austriackich albo do II Brygady Legionów, co raczej wydawało się prawdopodobniejsze - wszystko to stworzyło nastroje smutku i ciższy w życiu domowym. W społeczeństwie czującym nieustanną awersję do rządów rosyjskich - kapitulacja Prze-

Przemyśl miał za-
 myśla jako potężnej fortecy na tyłach armii carskiej; ~~xxxxxxxxxxxx~~
 grozić ^{drogę} ofensywie ^{ros.} kierunku Karpat. ^{Kapitulacja} wywołała dodatkowe przygnę-
 bienie.

Przemyśl padł w drugiej połowie marca 1915 r., ale po niespełna 6 tygodniach nastąpiło przełamanie frontu pod Gorlicami i szybka defensywa rosyjska w Galicji. Dało się wyraźnie odczuć we Lwowie zdenerwowanie nie tylko wśród władz rosyjskich, ale i tej części ludności ukraińskiej, która tworzyła kręgi t.zw. moskalofili. Robotnicy narodowości ukraińskiej z wsi podworskich pracujący w przedsiębiorstwie ojca - przynosili często wiadomości o tych niepokojach na prowincji. Wśród inteligencji, zwłaszcza osób, które odwiedzały nasz dom a także wśród klientów ojca - objawy tego podenerwowania wywoływały komentarze nieprzychylnie Ukraińcom wogóle; mylnie uważano, że tylko nieliczne ich grupy, przeważnie z biurokracji związanej z Wiedniem czy wolnymi zawodami - nie idą na lep moskalofilstwa. Około 20 czerwca popłoch ewakuacyjny Rosjan osiągnął we Lwowie nasilenie szczytowe; wreszcie po dwu dniach wojska państw centralnych opanowały miasto. Przypominam sobie, że na ulicach i placach w centrum miasta widziałem oficerów w nieznanych mi mundurach : niemieckich i tureckich, za kilka miesięcy tę mozaikę militarną uzupełniły jeszcze uniformy bułgarskie.

W naszym życiu domowym moment wejścia armii państw centralnych do Lwowa - przyniósł koniec niepewności, co dzieje się z braćmi. Przyszedł pierwszy bardzo obszerny ich z czułym nagłówkiem : "Kochani Rodzice" i treścią wypisaną na wielu stronach papieru listowego; treść odsłoniła ^{cała} historię ich przeżyć od wymarszu z Legionem Wschodnim do wiosny 1915 r. Dowiedzieliśmy się, że po rozbiciu Legionu weszli do II Brygady i po różnych wojennych perypetiach w Karpatach los rzucił ich do Piotrkowa. Pełnili służbę

w Kompanii Telegraficznej przy Komendzie Legionów. Jak wynikało z listu /autorem był Stanisław/ przy Komendzie Legionów Polskich w Piotrkowie tworzono właśnie III Brygadę /tj. 4 i 6 pułk piech. Rodzicom spadł ciężki kamień z serca; ojciec przemyślał, jakby w tych nieuregulowanych warunkach komunikacyjnych dotrzeć do Piotrkowa, by przyjrzeć się ich życiu. Po pierwszym liście zaczęły napływać dalsze, ale doręczane przez okazje. Poczta normalnie była kontrolowana przez ostrą cenzurę wojskową a bracia jako autorzy listów pragnęli donieść o sobie i warunkach, jak najwięcej. Listy począłem zbierać skwapliwie i gromadzić je w porządku chronologicznym; być może nieświadomie jeszcze budziło się we mnie zrozumienie listu wojennego jako źródła historycznego. Przez rok 1915 i następny urosła już pokaźna ich paczka, ^{która} w ciągu następnej wojny niestety przepadła/.

I oto jakoś latem 1915 r. - nie pomnę dokładnie daty - nadciągnęła wiadomość, która zasnuła oblicza rodziców: starszy z braci Tadeusz zapadł na tyfus brzuszny i odkomenderowany został do szpitala Legionowego w Kamieńsku. Ojciec zdecydował się na podróż, trwać miała najwyżej tydzień. Wyjechał i wrócił po kilku dniach. Został brata już w stadium rekonwalescencji i pod dobrą opieką znajomego lekarza ze Lwowa, dra Józefa Pischa. A jednak zaintrygowała mnie głośna relacja ojca składana matce w podnieceniu. Jak pamiętam - ojca drażnił najsilniej fakt przenikania wpływów socjalistów w sprawy Legionów. Jak tysiące mieszkańców Galicji, średnio zorientowanych w stosunku Naczelnego Komitetu Narodowego do polityki Wiednia, ojciec zapewne po raz pierwszy nareszcie zetknął się z rzeczywistością i rysującym się rozłamem między usamodzielniającą się ideologią Piłsudskiego jako dowódcy I Brygady a ściślejsz

uzależnioną od władz austriackich Brygadą II pod komendą Józefa Hallera. Drażnił ojca ten rozłam i niepokoje; matka zatopiona w kłopotach gospodarskich tak dręczących w czasie wojny /choć dalekich jeszcze od tych, które przyniosły rok 1917 i 1918 /nie wnikała zbyt głęboko w te ideowo-polityczne niepokoje.

W takich to okolicznościach, zachodzących na tle przełomowych wydarzeń - zainteresowania moje z każdą nadciągającą falą faktów coraz wyraźniej zbliżały mnie do książki historycznej, do lektury dzieł o przeszłości narodu w okresie porozbiorowym, do wczytywania się w prasę, do zwiedzania muzeów, zbieranie jeszcze bardzo nieorganizowanego, chaotycznego i w gruncie rzeczy skromnego pamiątek wojennych. Budzić się począł pęd pisarski w rozmiarach rzecz jasna - dziecinniej jeszcze zabawy. Niezależnie od świadomej własnej inicjatywy - wpadł mi w rękę i wzbogacił mój zbiór książek tom Bolesława Limanowskiego "Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość", otrzymany jako prezent imieninowy w lipcu 1915 r.

Po Limanowskim przyszła kolej na dzieje Galicji, zwłaszcza okres spisków i przygotowań rewolucyjnych do rewolucji 1846 r. i Wiosny Ludów. Z zainteresowaniem sięgnąłem do popularno-naukowych opracowań Stanisława Schnürera-Pepłowskiego; począłem robić szczegółowe notatki.

Tymczasem w związku z wycofaniem się Rosjan - rozwarły się z powrotem wrota gimnazjum; szkoły powszechne i średnie zostały otwarte, acz o uszczuplonym składzie pedagogicznym. Wielu profesorów służyło w armii austriackiej, nieznaczna część młodszego personelu zaciągnęła się w szeregi Legionów Polskich. Pamiętam, jak uroczystie żegnano na dziedzińcu gimnazjalnym wyruszającego "do Legionów" syna naszego dyrektora Wojciechowskiego, Zygmunta, później

znanego historyka i prof. Uniwersytetu Poznańskiego. Trudno mi fakt ten zlokalizować co do czasu; miało to chyba miejsce w 1916 r. kiedy Zygmunt Wojciechowski liczył lat zaledwie 16. Później dowiedziałem się, że trafił już do Polskiego Korpusu Posiłkowego, utworzonego z II Brygady Legionów i wskutek próby przedarcia się pułk. Józefa Hallera pod Karańczą przez front austriacki - osadzony został, jak poważna część legionistów w obozie karnym w Huszt /na Węgrzech/. Znaleźli się tam również moi bracia, Tadeusz i Stanisław, pełniący ^{do tego czasu} służbę w Oddziale Telefonicznym Komendy Legionów.

Wymarszowi młodego studenta z murów gimnazjalnych - nadano specjalnie uroczysty charakter, zapewne i ze względów patriotyczno-wychowawczych i z uwagi, że był to syn dyrektora. Niewątpliwie inicjatywa do tej celebracji wyszła z grona niektórych nauczycieli i najstarszych kolegów Zygmunta. O ile go pamiętam z lat późniejszych - odznaczał się zawsze pewną nie tyle zarozumiałością, co nieukrywaną świadomością osobistej ważności i wartości. Istotnie był to człowiek bardzo zdolny i później pełen inicjatywy w kręgach akademickich. Dla mnie o półtora blisko roku młodszego od niego kontakt z nim nie był łatwy i nie było powodu go szukać; w owych czasach przedział między poszczególnymi klasami i rocznikami studentów był duży. Wyżsi o jedną klasę nie tylko często zajmowali się korepetycjami w domach prywatnych, ale bardzo często na zarządzenie grona nauczycielskiego sprawowali ^{nad młodzieżą} nadzór w czasie wycieczek, uroczystości a także w organizowaniu dożywiania w szkole.

W tym czasie - chyba w IV lub V klasie - zabawiłem się z bratem Ludwikiem w „redagowanie” już wyższego rzędu, niż za dzieciństwa. Zachciało się nam szkolnej „gazetki humorystycznej” pt. „Wióry”. Pomysł ten sprowadzał się do jednej lub dwóch kartek

nieliniowanego papieru, które atramentem fioletowym wypełnialiśmy własnymi wierszykami bądź krótkimi opowiadankami z życia szkolnego; nie brakło ironizujących docinków na temat naszych preceptorów. Oczywiście w każdym jednoegzemplarzowym „Wydaniu” nie brakło też ilustracji spod ołówka Ludwika. Kartki te kolportowane między ławkami – jeden z kolegów Henryk Kopia /syn dyrektora jednego z gimnazjów/ chyba w najlepszej intencji pokazał swemu ojcu. Po kilku dniach dyrektor Wojciechowski wezwał nas do swego gabinetu, tu w oględny, ale stanowczy, sposób zakazał nam rozpowszechniania w szkole tego rodzaju „utworów”, przemilczając ocenę tych „redatorskich” prymicji. Tego samego dnia w kurendzie dyrektorskiej, obnoszącej przez tercjana po klasach – odczytali nauczyciele zakaz układania i rozpowszechniania wśród uczniów tego rodzaju pisemek. W ciszy domowej „wydaliśmy” jeszcze kilka „numerów”; niestety całość tego pisanego „periodyku” zaginęła mi w czasie opuszczania Lwowa na zawsze.

Mimo ~~nastroju~~ dohumorystyki szkolnej dożywanie nas w tym czasie w szkole było bardzo liche: przeważnie ersatz herbata i kromka chleba ze sztuczną marmeladą. Głód naprawdę zaglądał nam w oczy, zwłaszcza od 1917 r. Pamiętam, jak po pierwszym bardzo skromnym śniadaniu w domu już idąc do szkoły – myślałem o zjedzeniu owej kromki chleba najczęściej rozsypującego się, bo sporządzonego z rumuńskiej kukurydzy a później z dziwnie klejącej się gorzkawej mieszaniny bobu, ziemniaków i innych domieszek. Po tym „śniadaniu” już po godzinie z uczuciem dojmującego łaknienia marzyłem o obiedzie, a po nim o kolacji. Żadna z późniejszych wojen nie zbliżyła mnie tak, jak owe dwa lata /1917-1918/ do osobistego zapoznania się z głodem.

Zmieniło się również grono naszych nauczycieli. Z końcem roku

szkol.1916/17 opuścił VI gimnazjum Konstanty Wojciechowski, a dyrekturę po nim objął Stanisław Sobiński historyk i geograf; sprawował ją do wiosny 1918 r. kiedy powołano go do Warszawy na wyższe stanowisko w władzach oświaty. Był to to człowiek o bardzo skupionej fizjonomii; kontakt jego z młodzieżą był rzadszy, może dlatego, że zbyt krótko wśród nas przebywał. Zapisano później w kronice Gimnazjum, że zżył się z typem szkoły realnej, w której pracował przez lat piętnaście w Tarnobrzegu, że na sprawy kształtowania psychiki młodzieży patrzył przez nakazy chwili bieżącej, brzemiennej w wielkie wydarzenia i zwiastującej przełomowe zmiany w położeniu Polski. Z drugiej strony przeciwstawiał się "zbarbaryzowaniu duszy dziecka", apelował do grona nauczycielskiego o zbliżenie uczniów do życia współczesnego, do podłoża społeczno-ekonomicznego kraju /przez który rozumiał całą Polskę, nie tylko Galicję/, domagał się wyrobienia w uczniach zamiłowania do pracy społecznej i podnoszenia ciągłego postępu w kulturze duchowej i materialnej narodu. W tym duchu przemawiał też kilkakrotnie do młodzieży, ale dystans między nią a nim był jednak znaczniejszy, niż za dyrekcji Wojciechowskiego. Później, gdy opuścił już naszą szkołę i był najpierw wizytatorem ministerialnym a następnie pierwszym Kuratorem Okręgu Szkolnego Lwowskiego - jego idee przybrały charakter wyraźnie polityczny. Stał zdecydowanie na stanowisku interesów polskich na obszarze t.zw. Małopolski Wschodniej czyli trzech województw : lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. W związku z tym spotkała go śmierć ^{z ręk} nacjonalistów ukraińskich, dokonana skrytobójczo na ulicach Lwowa /1926 r./, w okolicy Bursy Grunwaldzkiej, w której mieszkał.

2/ Znałem bardzo dobrze dwie jego córki: Lidie /zameżną za Ludwikiem Zygalskim/i drugą, której imienia i nazwiska ślubnego nie pamiętam. Jako słuchacz Uniwersytetu byłem zapraszany na zabawy domowe Sobińskich, tylko w czasie karnawału. Mord na Stanisławie
c.d.

Aby w dalszym opowiadaniu nie wracać do osób dyrektorów - dodaję, że po wyjeździe Sobińskiego do Warszawy - kierował Gimnazjum dr Jan Oko, filolog klasyczny, zasługujący na wzmiankę również jako człowiek nauki. Był to mężczyzna wysoki, dość surowym wejrzeniu, poważny i wymagający. Zanim objął dyrekcję wykładał nam grekę i łacinę. Był znawcą obu języków wybornym, to też - już po mojej maturze - powołany został na katedrę filologii klasycznej w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Dystans między nim a uczniami był niestety znaczny, ale nie pamiętam żadnego jego zarządzenia, które wywoływałoby wzburzenie w ławkach czy na korytarzach. A właśnie na jego rządy wypadły najważniejsze i doniosłe zmiany polityczne ^{w kraju.} Rozpętały namiętną reakcję wśród patriotycznej i zupełnie inaczej, niż do 1916 r., myślącej młodzieży; ^{poszerzył się} udział jej w organizacjach jawnych i tajnych, w demonstracjach antyrządowych, wreszcie bezpośredni udział w działaniach wojennych. Rwały się studia, w salach szkolnych coraz więcej widziano kolegów umundurowanych, którzy w rozmaity sposób kończyli swe nauki. By sprostać tym wszystkim trudnym i rozsadzającym ciche życie szkolne zmianom - trzeba było silnego charakteru i odwagi. Takim właśnie człowiekiem był Jan Oko, badacz Sofoklesa i Horacego, entuzjasta antycznej kultury.

Do listy moich bezpośrednich pedagogów - również przybyły nowe nazwiska i indywidualności. Wśród nich wrył się w pamięć moją i wszystkich kolegów dr Juliusz Balicki. Był naszym mentorem w polonistyce - z niedużymi przerwami - do matury. Postać niezwykle

c.d. Sobińskim wywołał olbrzymie oburzenie we Lwowie; śledztwo jednak nie wykryło istotnych sprawców. W każdym razie niesłuszne były pogłoski, że Sobiński ulegał niewolniczo polityce endeckiej, zwalczającej rozbudowę szkolnictwa i uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie.

ciekawa; równie interesujące były jego losy po opuszczeniu murów VI Gimnazjum a Nazwisko związało się na trwałe z nauczaniem języka i literatury polskiej dzięki zredagowaniu wraz z Stanisławem Maykowskim 6-tomowego cyklu podręczników, którego tom czwarty w czterech częściach nosił znany dziś tytuł "Mówią wieki".^{3/} Myśmy nie uczyli się już z tych książek; czerpaliśmy wiedzę o dziejach piśmiennictwa polskiego z wydawnictwa Konstantego Wojciechowskiego pt. Wypisy polskie dla szkół średnich, które ukazywały się niemal co roku w nowym poszerzonym opracowaniu. Do nauki gramatyki języka ojczystego był używany podręcznik Zygmunta Samolewicza, ale po dwu pierwszych latach w gimnazjum lekcje z gramatyki polskiej należały do rzadkości. Cały bowiem nacisk i metoda kształcenia polonistycznego przez Juliusza Balickiego sprawdzały się do estetyczno-psychologicznego nauczania mowy ojczystej. Wpływ jego osobowości na mentalność klasy był olbrzymi a wynikał nie tylko ze specyficznych zabiegów dydaktyczno-lekcyjnych, ale i wielkiego zbliżenia do uczniów w wspólnych wyprawach do teatru i wycieczkach szkolnych. Być w czasie wycieczki blisko swego wychowawcy, rozmawiać z nim czy nawet dyskutować - należało do wielkiej przyjemności i zaszczytu; to też w czasie dalszych spacerów np. do głośnych podlowskich Brzuchowic skupiało się przy nim najwięcej studentów/wśród nich stale byłem ja i brat Ludwik/.

3/ W nekrologu który mu poświęciłem na łamach "Ruchu Literackiego" /1964, nr 5/6 wymieniłem tytuły wszystkich tomów ; I: Kraj lat dziecińczych /1926/, II: Będziem Polakami /1928/, III: Mój serce /1930/, IV: Mówią wieki /1931-1939/ przeznaczony w 4 tomach /częściach/ dla czterech klas gimnazjalnych. Prócz tej serii ukazały się tych samych autorów trzy czytanki dla szkoły podstawowej: Pieśń o ziemi naszej /1933, Okno na świat /1937/ i Niesiemy plon /1935/.

Inni profesorowie nie cieszyli się taką popularnością. Interesowaliśmy się osobą ~~xxxxxxx~~ ^{Balickiego} i na ogół wiedzieliśmy o nim dużo. Był szczupły, o twarzy drobnej, śniadej, bez zarostu ; w ubraniu, sposobie bycia i ruchach odbijał elegancją od innych członków grona. Wiedzieliśmy, że kończył studia swe we Wiedniu, skąd właśnie wyniósł swe założenia dydaktyczno-wychowawcze a także osobistą kulturę, głębokie zainteresowanie do sztuk pięknych. Często obijały się o nasze uszy echa jego działalności w prasie lwowskiej, szczególnie jako recenzenta muzycznego i teatralnego na łamach "Gazety Lwowskiej" i "Gazety Porannej", ^{także} jako autora rozpraw w "Pamiętniku Literackim". Kładł duży nacisk na sztukę wymowy i w analizie utworów poetyckich, które sam zawsze przed klasą odczytywał - wydobywał ze szczególną starannością estetykę słów i efekty dźwiękowe, szczególnie onometopeiczne lub dramatyczne. Z wielkim zainteresowaniem oczekiwaliśmy zawsze omówienia i oceny naszych klasówek czy zadań domowych. Miło mi wspomnieć, że zarówno niektóre z wypracowań moich i mego brata - były klasyfikowane przez niego bardzo wysoko i często charakteryzowane jako ciekawe ujęcie - przed omówieniem zadań kolegów.

Aby nie wracać w dalszych partiach tych wspomnień do tak bardzo bliskiej mi osoby pragnę tu zapisać niektóre mało znane szczegóły jego życia. Żył w stanie kawalerskim, ale powtarzane na ucho jego sympatie w świecie kobiet, zwłaszcza teatru i muzyki, krążyły wśród nas; byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Przekonałem się później w życiu, jak o popularność zabiegają artyści i nie tylko oni w redakcjach pism i kawiarniach ; Balicki miał swój stały stolik w eleganckiej kawiarni Zaleskiego na ul. Akademickiej . Po powołaniu go na naczelnika Wydziału Programowego w Ministerstwie Wyznań

Religijnych i Oświecenia w Warszawie /ok.1930 r./ podpisał podobno sam zalecenie władz ministerialnych dla szkół, tej treści, by nauczyciele j. polskiego wprowadziwszy któregoś z autorów podręcznika do nauki szkolnej - posługiwali się w następnych latach jego dalszymi wypisami. Zasada merytorycznie słuszna - zaszkodziła Balickiemu srodze. Seria jego wypisów rozpoczęta jeszcze w 1926 r. i często wznawiana - nie miała właściwie konkurencji. Wspomniane wyżej "Wypisy polskie" Konstantego Wojciechowskiego i Franciszka Próchnickiego, z którymi w rękę rozpoczynałem zapoznanie się z literaturą ojczystą - uważano już na przestarzałe i przeżyte. Rzec jasna, że podręcznikowe zalecenia Ministerstwa WR i Ośw. przyniosło niezwykle poważne dochody zarówno Balickiemu, jak i Stanisławowi Maykowskiemu; ten ostatni zdołał za honoraria pobierane z wielkiego lwowskiego wydawnictwa p.n. "Książka i Atlas" wybudować wspaniałą rezydencję w Brzuchowicach pod Lwowem. Powodzenie finansowe bardziej od niego zaszkodziło Balickiemu. Jeszcze w 1934 r. zdołał uzyskać Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, ale niebawem w drodze niejako dyscyplinarnej - przeniesiony został na niższe stanowisko wizytatora Kuratorium w Wilnie. Tam zaskoczyła go druga wojna światowa. Dopiero w 1946 r. przeniósł się do Tarnowa, gdzie jakiś czas kierował Miejską Biblioteką Publiczną. Ale tknięty częściowym paraliżem był już niezdolny do pracy. Odwiedziłem go tam dwukrotnie. Po raz pierwszy w czasie moich poszukiwań materiałów rękopiśmiennych do monografii o Julianie Macieju Goslarze /1950/ udostępnił mi prywatną korespondencję Sanguszków; po raz wtóry za rok, ^{Kiedy} jako kierownik Zakładu Historii Ruchów Społecznych w Uniwersytecie Jagiellońskim proponowałem mu zebranie źródeł rękopiśmiennych tarnowskich do rzezi

galicyjskiej w 1846 r. Przyjął mnie bardzo serdecznie obiadem w swoim obszernym mieszkaniu; żył samotnie w towarzystwie jedynej kucharki -opiekunki. Przedstawił mi dość rozległe własne materiały do dziejów literackich Tarnowa, które pragnął kiedyś wydać. Ale do kwerendy archiwalnej, choćby w granicach jednego miasta nie był już zdolny. Pięknym swym pismem skopiował tylko nieznany jeszcze wówczas memoriał ks. Władysława Sanguszki do gubernatora Fr. Stadiona o wypadkach 1846 r. i ^{p)} powstaniu chłopskim Jakuba Szeli, przechowywany w rękopisach Biblioteki Tarnowskiej. Wymieniliśmy jeszcze kilka listów, po czym kontakt między nami urwał się. Zmarł 16 kwietnia 1963 r.; grób jego odwiedziłem dopiero po kilku latach.

Przez rok lub więcej miejsce Balickiego zajął starszy od niego o lat dziesięć Stanisław Paluchowski. O znacznie skromniejszych ambicjach dydaktycznych - zapisał się raczej na polu spółdzielczości nauczycielskiej. Toteż brat mój Ludwik komponując pod koniec studiów satyryczny album sylwetek profesorskich przedstawił go rysunkowo jako Hermesa trzymającego ^{wyseko w} ~~w jednej~~ ręce wagę, której jedna szala napełniona jakimś towarem wyraźnie przewyższała drugą ~~szalę~~ z otwartą na niej książką. Lekcja Paluchowskiego odznaczała się raczej szablonowym planem ; w swoim wykładzie lubiał używać terminologii handlowej w odniesieniu do zjawisk literackich. Przypominam sobie, jak mówiąc o którymś z poetów oświecenia - użył wyrazu „sprężyna nowych prądów”. Zaśmiał się na to z cicha kolega Stanisław Olszewski, nie uszło to uwagi Paluchowskiego, który z miejsca ujawnił swe niezadowolenie :

- Olszewski, nie śmieję się ! Sprężyna trafia się najlepszemu mowcy - na co ^{już} klasa zareagowała głośnym śmiechem.

W zakresie filologii klasycznej mieliśmy kilku pedagogów. Istny

89

postrach siał Michał Kińczyk, nauczyciel greki. Już sama postać i fizjonomia jego przejmowała dreszczem, potęgowało go ~~zmały~~ niezwykle ostre klasyfikowanie odpowiedzi. Był bardzo szczupły, niemal suchy; sprawiał wrażenie chorego płucnie. Głos miał ostry, uwagi rzucał lapidarne. Najbardziej rozwiniętą myślą w stosunku do uczniów był jego dwuwiersz :

Jak się cokolwiek nie podoba komu,

Może wyjść z klasy i wrócić do domu ...

Ale niechby kto chciał skorzystać z tego zaproszenia i Siedzieliśmy jak trusie, unikając raczej jego wzroku. Wpatrywaliśmy się w tekst Iliady i zeszyty; nie daj Boże było komu ukryć pod ławką t.zw. bryka, tj. tępienie w szkole przekłady tekstów z objaśnieniami słownikowymi. Greci uczono wówczas od trzeciej do ósmej klasy, więc przez pięć lat.

Po dwu latach zmieniła się osoba grezysty; przedmiot objął Stanisław Cygan, o wiele łagodniejszy od poprzednika, zamiłowany w harcerstwie i w wychowaniu fizycznym. Trochę z tych jego zamiłowań ujawniało się w czasie lekcji. Był rzutki, zdecydowany w ruchach, tępił ospałość myśli, brak samodzielności; chętnie organizował w godzinach pozalekcyjnych ćwiczenia quasiwojskowe, które miały przygotować starszą młodzież do służby w szeregach austriackich. Przypominam sobie, że bodaj w 1917 r. były zarządzane *sui generis* "manewry szkolne" w okolicach Lesienic i Pohulanki; Cygan pełnił wówczas rolę jakby szefa sztabu, choć w imprezie tej występowały wszystkie szkoły średnie. O wiele ciekawszą postacią wydał się nam Maciej Rataj, który w 1917 r. objął u nas łacinę. Pamiętam jego pierwsze wejście do klasy. Wysoki i szczupły, z okazałą ciemną fryzurą na głowie, ale bez zarostu, stanął na podium przy katedrze,

ukłonił się klasie i powiedział :

- Jestem Maciej Rataj, będę panów uczył łaciny ... -

Zdziwiło nas takie wysobie potraktowanie klasy, ale też dzięki temu wytworzył się wzajemny stosunek oparty na szczerości ze strony nauczyciela i sumienności w pracy ze strony uczniów. Jakoś w kilka dni po owej pierwszej lekcji - Rataj poprosił klasę o pomoc w podaniu mu adresu mieszkania do wynajęcia. Nie wiedzieliśmy, że był działaczem ludowym, nie przypuszczaliśmy również, że za 3 lata zostanie ministrem oświaty. Ale z jego postawy, sposobu mówienia i zachowania się przemawiała osobowość odrębna od typowego nauczyciela. Toteż szczerze żałowaliśmy, gdy miejsce jego zajął Stanisław Fyda, przypominający nieco oschłością Michała Kińczyka. Przyszedł do nas z Tarnopola i było w nim chyba coś z prowincjonalnego nauczyciela. Zdziwiło nas też bardzo, że mimo trzymania się tradycyjnego kanonu lekcji - przy przerabianiu „Od” Horacego - zapowiedział z końcem jednej z lekcji :

- Na następną lekcję proszę przełożyć tę odę wierszem na j. Polski ! - Zorientowaliśmy się, że nie chodzi mu o popis całej klasy w sztuce przekładu, na co mogli się porywać tylko bardzo nieliczni. Do tych należałam ja z bratem i na przemian popisywaliśmy się przekładem o tyle wolnym, że nie powtarzającym zupełnie ściśle treści każdego wiersza. Zdaje się, że jedną z ód przełożył kolega [wspomniany] Henryk Kopia, inną celujący uczeń klasy - Kazimierz Dziurzyński. Odczytywanie otwierało każdą następną lekcję. Fyda nie krytykował; ocenę przekładu zamykał w słowach : „dobrze”, lub „no dobrze” ! Uważał widocznie, że tłumaczenie jest rzemiosłem, choć wyższego rzędu, którego można się nauczyć na ławie szkolnej. 4/

4/ Dokonałem takiego oto przekładu słynnej „ody” „Momentum exegi...”

Wzniosłem swój pomnik trwalszy, niż w spiżu odlany,
I wiem, że przetrwa piramid ogromy !
Nie zdołają go skruszyć ani czasów rany
Ani ulew czy rzek prądy, ni wodospad stromy.
Dzieło me - nieśmiertelne ! Bez śladu nie minie żywot cały,
Lecz sławą trwać będzie w pokoleń pamięci
Tak długo, jak na Kapitol kapłani na chwałę
Zeusa wchodzić będą, aby go tam święcić.
Sława ma sięgnie także **po** Aufidu brzegi,
Gdzie król Daunūs władał nad nędzy krainą
I nad wieśniakami, których największe zabiegi
O plony - susze obracają w zupełną ruinę.
I - choć z chłopów zrodzony - lutnię swą nastroję
W tony pieśni **Ćelór** tak czarownie brzmiące,
Że z dumą wezwę Melpomenę, by wawrzynów strojem
Uczciła me czoło, jako sławie wieczystej służące.

Matematyki i geometrii uczył nas przez wiele lat świetny znawca przedmiotu, ale raczej urodzony pedagog, niż naukowiec - Tadeusz Wrabetz. Pedant w każdym calu, nie tolerujący podpowiadanie czy innych sztuczek studenckich - przestrzegał pilnie planu lekcji: ~~zaczynała ją~~ ~~XXXXXXXX~~ rekapitulacja poprzedniej /odpowiadało przy tablicy dwóch lub trzech kolegów po kolei;/ w czasie tej powtórki znieca zaskakiwał nas do szybkiej odpowiedzi w ławkach. Następnie przedstawiał nowe zagadnienie i - jeśli czas pozwolił zamykał je lapidarnym resumé. Oczywiście na każdą następną lekcję były zadane dwa, trzy wypracowania z podręcznika ćwiczeń. W matematyce ani ja ani brat nie byliśmy tędzy. Do siódmej klasy mieliśmy pomoc korepetytorską; najpierw udzielał nam jej akademik Kozak /zdaje się Witold /, który później poświęcił się karierze śpiewaka, po nim nasz kolega z klasy, zdolny zarówno w matematyce, jak i łacinie, Antoni Falkiewicz. Prof. Wrabetz traktował nas zresztą względnie łagodnie; jak się po maturze przyznał, dlatego, że nigdy nie miał pewności, czy zamiast Ludwika nie wyjdzie do tablicy Marian bądź odwrotnie. Nam nigdy taka sztuczka nie zaległa się w głowie.

Kiedy przyszedł czas na propedeutykę filozofii - dostaliśmy się pod skrzydła wybitnego logika, po drugiej wojnie światowej profesora Uniwersytetu Toruńskiego - dr Kazimierza Sośnickiego. Na propedeutykę składała się zarówno logika, jak i psychologia, ale Sośnicki więcej czasu i uwagi poświęcał tej pierwszej. Wykład był bardzo przejrzysty i jasny; mimo że bardziej interesowała mnie psychologia - przyswoiłem sobie fundamenta logiki na tyle, że z chęcią sam uczyłem tego przedmiotu, gdy rozpocząłem pracę nauczycielską. Kontakt z Sośnickim trwał tylko jeden rok; szybko zagarnęły go władze kuratorskie a następnie ministerialne.

Aby zakończyć galerię moich pedagogów - nie mogę nie wspomnieć o młodym suplencie, który zjawił^{się} w naszych klasach już pod koniec studiów /1918/1919/. Był to Jerzy Pogonowski ;towarzyszył zrazu Julianowi Balickiemu na lekcjach literatury polskiej, by wreszcie objąć prowadzenie przedmiotu samodzielnie. Młody /miał lat 21/, rosły, o ruchach sportowych a fizjognomi naukowca - lubiał dużo rozmawiać z młodzieżą o literaturze, sztuce, muzyce, a bardzo wiele o sobie ;prowadził nas chętnie na wystawy malarstwa, m.i. do Pałacu Sztuki na Placu ~~Powystawowym~~ / zanim utworzone tam Targi Wschodnie/. Dzięki jego rozmowności może za wylewnej, jak na pedagoga - dowiedzieliśmy się o jego studiach i zainteresowaniach. Po polonistyce w Uniwersytecie Jana Kazimierza - specjalizował się w slawistyce w Zagrzebiu i Bratysławie; chętnie popisywał się znajomością niemal wszystkich języków słowiańskich /prócz ukraińskiego/, nie ukrywał, że pisze wiersze i wogóle dużo publikuje. Żona jego Wanda z Żygulskich była malarką, hołdującą symbolizmowi i secesji; o jej twórczości mówił nam na wystawach, na których szczególną uwagę poświęcał bratu memu Ludwikowi, wiedząc już o jego zaawansowanych początkach w malarstwie. Chętnie podkreślał swe umiejętności sportowe jakby dla podkreślenia kontrastu z resztą grona pedagogicznego i umiejętności zespolenia w swej osobie wielorakich talentów. W czasie wojny służył w kawalerii, po wojnie parał się szermierką. Był to niewątpliwie osobnik bardzo zdolny, o dużej pamięci /wygłaszał większe partie wierszy słowiańskich/, i bystrej orientacji. Już w Bratysławie studiował prawo, by później ukończyć je w kraju. Jako młodzi jego elewi chłonęliśmy z zainteresowaniem jego wypowiedzi, ale i nas raziła dziwnie jego zarozumiałość, łącząca się zresztą z życzliwością i skłonnością do szerokiego kontaktu z tymi spośród nas, których interesowały sprawy literatury,

plastyki, teatru. Jego kontakty ze mną po kilkadziesiąt latami przerodziły się w długą koleżeńską przyjaźń.

Obraz życia szkolnego byłby bardzo niekompletny, gdybym nie zarysował kilku sylwetek kolegów, przynajmniej tych, z którymi ława szkolna połączyła mnie i brata na kilka lat.

Do dnia dzisiejszego zachowałem w pamięci niestety nieżyjącego ^{już} od lat przeszło dwudziestu krępą i niską postać Franciszka Staruszkiewicza, syna radcy sądowego o rok ode mnie młodszego; ~~zawsze imponował~~ ~~zawsze imponował~~ mi niezwykłą inteligencją. Nie był t.zw. "celem" /tj. uczniem celującym/ ale z wszystkimi przedmiotami dawał sobie znakomicie radę. Szczególnie śmiałe myślenia i własną interpretację wykazywał w historii. Zapalony w ~~rozważaniach~~ ^{rozgadaniu} na tematy stosunków polsko-rosyjskich po kongresie wiedeńskim lub roli wodzów w powstaniu listopadowym - odprowadzał nas obu często aż pod furtkę naszego domu, mimo iż do swych rodziców przy ul. Wyspiańskiego miał dziesięciokrotnie bliżej. Różnił się od nas wszystkich jakąś odrębnością umysłową, w żartach szkolnych nie uczestniczył, nie bardzo palił się do wycieczek. Po maturze kolegował ze mną na filozofii na Uniwersytecie, lecz studia zaczął wprost od historii, ~~jak~~ ja od polonistyki. W 1923 r. przeniósł się do Warszawy, gdzie wszedł do Seminarium prof. Marcelego Handellsmana; miał - o ile pomnę - jakiś zatarg z prof. Stanisławem Zakrzewskim i porzucił wszechnicę lwowską. W Warszawie mieszkał na jednym z przedmieść z moim bratem Ludwikiem i na tej kwarterze po nocach monologował jako historyk do adepta grafiki, zainteresowanego innymi zagadnieniami. Skarżył mi się mój biedny bliźniak, zawsze ustępliwy i cierpliwy, że Franciszek wypalał sporo papierosów i miał nieprzyjemny zwyczaj - zapewne przez nieuwagę - dmuchać dymem w twarz. Rano zaspany i niezorganizowany

potrafił tak długo kręcić się po pokoju, aż słyszeć się dał gwizd nadjeżdżającej kolejki podmiejskiej ; jednym susem pędził przez łąkę i wpadał do pociągu już w biegu.

Miał duże zdolności także językowe. Ponieważ podjął się pracy doktorskiej na temat głośnego Sądu Sejmowego 1828 r. ^{także} na podstawie archiwaliów rosyjskich, w ciągu miesiąca tak opanował język rosyjski, że dawał sobie świetnie radę z rękopisami i terminologią prawniczą owych czasów. Objął potem posadę nauczycielską w Końskich. Zetknąłem się z nim dopiero po drugiej wojnie światowej w Krakowie. Dotknięty nieuleczalną chorobą „ sclerosis multiplex” zamieszkał tu i leczył się u swego bliskiego krewnego dr Rossa. Odwiedzaliśmy się wzajemnie ; z wielką gotowością pomagał mi w samych początkach zakładania mojej kartoteki biograficznej Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Po raz pierwszy w oczach tego nieugiętego w swojej intelektualnej odrębności kolegi - zobaczyłem wielkie krople łez, gdy mówił świadomie o nieuleczalności swej choroby. W ciężkim stanie przewieziony przez siostrę do Bydgoszczy - tam zmarł ok. 1954 r. Mimo nieprzeciętnych zdolności - nie pozostawił po sobie wiele w druku, jedną lub dwie rozprawy, może dwa lub trzy artykuły historyczne w prasie. A był to jeden z najbrzystrzejszych umysłów, z którymi spotkałem się wśród moich rówieśników.

Jakże odmienną umysłowość zaprezentował Antoni Falkiewicz, dzisiaj - kiedy piszę te wspomnienia - jeden z najbardziej cenionych kardiologów polskich, prof. Akademii Medycznej w Wrocławiu. Tęższy od Staruszkiewicza, ale jak on krępy, o jasnej blond fryzurze - syn listonosza - nie tracił czasu na żadne dyskusje, tym mniej na szkolne imprezy. Pracowity, oddany pracy i korepetycjom - świetnie orientował się w matematyce i przyrodoznawstwie ; był zresztą

uczniem celującym. Nie sprawiała mu żadnych trudności łacina, ale w polonistyce nie brylował. Kontakt nasz się urwał z chwilą wybuchu walk polsko-ukraińskich o Lwów ; z kampanii tej wyniósł krzyż Orląt Lwowskich. Kolegowaliśmy jeszcze w r.szk. 1919/20 i razem zdawaliśmy maturę. Później zapisał się na medycynę na Uniwersytecie J.Kazimierza ; dla pogłębienia wiadomości spędził rok w klinikach uniwersyteckich Wiadnia i objął asystenturę na internie. Korzystałem później kilkakrotnie z jego pomocy jako lekarza. Był koleżeński, ale na swój sposób; bez skłonności do dłuższych rozmów, bardzo dbał o to, by nie tracić cennego czasu i nie roztkliwiać się nad wspólnymi przeżyciami.

Nieco podobnym do niego w poszanowaniu czasu i bardzo wzorowym we wszystkich obowiązkach uczniowskich - był Kazimierz Dziurzyński. Przez szereg lat na świadczeniach jego z góry na dół figurowały noty bardzo dobre. Był on ozdobą nie tylko naszej klasy, ale chyba całego gimnazjum. Walczył również w obronie Lwowa, ba - dostał się do niewoli ukraińskiej, przecierpiał obóz jeńców w Dolinie, zapadł na tyfus. Wróciwszy szczęśliwie do Lwowa - po wycofaniu się Ukraińców na wschód - zasiadł razem z nami do egzaminu dojrzałości, który zdał oczywiście welujaco. Wybrał studia prawnicze i z początkiem ich trwania kontakt między nami utrzymał się dzięki wspólnej pracy w organizacji Akademickiej Młodzieży Niezależnej na Uniwersytecie Lwowskim.

Żywiołową naturą odznaczał się Władysław Beker Bogusz /^{drugi} ~~K~~ nazwisko zmienił jego ojciec, adwokat, pod koniec rządów austriackich /. On to był autorem psikusów szkolnych, wyrządzanych naszym pedagogom ; ale trzeba zapisać na jego chwałę, że miał odwagę przyznać się do nich. Wyczynów tych zresztą nie było wiele, ustały one zupełnie z końcem klasy VI. Wiem że Bogusz po maturze - zapisał się na

prawo, ale kontakty nasze ograniczyły się do kilku wizyt u niego. Z zamiłowaniem fotografował i pozostało mi kilka zdjęć jego roboty. Jakie były dalsze koleje jego życia nie wiem. Byłem już docentem Polskiej Akademii Nauk a więc po r. 1955, gdy otrzymałem list od jego siostry z wiadomością, że zmarł - zdaje się na emigracji. Do listu dołączona była zbiorowa fotografia, wykonana przez niego a przedstawiająca naszą klasę jako grupę w kostiumach teatralnych przygotowującą się w garderobie Teatru Wielkiego do okolicznościowego przedstawienia Wład. L. Anczyca "Kościuszkę pod Racławicami". Mieliśmy wystąpić jako statyści zaangażowani do tej roli przez prof. Balcickiego. Było to najprawdopodobniej w 1916 lub 1917 r.

Z kilkunastoma kolegami przyszło mi niestety po maturze - rozstać się na zawsze, o ile nie liczyć krótkich, okolicznościowych spotkań po kilku czy kilkunastu latach, najczęściej przypadkowych na ulicy czy w kawiarni. Wyjątek w tej grupie stanowił Stanisław Olszewski, który chętnie sekundował Boguszowi w aranżowaniu studenckich wybryków, ale - jak i on - nie brylował w nauce. Wspominam tu o nim dlatego, że jako student prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza był jednym z najbardziej aktywnych działaczy Akademickiej Młodzieży Niezależnej.

Współpracowałem z nim w tym czasie bardzo żywo, założyliśmy wspólnie miesięcznik ideowy "Akademicką Myśl Niezależną". Wszedłem do Komitetu redakcyjnego i objąłem sekretariat redakcji. Z trudem zdobywaliśmy fundusz na druk kolejnych numerów, wydanych w 1921/22 r., pismo słabo się rozchodziło, ponieważ rynek czytelniczy zarzucony był mnóstwem periodyków akademickich /przeważnie o charakterze efemeryd /i liczne organizacje studenckie ostro ze sobą rywalizowały. Chyba po 7 - 8 zeszytach "Myśl Niezależna" zakończyła swój żywot; ale jej zawdzięczam swój debiut publikacyjny dłuższym artyku-

Bierowski, subtelny w stosunkach koleżeńskich i znakomicie wychowany, syn zamożnych rodziców, cieszący się sympatią grona nauczycielskiego /patronowali nam Juliusz Balicki i Jerzy Pogonowski/. Bierowski po doktoracie prawa poszerzał je jeszcze w Paryżu i szybko dostał się do Komisariatu Generalnego R.P. w Gdańsku jako referent, poczem przeszedł do służby dyplomatycznej.

Aliści wyżywanie się w intelektualnej i artystycznej robocie już młodzieży ówczesnej nie wystarczało. W ławy szkolne zaczęła wdziewać się propaganda polityczna o silnym wydźwięku niepodległościowym a tym samym antyrządowym. Chwytałyśmy z namiętnością, jedne z większą, inni z ostrożniejszą te nowinki i werbunek do różnych przeważnie nielegalnych organizacji. Atmosfera z każdym kwartałem 1917 i 1918 r. stawała się coraz duszniejsza ; żyliśmy legendą legionową nabrzmiałą od coraz to nowszych wydarzeń, czytaliśmy w domu gazety przemycające coraz wyraźniej idee odbudowy Polski zjednoczonej i niepodległej, zwłaszcza od głośnej w tej sprawie rezolucji Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim /maj 1917/; ostro przeciwstawiała się wcześniejszemu manifestowi dwóch cesarzy z 5 listopada 1916 r. o okrojonym i w pełni ~~xxxxxxx~~ ~~xxxx~~ zależnym od państw centralnych Królestwie Polskim. Marcowa rewolucja rosyjska 1917 r. nie pozostała bez emocji i dyskusji wśród starszej i bardziej lewicowej młodzieży. Jak bomba wpadła w styczniu 1918 r. w ten młodzieżowy konglomerat nadziei i planów ^{wieść} o "czternastu punktach" prezydenta Wilsona, wymieniających m.i. postulat Polski wolnej i z dostępem do morza. Tym gwałtowniejsze i powszechniejsze oburzenie wywołał lutowy traktat brzeski z t.r., który za cenę ukraińskiego zboża pozbawiał przyszłe Państwo Polskie obszaru Chełmszczyzny. Sens tego faktu był oczywisty dla

całej społeczności studenckiej, w czym niemałą rolę odegrali nasi profesorowie, dotychczas raczej **odsuwający** agitację polityczną od swych wychowanków. Cały Lwów ogarnęła potężna fala manifestacji antyrządowych; odbywały się głośne i coraz liczniejsze wiece, na ulicach zapanował nastrój już nie tylko sprzeciwu, ale gotowości do walki z reżimem, kościoły rozbrzmiewały pieniemi patriotycznymi. W czasie jednej z masowych demonstracji rozległy się strzały policji, trupem padł student gimnazjalny Marian Czerkas. Atmosfera napięcia osiągnęła szczyt. Ciało jego wystawiono na widok publiczny w słynącej z renesansowego piękna Kaplicy Boimów; w dwudniowych honorowych dyżurach przy trumnie wypadło i mnie spędzić kilka godzin.

Wszystkie te wydarzenia stanowiły z jednej strony praktyczną lekcję historii Polski, z drugiej tło **wkorzenia** się w glebę szkolną wspomnianych już legalnych i nielegalnych organizacji politycznych. Tą, w którą wciągnięto mnie z bratem i szeregiem kolegów naszej klasy - było Zarzewie, istniejące już szereg lat i przeradzające się pod wichrem historycznych wydarzeń w Związek Młodzieży Niepodległościowej. Oczywiście duchowe i organizacyjne przewodnictwo spoczywało w rękach młodzieży **akademickiej**, studenteria szkół średnich objęta była małymi komórkami przeważnie w ramach poszczególnych klas. Naszą klasę zwerbował dwaj studenci prawa Roman Lutman i Władysław ?/ Rūmun; oddali nam na zebrania dość ciemny pokój w Bibliotece Bratniej Pomocy prawników /jednakże nie w głośnym od działań politycznych Domu Akademickim przy ul. Łozińskiego, lecz w kamienicy o kilkaset kroków dalej, przy ulicy - o ile dobrze pamiętam - A. Małeckiego/. Zbieraliśmy się tam **do** dwa tygodnie, na referaty dyskusyjne, które sami opracowywaliśmy z dzieł treści społecznej, podsuwanych nam przez naszych przewodców. Przy-

pominam sobie, że brat Ludwik referował niełatwą książkę, którąś z socjologicznych traktatów Herberta Spencera, ja książki B. Limanowskiego.

Tę edukację ideową przerwały zmagania polsko-ukraińskie o Lwów, słynny "ruski listopad" 1918 r. Miasto zamarło w swym życiu, przedzieliła go linia frontu, zamilkły dzwony kościelne, ustała wszelka komunikacja, zawarły się wrota szkół. Z żywych lekcji dziejów, z edukacji intelektualnej patriotyzmu trzeba się było poddać edukacji wojskowej i to z zaciągu ochotniczego. Kiedy front bojowy przesunął się przez bliski nam Cmentarz Łyczakowski ku Lesienicom i Snppkowa zgłosiliśmy się o przydział w Komendzie Miasta. Niedługa i dziwna to była służba, napoły wartownicza i telefoniczna w kompanii komendanta placu. Moje początki, militarne, zanim wcielono mnie do Centrali telefonicznej, sprzęgły się w pamięci z odrażającą postacią do alkoholu postacią sierżanta, który czuwał nad wchodzeniem i wychodzeniem petentów do Komendy Miasta przy ul. Wałowej. Ogłupiające było moje przy nim zadanie :zapisywanie nazwisk tychże petentów, na co zresztą szef -sierżant nie kładł żadnego nacisku. Na moje szczęście u jego boku funkcjonował z niższą szarżą-wzięty później aktor Janusz Warnecki, z którym rozmowa przerywała od czasu do czasu moją śmiertelną nudę. Przydzielony niebawem do służby wartowniczej nie popisałem się w niej chlubnie; w czasie nocnego dyżuru u ~~przwy~~ ^{przwy} jednej z izb Komendy, przeznaczonej na tymczasowy areszt, pozwoliłem beztrósco uwolnić się jakimś "przestępcy wojskowemu" z zatrzymania; wyciął filunek w ^{drugich} drzwiach prowadzących na ganek i dachy. Zato spisywałem się wytrwale w "rondach nocnych" w żydowskiej dzielnicy śródmieścia, gdzie rabunki i napady na domy tej mniejszości nie należały do rzadkości. Wreszcie złączyłem się z bratem w służbie telefonicznej; przyszło nam w niej kolegować z ochotniczkami przyby-

łymi na teren walk polsko-ukraińskich, aż z dalekiej Warszawy.

Przed rozpoczęciem się roku szkolnego 1919/20 zostaliśmy zwolnieni ze służby wojskowej, by w ciągu dwóch półroczy przerobić VII i VIII kl. i zdobyć dowód dojrzałości umysłowej w postaci matury. Już we wstępnym rozdziale opisałem, jak brat przeszedł mnie w chwalebnym przekroczeniu tego Rubikonu. Ale tu dodam jeden szczegółik na moje dobro: całą komisję egzaminacyjną tak zainteresował i rozweselił album karykatur grona nauczającego z satyrycznymi ich konterfektami i "objaśnieniami", / o czym spomniałem wyżej przy nazwisku St. Paluchowskiego/, że sporo uwagi w czasie odpowiedzi brata komisja egzaminacyjna poświęciła oglądaniu i komentowaniu albumu.

Grono kolegów zasiadające ze mną przy zielonym stole - było już znacznie przerzedzone. Nie tyle pochłonęły ich pola walki, co dalsza służba wojskowa, opuszczenie Lwowa bądź inne okoliczności. Chwila nie sprzyjała nawet koleżeńskiemu pożegnaniu się przy lamce wina lub szklance herbaty. Do końca życia nie przestawę żałować, że ta nasza gromada, z której wyszło kilku tęgich fachowców, ludzi nauki i sztuki - nie spotkała się ze sobą ani na jednym zjeździe koleżeńskim i rozpięzchła się po świecie jak stado wróbli spłoszonych strzałem dubeltówki. Ale okoliczności poskąpiły nie tylko nam miłego rozstania. Tak przesadne dziś w hojności obdarowywanie nauczycieli kwiatami i innymi podarunkami przy świadectwach i egzaminach - w szkole moich czasów od samych początków do ostatnich dni nauki - nie miały wogóle miejsca. Nie było więc t.zw. komersu maturalnego, dla podziękowania pedagogom za ich trud, łączyło się niejako z odwrotnością tego stosunku. Rodzice przez dwanaście lat moich nauk dosłownie ani razu nie uczestniczyli w t.zw. "wywiadówkach", więcej - świadectwa szkolne

przeglądali milcząco ani chwalać ani ganiać. To też większość uczni sama borykała się ze zdobywaniem wiedzy, często jeszcze dorabiając na chleb ^{dla} pomaganiem młodszym, sama poznawała trudy życia i uroki w ich pokonywaniu. Powiedzenie " że każdy jest rzeźbiarzem swego losu" przyświecało tej większości nie odpartą dewizą życia. A przecież pokoleniu temu, jak rządnemu z polskich od krwawej hekatombi powstańczej 63 roku - nie przyszło tak za- kosztować goryczy, jak właśnie moim rówieśnikom. Oczywiście towarzyszyli im nieraz nieszczęśliwi ich potomkowie, których młodość przypadła na lata drugiej wojny światowej. Ale poprzednia generacja drugiej połowy "wieku pary i elektryczności" żyły w większości spokojniej i łatwiej od społeczności moich lat.

Tak więc opuszczając mury uczelni - stanąłem w obliczu nowej niewiadomej. Niosła ją ze sobą wojna polsko-bolszewicka a po niej ciężkie zmagania się narodu z odbudowywaniem rozdartej i ujarzmio- nej przed 140 laty ojczyzny. Pragnąłem w tej odbudowie odegrać bodaj skromną, ale pożyteczną rolę.

Aliści wpierw trzeba się było uporać z wykształceniem wyższym.

Moi mistrzowie uniwersyteccy .

Wojna r.1920 i przerwanie dopiero we wrześniu t.r. działań wojennych na froncie polsko-bolszewickim przyczyniły się do tego, że rok akademicki 1920/21 rozpoczął się ze znacznym opóźnieniem. Studenci lat wyższych bądź mający dopiero podjąć studia w tym roku,przeważnie walczący w tej kampanii, dopiero jesienią - i to nie wszyscy - mogli być zdemobilizowani. Ten los spotkał i mnie.

Immatrikulowany zostałem dopiero 18 listopada na Wydziale Filozoficznym /później przemianowanym na Humanistyczny/ Uniwersytetu Jana Kazimierza. Mój indeks podpisali jako rektor prof. Emanuel Machek, bardzo ceniony okulista i prof. Z.Weyberg krystalograf jako dziekan. Kwestie wyboru kierunku studiów humanistycznych nie stanowiła dla mnie dylematu. Od młodości wabiła mnie muza Klio i jakiś bliżej nie sprecyzowana, ale natrętna myśl o poświęceniu się kiedyś pracy dziennikarskiej. Ojciec mój, żywiący głęboko szacunek dla nauki, sam ciężko borykający się z życiem - odbył ze mną króciutką rozmowę :

- No, cóż będziesz studiował, mój kochany ?
- Wybrałem humanistykę ze specjalnością historii i polonistyki...
- Chcesz kiedyś być pisarzem ?
- Tak ...
- To pięknie ! Ale w tym wypadku było by lepiej, gdybyś był hrabią lub zamożnym człowiekiem i poklepał mnie po ramieniu.

Nie rozumiałem jeszcze wówczas, jak głęboką miał rację. Nie wpadło mi również do głowy, że nie myślał tylko o finansowej stronie zawodu, ale i o tych wszystkich ułatwieniach w karierze naukowej, które otwierały - nawet w ówczesnych czasach - pochodzenie klasowe i stosunki towarzyskie.

Wydział Filozoficzny w 1920 r. miał swoją siedzibę w t.zw. Starym Gmachu przy ul. św. Mikołaja, przylegającym do kościoła pod wezwaniem tego samego świętego. Przylegała do tego gmachu, od jego tyłu - nowa Biblioteka Uniwersytecka, do której wchodziło się od ul. Mochnackiego bądź krytym gankiem ze Starego Gmachu. Po roku Wydział Filozoficzny otrzymał przestrzenne i wygodne pomieszczenia w Gmachu Posejmowym przy ul. Marszałkowskiej.

Stary Gmach pozakonny, niski, jednopiętrowy i rozłożysty rozsiadł się na wzgórzu między ul. Mikołaja, Długosza i Mochnackiego; w jego przedłużeniu rozciągał się Uniwersytecki Ogród Botaniczny o bujnej zieleni. Toteż wielkie okna Biblioteki, leżącej wyżej od Starego Gmachu - wpuszczały do rozległego lectorium, dużo światła, powietrza i ciszy; z tych warunków korzystały też sale uniwersytetu na I p. Parterowe natomiast były ciemnawe i chłodne, niewielkie i ciasne. W nich właśnie rozpoczynałem swe studia.

Każdy kandydat na studenta humanistyki miał wolny wybór kierunku studiów, związanych z nim zajęć i wykładów. Nowicjusze stawali więc wobec dylematu wyboru. Orientowała ich tylko tablica wymieniająca wszystkich profesorów i wykłady na poszczególne lata; informował też o tym corocznie publikowany drukiem Program Studiów. Informacji w Dziekanacie udzielano skąpo a ambitniejsi kandydaci woleli nie zdradzać swej niewiedzy i szukać porady raczej wśród kolegów. Moimi doradcami byli wspomniany kolega z ławy szkolnej, Franek Staruszkiewicz i kolega z obrony Lwowa, Józef Grabowski, który później przerzucił się na historię sztuki /po studiach stał się głośny jako badacz sztuki ludowej/. Pewną trudność w wyborze wykładów stanowiła okoliczność, że stosowanego dzisiaj systemu wykładów kursorycznych, które by bezwzględnie obowiązywały wszystkich słuchaczy danego kierunku - wówczas nie

znano. Pamiętam, że obowiązywało pewne quantum godzin i dwa zajęcia typu proseminaryjnego, w latach następnych seminaryjnego; w moim indeksie z I roku studiów wpisałem 18 godzin wykładów i 4 godziny ćwiczeń względnie proseminarium. Bezwarunkowo obowiązywało wszystkich studentów wysłuchanie wykładów z filozofii ścisłej, prof. Kazimierza Twardowskiego.

W ten sposób w gronie moich mistrzów uniwersyteckich znaleźli się historycy: Oswald Balzer, Stanisław Zakrzewski, Jan Ptaśnik, Adam Szelaḡowski, Franciszek Bujak i Teofil Emil Modelski, historycy literatury: Juliusz Kleiner i Konstanty Wojciechowski /mój były dyrektor VI Gimnazjum, o którym już mówiłem/, z językoznawców: Henryk Ułaszyn i Tadeusz Lehr-Spławski, wreszcie wspomniany Kazimierz Twardowski. Pierwsze zetknięcia z nimi w niskich salach wykładowych i tłoku ciasnych ławek przed wysoko wznoszącą się katedrą stanowiło nielada przygodę młodego adepta nauki; trudno to odczucie po latach odtworzyć. Był w tym i szacunek i pewne zakłopotanie, czy sprosta się w własnych notatkach prawidłowo uchwycić myśl wykładowcy. Profesorowie nie polecali żadnych podręczników / z wyjątkiem gotowego od lat skryptu historii ustroju Polski Oswalda Balzera/; wykłady były opracowane monograficznie, przeważnie na podstawie własnych badań wykładowcy. Uderzały w nich duże luki chronologiczne i faktograficzne, zato specjalne problemy, np. u prof. Zakrzewskiego czy Adama Szelaḡowskiego, urastały nie proporcjonalnie do problematyki danego wykładu. W tych poszerzeniach chodziło o to, by na bardzo konkretnym, choć nieraz wąskim zagadnieniu - nauczyć myśleć historycznie i analitycznie. To właśnie dla nowicjuszków stanowić mogło niepokojącą przygodę intelektualną.

Uważam za zbyteczne w tych wspomnieniach odtwarzanie rok po

roku biegu studiów przez 5-6 lat ich trwania. Myślę, że ciekawszą będzie moja charakterystyka profesorów, z których wszyscy przecież byli wybornymi znawcami w swej specjalności i autorami dzieł i rozpraw przeważnie o odkrywczym znaczeniu.

Zanim dostałem się pod kierownictwo historyków - przyszło mi słuchać wykładów z innych dziedzin. Powagę i dyscyplinę studiów symbolizował przede wszystkim prof. Kazimierz Twardowski filozof, zaczynający na I roku od wykładu logiki /jeden semestr/, by następnie przejść przez historię najważniejszych kierunków filozoficznych do psychologii i etyki naukowej a zakończyć je syllogistyką. Ponieważ wykłady Twardowskiego obowiązywały studentów wszystkich kierunków, to też najobszerniejsza sala nr. 14 na I p. była zawsze po brzegi nabita i to od 8 rano. Nikt nie śmiał się spóźnić; w razie nielicznych wypadków profesor przerywał na chwilę swój wykład i jowiszowym wzrokiem śledził spóźnialskiego, nieraz dodając gorzką admonicję. Był istotnie postawy jowiszowej z długą, choć rzadką, brodą o włosach popielatych wpadających w rudawe. Tepli ostrą irytacją studentów próbujących przedłożyć do podpisu indeks nie swój, na co zresztą odważano się bardzo rzadko, nie - jak na innych wykładach - nagminnie. ^{1/} Byłem świadkiem jak Twardowski krzyknął raz z katedry w głośnym podnieceniu: "to jest szwindel ... proszę natychmiast wynosić się z sali". Profesor

1/ Pamiętam, jak jeden ze słuchaczy /w późniejszych latach/ usiłował uzyskać "nomen" od prof. Tadeusza Lehra - Spławińskiego, mimo iż w indeksie nazwisko jego nie figurowało. Spokojny i flegmatyczny profesor - zwrócił indeks studentowi ze słowami: "pan się niepotrzebnie fatygował". Krążyła po Uniwersytecie jeszcze pikantniejsza gałka: do jednego z profesorów fizyki /Konstantego Zakrzewskiego /kulawego na lewą nogę - podszedł na ul. Mikołaja student prawa z prośbą o nomen prof. prawa Oswalda Balzera. Profesor poradził mu dowcipnie: "niech pan szuka profesora kulawego na prawą nogę /Balzer cierpiał na to właśnie kalectwo/, dostanie pan podpis bez kłopotu".

wykładał jasno i dobitnie, ale trzeba było chwytać każde słowo - a więc być na każdym wykładzie, by opanować całość. Na szczęście dla humanistów egzamin z wykładów Kazimierza Twardowskiego nie był obowiązujący. Natomiast spotkałem się z profesorem przy moim rygorozum doktorskim. Wyciągnął z kieszeni zegarek, postawił go na stole i zadał nie oczekiwane pytanie: „czy ten przedmiot stanowi źródło historyczne?” Oczywiście chodziło mu nie o opisywanie zegarka jako historycznego wytworu rękodzieła; trzeba było sięgnąć po pojęcia z dziedziny psychologii i innych kategorii nauk filozoficznych. Wybrnięcie z tego dylematu nie było więc łatwe. A przecież ten surowy z wyglądu uczonec - miał też swe prywatne umiłowania i szukał wytchnienia w kontaktach z ludźmi. Już po opuszczeniu Uniwersytetu spotykałem go nieraz na wyludnionych alejach Placu Powystawowego /t.j. ówczesnie Targów Wschodnich/ spacerującego w towarzystwie swej asystentki, dr Izdory Dąbskiej.

Na III r. moich studiów słuchałem też wykładów prof. Mścisława Wartenberga /z encyklopedii nauk filozoficznych i o metafizykach w filozofii nowożytnej/. Wartenberg stanowił żywą antytezę Twardowskiego: niski, nieco zgarbiony - mówił cicho i językiem mało komunikatywnym. Często chorował i odwoływał zajęcia; to też niewiele godzin spędziłem na jego wykładach. Jego łagodność skłoniła mnie jednak do wyboru właśnie jego jako egzaminatora przy rygorozum doktorskim; złożyłem mu wizytę w dość odległej dzielnicy miasta i przyjął moją prośbę. Jednakże znowu z powodu choroby musiał go zastąpić prof. Twardowski.

Na pierwszym roku studiów słuchałem też "Wstępu do historii języka polskiego" prof. Henryka Ułaszyna, bardzo sympatycznego, choć głuchawego wykładowcy. Na jego proseminarium zapoznawałem się z językiem starocerkiewnym i zdawałem kolokwium z tego przedmiotu.

niestety dwukrotnie /pierwszy raz oblałem; był to mój pierwszy egzamin uniwersytecki i poszedłem nań w stanie silnego podenerwowania z powodu spraw domowych/. Wykłady Ułaszyna były bardzo ciekawe i ilustrowane szeregiem, nieraz dowcipnych, przykładów o roli języka w życiu społecznym.

Z prof. Juliuszem Kleinerem, moim stałym mistrzem od drugiego roku studiów a w latach krakowskich szczerym przyjacielem - spotkałem się już w r.ak.1920/21 na ćwiczeniach poświęconych wstępnym uwagom do studium historii literatury polskiej. Napisałem pracę o "technice dramatycznej" w fredrowskiej Zemście i ku memu zdziwieniu znakomity znawca nie tylko ocenił ją jako "celującą", ale w uzasadnieniu podniósł "trafne orientowanie się w zagadnieniach" i "wiele uwag bystrych w ujęciu jasnym i zwięzłym."

Od następnego roku nie opuściłem ani jednego z jego wykładów; były przygotowane świetnie i wypowiedane językiem niezwykle artystycznym a przy tym ścisłym w terminologii literaturoznawczej. Kleiner zawsze mówił z pamięci i nie posługiwał się żadnymi notatkami, jak prawie wszyscy wykładowcy, nieraz czytający pełny tekst wykładu. Każdy wykład rozpoczynał od *resumé* poprzedniego poczem podawał najważniejsze wskazówki bibliograficzne do nowego tematu. Słowem były to arcydzieła oratorstwa naukowego. Słuchałem więc wykładów o Ignacym Krosickim na tle jego wieku i nad początkami romantyzmu w Polsce; w III i IV r. moich studiów Kleiner wyłożył "Teorię i metodykę badań literackich", które dawały szerokie przygotowanie nie tylko do badań piśmiennictwa pięknego, ale całej humanistyki. Profesor obok dzieł teoretycznych XX w. - przeanalizował podstawowe dzieła z przełomu XVIII i XIX stulecia /a więc poglądy J.J. Winckelmann'a, H. Th. Buckle'a po W. Diltheya i O. Spenglera/. Były to objawienia dla młodego historyka, o których

znikąd nie słyszał a które kształtowały w jego umyśle kluczowe etapy w rozwoju procesu historycznego. Uzbrowiony w ten ryszunek mógł przystępować do bardziej samodzielnych badań. Brałem też udział w Seminarium Kleinera oddając rozprawę o Felicjanie Fależńskim jako dramaturgu /ocenioną jako celującą z powodu "samodzielnych i trafnych wyników"/. Kleiner prowadził też ćwiczenia z dydaktyki literatury w szkole średniej. Na ćwiczeniach tych napisałem "plan lekcji" na temat "Katarynki" Prusa, oceniony jako "bardzo dobry". W zakresie stylu i języka badań naukowych zawdzięczam Kleinerowi niezwykle wiele.

Oprócz niego słuchałem i innych historyków literatury: Wilhelma Bruchnalskiego, Eugeniusza Kucharskiego, Wiktora Hahna, Konstantego Wojciechowskiego; były to przeważnie wykłady monograficzne od piśmiennictwa średniowiecznego po początki XIX w. Poglądów^{swych} na współczesną poezję i prozę XX w. nikt z profesorów z katedry nie ujawniał i nikt o nie nie pytał, zupełnie inaczej niż dzisiaj. Respektowanie perspektywy historycznej co najmniej z odległości pół wieku - było kanonem obiektywizmu naukowego.

Po wstępnym rozglądnięciu się w prądach filozoficznych i metodzie pracy naukowej - znacznie śmielej wkraczałem na tory historii i głównie, choć nie wyłącznie, nią obciążylem swój czas. W ten sposób np. w drugim roku studiów uczestniczyłem już w trzech seminariach /prof. Stanisława Zakrzewskiego, Adama Szelańskiego i J. Kleinera/, biorąc przy tym udział w ćwiczeniach z paleografii i dyplomatyki średniowiecznej. Było to obciążenie poważne, bo równocześnie słuchałem siedmiu wykładów; zajęcia moje tygodniowo wynosiły 33 godziny a przecież trzeba było mieć czas na biblioteki /Uniwersytecką i Ossolineum/, prace bowiem oddawało się w wyznaczonych terminach. Na szczęście tak obciążony czas - doznawał

często ulg z powodu odwoływania zajęć; profesorowie bez uzgadniania z dziekanem odwoływali dowolnie wykłady nieraz na kilka tygodni lub cały semestr, powiadamiając o tym tylko studentów kartką przybitą do drzwi sali. I tak pierwszy z wpisanych przeze mnie do indeksu wykład prof. Szelańskiego z powodu jego wyjazdu zagranicę /r.ak.1920/21 / - odpadł. Słuchałem natomiast na I roku Jana Ptaśnika mówiącego o życiu prywatnym w wiekach średnich i St. Zakrzewskiego o dobie pierwszych Piastów oraz dwa wykłady monograficzne doc. E.T.J. Modelskiego i Kazimierza Hartleba. Wykład Modelskiego o kształtowaniu się granicy polsko-ruskiej był wygłaszany tak monotoniście, że nieraz w dalszych ławkach rozlegało się głośnie chrapanie; profesor nie przerywał swych ciekawych wywodów, istotnie śpiocha budzili rychło koledzy.

Już na drugim roku studiów wybrałem Seminarium profesora Szelańskiego jako główne. Jako w uzupełniających zajęciach uczestniczyłem ^{nad to} w wykładach i seminariach Stanisława Zakrzewskiego i Franciszka Bujaka. Może więc najpierw kilka słów o nich. Stanisław Zakrzewski wykładający dzieje Polski od X - XVII w. nie cieszył się sympatią wśród studentów; jego asystenci najpierw Karol Maleczyński a po nim jego późniejsza żona Ewa Szwaigierówna - musieli często pomagać młodszym kolegom w wybrnięciu z tematów, do których profesor udzielał wskazówek bardzo skąpo. Był pozatem w odnoszeniu się do młodzieży zbyt swobodny w uwagach i epitetach, nieraz wręcz gburowaty. Doświadczyłem tego na sobie, kiedy już jako doktor - prosiłem go o poparcie na Radzie Wydziału sprawy przyznania mi angielskiego stypendium na studia podyplomowe w Londynie. Było to chyba w 1927 lub 1928 r. Po pierwszych mych słowach, wyjaśniających cel wizyty - przerwał mi opryskliwie: "Nie dla psa kiełbasa... niech pan powie swemu promotorowi, by zamiast jedwabnych pończoch

pomógł panu finansowo..." Coprawda stosunki między obu uczonymi były napięte / o czym dalej/; prof. Szelański od kilku lat nie uczestniczył w Radach Wydziału. Nie mniej słowa powyższe odczułem jako wyraz niezyczliwości i przeprosiwszy profesora wyszedłem z jego gabinetu. Stypendium angielskiego nie otrzymałem. Wykłady Zakrzewskiego cechowała głęboka wiedza, szczególnie X - XII w.; w tym czasie ogłosił zwięzłą, ale oryginalną monografię Mieszka Pierwszego a następnie wielkie swe dzieło o Bolesławie Chrobrym /wyszło ono w 900-lecie Koronacji Króla/. Posiadał rozległą - jak na owe czasy - znajomość źródeł do początków państwa polskiego i epoki dzielnicowej. Słabiej orientował się w stuleciach następnym, stąd wykłady jego o dobie królów elekcyjnych roiły się od hipotez i zagadek historiografii a nie historii jako takiej. Wielokrotnie akcentował rolę intuicji w badaniach historycznych w myśl wskazań Ch. Langlois i Ch. Seignobos, autorów "Wstępu do badań historycznych", który w polskim opracowaniu Zakrzewskiego niedługo przedtem się ukazał. Często w czasie wykładów o XV lub XVII w. mając wymenić jakąś datę przerywał wykład i ... znieacka rzucał pytanie o nią do audytorium, wskazując palcem zaskoczonego tym słuchacza. Wywoływało to chwilowe zamieszanie. Nie chcę twierdzić, że wykładowca sam chwilowo datę zapomniał; być może chodziło mu o zaostrenie aktywności i uwagi słuchaczy. W każdym razie nikt ze znanych mi wykładowców tej metody nie stosował i nie przysparzała ona sympatii profesorowi. Spędziłem na jego seminarium jeden rok i oddałem pracę o źródłach do biografii prymasa Stanisława Karakowskiego /w. XVI/, wcześniej zaś referat na ćwiczeniach paleograficzno-dyplomatycznych na temat "Rozwoju przywilejów w okresie wojny trzynastoletniej" /oba wypracowania ocenione zostały jako "dość dobre", kolokwia zaś "składane dobrowolnie" jako bardzo dobre/. Gdy profesor zaawansował na sancyjnego senatora - na Uniwersytecie mnie już nie było. Nie mniej

za moje artykuły poświęcone 50-leciu Polskiego Towarzystwa Historycznego opublikowane w "Kurierze Literacko-Naukowym" J.K.C. i "Przeglądzie Powszechnym" w 1937 r. otrzymałem od niego, wówczas prezesa Towarzystwa, odręczne podziękowanie.

Zupełnie inny klimat panował w stosunkach między prof. Franciszkiem Bujakiem a młodzieżą. Mój osobisty związek z tym uczonym przetrwał lata studiów, nabrał charakteru współpracy i przeciągnął się w okres okupacji hitlerowskiej we Lwowie i powojenne osiedlenie się nas obu w Krakowie. Dlatego mam zbyt wiele wspomnień o tej współpracy i przyjaźni, by o nich tu szerzej opowiedzieć. Słuchałem jego wykładów od II do IV r. studiów: najpierw Zarysu powszechnej historii gospodarczej, następnie źródeł do tej historii, Geografii gospodarczej i Polityki agrarnej na ziemiach polskich/III r.studiów/, wreszcie Historii gospodarczej Polski /na IV r./. Równocześnie przez jeden rok uczestniczyłem w jego Seminarium. Przyjęcie na nie zależne było od zdania egzaminu z Elementów ekonomii społecznej, który złożyłem z wynikiem bardzo dobrym. Egzamin oparty był głównie na podręczniku K. Gide'a Zasady ekonomii społecznej; niezależnie od tego wymogu słuchałem wykładu na Wydziale Prawa prof. Stanisława Grabskiego. Był to jedyny z moich wykładowców, który mówiąc spacerował przed audytorium, często z rękoma w kieszeni.

Wykłady prof. Bujaka wносиły do wiedzy studentów niezwykle bogaty zasób wiadomości z dziedziny, która do momentu objęcia przez niego zajęć na Uniwersytecie Lwowskim uchodziła nie tylko za "terra ignota" i za dział badań stosownych tylko dla ekonomistów. Cała zatem terminologia tej gałęzi i struktura problemów stanowiły atrakcyjny, ale i trudny dział studiów, wymagających znajomości elementów z życia gospodarczego, metody statystycznej, podstawowych

pojęć z demografii i socjologii. Niestety znakomity znawca dziejów gospodarczych nie posiadał sztuki krasomówstwa; mówił raczej cicho i często się jąkał, chrząkał i powtarzał wyrazy, ^{Ciekawe,} że tych cech nabrali w swej wymowie niektórzy z jego uczniów, po latach wybitni historycy gospodarczy, jak Stefan Inglot i Stanisław Hoszowski, co stwierdziłem w późniejszych spotkaniach z nimi. Ta wada nie redukowała zupełnie walorów dydaktycznych prof. Bujaka; potęgowała je zaś niezwykle życzliwa i wyrozumiała jego postawa wobec członków jego zakładu. Przekonałem się o tym osobiście na Seminarium; wprawdzie nie podjąłem na nim żadnego tematu, ale brałem udział w wszystkich posiedzeniach i często zabierałem głos. Kolegowałem w tym gronie z ułalentowanymi i wybitnymi po latach badaczami, którzy złożyli się na tzw. "lwowską szkołę historyczno-gospodarczą": obok więc wspomnianych Inglota i Hoszowskiego stykałem się tam z Marianem Ungeheuerem, Henrykiem Lepuckim, Erazmem Kostołowskim, Janem Szewczukiem, Romanem Rozdolskim, Adolfem Hirschbergiem / po okupacji Józefem Sieradzkiem / i inn. Obok swej niezwyklej przystępności i życzliwości - prof. Bujak nie skąpił swym uczniom nieraz uwag bardzo krytycznych, choć nigdy nie złośliwych. Raz tylko "wyszedł ze siebie" na posiedzeniu seminaryjnym, kiedy Hirschberg zreferował swoją już drukowaną pracę / w dodatku z dedykacją dla profesora / pt. Stosunki osadnicze w dobrach klasztoru tynieckiego w początkach jego istnienia. Autoreferat ten był pełen samochwalstwa i ataków m.in. na tezy Bujaka. Profesor dał mu nie tylko surową, choć lapidarną, odprawę, ale i oświadczył, że dedykacji sobie nie życzył i trzeba go było o niej uprzedzić.^{2/} Z wykładów i jednorocznego

2/ Fr. Bujak ogłosił z wymien. rozprawy Hirschberga długą i ostrą krytykę w "Kwart. Histor." 1925.

uczestnictwa w posiedzeniach seminaryjnych wyniosłem niezwykle dużo dla mej późniejszej pracy nie tyle na polu oryginalnych badań w zakresie historii gospodarczej /bo historykiem gospodarczym nigdy nie byłem/, co na polu dziejów ruchów społecznych. Profesor cenił mnie jako badacza tych właśnie zjawisk. Kiedy w 1930 r. rozpoczął z gronem swoich najzdolniejszych uczniów i w porozumieniu z prof. Janem Rutkowskim z Poznania wydawanie "Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych" zaprosił mnie wówczas przybyłego z prowincji do Lwowa - do jak najczęstszej współpracy. Co więcej polecił mnie redakcji "Social Sciences Abstracts" w Nowym Yorku; pod tym tytułem ukazywał się w Stanach Zjednoczonych międzynarodowy periodyk angielski referujący najważniejsze publikacje książkowe i rozprawy z nauk społecznych. Byłem więc sprawozdawcą z polskich czasopism historycznych. Dzięki Bujakowi w każdym tomie "Roczników" od 1932 r. pojawiały się w ilości kilkunastu pozycji moje recenzje lub omówienia nowości wydawniczych aż do 1939 r.; nowojorski zaś periodyk pomieścił również w swych 4 tomach /1929-1931/ kilkadziesiąt moich ekscerptów.^{3/} Zadowolony z tej współpracy Bujak poprosił mnie o artykuł obszerniejszy o "Social Sciences Abstracts" do "Roczników" i we wstępie do II tomu podniósł trafność moich spostrzeżeń co do roli takiego periodyku w warsztacie historyka.

Franciszek Bujak ~~u~~ miał też współżyć ze swymi współpracownikami na stopie przyjacielskiej. Co roku odbywały się w jego mieszkaniu towarzyskie zebrania przy kawie i herbacie, brałem w nich udział. Poza tym chętnie uczestniczył w zabawach karnawałowych młodych historyków. Kiedy nastaly czasy twardej okupacji hitlerowskiej we Lwowie, kontakt nasz się nie urwał. Obserwując u profesora

^{3/} Niestety i w tym bogatym kraju wielki kryzys ekonomiczny położył kres temu niezwykle pożytecznemu wydawnictwu.

trudności w gospodarstwie domowym, kilkakrotnie zaniósłem mu nieco warzyw a szczególnie pomidorów z mego ogrodu. Profesor ostrzegł mnie, bym nie dał się wziąć na lep propozycji - pozornie bardzo naukowych i dobrze płatnych - ze strony "Osteuropa Institut", który we Lwowie prowadził niejaki prof. Niemann. Ostrzeżenia te były zbyteczne, bo od pracy dla Niemców w tym kierunku odżegnywałem się za wszelką cenę; to też kiedy zjawił się u mnie przedstawiciel tej instytucji i gorąco zachęcał w języku polskim, odmówiłem współpracy. Wreszcie powierzył mi profesor na zlecenie emigracyjnych kół polskich opracowanie stosunków ukraińsko-polskich na przestrzeni XVIII i XIX w. W ten sposób powstały dwie moje większe rozprawy: Zwięzły zarys stosunków polsko-ukraińskich w Galicji i Polsce Odrodzonej i Oświata i kultura duchowa Ukraińców w Polsce Odrodzonej. Obie prace bez mego podpisu oddałem profesorowi w 1943 r.; w czyje poszły one ręce dalej - nie wiem. Profesor zawsze szczery i otwarty - nie chciał mnie o tym poinformować, a może nie mógł.

Po wojnie Franciszek Bujak przeniósł się do Krakowa i kontynuował tu prace naukowo-wydawnicze, m.in. zajął się ~~winnianiem~~ "Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych", od 1946 r. wychodzących w Poznaniu, i miesięcznika "Wieś i Państwo" /wespół ze Stefanem Inglotem, Wincentym Stysiem i Stanisławem Pigoniem/. Odwiedziłem go kilkakrotnie, ale czuł się już bardzo chory, często zastawałem go w łóżku. Zmarł w 1953 r. Zawdzięczałem mu bardzo dużo. Moje późniejsze badania nad sytuacją chłopów w Królestwie Kongresowym a więc tło spisku Piotra Ściegiennego a w Galicji sprawa Juliana Goslara nie miały by swej szerokiej podbudowy bez analizy ruchów agrarnych, w którą wprowadził mnie Bujak. Jego znakomita znajomość stanu ekonomicznego Galicji zaostrzyła moją ciekawość

życiem politycznym tego kraju, w konsekwencji dziejami tej cias-
 niejszej mej ojczyzny i poświęciłemⁱⁿ wiele lat swej pracy. Otwarte
 przede mną łamy "Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych"
 zachęcały mnie do mówienia a następnie recenzowania książek nau-
 kowych, co nie jest sztuką łatwą i ponętą. Zdarzył się właśnie
 na łamach tych roczników drobny, ale ważny dla mnie incydent, który
 na drodze mej dalszej kariery legł kłoda nie dającą się przeko-
 czyć. Po ukazaniu się tomu II Roczników naskoczył mnie raz Bujak
 w westybulu Uniwersytetu § ~~Kowalski~~

- Panie doktorze muszę pana zasmucić, jak bardzo prof. Gąsiorowska,
^{it} bardzo pana nie kocha...

- A dlaczego? - i momentalnie przypomniałem sobie, że ogłosiłem
 w świeżo wydanym tomie "Roczników" krótką notę o jej broszurze
 o początkach przemysłu metalurgicznego w Kongresówce 4/ - czy
 może niezadowolona, panie profesorze, z moich uwag o wartości
 statystyki historycznej jako źródła? :-

- O, o! właśnie ... powiedziała mi o tym w Warszawie z atakiem na
 pana ...-

- A czy moja teza nie jest słuszna, panie profesorze, wobec tych
 wszystkich szwindli i przekręceń w aktach gospodarczych, które
 po latach służą statystykom? -

- Podzielim pańskie zdanie, ale ... Gąsiorowska panu tego nie za-
 pomni! -

I nie zapomiała, ale o tym gdzieindziej. Bujak natomiast dalej
 chętnie brał moje recenzje.

4/ Chodziło o jej pracę niewielką, ale zmierzającą do ważnych
 uogólnień: Les origines de la grande industrie polonaise au
 XIX siècle. Warszawa 1930. Natalia Gąsiorowska była wówczas
 docentem na Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Nabierałem wiedzy historycznej też u innych historyków, ale w znacznie skromniejszych rozmiarach, u Jana Ptaśnika, E.T. Modelskiego, u Konstantego Chylińskiego, u Władysława Podlachy /historyka sztuki/. Było to przeważnie słuchanie wykładów i udział w ćwiczeniach u prof. Ptaśnika i doc. Modelskiego. Ptaśnik pozostał w mej pamięci jako antytezs Szelałowskiego, eleganckiego i dbałego o exterieur mężczyzny: źle ubrany, niestarannie uczesany, ciągle skubiący palce - mówił jakby do siebie, ze stale pochyloną głową. A przecież był to mediewista i edytor źródeł znakomity, człowiek wielkiej wiedzy. Zdaje się - w czasie moich studiów lub niedługo potem - jednak ożenił się i spłodził syna Mieczysława, po trzydziestu pięciu latach mego przyjaciela w służbie archiwalnej i w czasie jego dyrektury w Naczelnym Zarządzie Muzeów i Ochrony Zabytków. Bardzo miłe wrażenie pozostawił po sobie prof. Konstanty Chyliński, historyk-starożytnik. Mimo niewielu godzin spędzonych na jego wykładach - nabierało się doń zaufania i na kolokwium do niego szło się zupełnie bez tremy. Niedługo opuścił Uniwersytet, powołany do Warszawy na ministra oświaty i wyznań religijnych.

Moje związanie się ze Seminarium Historii Nowożytnej prowadzonym do ^{momentu} odrodzenia państwa polskiego przez głośnego ze swych dzieł Szymona Askenazego (po nim ^{dopiero} przez prof. Szelałowskiego) - zadecydowało o kierunku mych studiów a następnie samodzielnych badań naukowych. Dlatego do wspomnień na ten temat przechodzę dopiero teraz. Opowieść o ostatnim z moich mistrzów musi być dłuższa i barwniejsza, niż o poprzednich.

Seminarium mieściło się na III p. Gmachu Posejmowego w jego prawym skrzydle i zajmowało trzy wielkie pokoje: gabinet profesora,

salę posiedzeń i pokój asystenta mieszczący równocześnie bibliotekę. Wszystkie okna wychodziły na ul. Marszałkowską, Długą, ul. Mickiewicza /wiodącą aż do Placu św. Jura/i na rozległy Park Kościuszki /kiedyś zwany Ogrodem Pojezuickim/; wspominam o tym otoczeniu, ponieważ widok z tych okien - stanowił miły wypoczynek po pracy naukowej; m.in. oglądałem z tych okien wspaniałe pogrzeb bisk. Władysława Bandurskiego, generalnego kapelana Legionów Polskich.

Posiedzenia seminaryjne /rozpoczęły się dla mnie w r.ak.1921/1922/ odbywały się w porze popołudniowej i prowadził je sam profesor. Ćwiczenia i konsersatorium organizowała krótko dr Jadwiga Lechicka, po niej Zygmunt Zborucki. Już na jednym z pierwszych posiedzeń popołudniowych profesor ostro skrytykował fakt, że uczestniczki skupiły się w jednej części sali!

- Tu nie jest cerkiew prawosławna... wypraszam sobie taki podział i proszę się z kolegami przemieszać! ...-

Innym razem skarcił panie za to, rozpoczęły seminarium w kapeluszach:

- Tu nie rewia mody ... proszę kapelusze zdjąć! _

Podobnych uwag nie czynili inni wykładowcy. Ale profesor różnił się od nich nie tylko pod tym względem. Był bardzo przystojnym mężczyzną, wówczas około 50-letnim, cerę twarzy miał smagłą, nawet wpadającą w jasny brąz, starannie zawsze wygolony. Ubranie nosił ze specjalnym szykiem, w deseniach modnych, ale nie krzykliwych. Wspomniałem już, że lubił towarzystwo i dlatego zapewne zapraszał starszych studentów na spotkania w lokalach.

Z uczestników posiedzeń seminaryjnych - sporo osób zajęło później wyróżniające stanowiska w życiu naukowym, wydawniczym bądź literackim. Dr Jadwiga Lechicka objęła po ostatniej wojnie

katedrę historii nowoż. w Uniwersytecie Toruńskim, dr Karol Koranyi - historii prawa i państwa we Wrocławiu, dr Henryk Wereszycki /rozpoczął studia z nazwiskiem Vorzimmer/ - historii powszechnej najnowszej, najpierw we Wrocławiu, następnie na Uniwersytecie Jagiellońskim, Adam Nechay wyrobił się na wziętego dziennikarza, Józef Grabowski po debiutach u Szelańskiego przerzucił się na historię sztuki i dał się po kilkudziesięciu latach poznać jako wytrawny badacz sztuki ludowej a jego późniejsza żona Marcelina z domu Schwamm Grabowska /też nasza koleżanka/ jako *Komédiopisarka*. Zygmunt Zborucki z asystenta wyrósł by na historyka Galicji, gdyby nie tragicznie dla niego rozstanie się z Uniwersyte-tem i losy wojenne, o których opowiadała mi po latach jego żona. Nic dziwnego, że szereg prac seminaryjnych, tym bardziej doktor-skich, zrodzonych i przedyskutowanych w tym gronie stosunkowo szybko wędrowało do druku. Z prac magisterskich moja o działal-ności politycznej Juliana Ursyna Niemcewicza /1807-1831/ drukowa-na była w "Atheneum Wileńskim" i "Przeglądzie Współczesnym"/kra-kowskim/, Grabowskiego o ks. Piattolim , sekretarzu Stanisława Augusta - w „Insurekcjach” /kwartalniku, który stworzył i redago-wał Szelański/, Z. Zboruckiego o niepodległościowym spisku sam-borskim w serii "Prac z historii nowożytnej uczniów U.J.K.". Nawiasem trzeba tu dodać, że wydawnicze ambicje profesora wzorowane na świetnych "Monografiach w zakresie dziejów nowożytnych" jego poprzednika na katedrze, Sz. Askenazego - kończyły ^{zazwyczaj} żywot po roku i były skromną w rozmiarach i treści kontynuacją poprzednika. Na druk prac doktorskich trzeba było poczekać i wówczas kilka lat; ale mimo ciężkich warunków publikacyjnych - ukazywały się szyb-ciej, niż dzisiaj. Tak moją monografię o Janie Tyssowskim, dykta-torze 1846 r. wydała Kasa im. J. Mianowskiego w cztery lata po pro-

mości, H. Wereszyckiego "Austrię a powstanie styczniowe" nieco później ogłosiło Ossolineum.

Sposób prowadzenia posiedzeń był raczej nie skomplikowany i z punktu widzenia dzisiejszej dydaktyki uniwersyteckiej wadliwy. Posiedzenie zaczynało się od auto-referatu autora pracy, po którym następował koreferat; kończył zaś zebranie sam Szelaḡowski swoją opinią. Dyskusji nie było; profesor zresztą do niej nie zachęcał. Całkiem wyjątkowy przebieg miało zebranie, na którym kolega Aleksander Karman referował swą pracę z historii działań wojskowych w powstaniu 1831 r. Profesor zaprosił jako rzeczoznawców trzech oficerów ze sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu ; przyszli w pełnej gali, powiedzieli, co wynieśli ze swych studiów sztabowych, i zostali wraz z referentem zaproszeni na ... kolację do Hotelu Europejskiego. Biedny Karman biegł do mego domu kilka kilometrów z centrum miasta, by mnie nieświadomego tego gastronomicznego epilogu - ściągnąć do sali restauracyjnej, bo takie było życzenie profesora.

Wykłady mistrza też nie dawały wiele przeciętnym słuchaczom historii. Ale wносиły one do wiedzy adeptów naukowych, bardziej zainteresowanych epoką - wartości, cenne dla przyszłych ich badań: Szeroki pogląd na rolę przywódczej jednostki w dziejach, wiązanie oficjalnych pociągnięć politycznych, szczególnie w dyplomacji, z zapleczem kulis, często dramatyczną strukturą działań, Szelaḡowski operował raczej szerokimi obrazami tła, szczegóły czerpiąc najczęściej z listów, fragmentów pamiętnikarskich, z prasy współczesnej wypadkom. W ten sposób trudna dla przeciętnego studenta faktura wykładu - dla tych, co chcieli w przyszłości pisać, była inicjacją pożyteczną. Niesłuszna jest opinia autora interesujących wspomnień o intelektualnym Lwowie pierwszego ćwierćwiecza XX w., Stanisława Lama, że na wykładach i seminariach Szelaḡowskiego

"gromadziła się głównie ta młodzież, która chciała uzyskać tylko absolutorium uniwersyteckie na podstawie wysłuchanych wykładów..." Tenże sam pamiętnikarz i wydawca szeregu prac Szelągowskiego równie niesłusznie i ujemnie ocenił jego dorobek badawczo-pisarski, twierdząc, że "pisał dużo, łatwo i o wszystkim... pobieżnie wystudiowane, powiązane kompilacyjnie, pisane z pośpiechem..."^{5/} Istotnie Szelągowski nie był historykiem zamkniętych i wąskich horyzontów i zarażał tą wielostronnością niektórych ze zdolniejszych uczniów. Nie stworzył szkoły, jak Askenazy czy Bujak, ale pierwszy z historyków swego czasu zainicjował badania nad politycznymi i społecznymi dziejami Galicji, których jakby nie dostrzegali ani lwowscy ani krakowscy dziejopisarze. Dzięki temu powstały pionierskie w tym zakresie monografie - oparte o archiwalia i inne nietknięte źródła - o spiskach demokratycznych i rewolucyjnych lat 1832-1846, o wiośnie ludów, o powstaniu styczniowym - wszystkie rozpatrywane pod kątem historii Galicji. Było by się ich ukazało w druku bez porównania więcej, gdyby szef tej młodej grupy - chciał goręcej walczyć o fundusze wydawnicze i stypendia na Radzie Wydziałowej. Niestety było wręcz przeciwnie: Szelągowski ostentacyjnie ignorował tę instytucję, nie brał udziału w Polskim Towarzystwie Historycznym, osobiście nie uczestniczył na ogólnopolskich co 5 lat zwoływanych zjazdach naszych historyków. Dlaczego ?

Niewątpliwie przyczyną tego był najpierw stosunek współczesnych mu historyków w kraju do jego wcześniejszej twórczości a także jego życie prywatne. Niewiele o tym życiu prywatnym mogę powiedzieć z własnych obserwacji, ale krążyły o nim ~~tek~~ różne

5/ Stanisław L a m. Życie wśród wielu. Warszawa 1968, s.34.

plotki i anegdotki. ^{tylko} Gwoli prawdy zapisuję tu^vto, co opowiadali mi o nim: były rektor Uniwersytetu prof. Jan Czekanowski a później żona asystenta dr Zygmunta Zboruckiego w czasie mego pobytu w sanatorium w Inowrocławiu /gdzie była dyrektorką liceum/. Wspomniany już Lam wytknął Szelańskiemu, że pisał dużo " z myślą o szybkim zarobku", bo potrzebował dużo pieniędzy, "miał szeroki gest, lubił podróżować, dobrze zjeść", zaciągał długi i jak zapisała także córka Jana Kasprowicza zapomniał je wracać. ^{6/}

Mówił mi o tym i Czekanowski kiedyś w zaciszu Biblioteki Baworskich we Lwowie, ^{gd}dy w czasie okupacji hitlerowskiej przeprowadzałem tam inwentaryzację ikonografii do dziejów Galicji m.in. w bogatych Tekach ^{Odnowskich} A.K. Batowskiego/. Nie pytałem, czy mój informator był ^{ksi} sam poszkodowany, ale jego relacje o rodzinnym pochodzeniu mego mistrza jakby na to wskazywały. Według niego Szelański był nieślubnym synem jednego z zamożnych ziemian z Lubelszczyzny i ... cyganki. Stąd i śniadość jego cery ^{1/} pęd do szerokiego życia. Że chętnie podróżował, to wiedziałem i ja ; przecież często odpadały wykłady na kilkanaście dni i więcej. W czasie mego wejścia pod jego kierownictwo, był - chyba od kilku lat wdowcem i ojcem dwóch dorosłych córek. Nic dziwnego, że ten elegancki i przystojny mężczyzna - a przecież pozbawiony towarzyski życia - o^{dd}arzył swą sympatią i uczuciem jedną z dorodnych studentek swego seminarium. Ponieważ była nieślubnym dzieckiem jednego z książąt galicyjskich i matki plebejskiego stanu /której nazwisko nosiła/ Szelański przeprowadził w drodze prawnej zmianę nazwiska na ojcowskie i zabezpieczenie jej alimentów do końca studiów. Niestety matka dziewczyny była niezadowolona ze

stosunku profesora do córki i w rezultacie pozwalała sobie na tak głośne awantury w rozległym gmachu uniwersytetu, że echa jej krzyków i wyzwisk rozlegały się od III p. po wspaniały westybul b. Sejmu, gdzie na I p. urzędował rektor prof. Czekanowski. Opowiedział mi więc, jak musiał delegować pedelę rektorskiego, by tę kobietę uspokoić i wyprowadzić.

Asystent Zborucki nieraz wyrabiał profesorowi paszport w Urzędzie Wojewódzkim - na podróż "Orbisu" po Morzu Śródziemnym. Kiedy jednak szef poprosił go o dokonanie wpisu do paszportu młodej dziewczyny w rubryce małżonki - Zborucki zauważył, że tego nie potrafi przeprowadzić. Nie wiem, czy właśnie w związku z tym, jak z rozgoryczeniem twierdziła przede mną żona Zboruckiego, właśnie w tym czasie stracił on posadę asystenta i perspektywę dobrze zapowiadającej się kariery naukowej. Ponieważ o zdobyciu pełnego etatu nauczycielskiego we Lwowie - w okresie szalejącego kryzysu ekonomicznego - nie mogło być mowy, musiał szukać chleba na odległej prowincji. Profesor niespodziewanie zaproponował mi asystenturę po Zboruckim / o wakansie tym sam pracując wtedy poza Lwowem - nie wiedziałem/. Poprosiłem profesora o 2-3 dni zwłoki z uwagi na konieczność zorientowania się u moich władz przed podjęciem decyzji; kiedy zgłosiłem się do niego niebawem z gotowością objęcia obowiązków, odrzekł mi sucho, kładąc kres dalszej dyskusji: - W moich czasach asystenturę przyjmowało się z miejsca ... dziękuję panu i żegnam...

Zanim to jednak nastąpiło - odwiedziłem profesora w jego warszawskim ~~już~~ mieszkaniu - w czasie mego pobytu na V Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich jesienią 1930 r. Szelański był już małżonkiem drugiej swej żony, osoby zamożnej ze sfer finansowych i - o ile wiem dobrze - delegatki w tym czasie do kobiecych orga-

nizacji Ligi Narodów w Genewie. / Profesor przyjął mnie ciepło, pytał o zjazd, bo sam w nim udziału nie brał, tłumacząc się chorobą; że nie to było powodem absencji wyszło szybko na wierzch szydłem z worka, kiedy pani profesorowa wchodząc do pokoju zaawizowała: - Adasiu czy jesteś gotów? wiesz, że wychodzimy do teatru...-

Adaś był jeszcze w długim szlafroku, przeprosił mnie i pożegnał. Nie straciłem z nim jednak kontaktu. Ponieważ porzuciwszy służbę nauczycielską na prowincji - zdecydowałem się na Uzupełniające Studium Dyplomatyczne na Wydziale Prawa UJK we Lwowie, przyszło mi jeszcze raz wysłuchać kilku godzin jego wykładów z historii dyplomacji, które szybko objął po nim doc. Czesław Nańke. /o tych studiach opowiem jeszcze gdzieindziej/. Było to już po opisanej wyżej odmowie mej kandydatury na asystenta i odtąd przeszło trzynaście lat nie miałem już kontaktu ani z Szelańskim ani Zboruckim. Dopiero w 1944 r. ewakuowany do Tyńca jako urzędnik Archiwum Państwowego odwiedziłem profesora wraz z moją żoną w jego mieszkaniu na ul. Starowiślnej w Krakowie. Drzwi otworzyła nam wspomniana już wyżej młoda kobieta o nazwisku księżęcym; profesor przyjął nas leżąc w łóżku i przepraszając za nieład. Na twarzy jego odbijało się przemęczenie i zmizerowanie, choć w ruchach i słowach poznałem swego profesora; z wizyty zdawał się być zadowolony. Rozmowa potoczyła się na temat moich przeżyć wojennych, profesora pytałem tylko o zdrowie. Odtąd więcej go już nie widziałem. Wiem, że w związku z wycofywaniem się Niemców wyjechał ze swą towarzyszką do Wiednia; teraz ona była podstawą ich bytu, pracowała jako grafik w jakimś niemieckim wydawnictwie dla dzieci. We Wiedniu odbył się ich ślub /widocznie druga małżonka nie żyła/. Plotki, które krążyły wśród kąśliwych jak zwykle krakowiaków, że „kolaboracjonizm” tej pary zamknął im drogę do Polski - były nieuzasad-

/ Anna z Peradowskich Szelańska była jedną z najczynniejszych działaczek ruchu kobiecego w Warszawie i założycielką kilku organizacji tego rodzaju w Polsce.

nione. Po kilku latach Szelągowscey wrócili do Warszawy, profesor otrzymał uposażenie profesorskie bez zaangażowania do wyższej uczelni / miał już przecież ponad siedemdziesiąt lat/, ale pracował jeszcze nad jakimś nowym dziełem, podobno syntezą dziejów cywilizacji. Zmarł w 1961 r. Jego odejścia nie odnotowały żadne pisma kulturalne; "Kwartalnik Historyczny" i "Przegląd Historyczny" nie zamieściły nawet najzwyczajszego nekrologu.

Tragicznym należy nazwać to wyobcowanie ze społeczności dziejopisarskiej. Nieobeznani z losami jego twórczości - chętnie przypisali by to wyobcowanie jemu samemu; mogłoby to wynikać z niniejszych notatek pamiętnikarskich. Niestety nie w nich miejsce na bibliografię i omawianie oryginalnych i odbiegających daleko od suchego erudytyzmu dzieł mego mistrza. Dzieła te, jak: "Wschód i Zachód". Zagadnienia z dziejów cywilizacji", "Pieniądz i przewrót cen w Polsce XVI i XVII w.", jak trylogia "Sprawa północna w XVI i XVII w." w tak prekursorski sposób wprowadzały do naszej historiografii marksistyczny aspekt kolonializmu, że wszyscy następni nasi i obcy badacze nie mogli obyć się w studiach nad Bałtykiem bez cytowania Szelągowskiego.

Niestety pomijając pełniejszy bibliograficznie obraz twórczości Szelągowskiego - nie mogę pominąć bolesnego dla każdego autora milczenia, jakim koledzy po fachu kwitowali badania i tezy Szelągowskiego. Jeżeli głos zabierali, to tylko na to, by skrytykować - nieraz zbyt dosadnie - szczegóły, nie dotykając generalnego ujęcia. A przecież po śmierci profesora dwaj wybitni znawcy epoki jego zainteresowań - dostrzegli w nim twórcę "narodzonej szkoły historycznej" jako antytezę szkoły krakowskiej, zaszczepiającej pesymizm historyczny.^{6/}

6/ Władysław Czapliński - Henryk Wereszycki. Dorobek naukowy Adama Szelągowskiego. "Kwartalnik Historyczny" 1962, nr 3.

Czy w tym zignorowaniu zasług badawczych Szelałgowskiego nie tkwiło źródło jego odsunięcia się od świata naukowego w kraju i zamknięcie się w kręgu wyłącznie osobistego życia? Jeśli ktokolwiek zetknął się z tajemnikami psychologii twórczości, to wie o nieodpartej potrzebie rekompensaty psychicznej w innej dziedzinie. Dziedziną tą było jego życie uczuciowe, pociąg towarzyski do świata młodych i podróże.

Aby nie wracać w dalszym ciągu tych wspomnień do spraw otoczenia Szelałgowskiego - kilka słów o Zygmuncie Zboruckim, jego długoletnim asystencie. Zborucki był moim serdecznym kolegą i jemu zawdzięczam m.in. zarekomendowanie mnie do Polskiego Słownika Biograficznego w Krakowie /sporządził kartotekę haseł we Lwowie, kiedy ja tkwiłem na zapadłej prowincji/.

Zborucki - jak wspomniałem wyżej - zwolniony z asystentury - znalazł się w sytuacji arcytrudnej: miał żonę, dziecko, mieszkanie we Lwowie, ale o uzyskaniu tu etatu nauczycielskiego nie mogło być mowy. Znalazł wreszcie z nowym rokiem szkolnym /prawdopodobnie 1933/34 / posadę nauczyciela historii w jednym z miast Podkarpacia, o ile pomnę w Samborze. Jako historyk dał się wciągnąć do tzw. akcji szlachty zagrodowej, t.j. wielkiej imprezy sanacyjnego rządu, mającej wykazać polskość tych obszarów jako argumentu przeciw ukraińskim żądaniom wielkiej autonomii. Wiadomo, że Rada Ambasadorów przyznając R.P. w 1923 prawu do Małopolski wschodniej - obwarowała je zobowiązaniem państwa do nadania Ukraińcom autonomii terytorialnej. Zygmunt - jak we wszystkim, co czynił - wziął się do tej roboty z zapalem, gromadził akta archiwalne i parafialne i jeszcze inne, przyczynił się do druku odpowiednich publikacji z wykazami rodzin polskich typu „gente Rutenus natione Polonus”, które kiedyś nobilitowali królowie polscy.

Z wybuchem wojny w 1939 r. i wkroczeniu Czerwonej Armii na obszary Małopolski Wschodniej - Zborucki drogo zapłacił za swą akcję; Wskazany przez Ukraińców został wywieziony wgłąb Rosji. Przez blisko trzy lata w obozach karnych na dalekiej północy rznął drzewo i ginął z głodu. Z powodu skorbutu stracił zęby, począł głuchnąć. Układ Sikorski - Stalin pozwolił mu po wielu trudach wydobyć się z tego piekła. Szczegółów wędrówki nie znam. Wiem tylko, że po kapitulacji armii hitlerowskiej dłuższy czas bawił ~~się~~ jeszcze w Anglii i odrestaurował tam swoje siły i dawną swą elegancję, ale głuchoty - rzecz jasna - nie usunął.

Nie wiedząc nic o jego losach a raczej przekonany, że Zborucki nie żyje - zaproszony przez redakcję „Kwartalnika Historycznego” do skreślenia lapidarnych nekrologów o lwowskich historykach, zmarłych w czasie drugiej wojny światowej - poświęciłem mu ciepłe słowa w dziale tych "którzy odeszli". ^{8/} Podkreśliłem jego zasługi nie tylko w Katedrze Historii Nowożytnej UJK., ale i w Kole Historyków tej uczelni i nekrolog zamknąłem konkluzją: "Zaginął po 1941 r." Wieść o klepsydrze za życia dotarła do Zygmunta w Londynie. Powiedział mi o tym, kiedy w 1963 r. spotkałem się z nim w Inowrocławiu; wyglądał dobrze i elegancko /prowadził Liceum Pielęgniarskie/, ale w słuchaniu musiał się posługiwać aparatem, wetkniętym do uszu, który nie wiele pomagał. Minęły od tego czasu lata, kontakt nasz urwał się całkowicie.

8. "Kwartalnik Historyczny" 1947, s. 71-72.

Droga do doktoratu i jej boczne ścieżki.

Po pierwszych elaboratach seminaryjnych pod skrzydłami mistrza Szelałowskiego przyszedł czas na wybór tematu magisterskiego - z cichą nadzieją, że może posłuży on do uzyskania tytułu doktorskiego. Panowała wtedy w Zakładzie Historii Nowożytnej aura dla badań przeszłości Galicji a zwłaszcza okresu spisków demokratyczno-niepodległościowych lat 1832-1842 i t.zw. rewolucji krakowskiej 1846 r. Szczególnie koledzy : Zborucki, Edmund Hydzik, Adam Ursel i inni przetrząsali akta procesów politycznych karzących za „zdradę główną” patriotów galicyjskich z tych lat. Protokoły procesowe przechowywane były wówczas w składnicy akt byłego Namiestnictwa i dopiero po jakimś czasie przeniesiono je do Archiwum Państwowego w starym gmachu Arsenалу Władysława IV.

Akta procesowe były skrzętnie przeglądane i inwentaryzowane przez grono archiwistów i historyków pod okiem dr Eugeniusza Barwińskiego i prof. Stanisława Lempickiego. Skierowałem więc swe kroki za radą Zboruckiego do gmachu Województwa Lwowskiego /czyli ponamiestnikowskiego/ na Wałach Bubernatorskich. Serdecznie przyjął mnie prof. Lempicki i z kilku spraw procesowych, które właśnie inwentaryzował doradzał mi zajęcie się śledztwem wytoczonym Janowi Tyssowskiemu, dyktatorowi Krakowskiemu w 1846 r., z góry uprzedzając, że jest to sprawa szczególnie opasła w fascykuły i t.zw. rektyfikaty, że dla jej rozpatrzenia przyjdzie sięgnąć także do akt śledczych innych działaczy ery spiskowej. ^{1/} O Tyssowskim wiedziałem bardzo niewiele, tyle tylko co ze wzmianek w mojej

1/ W austriackiej terminologii archiwalnej "fascykułem" nazywano wiązkę "jednej materii" / np. udziału oskarżonego w konkretnym spisku/, "rektyfikatem" zaś zespół akt do sprawy o szerszym znaczeniu, np. regulacja obciążeń pańszczyźnianych lub zwolnienia z serwitutów itp.

studenckiej lekturze Peplowskiego i Bolesława Limanowskiego. I właśnie ta arcykapta wiedza - zrodziła we mnie decyzję podjęcia trudnego i zagadkowego tematu. Był to pierwszy krok w całej późniejszej mej pracy historycznej zmierzającej do ~~rozgrzebiecia~~ ^{rozgrzebiecia} tajemnic biograficznych właśnie mało znanych ludzi; przedylekcja do najbardziej tajemniczych zakamarków biografistyki miała towarzyszyć ^{wszystkim} niemal moim badaniom w przyszłości. Po latach przyszła kolej na: ks. Piotra Ściegiennego, Juliana Goslara, Jana Nep. Janowskiego i kilku innych; nie mówię już o tym, że redakcja Polskiego Słownika Biograficznego angażując mnie - w kilka lat po doktoracie - przyjęła jakby zasadę powierzanie mi takich postaci, o których historycy albo zgoła nie albo znikomo mało wiedzieli.

Poza ubóstwem wiedzy o Tyssowskim ciążył na tym działaczu nadto niezwykle trudny dla badacza problem: zarzucano mu, że jako polityczny wódz rewolucji 1846 r. w Galicji zachodniej dokonał zdrady narodowej ujawniając w czasie przesłuchania w saskiej twierdzy Königstein prawie całą górę spisku powstańczego. Mało tego historyk-polonista taki właśnie, jakim ja byłem - musiał wniknąć w procedurę procesową austriacką i ^{niektóre} zagadnienia prawa międzynarodowego, jak kartele ekstradycyjne przestępców politycznych, wreszcie w tło umów kontrrewolucyjnych Świętego Przymierza. Nie muszę dodawać, że 9-dniowej dyktatury Tyssowskiego pod Wawelem - nie można było rozpatrywać bez zapoznania się z całokształtem rewolucji 1846 r. na ziemiach polskich. Tymczasem wiedza o niej do momentu podjęcia przeze mnie tematu sprowadzała się zasadniczo do dwóch pozycji: niemieckiej monografii, tendencyjnej i prorządowej o tym ruchu, napisanej przez sekretarza gubernium lwowskiego, barona Maurycego Salę /wyd. we Wiedniu w 1867 r./ oraz do pracy B. Limanowskiego z 1913 r. który sięgnął wprawdzie po niektóre archiwalia,

ale akt przesłuchania Tyssowskiego nie znał. Oczywiście poza tymi opracowaniami opartymi o źródła - istniało kilkanaście druków w językach : niemieckim, francuskim, rosyjskim, ukraińskim, ale o charakterze publicystycznym, propagandowym lub pamiętnikarskim. Rzecz jasna, że i te pozycje nie mogły być przeze mnie pominięte; posiadałem już znajomość wymienionych języków /prócz rosyjskiego/. Rękopisy archiwalne zredagowane w starym austriackim stylu urzędowym spiętrzyły się przede mną w stosie daleko przekraczającym metr wysokości bądź długości, jak to dziś określa się rozmiary akt w inwentarzach archiwalnych. Z początku z pewnym lękiem, ale rychło z wiarą i zapałem, wziąłem się do pracy.

Dla zapoznania się z przeszłością osobistą i społeczną Tyssowskiego - źródło kapitalne stanowił protokół jego zeznań złożonych przed mieszaną komisją (austriacką, pruską, rosyjską i saską) - w twierdzy Königstein pod Dreznem - w ośmiu połączonych woluminach, w których pytania Komisji i odpowiedzi Tyssowskiego oznaczone były cyfrą bieżącą od 1 - 703. ^{2/} Eksdyktator znalazł się w trudnym położeniu wskutek odosobnienia i oderwania od jakiegokolwiek kontaktów z ludźmi spisku. Wiadomo, że więźniowie polityczni nawet Cytadeli warszawskiej czy słynnego Moabitu berlińskiego - mieli możliwość zarówno drogą alfabetu pukanego czy grypsów przekazywać sobie wyniki przesłuchań i inne ważne wskazówki; przede wszystkim dotyczyły one nieżyjących towarzyszy spisku, których można było obarczać winą/nazywano to "systemem ementarnym"/. W Königstein praktyki te były wykluczone. Tymczasem Tyssowskiego pytano o wszystko, o czym z racji swego stanowiska mógł bezpośrednio lub choćby pośred-

2/ Tyssowski złożywszy broń 4 marca 1846 r. przed Prusakami, po przekroczeniu rzeki Przemszy, zbiegł na teren Saksonii, której nie wiązał z państwami rozbiorczymi żaden kartel ekstradycyjny; niestety w Dreźnie został aresztowany i osadzony w fortecy Königstein.

nio wiedzieć. Tyssowski biegły prawnik, były uczestnik powstania listopadowego, osobisty sekretarz ks. Władysława Sanguszki (w Gumniskach pod Tarnowem) w najzawilszych sprawach - zdawał sobie sprawę ze skutków wikłania się w zeznaniach. Podobnie więc, jak inni przywódcy polskich spisków i powstań; Franciszek Wiesiołowski, Ludwik Mierosławski a po zgnieceniu powstania styczniowego Romuald Traugutt czy Oskar Awejde - wybrał drogę prawdy w tych wszystkich zagadnieniach, których znajomość można mu było udowodnić. Nie wiedział zapewne jeszcze, że postępowania dowodowego nie będzie. W ten sposób w moich skrzętnych ekscerptach z ośmiu woluminów - znalazła się cała historia przygotowań i przebiegu rewolucji 1846 r., widziana oczyma jednego z najważniejszych jej realizatorów. Do tego doszły fiszki i odpisy z czternastu innych fascykułów archiwalnych, odsłaniające także dyplomatyczne kroki Wiednia u rządu saskiego o wydanie więźnia Königsteinu, do czego szczęśliwie dla niego nie doszło. W sumie przeczytałem kilka tysięcy kart archiwalnych.

Praca nad archiwaliami i rękopisami Ossolineum dotyczącymi epoki i sprawy - pochłone^{ła} wro czasu. Równolegle trwały czytanie i konfrontacje źródeł drukowanych i literatury przedmiotu. Dział^o się to bez jakiegokolwiek pomocy prof. Szela^gowskiego czy innych osób, do czego tak nagminnie uciekają się dzisiejsi autorowie prac magisterskich. Jedynie w zakresie zagadnień prawnych, szczególnie procedury procesowej - udzielił mi koleżeńskich wskazówek kolega seminaryjny Karol Koranyi, o którym już wspomniałem. Zupełnie przypadkowo, jak to się często w kwerendach źródłowych zdarza, wpadła mi w ręce niewielka broszura pod tytułem nie nie mówiącym o Tyssowskim; nosiła tytuł "Wygnańcy. Karta z dziejów najnowszych" i ukazała się w 1890 r. w serii popularnego Wydaw-

nictwa Towarzystwa im. P. Skargi. Byłem olśniony tym przypadkowym znaleziskiem; odsłoniło ono przede mną życie Jana Tyssowskiego w Stanach Zjednoczonych A.P., do których deportowano go z rodziną; • życiu tym mało co wiedziałem /dziś, kiedy piszę te wspomnienia, wie się o wiele więcej/.

Czytanie referatu z wyników moich badań na Seminarium przyniosło dla mnie nieoczekiwany sukces: Szelągowski zaprosił mnie do gabinetu i oświadczył, że pracę ^{dotychczas} traktuje jako doktorską i z takim wnioskiem po ukończeniu jej wystąpi do Rady Wydziału /już wówczas humanistycznego/ o wyznaczenie terminów rygorozów. Był to rok 1924. Znajdując się na drodze do doktoratu postanowiłem nie minąć ^{żadnej} ścieżki wybiegającej ^z tej drogi. Nawiązałem korespondencję z Mieczysławem Haimanem, kustoszem Muzeum Wychodźstwa Polskiego w Waszyngtonie w nadziei odnalezienia jakichś źródeł do życia Tyssowskiego za oceanem. Niestety korespondencja w tej sprawie nic nie dała, mimo że listy Tyssowskiego faktycznie odnaleziono ^{tymże} później w Muzeum i opublikowano; korespondencja między mną a Haimanem nawiązała nić szerokiej między nami wymiany myśli. W 1925 r. zakończyłem całą pracę, skolacjonowałem jej maszynopis i oddałem profesorowi. Praca została uznana za dysertację doktorską. W roku następnym zdałem rygoroza, o czym już wspomniałem; promocja w wypożyczonym smokingu miała miejsce w okazałej i reprezentacyjnej auli, dawnej sali obrad Sejmu Krajowego Galicji. Z mojej rodziny obecną była na promocji tylko moja druga matka (Zofia ze Święchłow I v. Szeparewiczowa); ojciec chorował, trzej bracia mieszkali w Warszawie. Żadnych przyjęć popromocyjnych w restauracjach, jak dzisiaj – nie urządzano. Ojciec pogratulował mi i uściskał życząc, by przyszłość zarysowała się jaśniej, niż przypuszczał, kiedy wybierał się na Uniwersytet.

Ale jeszcze przed zabiegami o tytuł doktora wypadło mi wejść na inne jeszcze ścieżki życiowe. Dzięki znajomościom drugiej matki w roku szkolnym 1924/25 - otrzymałem pierwszą posadę nauczycielską; o zdobyciu jej drogą urzędową we Lwowie - nie było nawet co marzyć. Zostałem nauczycielem historii w prywatnym małym Gimnazjum Prywatnym Al. Warzenicy. Uczyłem tam dwa lata, dokończając pracę i przygotowując się do rygorozów. Ale **pragnienie** opublikowania mojej monografii o Tyssowskim i jego dyktaturze nie dawało mi spokoju. Ze studiów nad rodziną eks-dyktatora wiedziałem, że pozostawił on w Stanach Zjednoczonych dość liczne potomstwo. Rozmawiałem na ten temat z swoim promotorem. Postanowił on już w 1925 r. w własnym imieniu zwrócić się do posekstwa polskiego w Waszyngtonie dla uzyskania informacji o żyjących przedstawicielach tej rodziny. Długo nie było odpowiedzi. Wreszcie po ośmiu miesiącach dotarła do nas odpowiedź sekretarza poselstwa, Leona Orłowskiego z wymienieniem dwóch żyjących członków rodziny Tyssowskich: wnuka Johna, pułkownika armii amerykańskiej i dyrektora naczelnego wielkiej firmy Bennet Day Importing Company z ekspozyturami w najważniejszych ośrodkach handlowych świata oraz wnuczki Annette (Antoinette) Clayberger, żony jakiegoś przedsiębiorcy reklamowego na Florydzie, w mieście Tampa. List sekretarza dowodził, że potomkowie b. dyktatora interesują się głęboko dziejami przodka, o którym prawie nic nie wiedzą, i proszą o dostarczenie im o nim bliższych danych. Orłowski donosił też, że ^{na} dokumenty, zapiski i pamiątki po dyktatorze trudno jest trafić; atoli z jego listu późniejszego do mnie - już z Londynu - / z maja 1933 r. / wynikało, że zainspirowany listem Szelągowskiego - czego zresztą nie podnosił - zebrał wcale żadne pokłosie papierów po Tyssowskim; ^{zich} wśród Y listy do niego Stanisława Worcella,

gen. Józefa Wysockiego, Ignacego Domeyki i około setki innych, "różne małe dokumenciki", portret Tyssowskiego i dwie fotografie; wszystkie te źródła ^{-jak mi donosił-} przed przenosinami swymi z Waszyngtonu do Londynu odesłał do Warszawy (^{tutaj} w prywatnym jego mieszkaniu padły niewątpliwie ofiarą zniszczeń hitlerowskich w 1944 r.).

Pierwszy list Orłowskiego / z 4 sierpnia 1925 r. / tchnął nadzieję we mnie i prof. Szelałowskiego, że może, o ile nie w języku polskim, to bodaj w angielskim przekładzie - praca o Janie Tyssowskim ujrzy światło dzienne. Dalsza korespondencja odsłaniała, powiem bujność rodu Tyssowskich. Z Polski ^{z rodzicami} wyjechało w 1846 r. troje dzieci (wszystkie urodzone między 1842 - 1845 r.): Pelagia, która wyszła za mąż za Gałęckiego /nazwisko to przekreśli Amerykanie na Galeski/, Henryka, wydana za Kselowskiego /Xelowski/ i Józef; w Stanach Zjednoczonych potomstwo Jana i Antoniny z Łęskich (powiększyło się o: Marię /nie zamężną /, Alicję wydaną za Amerykanina /nazwisko nieznane/, o Tadeusza i Antoniego. Wszyscy trzej bracia pożenili się z Amerykankami i prawdopodobnie symem Józefa był właśnie pułkownik i dyrektor John Tyssowski. Antoinette Clayberger wzięła imię po ojcu Antonim, który prawdopodobnie spłodził jeszcze jedną córkę, której zanglizowane po mężu imię brzmiało Ada Crawford of Rockville / to of wskazuje na ziemiańskie pochodzenie męża/. Przytaczam to drzewo genealogiczne rodu, ponieważ nie wprowadziłem go do swej już gotowej monografii ani nie podają go autorowie innych opracowań naszej Polonii zamorskiej. Gdyby się dało odtworzyć losy córek i synów, wnuków i prawnuków Tyssowskich był by to niewątpliwie barwny obraz krzewu rodowego, który przesadzony z Polski na teren amerykański, wypuścił tu pnie etnicznie już związane z obcością.

Szelałowski przestrzegł mnie, że redagując relację o działal-

{ Tysowski (imię niezn.)
żona (imię niezn.)

{ Jan Józef Tysowski (1811-1857)
Antonina z Łęskich

(dzieci wrodz. w kraju)

Pelagia
zam. Galička
(Galeski)

Henryka
zam. Kselowska
(Xelouski)

{ Józef
żona niezn. im.

John, płk. arm. am.
dyp. Bennet Imp. Cons.

(dzieci wrodzone z Stausch z p. A.P.i)

Maria
nieznajoma

{ Alicja
żona Suleykh.

{ Tadeusz
żona Ameryk.

{ Antoni
żona Ameryk.

Antoinette
zam. Clayberger

Sda
zam. Cranford of
Rockville

Uwaga: związki rodzinne, ustalane wyłącznie na korespondencji, nie wymieniamy wszystkich potomków.

Trzy pokolenia amerykańskie po Janie Józefie Tysowskim.

ności Tyssowskiego przed i w czasie 1846 r. lepiej będzie unikać terminu "revolution", którego Amerykanie nie lubią, i zastąpić go "uprising" / powstanie/. Uznałem uwagę za trafną i kilkustro-
nicową historyczną notatę w języku angielskim wysłałem-do kilku dni-zarówno do Johna Tyssowskiego, jak i p.Clayberger. Nastąpiła dłuższa^{znówuż}cisza. W tym czasie bawił w Polsce Stefan Mierzwa, dyrektor Fundacji Kościuszkowskiej dla popierania związków kulturalnych Polonii z macierzą; w czasie jego wystąpienia w Uniwersytecie lwowskim zagadnąłem go, czy sprawa Tyssowskich jest mu znana i czym tłumaczyć milczenie. Odparł: - Cóż pan chce ? Dostali od pana informacje i widocznie to im wystarcza... Do wydatkowania jakichkolwiek pieniędzy na badania czy publikacje Amerykanie nie są skłonni ... przecież to nie bussiness !

Po pewnym jednak czasie p.Clayberger podziękowała w tonie jakby głębokiego sentymentu dla bohaterstwa dziadka; John Tyssowski nie zrobił i tego. Jednak w porozumieniu z Szelągowskim przedstawiłem pod adresem ich obojga propozycję wydania monografii bądź co bądź rehabilitacyjnej ich dziadka w języku angielskim, załączając przybliżone obliczenie kosztu przekładu i druku wkraju z wyraźną rezygnacją z honorarium autorskiego. Dyrektor Bennet Day Import Comp. milczał uparcie nadal, p.Clayberger tłumaczyła się brakiem środków, ponieważ mogła by zdobyć się na to tylko wspólnym wysiłkiem innych członków rodziny a ci "nie zdradzają zainteresowań". Dalsza korespondencja nie rokowała powodzenia; mimo to napisałem jeszcze jeden list do Johna, przedstawiając perspektywę tańszego wydania w języku polskim bądź przekazania mu maszynopisu w języku angielskim. I po tym kroku zapadła głucha cisza. Wreszcie po kilku miesiącach prostactwo bussnesmana okazało się w rażącej formie: John Tyssowski przez Bank Narodowy

przekazał mi ... 20 dolarów a w liście podkreślił raz jeszcze brak zainteresowania sprawą a kwotę dolarową tłumaczył jako "zwrot kosztów korespondencji". Oczywiście odesłałem mu wspaniałomyślną ową rekompensatę i za list już nie podziękowałem. Jednakże John Tyssowski nie tylko był skąpcem, ale i ^{spryciarzem.} ~~krnąrczą.~~ Oto po dwóch dalszych latach doszedł do moich rąk, skromnego wówczas nauczyciela na prowincji, list prof. Romana Dyboskiego, znakomitego anglisty w Uniwersytecie Jagiellońskim; donosił mi, że p. Tyssowski z Nowego Jorku molestuje go listami, w jaki sposób mógł by dostać rękopis Mariana Tyrowicza, ponieważ Uniwersytet Lwowski odmówił mu "wypożyczenia". Dyboski poinformował go, że nie w tej sprawie uczynić nie może i powiadomił mnie o tym.

Nie koniec na tym ! W 1930 r. dzięki zabiegom prof. Szelągowskiego Kasa Pomocy Naukowej im. J. Mianowskiego wydała moją książkę o Tyssowskim. Ukazała się ona tuż przed V Powszechnym Zjazdem Historyków w Warszawie, zorganizowanym w stulecie Czynu Belwederskiego. ^{wanie} ~~Nadszedzie~~ ^{duże} obudziła zainteresowanie ~~Kół~~ historycznych; wyrazem tego były wyjątkowo liczne recenzje. Opakowałem pięknie egzemplarz, mój brat grafik - wykonał w miedziorycie podobiznę dyktarora krakowskiego i wysłałem to panu Dyrektorowi Bennet Day Imp. Comp. Nikt by nie zgadł, jak brzmiało podziękowanie wnuka patrioty polskiego: "niepotrzebnie się pan fatygował, ponieważ egzemplarz książki nabyłem w Nowym Jorku for a nominal price"

/ po cenie handlowej/. Opisuję te perypetie debiutującego historyka ^{oczywiście} ~~nie~~ ^{jakiśkolwiek} jako fakt mający ^{znaczenie} w ~~rozwoju~~ ^{rozwoju} badań ruchu rewolucyjnego w Polsce, ale jako obrazek demaskujący zatrważająco szybką amerykanizację naszych rodaków za oceanem, połączoną ze skąpstwem na cele naukowe, których nie mogą rekompensować zniżki podatkowe (szeroko tam stosowane wobec nauki). Tak to trzeba było

pobłądzić po bocznych ścieżkach prostej drogi naukowej, by z od-
dali a czasem i zbliska zobaczyć małość ludzi, którym badanie
przeszłości^{przodków} winno być drogą jako dobro kulturalne.

Cóż wreszcie dziwić się wynarodowionym potomkom bohaterów walk
o niedległość, skoro ta małość okazała swe nieładne oblicze także
w otoczeniu najbliższym^{mi jako} autorowi i to z pobudek tak niskich, jak
zawiść naukowa. Dyrektor Archiwum Państwowego we Lwowie dr Euge-
niusz Barwiński, który przez wiele lat zbierał we Wiedniu i we
Lwowie materiały do historii 1846 r. ,nie dopuszczał innych histo-
ryków do odnośnych akt archiwalnych powierzonych jego publicznej
pieczy, sam mimo świetnych warunków nie zdobywając się na to dzieło.
W swym referacie o r. 1846 na posiedzeniu naukowym lwowskiego
Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego - pokrył moją pracę
kompletnym milczeniem. Potrzebne mu to było nie tylko do udowodnie-
nia własnej tezy, że odpowiedzialność moralną za mordy i zgliszcza
dworów szlacheckich 1846 roku ponosi wyłącznie demokracja emigra-
cyjna, która przez emisariuszy zasiała niepokój na wsi zachodnio-
galicyjskiej. Zignorowanie mego dorobku badawczego miało widocznie
przekonać słuchaczy, że dopóki nie ukaże się jego dzieło o "krwa-
wym roku" - wszelkie dotychczasowe próby według niego są bez war-
tości, bo nie dają prawdziwego rzetelnego obrazu. ^{3/} Drobną to
grymas muzy Klio, ale grymas jej nie przystojny.

Na drugi nie zbyt zaszczytny dowód małości naukowej zdobył się
mój nieco starszy kolega z sali seminaryjnej i później wytrawny
badacz dyplomatycznego aspektu sprawy polskiej w epoce postycznio-
wej - Henryk Wereszycki. Zawiedziny w tym, że Szelański poparł

3/ Ekscerpty i wypisy z akt archiwalnych dokonane przez niego
złożyły się na bogate i wartościowo pod względem źródłoznaw-
czym "Teki Eugeniusza Barwińskiego", które po jego śmierci
zdeponowane zostały w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Krakowie.

w Kasie im. Mianowskiego moją pracę a nie jego, zresztą znakomitą rzecz o stosunku Austrii do powstania 1863/64 r. - nie tylko odmówił mi recenzji mej książki na łamach "Kwartalnika Historycznego", co ostatecznie było jego dobrym prawem, ale przyjąwszy mnie w swym mieszkaniu - takimi epitetami pod moim adresem upstrzył swą ocenę, że wyszedłem z tej "rozmowy przy herbacie" - jak obłany kubłem zimnej i brudnej wody. Aby nie zostawić mnie w mniemaniu, że uwagi są przemijające - ostentacyjnie oddał mi zaofiarowany mu jako koledze egzemplarz mej książki z kompromitującymi go uwagami na marginesach poszczególnych stron. Uwagi te pisane ołówkiem w pełnym ferworze irytacji nie wolne były od takich złośliwych uwag, wyraźnie pod moim adresem, jak: "idiota", "jasnowidz", "co za ciuciubabka!", "panie co pan plecie?", "klops", "kwiatek!", "co za mgła?" itp. Uwag tych nie usunął, oddając mi egzemplarz. Oczywiście zachowałem go sobie nie tyle "na pamiątkę", ale jako kwiatek do psychologii i obyczajów niektórych naukowców. Nie przeszkadzało mi to jednak, kiedy w 1935 r. ukazała się jego książka pt. Anglia a Polska w latach 1860-1865 a równocześnie na ten temat jego rozprawa w "English Historical Review", ogłosić o pierwszej bardzo pozytywną recenzję aż w dwu periodykach / w "Drodze" i "Nowych Książkach"/, o drugiej nie mniej pochlebne zdanie w "Kwartalniku Historycznym". To był mój rewanż!

Tymczasem recenzje z "Tyssowskiego - dyktatora krakowskiego 1846 r." posypały się jak z rękawa. Bardzo to dziwne, że pisali je ludzie w kraju i zagranicą nie znający mego nazwiska, wytrawni historycy lub dziennikarze, mający często szeroki pogląd na sprawy polskie, wierni obiektywizmowi a przy tym i uprzejmi w słowie. Andrzej Wojtkowski, niezwykle sumienny badacz tych czasów - wysuwał wprawdzie kilka kwestii dyskusyjnych, dotyczących Tyssowskiego,

ale w najważniejszej sprawie jego "zdrady narodowej" stwierdzał, że "autor trafnie wykrywa pobudki, którymi kierował się Tyssowski odpowiadając szczerze i bez wykrętów" w Königstein /"Kwartalnik Histor" 1931 nr 2/4/. Wybitny historyk powstań, Bronisław Pawłowski - poza oczywistymi w każdej monografii historycznej wariantami interpretacyjnymi faktów - w obszernej recenzji podniósł, że "autor zbadał bardzo sumiennie i krytycznie cały rozporządzalny materiał tak rękopiśmienny, jak i drukowany", następnie "dał obszerny, możliwie pełny obraz życia i działalności Tyssowskiego" ; znakomity stylista i analityk nie porwał się ani w jednym miejscu na bezpardonowy atak na mój język i konstrukcję w guście Wereszyckiego. /"Bellona" 1931, z.3/. W tym^{tek} kierunku - ceniony jako świetny znawca słowa prof. Stanisław Lempicki stwierdzał, że książka jest napisana "żywo i zajmująco", że "czyta się ją z prawdziwym zajęciem" /"Gazeta Lwowska" 21 XI 1930/. Podobne opinie przemawiały z łam recenzji zagranicznych, zwłaszcza czeskich. Dr Emil Janoušek na łamach "Slovenskiego Přehledu" /1932/nr 3/ zaakcentował plastyczność opisu każdej godziny dyktatury; wyborny znawca spisków galicyjskich Zdeněk Hájek w "Českim Časopisie Historickim"/1931, nr 3/4/ w długim artykule uwydatnił nowatorskie zalety mej monografii. Świetni publicyści: N.L. Silberstein na łamach "Slavische Rundschau" /1933, nr 2/, Stanisław Mágr w "Prager Presse"/13 X.1930/ podkreślili rozległy materiał źródłowy i metody jego wyzyskania. Wymieniłem tylko oceny najbardziej kompetentnych krytyków piśmiennictwa historycznego z pośród 23 recenzji i wzmianek w czasopiśmie i prasie polskiej. Jest rzeczą zastanawiającą w porównaniu z dzisiejszą metodą publikowania głosów o nowościach naukowych, jak szybko i skrupulatnie były one odnotowywane, ba! jak szeroko omawiane nie tylko w prasie fachowej, ale i codziennej.

Czy uważałem ten swój debiut za udany i opinie o mnie za zasłużone ?

Niewątpliwie książka wydana w Kasie im. Mianowskiego, uchodzącej wówczas niemal za odpowiednik Polskiej Akademii Umiejętności - nadała mi rangę młodego co prawda, ale dobrze zapowiadającego się badacza. Wszystkie z wyżej wymienionych opinii, jeśli tylko zawierały pewne zastrzeżenia i wątpliwości, zasługujące na dalsze rozjaśnienie - uważałem dla siebie i wydobytego przeze mnie na światło dzienne - zagadnienia za korzystne. Nawet niektóre uwagi ustne Henryka Wereszyckiego nie były pozbawione racji. Moje ekscerpty źródłowe w rękopisie / zwłaszcza z ośmiu woluminów przesłuchania w Königstein / posłużyły innym historykom, zwłaszcza Marianowi Żychowskiemu (zanim dotarł do archiwów niemieckich w Merseburgu) i Czesławowi Wycechowi do ich prac o 1846 roku. Ale osobiście byłem krytycznie ustosunkowany do swego dzieła. Przez wiele lat pragnąłem opracować je na nowo, w drugim wydaniu. Niestety narastające z każdym rokiem nowe zamówienia i coraz świeższe ambicje odsunęły mnie od tej myśli. Trzeba by wyjechać na dłużej do archiwów wiedeńskich, praskich i ~~duńskich~~ a także do zbiorów polskich w Stanach Zjednoczonych i Paryżu a na to nie pozwalały obowiązki zawodowe i brak funduszy. Nigdy nie miałem szczęścia do odpowiednich stypendiów państwowych czy instytucji naukowych.

Kiedy już wyrosłem z pieluchów debiutanta - raziły mnie w własnej monografii o Tyssowskim - niektóre zbyt drobiazgowo opisy działań o charakterze administracyjnym ^{czy} biurowym, nie wystarczająca argumentacja źródłowa niektórych tez, za słaba podbudowa ideologiczna sprzecznych nurtów w kierownictwie ruchem rewolucyjnym. Domagała się ^{też} poszerzenia amerykańska biografia dyktatora. Ale wszystkie te sprawy przed pół wiekiem - stanowiły albo trudne do

rozwikłania zagadki albo tabu historyczne z uwagi na socjalistyczny ton manifestu Rządu Narodowego w Krakowie z 22 lutego 1846 r. Nagłe i silne rozjaśnienie ideologii tych wypadków przyniosło dopiero stulecie rewolucji w 1946 r., niestety częściowo także przejawione w ujęciu t.zw. historyków marksistowskich.

Młodemu inicjatorowi badań trudno było bez omyłki stanąć twarzą w twarz z tak sprzecznymi ^{przed stuleciem} prądami. Udało się mi to dopiero z okazji licznych i wnikliwych debat historyków z okazji dwu stuleci: roku 1846 i Wiosny Ludów. Tak czy owak moja monografia zapoczątkowała wniknięcie w sens porywu przedwiośnia galicyjskiego, w jego powiązania ogólnopolskie, przyniosła duże naręcze wiadomości biograficznych o ludziach epoki i zapłodniła umysły historyków i naszych, i obcych /rosyjskich, angielskich i niemieckich/. Dowodem są częste powoływania się ich na pracę o Tyssowskim, częstsze u obcych badaczy, niż naszych. Autorka amerykańska Neomisia Rutkowska na podstawie odnalezionych papierów po Tyssowskim wydała o nim w 1943 r. broszurę ilustrującą - zresztą pobieżnie jego życiorys w Nowym Świecie. Do jego charakterystyki wniosły nieco szczegółów listy Juliana Fontany /muzyka/ do Stanisława Egberta Koźmiana /wydane przez Bibliotekę P.A.N. w Krakowie w 1957 r./.

Jeszcze dwa krótkie, ale cenne dla mnie błyski światła rozjaśniły mój debiut. Tuż przed oddaniem maszynopisu pracy do druku, z inicjatywy mego mistrza danym mi było przedstawić wyniki moich badań w lwowskim Towarzystwie Naukowym. W posiedzeniu uczestniczyli tacy luminarze nauki, jak Oswald Balzer, Przemysław Dąbkowski, Franciszek Bujak i inni. Miło mi było brać udział w ich dyskusji nad zagadnieniem dyktatury krakowskiej i źródeł do niej. Balzer wyjaśnił tło ekspansji Tyssowskiego do Stanów Zjednoczonych z punktu widzenia prawa międzynarodowego.

Drugi błysk światła, niestety na kilka tygodni wyprzedzający moment rozstania się z ~~nani~~ na wieczność ~~drogiego~~ ojca, były jego słowa powiedziane do mnie w szpitalu, gdzie oczekiwał ewentualnej operacji raka. Po zapoznaniu się z moją książką, rzekł do mnie wzruszony do głębi a dwie łzy zabłysły w jego oku:

- Nie wiedziałem, mój drogi, że potrafisz tak pisać ... cieszę się bardzo -
- Dziękuję - odrzekłem krótko i ucałowałem jego policzki.

Życie lwowskie moich czasów

Przy kawie, jadłospisie i winie

Już jako akademik umawiałem się nieraz do kawiarni na spotkania ze znajomymi; rzadziej z uniwersytetu wpadałem z kolegami do pobliskiej kawiarni Szkockiej na szklankę herbaty lub filiżankę kawy. Moja znajomość tych lokali znacznie się poszerzyła w latach trzydziestych, kiedy z obowiązków nauczycielskich na prowincji - przeniosłem się do Lwowa.

Wspomnienia o tych lokalach żywo tkwią w mojej pamięci, ale wiążą się szczególnie z tymi, które najchętniej odwiedzałem. Mój pociąg do krótkiej zazwyczaj rozmowy przy stoliku z marmurowym blatem - przemienił się z czasem w przyzwyczajenie, ale nigdy nałóg. Zawsze pociągała mnie obecność innych osób w tych zbiorowiskach; nigdy nie korzystałem z kawiarni w samotności.

Lwów z moich lat dziecinnych i studenckich miał kawiarnie urządzone na modę wiedeńską. Ale do wybuchu wojny światowej w 1914 r. jako kilkunastoletni chłopak prawie ich nie znałem; oglądałem je nieraz z zewnątrz przez wielkie oszklone okna bądź słyszałem o nich z ust starszych braci. Rodzice spotkań ze znajomymi w kawiarniach czy innych lokalach nie urządzali; było by to w owych czasach traktowane jako luksus, życie ponad stan. Jedyne do cukierni na lody zabierał nas ^{dwóch} i to tylko w niedziele ojciec, jak już o tym wspomniałem. Kawiarnie w tym czasie służyły raczej ludziom interesu, przyjeźdnym, sferom wyższych urzędników, aktorom, dziennikarzom; liczną klientelę przeważnie liczącą się z wydatkami - byli emeryci, spotykający się na "małej czarnej" bądź czytający tu od deski do deski dzienniki lwowskie i wiedeńskie. Takim lokalem najbardziej uczęszczanym - prawie wyłącznie przez mężczyzn - była Kawiarnia Wiedeńska na ul. Hetmańskiej vis à vis pomnika Jana III, gdzie schodzili się właśnie emeryci i handlowcy; bardzo popularną postacią w tym lokalu był dyrektor policji lwowskiej Reinländer, mający

tu sporo znajomych. Na Placu Halickim cieszyła się znacznym powodzeniem kawiarnia Centralna, pied à terre wyższych wojskowych i urzędników. Grand-Café przy ul. Karola Ludwika /później Legionów/ zapełniali przeważnie Żydzi /inteligencja i ludzie interesu/, Teatralną obok Teatru Skarbka -aktorzy a także różnego rodzaju fakto-rze i demi-monde, w związku z czym lokal ten nie cieszył się naj-lepszą opinią. Oczywiście było tych lokali - ciągle mowa o czasach "miłościwie panującego"Franciszka Józefa - o wiele więcej, dla mnie stanowią one zamierzchłą przeszłość, nie mam o nich osobistych wspomnień.

Inaczej pamiętam to życie w okresie dwudziestolecia między-wojennego.Starsze lokale jakkolwiek nadal istniały, "Wiedeńska", "Centralka" i inne - zostały wyparte przez przedsiębiorstwa nowe, lepiej urządzone, bardziej przestronne i elegantsze, wreszcie-co najważniejsze dla ich powodzenia - wprowadzające muzykę większych lub mniejszych zespołów, zwłaszcza wieczorem, z czasem i dancingi. Mimo tych zmian - za podmuchem wpływów zachodnieuropejskich i Warszawy - życie tych lokali biło innym tętnem, niż w kawiarniach po drugiej wojnie. Właściciele dbali o klientelę, obsługa była szybsza i grzeczniejsza, wielu stałych gości cieszyło się kredytem u płatniczych, kelnerzy wiedzieli dobrze, komu i kiedy przekazać na ucho krążące po mieście plotki.Lokale te nie prowadziły progra-mów artystyczno-kabaretowych z wyjątkiem nocnych progta-mów z wy-stępami tancerek i śpiewaków czy śpiewaczek raczej niższego auto-ramentu; programy te weszły w życie tylko w niektórych kawiarniach, otwartych długo w noc.

Do lokali dancingowych już w pierwszych latach po wojnie nale-żały przede wszystkim kawiarnie: "De la paix" przy Placu Mariackim - ładny lokal na I p.z zewnętrznym balkonem, dającym gościom możli-wość oglądania życia ulicznego w samym sercu miasta, najruchliwszym i najbarwniejszym. W tym właśnie miejscu u zbiegu ulic Kopernika i

Legionów - pewnego letniego wieczoru - było to już kilka lat później od tu opisywanych - pamiętam dziwne, jak na owe czasy zdarzenie. Szedłem właśnie z bratem na seans wieczorny w kinie "Palace", gdy na rogu ulicy zatrzymał nas tłum; spojrzeliśmy ze zdziwieniem, co się tu dzieje, bo tu właśnie przetaczał się zwykle nieprzerwany potok przechodniów. I oto, co zobaczyliśmy: w kręgu widzów młoda przystojna kobieta opuściła ze siebie ostatnią część damskiej bielizny i stanęła naga w gwarze przepływającego tłumy. Wysoka i wyprostowana opuściła twarz i ręce ku biodrom, młoda pierś wyzywająco wysuwała się ku przodowi zaróżowionymi czubkami. Incydent ten - acz krótkotrwały - zaskakiwał swą zagadkowością: zakład, niepoczytalność czy ostry wypadek ekshibicjonizmu? O streap-teasie nikomu jeszcze w Polsce wówczas się nie śniło. Ktoś wezwał wkrótce policjanta, który poprosił tę uliczną Wenus, by nakryła swe kształty i udała się z nim do najbliższej bramy.

Drugą rozległą kawiarnią była "Warszawa" u zbiegu ul. Mickiewicza i Placu Smolki. Zarówno w niej, jak i w "De la paix" można było potańczyć bez narażenia się na niespodziewane awantury czy zaczepki; zaglądałem do nich bardzo rzadko. Gorszą renomą, ale zato tłumniejszą frekwencją cieszyły się dwa lokale, nieraz określane jako "spelunki": mieszczące się w piwnicach na początku ul. Piekarskiej a otwarte dopiero w latach 30-tych p.n. "Piekiełko" i "Teatralną" przy ul. Skarbkowskiej; w tych obu przybytkach pełnych nocą gości nieraz "spod ciemnej gwiazdy" można się było napatrzeć różnych sytuacji, zobaczyć ciekawe typy. Jedyłą kawiarnią, która prowadziła i dancino i kabaret był "Louvre" przy ul. 3 Maja. W okresie prosperity, kiedy lecący z pieca na żeb kurs marki / a więc jeszcze przed reformą walutową Grabskiego w 1924 r. / sprzyjał rozpętaniu się spekulacji akcjami i obcymi walutami - kręgi noworyszów tłumnie szukały nocnej rozrywki w dancingach; właściciele

angażowali więc zastępy t.zw.fordanserek i jednego lub dwóch fordanserów dla samotnych pań. Można się domyślać, że funkcje tej damskiej i męskiej usługi tanecznej nie kończyły się na parkiecie przy oszałamiających tangach. Trzeba zaznaczyć, że lokale dancin-gowe zmieniały właścicieli a tym samym i swe firmy. Znany we Lwo-wie przedsiębiorca gastronomiczny Moszkowicz - opuścił miasto, by w Warszawie założyć głośną "Adrię".

Moje wspomnienia taneczne w lokalach publicznych łączą się raczej z nieco wykwintniejszymi lokalami i to już po 1930 r. Chętnie w towarzystwie znajomych pań, zwłaszcza z kręgu artystów - kolegów brata - odwiedzałem kawiarnię -dancing w Hotelu Krakowskim, róg ul. Piekarskiej i Pl. Halickiego; *tw* niejaki Scheffer prowadził "Cy-ganerię", sprytnie tak ochrzczone, bo ze względu na stosunkowo niewielką garstkę artystów i aktorów - nazwa ta ściągała tam za-możniejszych snobów. Zdobył w nim popularność i sympatię barman "Waluś", który prowadził extra bufet ze szczególną specjalnością, wódki z fasolką. Waluś zapisał się w pamięci bywalców Scheffera tym także, że co rano klęczał przed jednym z ołtarzy w pobliskim kościele bernadynów. O ile u Scheffera nie zauważyłem fordanserek, to słynął z nich "Palais de Dance" Zehnguta przy ul. Legionów nie-daleko Teatru Wielkiego. Dziewczęta dobierał właściciel starannie, były blondynki i brunetki /fryzur platynowych jeszcze wtedy nie znano/, ale wszystkie zgrabne, niektóre władające językiem niemiec-kim i francuskim. Parkiet był obrotowy i na jakimś elastycznym podkładzie tak, że tańczenie stanowiło rzeczywiście ^{dużą} przyjemność. Czasem wybieraliśmy się z bratem i znajomymi paniami do lokali odleglejszych od centrum: "Alhambry" i "Pałacu Sztuki" na terenach Targów Wschodnich; eskapady kosztowały drożej, bo prócz konsumpcji trzeba było wydać na fiakra lub taksówkę. Na dwa lub trzy lata

przed drugą wojną - Scheffer zrezygnował z "Cyganerii" i w Pasażu Mikolascha urządził przy pomocy znakomicie mi znanego plastyka, obrotnego i wesołego - Staszka Mikuły "Gołębnik". Lokal mieścił się na pierwszym piętrze, miał niezłą, choć nieliczną orkiestrę. Raz w tygodniu zjawiał się tam typ hreczkosieja spod Tarnopola, wielki amator modnego tańca angielskiego Lambeth Walk, który za-
 chęcony przez fordanserki - fundował^{wódkę} dla wszystkich osób w łóżach lokalu. Bywalcy lokalu twierdzili, że zawsze schodził z lokalu w towarzystwie dwóch fordanserek. Miła atmosfera panowała też w niewielkiej kawiarni-barze Burkera /kulawego restauratora/ na rogu ul. Krakowskiej i Rynku; grał w nim na fortepianie tylko jeden pianista a jako szlager wybębniał codziennie "Pięciu z Albatrosa".

Oprócz wymienionych przybytków tańca i muzyki odwiedzane były przez młodzież i starszych panów szukających partnerek - lokale, których osobiście nie znałem: "Carlton" przy ul. Łukasińskiego, stanowiący centralę i azyl dla fordanserek poszukujących angażu, "Grota" przy ul. Szajnochy w piwnicy, gdzie zabite z nieznanых powodów niejakiego Wacławskiego /plotki mówiły o jakiejś aferze związanej z wywiadem, inne o zemście miłosnej/; przy tej samej ulicy działał trzeciorzędny lokal "Gong". Lokale tego typu zarówno w tej krótkiej ulicy, jak i w długiej ul. Legionów /"City", "Elite", "Imperial"/ najczęściej zmieniały właścicieli czy dzierżawców. Gromadzili się w nich częste i gęste waluciarze, zwłaszcza że pobliska ul. św. Stanisława - stanowiła w latach inflacji najludniejsze zbiorowisko, gdzie handlowano dolarami i inną walutą.

Elegancki świat obrał sobie inne lokale nie oferujące parkietu i fordanserek. Ludzie nauki zarówno profesorowie, jak asystenci /cenieni wówczas bez porównania wyżej niż dzisiaj/ a także sportowcy gromadzili się ^{na} przed południem, ale ^{na} bardzo długo wie-

czorami w Kawiarni Szkoockiej przy Pl. Akademickim; właścicielem jej był Tomasz Zieliński, z którego córką ożenił się przystojny i zdolny młody lekarz, mój starszy kolega z opisanego na początku Gimnazjum im. St. Staszica, dr Tadeusz Chorążak, ginekolog a po wojnie prof. jednego z uniwersytetów na t.zw. Ziemiach Odzyskanych. Toczyły się tu między naukowcami, szczególnie matematykami, długie i zacięte dyskusje; opisuje je m.i. w swych angielskich pamiętnikach, prof. amerykańskiego uniwersytetu Ulman - lwowianin. Sportowcy omawiali aktualne imprezy i wyniki. Kobiety widywałe się tu rzadko. Natomiast więcej elegantek przeważnie ze sfer żydowskich spotykało się w "Romie" otwierającej swe podwoje na przeciw "Szkoockiej" na rogu ul. Fredry i w "Renaissance" Lasockiego na rogu ul. 3 maja i Kościuszki /później "Luwr"/. Odbywały się tam od czasu do czasu jakby kiermasze organizowane przez związki akademickie; pamiętam, jak na jednym z nich /w „Renaissance”/ mój brat Ludwik zaczynający wówczas swą działalność malarską /jeszcze nie graficzną/ wystawił na zakup kilka mniejszych obrazków olejnych i ... niczego nie sprzedał. Wspomniana kawiarnia "Warszawa" na początku ul. Mickiewicza była mniej uczęszczana; właściciel próbował wataować frekwencję różnymi atrakcjami. Pamiętam, jak kiedyś wszedłszy tam, zobaczyłem jako osobliwość widowiskową korpus młodej i przystojnej kobiety... bez kończyn górnych i dolnych. Makabryczna była to atrakcja.

Ciekawy był podział lokali kawiarnianych według profesji i przekonań politycznych. I tak w "Kryształowej" w Pasażu Mikolascha gromadzili się zaraz po pierwszej wojnie ludowcy i sympatycy ugrupowań postępowych, w "Grand-Café" przy ul. Legionów - sjonści, w "Sans-Sołci" przy ul. Szajnochy - socjaliści i młodzież demokratyczna, w "Narodnej Hostynnicy" - inteligencja ukraińska. Nafciarze wydawali sobie rendez-vous w "Europejskiej" na ul. 3 maja, kupcy drzew-

ni w "Imperialu" przy ul. Legionów, artyści, aktorzy, muzycy i literaci w wspomnianej "Romie". Również funkcjonowała czas jakiś "Ziemiańska" przy ul. św. Mikołaja, ale miała publiczność mieszaną. Równie mieszaną co do zawodu, wieku i płci cieszyła się wytworna kawiarnia Hotelu George'a; hotel ten przebudowany w 1900 r., okazały i 4-piętrowy u zbiegu ulic Sienkiewicza i Kl. Tańskiej ^(wpadającej do Placu Mariackiego) należał do najdroższych i najelegantszych. Toteż w jego kawiarni, do której wchodziło się od ul. Tańskiej na przeciw wielkiej księgarni Bernarda Połonieckiego - spotykał się świat dystyngowany, dobrze ubrany, o spokojnych manierach. Szósty pułk lotniczy miał tu stale zarezerwowany stolik. Nikt w tych czasach nie wszedł by do tej kawiarni w swetrze lub sportowej koszuli.

Wykwintna i zamożniejsza publiczność spotykała się również w restauracjach, szczególnie wieczorem. Przestrzenne i lśniące od białych obrusów i srebrnych naczyń sale restauracyjne właśnie Hotelu George'a - należały do klasy najwyższej. Tu kilkakrotnie mój mistrz prof. Adam Szelański zapraszał na kieliszek wina i skromne zakąski - członków swego seminarium. Toczył z nami i ze swym asystentem dr Zygmuntem Zboruckim rozmowy na tematy i historyczne i inne. Kiedy indziej spotykaliśmy się z nim w obszernej restauracji Hotelu Europejskiego na Pl. Mariackim. Ale ciekawa rzecz, że ten wielki amator płci pięknej - nigdy na te zebrania nie zapraszał pań ani dr Jadwigi Lechickiej ani dr Marii Jarosiewiczówny, która była naprawdę piękną i przystojną osobą. Bardziej kameralnym i bodaj i droższym nawet od Hotelu George'a był lokal Bolesława Koziola w wąskiej ul. Dominikańskiej. Chcąc w 1933 r. zaprezentować mej narzeczonej z Łodzi i niebawem żonie - lwowską gastronomię od najlepszej strony - zaprosiłem ją na kolację właśnie do Koziola. Była to świetna kuchnia i znakomicie zaopatrzona piwnica w wina. Pokoje te nie były nigdy przepełnione; przychodzili tam ludzie

lubiący się w pięknych wnętrzach i atmosferze intymnej; przypominam sobie dyskretne oświetlenie pokoi i piękne stare sztychy na ścianach.

Przez wiele lat po 1918 r. konkurował z powyższymi restauracjami "Bristol" przy ul. Legionów; wysokie i przestrzenne sale, urządzone w stylu lokali wiedeńskich - gromadziły przeważnie żałośne kupiectwo.

Brać literacka i artystyczna obrała za siedzibę trzy izby Atlasa w Rynku. Gospodarzył tu obrotny, żywy, zawsze uśmiechnięty Edzio Tarlerski. W pierwszej sali królował Henryk Zbierzchowski, wówczas wprawdzie urzędnik Izby Skarbowej, ale powszechnie w mieście znany jako poeta, publikujący niemal codziennie swe "wiersze z łezką" o Lwowie i życiu miasta w miejscowej prasie; sygnował je pseudonimem "Nemo". Wiadomym było, że za niektóre wierszyki pikolak restauracyjny przynosił mu honoraria z redakcji, które autor po wielkopańsku przeznacział z miejsca na fundowanie poczęstunku dla swych sympatyków na sali. Wiersze te często rodziły się właśnie "u Atlasa" komponowane na bibułkach stołowych. Widzieć tu można było Stefana Kawyna / o którym piszę szerzej gdzieindziej/, Karola Kuryluka, Tadeusza Hollendra i innych z grupy "Sygnałów". W trzeciej sali, gdzie siadało się na beczkach i piło się z kubków na łańcuszkach - spotykałem najczęściej brać plastyczną: Mariana Wnuka, Romana Sielskiego i jego miłą żonę Margit Reich, Aleksandra Krzywobłockiego i innych.

O knajpie Atlasa szedł rozgłos po Polsce. Z tęsknoty za jej urokiem jeden z jej bywalców rzucony losami wojny do Austrii taką pieśń w dialekcie "lwowskich batiarów" wyśpiewał o niej i artystycznej klienteli /przytaczam w fragmencie /:

Jest dużo miast i wiele nacji,
Wszędzie są jakieś restauracjii,

Knajpy, lokale słynne, znane,
 Od innych bardziej uczęszczane,
 Lepsze, wykwintne i typowe,
 Lecz gdzie im równać się z Lwowem ?

- - - - -

Było we Lwowie moc lokali,
 Lecz oni się nie umywali
 /choć mogli być i piersza klasa/
 Do knajpy Edzia, do Atlasa..
 A przecież byli też w Lwowie:
 Koziół, Naftuła, Musiałowicz,
 Kot, Teliczkowa, Litner, Nowak,
 "George" i "krakowski" - dwa hotele,
 Iż równych im nie znajdziesz wielu!

- - - - -

Lecz nie poezja tu jest ważna,
 Ni wyszukanie słów i kształtów,
 Ale wspomnienie i twarz każda
 I serce lwowskie - proszę pana -
 I tamte knajpa ukochana !
 Każdy kieliszek, który pił z kimś
 Malarz Ołeksza Nowakiwskij,
 Henie Zbierzchowski, Grus i Raort
 czy ksiądz Błotnicki. Placu małego,
 By wszystkich tu pomieścić...
 Bo tu na wszystkich miejsca nima !
 A gdzie Hollender ? A gdzie Hemar ?
 A Stroń ? Zahradnik ? i Rogowski ?
 A piękny Leszek Pośpiełowski,
 Co grał w tyatrze jaraczowskim,

Kochał się w Luli

Taż tutaj bractwo z całej Polski

Piło ! Ta nawet z zagranicy !

A więc ni tylko Węgrzyn, Solski

I Parandowski, co Horzycy

Coś tam tłumaczył nad węgorem

Z Nowego Sącza. A Jaracz ? Schiller ?

I Bruno Schulz z Ignacym Witzem

I różnych innych ludzi, tyli

Typów artystów, ziemian, stworzeń,

Że trudno je sklasyfikować

Bogata była Jama Lwowa !

Bo fajna była - żebyś wiedział -

Ta knajpa "Atlas". I u Edzia

W "beczkowej sali", w "białej sali"-

Wśród karykatur i rysunków

Sichulskich, Grusów i tak dali -

Porządni ludzie popijali

Porządne porcje dobrych trunków^{1/}

1/ Z wymienionych w tym wierszu postaci wyjaśnienia - poza ogólnie znanymi nazwiskami - wymagają : Oleksa /Aleksander/ Nowakiwskij, malarz ukraiński /impresjonista ze szkoły Stanisławskiego/; Kazimierz Grus, artysta - grafik, ilustrator lwowskiego "Szczutka"; Raofit /Herman Rapaport/, dziennikarz i satyryk; ks. Franciszek Błotnicki, katecheta w Gimnazjum Żeńskim Z. Strzałkowskiej i autor wierszy lirycznych; Jan Zahradnik, polonista i literat młodego pokolenia; Stan. Rogowski, poeta z tego grona, dziennikarz, Leszek Pośpiechowski, aktor dramat. Teatru Wielkiego, Wilan Horzyca, dyrektor tegoż Teatru, Bruno Schulz, powieściopisarz awangardowy, autor "Sklepow cynamonowych", Ignacy Witz, malarz i grafik. - Autorem zacytowanego wiersza jest Andrzej Chciuk, zmarły w Australii w 1978 r.

Wspomniałem już o chętnie odwiedzanym lokalu Burkera. Nie mogę tu pominąć ciekawy incydent, który właśnie w obecności mojej i brata Ludwika oraz naszych żon zakończył się właśnie tutaj. Bardzo popularny we Lwowie lekarz -dentysta, a przy tym kolekcjoner obrazów, p. Kremer obcował często z gronem plastyków i chętnie szczycił się swymi zbiorami. Pewnego popołudnia pokazał mnie i bratu stary obraz olejny, przypisując go ... Giottiemu i to w oryginale. Przez delikatność nie wybuchliśmy śmiechem, ale brat zaprzeczył tak niezwykle autorstwa i stanął zakład: w razie negatywnego orzeczenia historyka sztuki - pan Kremer zobowiązał się zaprosić nas wraz z żonami na kolację do Burkera. Nie pomnę już, kto był rzeczoznawcą; swą pomyłkę uznał ^{wreszcie} właściciel obrazu i tak spędziliśmy miły wieczór tańcząc na przemian ze swymi żonami a "krzywy "/tak ochrzciliśmy Burkera/ śmiał się do rozpuku.

Dobrze można było zjeść u "Naftuły - Toepfera" na ul. Trybunalskiej i u Szkowrona na Kopernika, gdzie corocznie bibliofile lwowscy urządzali koleżeńską kolację przeplataną dowcipami, gawędą i czytaniem wierszy okolicznościowych bądź fikcyjnych, satyryczno-dowcipnych bibliografii. Uczestniczyłem kilkakrotnie w tych przyjemnych konwentykłach zapraszany nie tyle jako bibliofil, lecz młody historyk Lwowa i Galicji. Uczestniczyli w tych zebraniach: Mieczysław Opałek, Kazimierz Tyszkewski, Antoni Knot, Władysław Wisłocki i inni ossolińscy. "Śniadankowe" bary prowadziła Teliczkowa na rogu Chorążczyzny i ul. Akademickiej, Józef Nowak przy Bl. Halickim, gdzie wpadało się na "sznycik" tj. małe piwo ze świetną zakąską z szynki lub parówek. Na ul. Sykstuskiej zawsze pełny był lokal Musiałowicza, przeniesiony później na ul. 3 maja.

Miał Lwów także swoje zaciszne ogródki poza miastem, gdzie weselsza młodzież, ale nie tylko ona, wybierała się w letnie wieczory

i skąd wracano przeważnie pieszo w dobrych humorach, nieraz o brzasku dnia. Wymienię tylko te, gdzie można było bez przygód, w dobranym towarzystwie spędzić kilka godzin. O ile w lwowskich kawiarniach zdecydowanie przeważali mężczyźni jako goście, to w ogródkach restauracyjnych i na dancingach od obecności kobiet zależała zabawa. Za rogatką stryjską ogródek taki prowadził Rudzki - wśród drzew i lampionów - pito tu, jedzono i tańczono. Położony na wzgórzu - nocą pozwalał widzieć zdala oświetlone miasto. Gdy brat najstarszy Tadeusz przeżywał tygodnie "słomianego wdowca" z powodu wyjazdu żony na wakacje a ja z bratem Ludwikiem byliśmy jeszcze kawalerami - wybieraliśmy się z nim do Rudzkiego albo do "Palais deDance". Bliżej z naszego domu wiodła droga na Pohulankę; tu jeszcze za czasów austriackich - po ginącej w niepamięci świetnej przeszłości uroczego lasku Węglińskiego - przedsiębiorca pochodzenia niemieckiego założył rozległą restaurację z obszernym tarasem i zbierały się na nim co niedzieli tłumy wycieczkowiczów. Było to towarzystwo mocno mieszane a po zachodzie słońca i wschodzącym księżycu zajmowały stoliki bardziej rozchukane elementy. Dlatego woleliśmy raczej dalsze wycieczki za rogatkę stryjską lub do lokali na Placu Targów Wschodnich. Równie demokratyczną potańcówką eferowała "Francówka" na końcu ul.29 listopada, do której nigdy nie zaglądaliśmy. Prawie na końcu ul.Łyczakowskiej pod wzgórzem, po którym biegła linia kolejowa w kierunku Podhajec i Brzeżan (obsługiwana przez stację Lwów-Łyczaków), rozłożyła się kiedyś karczma, obecnie piwiarnia Kijaka; w tej to parterowej, prawie ukrytej w zieleni gospodzie założyli swe gniazdo koleżeńskie bibliofile młodszej generacji. Spotykałem tu przy piwie Mieczysława Opałka, Antoniego Knota, Karola Lewickiego, Stefana Kawyna i innych; nieraz wymienialiśmy między sobą rzadkości wydawnicze bądź

informacje o nowościach księgarskich. Z letnich kawiarni warto wspomnąć tarasy na tyłach Pałacu Sztuki, z których tak piękny i rozległy widok otwierał się na Lwów, że Henryk Siemi#radzki stąd właśnie skomponował malarską panoramę miasta na kurtynie Teatru Wielkiego.

Wyraźnie damskim ulubionym miejscem spotkań są wszędzie cukiernie. Dawna cukiernia Bienieckiego na ul. Hetmańskiej, do której wprowadził nas jako chłopców ojciec przed pierwszą wojną światową - znikła po 1918 r. Po latach dopiero spadkobiercy firmy odnowili ją na ul. Jagiellońskiej, gdzie już nie miała dawnego wystroju. Natomiast elegancki świat odwiedzało tłumnie cukiernię Zalewskiego przy ul. Akademickiej: niektórzy profesorowie Uniwersytetu mieli tu swe stałe stoliki, przy których podpisywali indeksy studentom. Tu do stałych gości należał Jan Kasproicz, Stanisław Lempicki, Tadeusz Lehr-Spławiński i szereg innych. Mój gimnazjalny preceptor dr Balicki był u Zaleskiego popularną postacią, zwłaszcza w okresie, gdy pisywał recenzje teatralne. Tenże sam Zalewski prowadził piękny, lśniący od marmurów sklep ciast i tortów także na szlaku "korsa" tj. ul. Akademickiej. Wytwory jego zdobyły taką sławę w Polsce, że co rana duży transport z nocnego wypieku odlatywał samolotem do Warszawy. Wcześniej od Zalewskiego, ale nie tak ekskluzywną klientelę cieszyła się cukiernia Sotscheka przy Pl. Mariackim, później Welza w parterze najnowszego lwowskiego "drapacza chmur" wystawionego przez znanego przedsiębiorcę i finansistę Sprechera.^{2/}

2/ Kamienica ta wewnątrz wyłożona płytami marmurowymi a zewnątrz włoskim trawertynem, zaprojektowana przez architekta R. Kasslera wykonana była częściowo przez zakłady mego ojca i brata Tadeusza, jego następcę w firmie.

Kto nie przepadał za słodyczami, lodami, mazagranem, kawą mrożoną - szukał radości dla podniebienia w winiarniach. Z czasów austriackich importerzy win węgierskich, włoskich, francuskich - założyli firmy, które przetrwały niemal do wybuchu drugiej wojny. Spółka Didolić i Papić reklamowała w swym dużym lokalu przy ul. Czarnieckiego wina dalmatyńskie. R.Stadt Müller w Rynku przy ul. Batorego, prócz win oferował miody. Szybko jednak winiarnie przedrodziły się w handle. Dawna wiedeńska tradycja "wstępowania tylko na lampkę wina" obumarła u nas dość szybko.

Oczywiście wyłaniająca się z moich wspomnień panorama kawiarni, restauracji, cukierń i ogródków gastronomicznych międzywojennego Lwowa jest tylko fragmentem życia, które w nich pulsowało. Bywałem przede wszystkim w tych śródmiejskich & rzadko w odległych regionach miasta. A arterie komunikacyjne wiodły daleko poza centrum ul.Gródecką w kierunku Lewandówki, ul.Snopkowską ku Zofijówce, ul.Łyczakowską w stronę Winnik i wszędzie na tych szlakach otwierały swe podwoje restauracje mniejsze i większe, bary i szynki, ogródki pod gołym niebem. Każda dzielnica - a miał ich Lwów po pierwszej wojnie cztery : Halicką, Krakowską, Żółkiewską i Łyczakowską - szczyliła się jednym lub kilkoma przedsiębiorstwami ze swymi "specjalnościami".

Lwów tańczący i uśmiechnięty.

Obraz mego rodzinnego miasta nie był by pełny, gdyby zabrakło w nim opisu życia karnawałowego a nawet tych imprez tanecznych, które urządzano i poza karnawalem.

Rzecz jasna, że nie wszystkie te przyjemności przeżywałem osobiście, sale balowe były tak rozrzucone w tym wielkim mieście, że trzeba by mieć auto - a te aż do 1939 r. były atrybutem tylko bardzo zamożnych ludzi - nie spać całymi nocami w karnawale i nie mieć nic lepszego do roboty.

Lwów jako najludniejsze miasto południowej Polski, żyjące - jeszcze po odrodzeniu państwa - tradycjami stolicy Królestwa Galicji i Lodomerii, miał wiele warunków po temu, by życie karnawałowe huczało w nim szumniej i bogaciej, niż w innych miastach, oczywiście poza Warszawą. Miasto koncentrowało zamożne kupiectwo, nieraz szeregiem pokoleń sięgając daleko wstecz; obok zamożnych pionierów handlu powojennej generacji, najczęściej żydów - utrzymały się przy wadze i ołówku niektóre domy mieszczańskie Riedlów, Uwierów, Halskich, Litwinowiczów, Höfflingerów i dziesiątków innych. Dostatek do rodzin przemysłowców, jak Towarnickich i Trapów, wносиło poblizko kopalń nafty na Podkarpaciu. Instytucje naukowe, acz - rzecz jasna w swych szczytach profesorskich - do tańca nie predystynowane, przecież młodzieżą studiującą wypełniały sale balowe i te największe i mniej świetne. Wreszcie i cyganeria lwowska od pióra, pędzla i muzyki, choć jak wszędzie we świecie z pustą przeważnie kieszenią - wносиła w atmosferę karnawałową rozmach, a w dekoracje sal nieraz pomysłowe rozwiązania. Inteligencja zawodowa, jak adwokaci i lekarze i kasta wyższych oficerów, dobrze uposażonych w czasach sanacji - zapewniały imprezom balowym powodzenie kasowe.

Najpiękniejsze sale balowe posiadała :Kasyno Miejskie przy ul.Akademickiej /siedziba Koła Literacko-Artystycznego/,pałac ponamiestnikowski" czyli gmach województwa na ul.Czarneckiego, Kasyno ziemiańskie przy ul. Mickiewicza, pospolicie zwane "Końskim" /od miłośników koni w wielkich majątkach ziemskich/ i Strzelnica przy ul.Kurkowej,siedziba Towarzystwa Strzeleckiego; skupiała ~~zawsze~~ domy mieszczańskie, rzemieślnicze i niektóre kupieckie. O innych salach pomówimy dalej.

Kasyno"końskie" było ośrodkiem ekskluzywnym,szczelnie zamkniętym dla publiczności z poza klasy ziemian, choć różne zakulisowe historie przy zielonym stoliku, bądź inne afery - przenikały nieraz poza mury tego wspaniałego gmachu; tajone skrzętnie przez prasę - były szeptane na ucho. Tak np. było wiadome, że jeden z przedstawicieli starego rodu Galicji - hr. Cetner, przyjaciel ks.Jabłonowskiej, w ciągu jednej nocy przegrał w kasynie - trzy kamienice. Nigdy bym tego wnętrza nie oglądał,gdyby nie okoliczność, że władze hitlerowskie wkroczywszy w 1941 r. do Lwowa - zajęły ten lokal na urząd meldunkowy i tam musiałem zabiegać o "Au^sweis" czyli dowód osobisty. Wystarczyło spojrzeć na wspaniałą klatkę schodową wijącą się szeroką serpentyną ku I piętru,by nabrać przekonania o wielkopańskim rozmachu wnętrza w stylu wiedeńskim. Nic w tym rozmachu dziwnego, skero gmach budowano w okresie autonomii kraju, kiedy arystokracja i wielkie ziemiaństwo galicyjskie rządziło w pewnych okresach całą monarchią.

Osobiście bywałem najczęstszym gościem Kasyna Miejskiego.Już u jego progów witał, wchodzących portier w starszym wieku,który wypuszczając gości nocą czy już nad ranem - żegnał ich wierszykami przez siebie skompowanymi. Bale karnawałowe odbywały się w rozległych apartamentach na I p. z oknami wychodzącymi na stojący na

długim zieleńcu ul. Akademickiej pomnik Kornela Ujejskiego; do wielkiej sali balowej o pięknym suficie dekorowanej bladokremową sztukaterią, o pilastrowanych ścianach /kolumn pałacowych sala nie miała/, oświetlonych bocznymi kinkietami - wchodziło się przez westybul obstawiony wygodnymi fotelami i kanapami. Z sali balowej wiodło przejście do mniejszej sali tanecznej, z niej do bufetu raczej „zimnego”; do drugiego bufetu ze stolikami prowadził krótki bieg schodów i tam podawano już dania gorące i napoje. Parter kasyna zajmowały biura Koła Literacko-Artystycznego i czytelnia. Atmosfera na balach kasynowych panowała szczególnie miła; towarzystwo rekrutowało się z inteligencji, świata elegancji i dobrych manier, nie brakowało tu tzw. złotej młodzieży. Wstęp był tylko za zaproszeniami. Oczywiście ten dobór bywalców nie wykluczał, że szczególnie w bufecie tym „ciepłym” nie dochodziło, choć bardzo rzadko, do jakichś kontrowersji słownych. Nawet mnie osobiście - jeszcze za - mych czasów kawalerskich - groził jakiś pojedynek, z którego przyjaciele szczęśliwie mnie uratowali.

Orkiestry w Kasynie przygrywały różne, ale zawsze repertuar melodii wiązał się z tradycyjnym programem tańców; przez pierwsze lata powojenne wymieniano je w karnecie /później ten zwyczaj zanikł/. Na balach obowiązkowym strojem mężczyzn był frak lub smoking; przestrzegano tego już w garderobie. Panie brylowały w wykwintnych toaletach, przeważnie długich; suknie po kolana weszły w użycie jakoś z początkiem lat 30-tych. Miały wzięcie u młodych kobiet, szczytujących się pięknymi nogami. Bale wielkie zaczynały się polonezem i walcami, po których następowały tańce nowoczesne, zmieniane co rok lub dwa; w pierwszych latach po wojnie królowały fox-trot i tango, przeplatane walcem angielskim,

two-stepem, po nich przyszła kolej na jawę ^{3/} / z rękoma partnerów podniesionymi do góry / i na bardzo chętnie tańczone⁹⁰ charlestona. Pod koniec lat 30-tych przyjął się w Polsce porywający i raczej figlarny w tempie i ruchach Lambeth Walk, taniec angielski, nie amerykański; tańczone go najpierw na dancingach, ale bardzo szybko i na parkiecie kasyna. W połowie balu, nie nad ranem - jak utrzymywało się w powszechnym mniemaniu - aranżer zapowiadał mazura. Znakomitym i szczególnie przez panie uwielbianym aranżerem był młody, bardzo przystojny lekarz "Stasio" Liebhart, po okupacji hitlerowskiej prof. Akademii Medycznej w Lublinie. Prawdę mówiąc nie wiele par - poza oficerami 14 pułku ułanów jazłowieckich - umiało go wykonać przepisowo; ale od wodzireja zależała taka zmiana ugrupowań par, by niedostatki umiejętności zagubić w węzowym korowodzie przebiegającym przez wszystkie sale; młodzież umiała tupetem i rozmachem podkreślać żywość mazura w takt porywających melodii. Po mazurze dłuższą przerwę spędzano w gwarnych bufetach, poczem bawiono się do rana oddając się już noworocznym tańcom.

Bale w Kasynie miały swe "królowe" wybierane w konkursach tanecznych; długa była by ta lista pań, które drogą "prawidłową" czy dobrze ukrytą agitacją - zdobywały premie w postaci kosza kwiatów i szampana. Sam byłem świadkiem "zwycięstwa" Zofii Battyckiej, córki adwokata z pałacu Cumellich przy ul. Piekarskiej, owej głośnej w latach 30-tych piękności, "miss Polonjæ". Premie wśród tuszów orkiestry zdobywały też inne elegantki Lwowa, głównie ze sfer zamożnych i ziemiańskich. Brylowały żony zamożnych adwokatów, jak pani Kirchnerowa, Hofmokłowa czy Hermanowa, lekarzy,

3/ Taniec ten wyraźnie różnił się od innych; polegał nie tyle na lotności czy lekkości obrotów, co na kroku posuwistym i rytmicznym go przerywaniu, przy czym lewe ramię partnerki i prawe partnera przez cały czas tańca musiały być uniesione w górę.

jak Grucowa czy Dobrzańska, wreszcie z innych sfer inteligencji: Götzwona, córka barona Götza z Okocimia, Zofia Gurgulińska, Gyurkowiczowa /żona architektki/, Ewa Budzyńska /żona Wiktora, twórcy zespołu estradowego "Nasze Oczko"/. Temperamentem ośniewały szczególnie młode panie: Ewa Boniecka, Wanda Bielska, urodą wyróżniały się: Krystyna Löwensteinowa, żona Stanisława, wysoka szczupła o fiołkowych oczach, Loriowa żona profesora Uniwersytetu, Höfflingerówna /blondynka w złotych okularach/ i inne.

Bale lwowskie mają oczywiście swoją historię, nawet w tym krótkim odcinku ich dziejów w dwudziestoleciu międzywojennym. Tuż po pierwszej wojnie, kiedy inflacja mnożyła zamożnych i spekulantów bawiono się jeszcze staromodnie: tańczone lansjera i kadryla, ale to szybko wyszło z mody. Nowobogaccy hołdowali łatwiejszym figuram, choć mistrzowie tańca towarzyskiego Marian Wieczysty i B. Brysiowa uczyli i tradycyjnych figur na swych kursach prywatnych. Ci, co nawet je tańczyli ulegając towarzystwu zwolenników starej mody - wykonywali je bez gracji i polotu, z uśmiechem na ustach raczej drwiny, niż satysfakcji z piękna ruchów swoich zgrabniejszych partnerek. Ciężkie czasy po reformie walutowej Grabskiego, kiedy pieniąż był drogi - odbiły się na wirze walca. Rządziej na uśpione ulice przedzierały się z wielkich sal melodie taneczne, nawet w karnawale, bale ustąpiły miejsca raczej "prywatkom" i skromniejszym zabawom.

Spójrzmy teraz na inne sale miasta zarojone karnawałowymi gośćmi. Kilkakrotnie bawiłem się w salach "Strzelnicy", zwłaszcza w moich czasach akademickich, kiedy rozmaite związki młodzieży wynajmywały je dla tańca. Pamiętam jedną noc sylwestrową właśnie tam spędzoną do rana; było dużo kolegów historyków z Uniwersytetu, przybył też pocziwy i lubiący towarzystwo swych słuchaczy prof. Franciszek Bujak. "Strzelnica" taneczną wielką salę miała tylko

jedną; kończyła się ona scenką, która w czasie zabaw - z rozsuniętymi kurtynami - służyła orkiestrze. W wystroju swym "Strzelnica" zdradzała gust mieszczański, wewnątrz były trochę przyciężkie, co akcentowała boazeria i zdobiące ją wielkie lustra. Kinkiety nie miały tej lekkości, co w Kasynie Miejskim; wielki żyrandol oświecał salę, posadzka ustępowała swą gładkością parkietom ~~karxi~~ bardziej nowoczesnych lokali. W murach tego przybytku, który służył Towarzystwu Strzeleckiemu miał na celu uświetnianie zwycięstw "Króla Kurkowego" / po konkursowych strzelaniach / i odbywanie narad mieszczaństwa, wyczuwało się jakąś tradycję patriotyzmu być może lokalnego, ale niezawodnego, jakąś powagę pracy i troskę o sprawy ważniejsze od tańca i rozrywki.

W czasie omawianego Sylwestra tańczono zawzięcie jawę. Pamiętam do dziś kolegów, bawiących się tej nocy ze mną. Tańczył zawzięcie kulawy od czasów obrony Lwowa - Józek Grabowski, później wybitny historyk sztuki ludowej, Staszek Olszewski i Władek Bogusz, kolędzy jeszcze z gimnazjum. W tejże samej sali, ale nie w karnawale, zorganizowano zabawę wyłączną historyków, w której uczestniczył prof. Adam Szelański ze swymi córkami, z których jedna była czarującą, zgrabną blondynką. Długi czas podczas przerw rozmawialiśmy ze swoim mistrzem, nie tylko na tematy naukowe; chętnie opowiadał o swych podróżach.

Specjalne zainteresowanie budziły coroczne bale na "wielki połysek": prasy, adwokatów i lekarzy - pierwszy w Kasynie Miejskim, drugi w siedzibie palestry przy ul. Grodzickich, trzeci w Izbie Lekarskiej. Przedstawiciele adwokatury i medycyny cieszyli się największym powodzeniem finansowym; świat dziennikarski - obok chudopachołków prasy - liczył w swym gronie lwowskim - tuzów literatury i humanistyki. Obecność ich, najczęściej zapowiadana na ucho z uwagi na ich małżonki - ściągała do Kasyna Miejskiego

lwowski high life.

W Kasynie Miejskim świetnie udawały się też bale Dublańczyków i Ormian; co roku Noc Sylwestrowa nie tylko rozbrzmiewała tu melodiami orkiestry jazzbandowej Wójcika i strzałami korków szampa-^{nowych}, ale w latach pokryzysowych, także wesołymi występami młodej grupy estradowej "Nasze Oczko". W czasie t.zw. "zielonego karnawału" - bawiono się w Kasynie co niedzieli przy muzyce Korzika, prowadzącego jeden z najlepszych zespołów w Polsce.

Głośniejsze i bardziej reprezentacyjne bale odbijały się echem w prasie lwowskiej "Słowie Polskim", "Kurierze Lwowskim" czy "Chwili", w których wymieniano prominentów i panie wyróżniające się toaletami.

Sztywniejszą atmosferą odznaczały się bale w pałacu ponamiestnikowskim, wydawane przez wojewodę i władze polityczne. Mimo że nigdy w nich nie uczestniczyłem, relacje o nich - między innymi mego brata Tadeusza, który jako prezes Izby Rzemieślniczej był na nie zapraszany - docierały do moich uszu. Podobnie w poważniejszym nastroju mijały corocznie bale mieszczkańskie w "Strzelnicy"; na nich o tym nastroju decydował wiek notablów i ich żon, tak jak w pałacu ponamiestnikowskim charakter oficjalny. Swobodniej natomiast wirowały pary na balach młodych architektów urządzanych w Związku Oficerów Rezerwy i bankowców w pięknych lokalach Klubu Bankowców. W zabawy architektów wносиła temperament cyganeria plastyków, u bankowców, wśród których nawet niżsi pracownicy byli nieźle płaceni - młoda plutokracja żydowska, często związana rodzinnie z domami polskimi lub z polskimi organizacjami politycznymi, jak uchodzący za piękność wśród mężczyzn były rotmistrz ułanów Stasio Opoka Löwenstein / znałem go jako historyka i kilkakrotnie odwiedzałem go w jego zamożnym mieszkaniu przy ul. 3 maja/.

Oprócz tych renomowanych spotkań balowych - hucznie i z rozmachem bawiono się na redutach maskowych w Pałacu Sportowym przy ul. Zielonej, w rzemieślniczej "Gwieździe" przy ul. Franciszkańskiej i w gmachu "Sokoła - Macierzy", na rogu ul. Sokoła i Zimorowicza / tu - po maturze stawiałem pierwsze kroki taneczne/; rozległe sale gimnastyczne przemieniane^{to} na sale balowe. Wreszcie karnawał mobilizował rozpaloną tańcem, bliskością kobiecego ciała a także i alkoholem, młodzież różnych zawodów. Zabawy te organizowano w salach mniejszych, nieraz na przedmieściach, gdzie przy mniej wybernej orkiestrze lubowane się bardziej niż w wytwornych tańcach - w polce i kujawiaku. Tak bawili się kaflarze przy ul. Zielonej, służba pocztowa na Japońskiej, kolejarze na Szopena, straż pożarnicza i pompierzy w odległych ulicach Zamarstynowa i Kleparowa. Młoda brać drukarska, mająca swoje "Ognisko", "Klub zercerów gazetowych" i "Kółko zabawowe", w różnych lokalach aż do założenia własnego większego lokalu przy ul. Piekarskiej. Muzyka na tych zabawach rznęła od ucha do ucha, ściągająca nieraz z ulic przygodnych "tancerzy" z poza danej branży, rodziły się często głośne awantury i wyrzucanie "batiarów" za drzwi /epitet ten odpowiadał krakowskim "andrusom"/. A bez awantur rozgrywały się czułe sceny miłosne w ciemniejszych kurytarzach, nieraz nawet w zakamarkach podwórzy.

Takie to pląsy i zabawy trwały w owe lata, które przeżywało moje rodzinne miasto, dopóki nie zaczęły nadciągać ciężkie chmury nowej wojny.

Tańcowi sprzyjał znany w kraju "humor lwowski", inny niż ten krakowskiej Bohemy w "Jamie Michalika", wymarły już po odrodzeniu Polski, czy bardziej internacjonalny i skomercjalizowany w stołecznej Warszawie. Nawet wytrawny znawca psychiki ludzi dużych miast galicyjskich, prof. Stanisław Estreicher w swej

książce o "Krakowie w XIX w." /wydanej już w 1932 r./ orzekł, że "przeciętny Krakowianin ... nie ma w sobie temperamentu i rozczochranie właściwego ludności lwowskiej". Toteż humor Lwowian, których etniczno-obyczajową naturą, owym "rozczochranieniem" była mieszanina psychiki polskiej, ruskiej, ormiańskiej i żydowskiej, owa mozaika narodowościowa śp. monarchii habsburskiej, znajdował ujście przez cały rok boży nie tylko na salach tanecznych, ale i w kabaretach, nieraz w t. zw. ogródkach kabaretowych czy w różnego rodzaju w Varieté. Ich historia wymagała by dłuższej opowieści. Pisząc te wspomnienia ograniczam się do tego, co sam przeżyłem, widziałem i słyszałem. Jest faktem bezspornym, że z desek tych kabaretów i varietés porywała Warszawa po 1918 r. coraz to wyróżniające się talenty humoru, jak Lateinera - Lawińskiego, Ludwika Ludwikowskiego i innych.

Przypomnijmy tu po krótkce losy t.zw. podkasanej muzy w grodzie nadpełtwiańskim.

Z czasów austriackich przetrwała siedziba lekkiej Muzy p.n. Colesseum w Pasażu Hermanów przy ul. Słonecznej. Był to nawet budynek dość okazały, ale już za moich czasów kawalerskich mocno zaniedbany /czas jakiś służył "Teatrowi Nowości", wystawiającemu farsę i operetkę i imprezom "Lwowskiej Fali"/. Za austriackich rządów z inicjatywy żydowskiej powstał na wzór wiedeńskich varieté, jako miejsce występów humorystów, śpiewaków i śpiewaczek, tancerek i woltyżerek, kuglarzy i prestyżigatorów obcych; satyra polityczna nie gościła na tych deskach. Publikę stanowili oficerowie austriaccy, szukający tu oprócz rozrywki - cór Koryntu i innych znajomości, inteligencja polska rzadko tu zaglądała.

Ale w okresie międzywojennym z braku innych widowni służył - poza imprezami wyżej wymienionymi - także dorywczym innym przedsięwzięciom. Tu m.i. odbyły się bardzo kasowe występy słynnej tan-

cerki i śpiewaczki Josephiny Backer.

Z dawnych lat datowała się również Bagatela przy ul. Rejtana, przedsiębiorstwo o podobnym do Pasażu Hermanów założeniu, ale następnie zamienione na lokal widowiskowo-taneczny ze stolikami, łóżami i parkietem dancinowym. W dwudziestoleciu międzywojennym szukała tu rozrywki już i publiczność elegancka, oczywiście z wyraźną przewagą młodzieży, goście przyjezdni do Lwowa, świątek artystyczny i - co tu ukrywać - elementy o niewiadomej profesji, t.zw. "nocne ptaki" (wśród których nie brakowało cór płatnej miłości). Występowały tu różne talenty międzynarodowe i różnej rasy; "artyści" ci i "artystki" łączyli się po swych występach z publicznością, walnie pomagając właścicielowi do obrotów kasowych. Śmieszna przygoda wydarzyła się tu memu bratu Ludwikowi, gdy jednej nocy odwiedził ten lokal z kolegami plastykami. Na parkiecie dancinowym popisowała się "tańcem artystycznym" jakaś murzynka, publiczność stojąc otoczyła parkiet. Wtem orkiestra nagle przeszła na melodię Lambeth-Walka i murzynka nie mając partnera perwała mego bliźniaka i nie wypuściła go z swych rąk dopóki muzyka nie umilkła. Śmiech i oklaski towarzyszyły temu występowi a wszędybylski Stasio Mikuła miał co później opowiadać swym kompanom.

Oba lokale trudno jednak zaliczyć do kabaretów o poziomie artystycznym. Natomiast z czasów najbliższych wyzwoleniu Lwowa pamiętam osobiście dwie imprezy wyższego rzędu. Jeszcze w czasie oblężenia miasta przez wojska ukraińskie, kiedy ulice tonęły w ciemnościach, odwiedziłem jednego wieczoru po służbie wojskowej kabarecik przy ul. Zimerowicza p.n. "Ul". O lokalu tym słyszałem od starszych braci; wiedziałem, że w 1911 r. założyli go H. Zbierchowski i Rentgen przy pomocy finansowej jakiegoś mecenasa lekkiej Muzy. Nie wiem, jak długo on istniał, ponieważ już w następnym

roku powstała druga scenka p.n. Wesoła Jama prowadzona przez niejakiego Rollauera. Tak to w smutnej i niepewnej atmosferze oblężenia miasta odżył "Ul". Scenę i widownię - obie małe - oświecały tylko świece. Wszystkie siedzenia, może w sumie na 100 osób, były zajęte przeważnie przez publiczność umundurowaną. Program był faktycznie na poziomie: piosenki, recytacje, kuplety o zacięciu satyrycznym; pamiętam wykonanie przez nieznaną mi piosenkarkę znanej w tym czasie warszawskiej melodii: "Pojadę na gumach w Aleje..." Akompaniowała na fortepianie Anda Kitschman, bardzo popularna kiedyś aktorka i śpiewaczka a w owych latach już głównie tylko akompaniatorka kabaretów.

Drugie wspomnienie łączy się z ogródkiem kabaretowym przy ul. Teatyńskiej, wiodącej na Wysoki Zamek. Tu królował mistrz sketchu, kupletu i dowcipu Ludwikowski. Był to pseudonim artystyczny Ludwika Halskiego; wspomagał go swym udziałem w występach niejaki Staruszkiewicz także monologista, ale nie cieszący się równą mu popularnością. Ludwikowski bowiem znany już w czasie pierwszej wojny zdobył olbrzymią sympatię Lwowian i pozwalał sobie na nie jeden żart polityczny, który komu innemu nie przeszedł by na sucho. O szerszą arenę do popisu w czasie wojny nie było zbyt łatwo. Wprawdzie literaci lwowscy wspomniany już Zbierzchowski i Artur Schröder zorganizowali w 1916 i 1917 r. "marionetki pokojowe" i cenzura austriacka dopuściła jeden ze zbiorów tych aluzyjnych /głównie lokalnie/ tekstów do druku, ale Ludwikowski występujący sporadycznie tu i ówdzie, częste improwizujący monologi - mógł sobie pozwolić na ^{coś} więcej. Ogródek przy Teatyńskiej mimo skromnej orkiestry ściągał tłumy dobranej publiczności, oprócz specyficznej dykcji Ludwikowski czarował mimiką swej twarzy. Byłem na tych występach kilkakrotnie, ale - z niewiadomych powodów - ogródek został dość szybko zamknięty. Ludwikowski błędził po

różnych lokalach. W uznaniu jego roli w humorze lwowskim pod koniec lat 1920-tych urządzono w Teatrze Wielkim spektakl, skombinowany na tle życia i twórczości. ~~Widwadowskiego.~~

W okresie kryzysowym i kabarety ucierpiały. Humor przybrał szaty teatralne na występach operetki pod kierownictwem szybko zmieniających się dyrektorów Teatru Wielkiego. Niezastąpioną diwą w rolach czołowych bohaterek operetek była Helena Miłowska zawsze wytworna i o wyróżniającej prezencji; po niej zabłysły temperamentem i urodą Korabianka i Rapacka, Basia Rylska, szczególnie w musicalach, które na przełomie 20-30-tych lat zaczęły zdobywać popularność u nas. Melodia Korabianki "Ja się boję sama spać ..." stanowiła długi czas gwóźdź repertuaru dancingów i kawiarni. Peudant do tej melodii stanowiła męska partia "Co Pani ma tam pod koszulką...?", świetnie wykonywana przez Michała Tatrzańskiego. Tkwią mi do dziś w uszach te dwie frywolne i żywe w rytmie melodie grywane na fortepianie - przy każdej okazji - przez kolegę Mecherzyńskiego z prawa, uchodzącego za duszę złotej młodzieży; szczupły i o niezbyt pięknej twarzy miał wielkie powodzenie wśród młodych kobiet i kolegów. Męskimi filarami operetki lwowskiej byli Filip Kuligowski w rolach eleganckiego amanta, wspomniany Michał Tatrzański, w rolach komicznych Bolesław Folański, występujący też w operach /bił ich wszystkich swoją znakomitą ruchliwością i żywością na scenie/, Józef Solnicki / z żydowskiej rodziny Salzmanów /. Trzeba tu dodać, że w opisywanych latach aktorzy dramatyczni nie byli jeszcze powoływani do ról śpiewanych, jak się to dziś prawie powszechnie dzieje. Najpiękniejsze operetki F. Lehára, I. Kalmána, J. Straussa wychodziły w wykonaniu tych aktorów porywające, a czkolwiek techniczno-dekoracyjna strona sceny

⁴ / O teatrzykach rozrywkowych Lwowa do 1918 r. zachowała się garść wspomnień wymienionej wyżej akompaniatorce Andy K i t s c h m a n w tomiku Dymek z papierosa /Warszawa 1938 /.

wskutek ciągłych niedoborów finansowych teatru - nie stała na dzisiejszym poziomie. Tak wykonanych w tych warunkach "Księżniczki czardasza" czy "Hrabiny Maricy" nigdy w latach późniejszych nie słyszałem na scenach polskich, ani w Krakowie ani w Łodzi.. Często zdarzały się w ustach aktorów operetkowych aktualne kuplety z życia miasta; treścią jednego z nich był np. wypadek na szosie winnickiej początkującego automobilisty, Tabaczyńskiego. Partie aktorskie wspierały sceny baletowe w wykonaniu Faliszewskiego i Czesławy Burkaackiej i ich zespołów; rytmika tych tanecerzy z tradycyjnego tempa walca i tanga szybko przeszła w takty nowej muzyki, opanowanej przez jazz. Warto dodać, że wybitna w następnych latach aktorka Irena Eichlerówna też zaczynała we Lwowie od baletu, wykonując taniec z siedmioma zasłonami. Odpływ najwybitniejszych talentów do Warszawy, co dało się odczuć zwłaszcza po 1930 r. - sprowadzał lwowską operetkę do wyrównanego wprawdzie poziomu, ale bez oznak śmiałych wzlotów, jak za Ludwika Hellera dyrektora teatru do 1918 r. O ile mi wiadomo aktorzy jak Miłowska, Kuligowski, Solnicki - nigdy nie opuścili Lwowa. Z synem naturalnym Miłowskiej, Romanem Niewiarowiczem spotkałem się po latach w Krakowie; w czasie jednego obiadu w Hotelu Francuskim mieliśmy sposobność wspominać czule te minione lata, tym bardziej że Niewiarowicz wyrósł nie tylko na aktora, ale i śmiałego komediopisarza.

Jednakże najweselsza operetka nie zastąpi kabaretu. Głód satyry politycznej i obyczajowej dawał się odczuwać we Lwowie przez szereg lat. Różne wspomniane imprezy tego rodzaju zwyczajnie zamierały po 1 - 2 sezonach. Wypełniały tę lukę szopki lwowskie, których teksty komponowali najpierw Henryk Zbierzchowski, następnie Hemar i Stan /czyli Stanisław Wasilewski /.

W tych imprezach nie brakowało już ciętej nieraz satyry politycznej i obyczajowej; przedmiotem dowcipów padali zarówno ojcowie miasta, przedstawiciele władz, jak i nauki m.i. pocziwy Juliusz Kleiner / w szopce Jule Keiner/. Lalki szopkowe wyrabiali oczywiście plastycy, ale gościła we Lwowie i szopka polityczna z Warszawy z kukiełkami wykonanymi przez Jerzego Zarubę. Przedstawienie szopkowe urządzone głównie w sali Kasyna Miejskiego, gdzie aluzyjne dowcipy trafiały do właściwych odbiorców. W mig odgadywane kogo wyobrażały lalki, jakich faktów dotyczyły aluzje. Był to zatem humor dla wytrawnych odbiorców.

Przeciętny amator humoru nie uznający życia bądź nie dysponujący kieszenią na zabawy w Bagateli mógł od 1930 r. ratować się audycjami Polskiego Radia, które po 2-3 latach zasłynęły słuchowskimi stacji nadawczej lwowskiej pod nazwą "Wesołe Niedziele" i "Wesoła Fala". Twórcą zespołu i tych audycji Wiktor Budzyński - zasłynął w eterze na całą Polskę, szczególnie dzięki dwóm znakomitym wykonawcom dialogów w dialekcie lwowskim: Kazimierzowi Wajdzie /"Szczepko"/ i Henrykowi Vogelfängerowi / "Tońko"/. W dialogach tych dwóch "wolnych ptaków" z przedmieścia - siłą humoru lwowskiego, jego "rozczechranie" zdołały podbić audytorium całej Polski. Postacie radiowe "radcy Streńcia" i przedmieszczanki "ciotki Bańdziechowej" były oczekiwane każdy wieczór niedzielny nieomal w wszystkich domach polskich; wszelkie inne rozrywki i przyjęcia przerywane w tej godzinie. Zespół Budzyńskiego p.n. "Nasze Oczko" /zorganizowany przez studentów Politechniki/ wyrobił się jeszcze przed opanowaniem radiofonii lwowskiej występami publicznymi w różnych salach, m.i. we wspomnianym Colesseum. Zawsze wybitymi do ostatniego miejsca. "Wesoła Fala" po wojnie zapłodziła swoim genre'm warszawską "Rodziną Matysiaków"; niestety twórcy "Wesołej Niedzieli" rozpierzchli się po świecie. Atoli je-

den z żartów "Wesołej Fali" srogò się nie udał. Kiedy arcyksiężna Wilhelmina następczyni tronu holenderskiego zagościła do Polski - dowcip Szczepka i Teńka o "holenderskiej krowie" przepłacił dyrektor P.Radia, prof.Egon Petri przeniesieniem go do Wilna. Obok "Wesołej Fali" wielkim powodzeniem cigszył się lwowski zespół akademicki p.n. Chór Eriana, rywalizujący z warszawskim Chórem Dana.

Przedstawiony w tym odcinku wspomnień obraz bawiącego się Lwowa - mógłby nasunąć fałszywe wyobrażenia o mieście i jego mieszkańcach, gdyby był odczytany zbyt dosłownie. Każde miasto żyje w blaskach i cieniach swego bytu; mieszkańcy każdego miasta dzielą się na tych, którzy mogą i umieją się bawić, i na tych, dla których zaciśnięte domowe stanowi najmilsze lokum wypoczynku po pracy, spotkań i rozrywek. Bawiące się miasto to przede wszystkim młodzież i ludzie średniego wieku, wreszcie sfery towarzyskie, które ze względu na swą pozycję społeczną, oficjalną bądź twórczą - nieraz mimo zaawansowanych lat - uświetniają swą obecnością imprezy młodszych generacji.

Poza tym na życiu Lwowa a szczególnie życiu artystycznym /o którym gdzie indziej będzie mowa/ i towarzyskim - ogólno-krajowe sytuacje ekonomiczne i polityczne wyciskały wyraźne piętno w zamowianiu rozmachu witalnego, ^{w konsekwencji} co odbijało się na humorze jednostek i mas. Już wyżej wspomnieliśmy o różnych okresach osłabnięcia tętna pogodnego życia miasta; to tętno osłabiały fakty takie, jak reforma walutowa, później ogólnoświatowy kryzys gospodarczy, który dotknął też Polskę, wreszcie chmury na firmamencie politycznym, grożące najazdem hitlerowskim na Polskę. Atmosfera najbardziej sprzyjającą rozmachowi wesołego życia Lwowa stworzyły najpierw - o dziwo! - okres inflacji, następnie druga połowa lat 1920-tych, wreszcie krótki okres po minięciu wielkiego kryzysu.

Spotkania ze sztuką lwowską

Bakcył sztuki uporczywie choć niedostrzegalnie unosił się w atmosferze mego domu. Atmosferze na zewnątrz mieszczańskiego pulsującego ~~go~~ niespokojnym rytmem codziennych trosk i pospolitości życia. Jako chłopak i młodzieniec wraz z bliźnim bratem Ludwikiem najbardziej z całej czwórki braterskiej zarażeni tym bakcyłem, w domu i szkole nieustannie - choć najczęściej nieświadomie - szukaliśmy czegoś pięknego wokół siebie. Szukaliśmy w obrazach, lekturze, w czasopismach czy to prenumerowanych przez ojca czy sprzedawanych w ówczesnych "trafikach", wreszcie w samej przyrodzie i w pociągających wędrowkach muzealnych. Pisałem już o tym na poprzednich stronach wspomnień. Ale wracam do tych momentów, by jasnym było, skąd brała się u mnie w latach studenckich, następnie akademickich i później - kiedy pod dachem naszego domu gromadziła się raz po raz grupa artystów - buntowników spod sztandaru "Artes" - owa stała obserwacja życia artystycznego. Dziś po wielu dziesiątkach lat zawdzięczam tej obserwacji i spotkaniom z coraz to nowymi dążeniami twórczymi - możliwość uporządkowania tych wspomnień, wprowadzenia pewnego ładu w kolejność zjawisk i tworzących jej ludzi, w dążności estetyczne jednostek i grup, w ich powodzenia i klęski. Trudne to zadanie, skoro samemu nie było się twórcą sztuki i skoro i dziś, kiedy to piszę, dokumentacja lwowskiego życia artystycznego i badania go przez kompetentnych znawców są nadzwyczaj ubogie; ślady tego życia gubią się bądź rysują się bardzo fragmentarycznie nawet na łamach gazet lwowskich, dziś przeważnie nie kompletnych nawet w tak dostojnych zbiorach, jak Biblioteka Jagiellońska.

Nie ma mowy, by ta gawęda pamiętnikarska, wsparta tu i ówdzie wspomnieniami kilku Lwowian - mogła uchodzić za coś w rodzaju szkicu historycznego życia artystycznego mego rodzinnego miasta w okresie

między dwoma wojnami /1914-1939/. Będzie w tej opowieści nie mało luk i pominięć nazwisk, zapewne i jakieś ~~myłki~~ i niedomówienia, nie umiejętna interpretacja ^{czy} nie właściwe odczucie prądów i założeń estetycznych. Mimo wszystko obraz wielkiego środowiska ludzkiego, jakim był Lwów - domaga się utrwalenia jego życia w dziedzinie sztuk plastycznych, tym więcej że rola w nim mego brata Ludwika w pewnych latach była szczególnie znacząca.

Wydaje się ~~chyba zbyteczne~~ przypomnienie tu olbrzymiej w skali ogólnonarodowej ^{roli} dorobku sztuk plastycznych Lwowa do progu XX w., kiedy to przyszedłem na świat. To należy do historii. Ale jakieś wycucie wielkości tej sztuki wkraść się musiało w moją świadomość choćby z oglądania znakomitych płócien i rzeźb w lwowskich muzeach, Panoramy Raclawickiej i w salach Pałacu Sztuki, który w czasie Powszechnej Wystawy Krajowej w 1894 r. wzniesiono dla wielkich płócien Jana Matejki i innych mistrzów polskich. Wszak z tejże Wystawy do naszego domowego ogrodu przeniesiono dzieło rzeźbiarskie ojca w postaci dekoracyjnej konchy /nagrodzone na Wystawie/. Jak dobrze były znane bratu Ludwikowi jako chłopcu jeszcze ze szkoły powszechnej nazwiska malarzy polskich, wśród nich także związanych ze Lwowem, jak Henryk Rodakowski czy Artur Grottger, Stanisław Batowski, ~~czy~~ Jan Styka, Stanisław Dębicki czy Kazimierz Sichulski - świadczą nieudolną jego ręką rysowane i podpisywane ich nazwiskami zmyślane ich twory malarskie, umieszczane w małych zeszytikach, własnoręcznie zszywanych z luźnych kartek zeszytowych. Ta znajomość nazwisk stawała się równocześnie i moją własnością i budziła zainteresowanie ojca i kilku bliskich czy znajomych nam osób, jak dwaj ówczesni studenci Akademii Sztuk Pięknych: Izydor Bujnowski i Sewer Abgarowicz czy brat cioteczny, student filozofii Władysław Uminowicz. Obrazki były bohomazami, ale znajomość nazwisk wpływała nie tylko z wędrówek

po Galerii Miejskiej, do której poprowadził nas ojciec, ale i z żywej we Lwowie tradycji miejscowej sztuki. Już jako studenci wiedzieliśmy z prasę i zapowiedzi wystaw, że od lat działa w mieście Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i że siedzibą jego jest wspaniałe Muzeum Przemysłu Artystycznego wzniesione opodal Teatru Wielkiego / do Muzeum wiodło paradne wejście od Wałów Hetmańskich, do T.P.S.P. boczna od ul. Dzieduszyckich/. O uszy nasze obijały się nowsze nazwiska artystów cenione we Lwowie i wymieniane czy to z okazji wystaw i różnych imprez czy kontaktów ojca jako wykonawcy rzeźb bądź jego przyjaciół, jak Paweł Wojtowicz, Leonard Podhoroński czy Marceli Harasimowicz. Po wybuchu wojny w 1914 r. i z tworzeniem się Legionów Polskich różne obchody narodowe, urządzone w związku z nimi dekoracje ^{krańcujące} czy ilustrowane wydawnictwa okolicznościowe a zwłaszcza barwne widokówki wojenne popularyzowały w mieście nazwiska dotąd mniej nam znane: Luny Drexler, Tadeusza Rybkowskiego, Romana Bratkowskiego, Zygmunta Rozwadowskiego, nawet Leonarda Winterowskiego ; to ostatnie nabrało pikantnej popularności nie tyle dzięki jego płótnom, co romansom jego córki w najwyższych sferach armii austriackiej.

Działały we Lwowie też prywatne szkoły malarskie. Do 1912 r. trójka wychowanków akademii monachijskiej: Stanisław Batowski, Roman Bratkowski i Stanisław Ostrowski prowadzili w prywatnej willi pierwszego z nich przy ul. św. Zofii najstarszą w mieście Szkołę Malarską z głównym wykształceniem w rysunku i pejzażu. Duży rozgłos zyskał sobie Bratkowski, nie tyle jako malarz a człowiek. Jak doszło później do mych uszu był to charakter autokratyczny, zarozumialec, wielki kobieciarz; terroryzował swoją żonę i syna, namiętnie podróżował. Karierę i życie zakończył na Capri jako kustosz miejscowego muzeum i domu Jana Styki. Na swych pokupnych obrazach polskiej wsi, pól i nieba, krajobrazów włoskich

i na kształceniu młodych adeptów dorobił się pieniędzy na tyle, że kupił starą karczmę w Zimnej Wodzie pod Lwowem i założył w niej wspólnie z Iwanem Truszem szkołę malarską dla pań. Z wybuchem wojny przeniósł się do Wiednia. Inni malarze kształcili amatorów malarstwa w pojedynkę lub grupowo. Wystawy malarskie otwierano bądź to w salach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych bądź w Pałacu Sztuki; zwiadałem je najczęściej z bratem lub kolegami, nie bardzo zresztą rozbudzo- nymi estetycznie.

Po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Lwowa /sierpień 1914 r./ życie artystyczne automatycznie zamarło. Wprowadzenie rządów gubernatora, hr. Bobrińskiego - usunęło sprawy sztuki z uwagi ludzi zatroskanych o zbiory muzealne; powszechnie natomiast było wiadomym, że są one oczkiem w głowie wiceprezydenta miasta Tadeusza Rutowskiego, wielkiego estety i mecenasa. Nie przypominam sobie żadnych wystaw przez rok okupacji carskiej. Życie artystyczne odnowiło się dopiero po wycofaniu się okupanta i to nie odrazu. Prawie dwa lata jeszcze zamykało się nadal w prywatnych pracowniach artystów i ożywiło się dopiero w 1917 r. Dużą atrakcją stała się urządzona przez T.P.S.P. wystawa Legionów Polskich, na której po raz pierwszy pojawiły się obrazy i szkice zarówno malarzy lwowskich, jak i artystów z szeregów legiono- wych. Powiał ze ścian Towarzystwa duch patriotyzmu i nadziei, że walki Legionów nie pójdą na marne. Stały się ^{gorąc} bliższe Lwowiakom twarze ofi- cerów obu Brygad, dotąd ogólnie prawie nie znane. Nie mniej gorąco prze- mówiła do naszych uczuć bogata Wystawa Kościuszkowska, urządzona t.r. w rozległym Pałacu Biesiadeckich na Placu Halickim; zawierała nie tyl- ko portrety wodzów insurekcji i sceny bitewne w obrazach starej i nowszej generacji malarzy, ale i liczne esponaty muzealne i archiwalne w zakresie militariów, medalierstwa, kostiumologii XVIII-wiecznej,

dokumentów. Ponieważ ekspozycję urządzono w stulecie zgonu Kościuszki - nie omieszkało też opracować i wydać bardzo ciekawy i cenny zwłaszcza dla historyków katalog tej imprezy. Moje osobiste, żywe już w tym czasie zainteresowania przeszłością narodową, sprzęgły się z silnymi doznaniem estetycznymi; ze ścian wystawnych przemawiały swym urokiem malowidła Juliusza Kossaka, Jana Matejki, Józefa Chełmońskiego i innych mistrzów.

Rok 1917 zapisał się także wystawami wyłącznie artystycznymi. W pięknym Pałacu Sztuki urządzono pierwszy bodaj w czasie toczącej się wojny Salon Wiosenny dający szeroką panoramę aktualnego malarstwa, grafiki i rzeźby twórców lwowskich starszych /Batowski, M. Reyzner, M. Harasimowicz i młodszych, jak L. Drexlerówna, Leon Dołżycki, Wanda Żygulska, Maria Wodzińska. Bardziej specjalną niespodzianką amatorom sztuki zgotowała "Czwórka" typowo lwowskich mistrzów; był to pokaz zbiorowy dzieł St. Batowskiego, Ludwika Kwiatkowskiego, Tadeusza Rybkowskiego i rzeźbiarza Zygmunta Kurczyńskiego. Opisał ich twórczość w wydanym z okazji tej wystawy lwowski literat i dziennikarz, Artur Schröder. Ekspozycja ~~ta~~ swymi walorami estetycznymi i jednolitością kierunku - mimo różnic rodzajowych - przewyższyła Salon Wiosenny. Przemówili ze ścian: batalista Batowski obok mistrza pejzażu i martwej natury, Kwiatkowskiego i realisty w scenach obyczajowych Rybkowskiego, rzeźbiarz Kurczyński, bardzo popularny w terenie dzięki licznym biustom portretowym i utworom okolicznościowym, dekoracyjnym, cmentarnym i innym. Było na co popatrzeć. Dzieła te odpowiadały najbardziej ^{starszej} gustom publiczności, żytej ze sztuką minionego stulecia romantyzmu i realizmu. Ale rok następny przyniósł już ^{pierwsze} zapowiedzi przemian w sztuce; przemiany te nie rodziły się co prawda na terenie lokalnym, ale nadciągały z innych ośrodków twórczych: Krakowa, Poznania, później i Wilna. Przemiany te przeciętni konsumenci sztuki, nie obeznani z tendencjami twórczymi określali terminem "modernizm", co było i ~~zbyt~~ błędne i zbyt generalne; ludzie bliżsi zjawiskom

współczesnej sztuki - nazywali te zjawiska "ekspresjonizmem", co też budziło sprzeciwy znawców. Zaczynał się ferment w poglądach; padały i krzyżowały się nowe, tajemnicze dla ogółu terminy: kubizm, futuryzm, formizm, konstruktywizm itp. Wielu uczestników wystaw wzruszało ramionami i uogólniało te prądy jako ekspresjonizm. Podobny chaos terminologiczny zakradł się do prasy lwowskiej. Wojna jeszcze trwała i przynosiła coraz sroższe ograniczenia bytowe: jadło się chleb z rumuńskiej kukurydzy rozpadający się w palcach bądź z mąki i niewiadomych domieszek zlepiających się w czarną lepka masę. Tym bardziej zjadaczy tego chleba a jedli go wszak i amatorzy sztuki - denerwował ferment i niepokój na ścianach wystaw. A właśnie - jakby na przekór nędzy - pokazano ich w ostatnim roku "wielkiej wojny" kilka. Nie zwiedzałem wszystkich, ale skrzętnie czytałem recenzje w "Słowie Polskim" i "Kurierze Lwowskim"; pisali je poirytowany "infantylnym nowatorstwem" Władysław Kozicki, bardziej bezstronny i łagodniejszy prof. Uniwersytetu i historyk sztuki Jan ~~Bożez~~ Antoniewicz.

Najazd ekspresjonistów na Lwów ujawnił się wiosenną wystawą poznańskiego "Buntu", do których dołączyli się i ekspresjoniści lwowscy: Leon Dołżycki, Ludwik Lille, Zofia Verzimmer i plastycy z innych ośrodków. Byłem na tej ekspozycji i niczego nie rozumiałem; nie wiem, czy słusznie czy niesłusznie kojarzyłem dziwaczność tych obrazów /nie silę się nawet na ich opisywanie/ z dziwaczną treścią bardzo poczytnej i równocześnie wydrwiwanej powieści niemieckiej H.H. Ewersa pt. "Alraune". Ale takie kojarzenie sły-
 szało się na lewo i prawo. Ludzie starszej generacji dowodzili, że każda wojna musi przynieść ze sobą wynaturzenie prądów twórczych, zerwanie z kulturą przed wojną, jako następstwa masowych mordów na frontach i rozluźnienie obyczajów. Mimo mego nie wyrobienia estetycznego nie uważałem tych poglądów za słuszne. Od brata Ludwika, rozpoczynającego już studia w Wolnej Akademii Malarstwa

i stykającego się tam z malarzami od niego starszymi, słyszałem, że pierwszy pokaz ekspresjonistów niemieckich i rosyjskich przeżył Lwów już przed wojną, bo w 1913 r., i że ten rewolucyjny nurt narodził się najpierw w Paryżu, następnie w Berlinie a po rewolucji rosyjskiej w 1917 r. zapanował w Moskwie.

Wystąpienie ekspresjonistów we Lwowie wywołało w tutejszym społeczeństwie istną burzę w wymianie poglądów na łamach prasy, w kawiarniach i na odczytach publicznych. Przeważały głosy potępienia unoszące się aż do oskarżeń o skandal w sztuce polskiej, w najlepszym razie zarzuty nieczytelności kierunku. W zainicjowanej przez "Gazetę Wieczorną" serii wypowiedzi tacy znawcy sztuki, jak Leon Piniński, Kazimierz Chłędowski, Władysław Witwicki i Kozicki przyznawali się publicznie, że nie rozumią sensu tego kierunku i jego propagatorów uważają za nieuków w zakresie anatomii i perspektywy, rywalizujących "z bohomazami na ulicznych parkanach, klozetach itp.". Przeciwstawił się tym głosom prof. Bołoz Antoniewicz jako historyk sztuki i Stanisław Przybyszewski jako pisarz i gloryfikator "nagiej duszy". Rozdźwięk głosów dał się słyszeć i w kręgu malarzy lwowskich. Starsi mistrzowie z pogardą odwracali się od nowatorskich płócien, pełnych geometrycznych linii ciał i twarzy ludzkich - w kolorach przeważnie krzyjących czy krzykliwych. Młodzi bądź w średnim wieku malarze widzieli w nich zapowiedź wielkiej ofensywy przeciw realizmowi i tradycji, przeciw usługowości artysty wobec gustów mieszczańskich, jak już wówczas zaczęto mówić "burżujskich", powoływali się na twórców nowych kierunków we Francji i Niemczech. Ciekawe, że tak popularne w Polsce kilkanaście lat później nazwisko Pabla Picasso nie było jeszcze ogólnie wymieniane. Burza nie przeszła jednak bez echa. W każdej następnej wystawie jedną lub dwie sale wypełniali swymi obrazami wyznawcy nowych prądów. Zwolennicy sztuki Młodej Polski

mieli jeszcze ucztę na ekspozycji karykatur Sichulskiego, rozwieszonych w dość mrocznej sali Giełdy Lwowskiej przy ul. Akademickiej i alegoryczno-ludowych scen i uśmiechniętych twarzy Vlastimila Hoffmana w jasnych pomieszczeniach Pałacu Sztuki. Jakby protest przeciwko nawrotowi do tradycji Leon Dołżycki w październiku 1918 r. rozłożył się w lokalu T.P.S.P. ze swym dorobkiem malar skim w duchu wyraźnie ekspresjonistycznym i ... w kilka dni po otwarciu musiał go zabrać. Wybuchły walki o Lwów ukraińsko-polskie, jeden z pocisków trafił w lokal.

Takim to epilogiem zamknął się żywot sztuki lwowskiej pod panowaniem austriackim. Kiedy w Krakowie i Warszawie - sztuki piękne w atmosferze Polski Odrodzonej - przeżywały bujny rozkwit - Lwów drżał od walk, huku pocisków armatnich i świstu przelatujących nad ulicami szrapneli. Miasto podzielone frontem bojowym zamarło w swym życiu artystycznym. Atmosfera niepokoju i zgiełku wojennego przetrwała nie tylko "ruski miesiąc" miasta, ale cały rok następny i cały okres wojny polsko-bolszewickiej do "Cudu nad Wisłą" w 1920 r. W czasie wyprawy kijowskiej - a więc na krótko przed grozą klęski - pojawiły się wprawdzie na murach miasta artystyczne plakaty, mobilizujące cały naród do obrony kraju, ale utwory te nie rodziły się z rozmachu sztuki w wyzwolonej ojczyźnie, lecz z potrzeb wojennych.

Skutki tej sytuacji dały się odczuć miastu i jego twórczości plastycznej dotkliwie. Muzea były zamknięte; brak lokali wystawowych zrozumiwały z powodu uszkodzeń Pałacu Sztuki i lokalu T.P.S.P. Zwolennikom drukowanego słowa o sprawach estetyki i kultury trudno było marzyć o czasopismach takich, jak pt. "Rzeczy Piękne" czy "Wianki" wydawane aktualnie w Krakowie. Malarze i rzeźbiarze nie mogli liczyć na pokup swych dzieł, skoro kręgi inteligencji znalazły się w nie sprzyjających ku temu warunkach.

Jedynym jasnym promieniem dla młodego pokolenia artystów zabłysło otwarcie Wolnej Akademii Malarstwa zorganizowanej przez Leonarda Podhorodeckiego, nie czynnego już twórczo malarza, ale energicznego inicjatora. Podhorodecki był przyjacielem mego ojca z lat pobytu ich zagranicą; posiadam do dziś bardzo udany portrecik olejny ojca, wykonany jego ręką. Przyfrunęła do tej uczelni młodzież artystyczna i gromada nie młodych już pań. Do młodszych należały niezwykle miła Marysia Schwormówna / po wyjściu za mąż za Spotowskiego - rzuciła malarstwo/, Stasia Klimkowska /zameżna za Bieńkowskim/ i Sonia Zarycka. Akademia mieściła się w prywatnych zabudowaniach Podhorodeckiego przy ul. Piaskowej i pod stokami "cesarskiego lasku" (nazywanego przez Lwowian nie inaczej jak "Kaiserwald"). Okolica była piękna, urokiem urwisk i jarów, rozległym widokiem na Zniesienie - zapraszała amatorów pejzażu do szkiców i studiów. Profesorów rysunku, aktu, martwej natury i krajobrazu dostarczyła funkcjonująca od czasów austriackich Państwowa Szkoła Przemysłowa, położona też w pięknej okolicy Snopkowa i Zofiówki. Uczyli więc u Podhorodeckiego : Feliks Wygrzywalski, Edward Pietsch, Wiesław Grzymalski, Kazimierz Olpiński i - o ile się nie mylę - Walerian Kryciński.

Państwowa Szkoła Przemysłowa w ^{natemias} dziale rysunku, rzeźby i modelowania przestrzennego zatrudniała zaraz po wojnie tak znanych mistrzów, jak Kazimierz Sichulski, Tadeusz Rybkowski, Stanisław Rejchan, Jan Nalborczyk /rzeźbiarz/, Jan Doliński /architekt/. Stanowili oni Instytut Sztuk Zdobniczych, formalnie powołany do życia w kilka lat po wojnie /daty dokładnej nie pamiętam/ a oparty o publiczne sale: malarstwa prowadzone - już przed 1918 r. - przez Sichulskiego i rzeźby przez Nalborczyka. Dyrektorowali Instytutowi po kolei : Jan Nalborczyk, Zygmunt Harland i inż. Bronisław Wiktor. Instytut prowadził kilka działów /pracownie/:

malarstwa sztalugowego /Sichulski/,malarstwa ściennego/Stanisław Matusiak/, rzeźby /Nalborczyk/,projektowania wnętrz /Harland/, tkactwa i hafciarstwa /pani Pirgo/,wreszcie po 1930 r. grafiki użytkowej, którą kierował brat Ludwik Tyrowicz. Historię sztuki wykładał dr Mieczysław Gębarowicz. W późniejszych latach dołączyli do tej kadry rzeźbiarz Józef Starzyński, malarze Zygmunt Rozwadowski i Paweł Gajewski. Wśród tych pedagogów - najwyżej ceniono Sichulskiego, który młodych elewów, buntowników w stosunku do tradycyjnych teorii sztuki - traktował bardzo ostro, nie przebiegając w słowach i potrafił niejednego szkic "ekspresjonistyczny" ucznia - wyrzucić przez okno i surowo zganić autora. Toteż szereg młodych zbiegało spod jego skrzydeł na ul. Piaskową.

Jeszcze w czasie wojny w 1920 r. profesorowie obu uczelni i indywidualni artyści - malarze, rzeźbiarze, architekci i dekoratorzy lwowscy powołali do życia Powszechny Związek Polskich Artystów Plastyków oddając jego przewodnictwo T. Rybkowskiemu. Obok tego zrzeszenia działały w mieście, przeważnie słabym pulsem bijące i inne organizacje twórcze : Koło Architektów Polskich, Koło Grafików, Koło Artystów Przemysłu Artystycznego, Koło Teoretyków Sztuki. Wszystkie te skupienia w dwa miesiące po powstaniu P.Z.P.A.P. - poddały się pod jego dyrektywę pod warunkiem powołania Rady Sztuki dla Małopolski Wschodniej. Wiązano z tą reorganizacją duże nadzieje na pomoc materialną rządu i Radę tę uchwalono, prezesurę oddając Stanisławowi Batowskiemu a wiceprezesurę prof. Uniwersytetu, Edwardowi Bulandzie. Rada miała czuwać nie tylko nad plastyką, ale także nad teatrem, muzyką, młazalnictwem i szkolnictwem artystycznym, inspirować ówczesnie Ministerstwo Sztuki i Kultury. Program więc imponował swą rozległością i akcję szeroko propagowano w prasie. Ale sprawa autorytetu Rady dość szybko obumarła, mimo że Bulanda nadal królował

na prezesurze. Zaczęły grać ambicje tak zawsze wyolbrzymione wśród artystów; często nie odpowiadały im decyzje ludzi nauki, jak sam prezes, jak ks. Władysław Żyła, historyk sztuki i skarbnik Rady, prof. Adolf Chybiński i inni luminiarze. Atoli główną tamą dla realizacji projektów był brak gotówki.

Skąd o tym/^{wszystkim}wiedziałem? Jednym z członków Zarządu Rady był pedagog i teoretyk szkolnictwa artystycznego i zawodowego, Ludwik Misky, autor kilku ciekawych książek o kształceniu plastycznym. Na gruncie grafiki, którą uprawiał, zawarł bliższą znajomość z bratem Ludwikiem już w kilka lat później - i niejednokrotnie w spotkaniach z nim i ze mną przy czarnej kawie - odsłaniał nam tajniki tych historii.

Na przekór przeważającemu gremium zwolenników sztuki tradycyjnej w Radzie - Lwów nawiedziły nowe fale nowatorstwa w plastyce. Formiści z Krakowa i Warszawy i poznański Bunt znowu zjechali z wystawą do grodu nadpełtwiańskiego, zaprosili też tutejszych współwyznawców swej wiary. O założeniach formizmu, który mniej wtajemniczeni zaliczali z Kubizmem i Futuryzmem do ekspresjonizmu - wygłosił odczyt w audytorium Muzeum Przemysłu Artystycznego Józef Wittlin. Zarówno wystawa, jak i odczyt - jedno i drugie widziałem i słyszałem - przyjęte zostały z pomrukiem niezadowolonia, ale już bardziej hamowanego niż poprzednio. Po prostu i ilość i jakość dzieł i to z tak różnych środowisk obudziły pewien szacunek dla nowatorstwa.

Po Wittlinie bronił formistów w Kasynie Miejskim rzeźbiarz August Zamoyski, ale jako teoretyk okazał się zupełnie nie przekonujący. Słusznie napisał później o nim jego przyjaciel, Jarosław Iwaszkiewicz, że „Guciovi wogóle nie wychodziło”. Natomiast prof. Antoniewicz w cyklu artykułów na łamach "Gazety Wieczornej" podjął się wyjaśnienia podstaw formizmu, co inni krytycy mniej

kompetentni uczynili w innych gazetach. Po Buncie zawitała niebawem grupa poznańskiego "Zdroju" i to nie z płótnami malarskimi a odczytania o związkach poezji z nowymi nurtami w sztuce, propagująca ekspresjonizm w słowie i kształcie plastycznym. Pod wpływem poważnych nazwisk, jak: Leon Chwistek, Tytus Czyżewski, Tymon Niesiołowski, Andrzej i Zbigniew Pronaszkowe, Stanisław Ignacy Witkiewicz /Witkacy/ - ferment wśród młodych artystów, przede wszystkim żydów, wzrastał się po prostu z dnia na dzień. Wtargnął przede wszystkim do Wolnej Akademii L. Podhorodeckiego i ogarnął grupę, która po kilku latach stworzyła związek "Artes". Brat Ludwik był zdezorientowany: jego pragnieniom wyrażenia siebie w rysunku czy obrazie - nowe teorie nie odpowiadały. Nie odpowiadały tym bardziej, że na wystawach 1921 i 1922 r. można było zobaczyć płótna Józefa Mehoffera, Wojciecha Weissa, Stanisława Kamockiego, Wojciecha Kossaka, Fryderyka Pautscha i innych mistrzów Młodej Polski. Były to wprawdzie wielkości pozalwowskie, nie mniej dobrze zadomowione w miejscowych galeriach i uznane przez starszą generację.

Ataki nowatorów nie ustawały. Formiści lwowscy: Jan Hrynkowski, Z. Radnicki i Stanisław Matusiak na wspólnej wystawie czerwcowej 1922 r. stępiли wprawdzie ostrość swych konstrukcji malarskich, obrazy ich kolorystyczne stały się spokojniejsze, ale młodzi od nich nie ustępowali. Dwaj buntownicy: Aleksander Riemer i Emil Kunke pod nazwą Sztuki Młodej w prywatnym lokalu dali pokaz abstrakcjonizmu i fantazji treściowej o silnych cechach ekspresjonizmu a - co najważniejsze - o wyraźnej tendencji radykalnego przewrotu w plastyce. Nie tylko ci dwaj wołali o ten przewrót. Ich koledzy z Wolnej Akademii i uciskinierzy spod skrzydeł Sichulskiego - gardząc lokalnym środowiskiem twórczym odważyli się

nawet przy braku środków materialnych - szukać inspiracji zagranicą. Byli to: Jerzy Janisch, Henryk Streng, Otto Hahn, Margit Reich, Mieczysław Wysocki - przyszli założyciele "Artesu". Wyjechali do Berlina, Wiednia i Paryża, Riemer wybrał na dłużej Drezno. Znałem ich wszystkich osobiście, z ust ich wszystkich wpadały mi do ucha niemal z czcią wymawiane nazwiska twórców nowej epoki w malarstwie: Kokoschko i Kandiański, Léger, Braque, Dérain, Chagall i inne. Oglądałem tych lwowskich nowatorów w ich mieszkaniach /do wyjazdu - z wyjątkiem Riemera - nie wystawiali swych dzieł publicznie;/ w częstych wspólnych wycieczkach i spotkaniach kawiarnianych bądź w ogrodzie mego domu - nasłuchiwałem się ich podziwów nad rewolucją artystyczną na zachodzie i potępieniem grzesawiska zastoju "i tępego dogmatyzmu tradycji" w kraju. Co do zastoju nieraz przyznawałem im rację, ale najgłębszych motywów i ich własnych założeń nie rozumiałem; trzeba by samemu zmagać się z paletą. Były to

Były to jeszcze lata między naszą młodością a wiekiem męskim. Poza gadaniem o sztuce "czepiały się" nas żarty i zabawy frywolne: to urządzaliśmy grę w zdobytą gdzieś ruletkę, to spraszaliśmy z bratem do naszego ogrodu drużynę malarską w mieszanym męsko-damskim składzie, by w ciemne wieczory szukać pod drzewami jabłek i gruszek, a znajdować inne owoce. Bywał u nas w tych czasach, choć krótko, bardzo przystojny towarzysz z Akademią Podhorodeckiego - Lucjan Adwentowicz, syn głośnego aktora Karola; ^{Lucjan} dość szybko przeniósł się do Krakowa i zmarł przedwcześnie /1937/ na gruźlicę. Wśród tych młodych adeptów pędzla miałem później i szczerych przyjaciół; prawie wszystkich "artesowców" łącznie z Ludwikiem Lillem poznałem po kilku latach - jak to się mówi "od podszewki" - gdy tworzyli ^{już} związaną grupę. Dlatego pragnął bym ich osobowości poświęcić tu nieco charakterystyki i wspomnień, tym bardziej że z wymienionych żyją tylko Margit Reich (obecnie

żona serdecznego mego przyjaciela Romana Sielskiego) i on sam już w państwie radzieckim.

Najwymowniejszym w "gadaniu o sztuce" był niewątpliwie Jerzy Janisch, mój rówieśnik i kolega brata Ludwika z pracowni Sichulskiego. Jurek był trochę nie miły w pierwszym kontakcie i na pierwsze wejrzenie, ale były to doznania pozorne. Twarz raczej blada, stale drgająca od ironicznych uśmiechów, którym odpowiadały szybko sypane lapidarne i dowcipne powiedzonka; dłonie zawsze - niewiadomo dlaczego - spocone. Pochodził z rodziny urzędniczej; ojciec - o ile się nie mylę - pracował w sądownictwie. Zwracało moją uwagę w ich mieszkaniu, że główny pokój miał okna zupełnie zaciemnione i że w tej ciemności właśnie Janisch czuł się jakby najlepiej. Wiem, że bardzo ciężko było mu po wypadzie z rodzinnego gniazda najpierw we Wiedniu, potem w Paryżu. Rysował znakomicie i - czego dowiódł dopiero na emigracji po drugiej wojnie - pisał niezwykle inteligentnie i dowcipnie. Z biegiem lat kontakt mój z nim coraz bardziej malał. Niespodziewanie w czasie okupacji hitlerowskiej spotkałem się z nim w Krakowie; zaprowadził mnie na zakonspirowany publiczny koncert fortepianowy w jakimś prywatnym mieszkaniu na ul. Szpitalnej /vis à vis Teatru Słowackiego/. Wiem, że jeszcze przed ustąpieniem Niemców - wyjechał do Wiednia i odtąd straciłem wszelką o nim wiadomość.

Henryk Streng /potem Marek Włodarski/ reprezentował inną naturę. O sztuce rozmawialiśmy raczej rzadko, natomiast sporo czasu spędzaliśmy na spacerach i grze w piłkę nożną na polach Kaiserwaldu i Snopkowa. Było w nim sporo zainteresowania moimi studiami i stosunkami rodzinnymi. Skoro razem zwiedzaliśmy wystawy - Henryk wstrzymywał się od własnych uwag i pytań o moje wrażenia. Patrzył i milczał. Kiedy - po wielu /^{koszmarnych} latach hitlerowskiej okupacji - w trakcie moich nieszczęsnych zabiegów o zatwierdzenie habilitacji przybyłem

do Warszawy - Henryk chętnie udzielał mi noclegów w swej pracowni. Skoro zaś zapragnąłem spędzić wieczór w teatrze - nadspodziewaną gotowością odstąpił mi swój bilet do Teatru Polskiego, na które wybierał się z żoną /biletów teatralnych w Warszawie nie kupowało się wówczas łatwo/. Dzięki tej uprzejmości miałem sposobność zobaczyć - nie pomnę już - jaką komedię w znakomitej obsadzie i w towarzystwie uroczej pani Janiny Włodarskiej. Obrazy Henryka nie przemawiały do mnie; ale gdybym był poznał niektóre z tych jego kompozycji, które długo po jego śmierci - reprodukowałam w swej monografii "Artesu" Piotr Łukaszewicz,^{1/} moje przekonanie o rozległości jego talentu byłoby bogatsze i trafniejsze. Kiedy wczasowałem w willi mej córki w Zakopanem - miałem przyjemność gościć Henryka; niestety wyczułem w nim jakąś depresję i spadek dawnego humoru. W kilka lat później zmarł.

Aleksander Riemer, syn architekta, należał właściwie do zamożnej rodziny, ale - o ile się orientowałem - ojciec nie był zadowolony z jego planów malarskich i skąpił mu funduszy na wojaże zagraniczne. Riemer rzadko wypowiadał się ustnie o swym stosunku do sztuki, robił to za pomocą swej palety. Niestety nawet jego kole-dzy zarzucali mu "płodzenie dziwadła" /Janisch/ a Sichulski w czasie korekty robił mu gorzkie uwagi. Nieraz zachowywał się Oleś jak dziecko i stawiał naiwne pytania. W czasie wspólnej grupowej wycieczki do Podleśniowa koło Mikuliczyna - potrafił zapytać konduktora:

- Czy teraz będzie następna stacja ? ...

- Z całą pewnością - odpowiedział konduktor a my wszyscy buchnęliśmy śmiechem.

1. P. Ł u k a s z e w i c z . Zrzeszenie artystów plastyków
Artes 1929-1935. Wrocław - Warszawa, Kraków-Gdańsk 1975.

Oleś /tak się do niego zwracaliśmy/ ruszył w świat najpierw do Berlina, następnie Drezna. Był jedynym z tych podróżników, który ze mną korespondował. Przygotowywałem wówczas do druku swoją monografię o Janie Tyssowskim i szukałem widoku Königsteinu, w którym więziono dyktatora; trudno było o taki widok w zbiorach lwowskich. Oleś przysłał mi trzy widoki, z których jeden opublikowałem w swej książce.

Najmniej kontaktu miałem z Ottonem Hahnem, podobnie jak brat Ludwik a - jak mi on relacjonował - i inni "artesowcy". Wyraźnie semicka jego fizjonomia łączyła się z postacią dość niezgrabną i ciężkimi ruchami. Był jednym z najbardziej "nieprzejednanych" w swej sztuce, ale też najostrzej traktowanym przez Sichulskiego; to jego właśnie "martwa natura" ożyła w gwałtownym ruchu, kiedy przez okno wyrzucił ją mistrz ze stalugi. Dlatego Hahn szybko zbiegł do Wolnej Akademii, a stąd do Paryża. Nad Sekwaną załochał się nie tylko w malarstwie A.O. ~~antant~~, ale i w koleżance Wandzie Wolskiej, która nie odpłacała się mu uczuciem. Ona zmarła nie długo, on legł jako ofiara hitlerowskiej masakry żydów - po powrocie do Lwowa. Przyznam się, że ze wszystkich "artesowców" jego dzieł znałem najmniej.

Margit Reich poznałem bliżej, gdy została żoną Romana Sielskiego, choć z bratem i innymi wychowankami Wolnej Akademii - bywaliśmy niejednokrotnie w pięknym mieszkaniu jej ojca, adwokata. Obrazy Margit najbardziej przemawiały do mych gustów, ale oglądałem je - poza wystawami - dopiero po 1930 r. w jej małżeńskim mieszkaniu, kiedy z prowincji powróciłem do rodzinnych pieleszy. W obrazach Margit przedziwnie kojarzyło się szukanie nowych form z realizmem anatomicznym modelu, zwłaszcza w akcie kobiecym. Także jej pejzaże przyciągały swą kolorystyką i spokojem. Być może był to wpływ R. Sielskiego, którego olejne impresje z nad Bałtyku tak ujmowały

swą oryginalnością, że żona moja kilka z nich zakupiła z wielką radością. Stosunki moje z Sielskimi przetrwały aż do wybuchu wojny i były równie serdeczne, jak ze Strengiem - Włodarskim. Roman zawsze dbał o swą elegancję - był również wybredny w rozmowie, nie lubił paplać o byle czym, jak to się często trafia u artystów. Jeśli szliśmy na kolację - to tylko do pierwszych lokali, jak George lub Atlas. Odbyliśmy także kilka wspólnych wycieczek: w Czarnohorę lub nad Bałtyk. Sielskim zawdzięczam najżywsze zbliżenie i zrozumienie sztuki w całej grupie tego kierunku. Poza twórczością brata Ludwika - była mi najbliższą. O innych członkach późniejszego "Artesu" - mówić będę dalej.

Tu jednak nie mogę pominąć przyjaciela z pośród malarzy i prawie sąsiada naszego domostwa, który z wyżej wspomnianymi miał tylko tyle wspólnego, że był wychowankiem Sichulskiego.

Geza Rozmus mimo węgierskiego imienia i nazwiska - był z temperamentu i talentu artystą polskim i to artystą z bożej łaski. Syn przedsiębiorcy zakładu elektronicznego - miał kłopoty z poświęceniem się wyłącznie malarstwu, ale jako były legionista miał czas jakś pogodzić przemysł ze sztuką. Nie interesowały go nowe prądy; zakochany po uszy w Juliuszu Kossaku i Zygmuncie Rozwadowskim - malował konie w boju i u podoju, a następnie sceny batalistyczne i rodzajowe, w których bez rumaka ani rusz. Toteż obrazy jego nie zdobiły ekspozycji awangardzistów a rzadko i inne wystawy. Wypłynął w szkolnictwie malarskim dopiero po drugim zajęciu Lwowa przez ^{włazze} ~~v~~ radzieckie. Twórczość swą dostosował do tematyki z dziejów Ukrainy i życia na Zaporozżu, to też mianowano go profesorem miejscowej Akademii Malarstwa, nie szczędzono odznaczeń. Jednak po 1945 r. /daty dokładnej nie znam/ przeniósł się do Łodzi i tu powołano go do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Przywiózł

ze sobą wielkie płótno z B.Chmielnickim po ugodzie zborowskiej. Po spensjonowaniu miał tak liczne zamówienia "Desy" w Łodzi i Warszawie, że ledwie zdążał z ich wykonaniem. Do końca życia mego brata pozostał bliskim jego powiernikiem i moim przyjacielem. Zakupiliśmy z żoną kilka jego płócien.

Po wyfrunięciu awangardzistów poza Polskę - konsumenci sztuki we Lwowie skazani byli na "salony wiosenne", "letnie" i "jesienne", "wystawy gwiazdkowe", nieraz ekspozycje indywidualnych malarzy - przeważnie stojące na bardzo nierównym poziomie. Chodzono na nie bądźto do Pałacu Sztuki bądź do sal T.P.S.P. Rzadkością były takie pokazy autentycznych talentów starszej daty, jak Alfons Karpiński, Stefan Filipkiewicz, Iwan Trusz. Ośrodek lwowski spadł do poziomu prowincyjnego zaścianka sztuki.

Aleksander Krzywobłocki w swoich wspomnieniach zapisał:

"Ówczesny oficjalny" klimat artystyczny plastyki lwowskiej ograniczał się raczej do oschłych ram konwencji post - czy pseudo-impresjonistycznego malarstwa epigonów, kopiujących chętniej "prawdę natury" zamiast tworzyć iluzję sztuki ...". W tym czasie "kotłowało się coś w starym Krakowie", działały Towarzystwo Artystów Polskich "Sztuka", konfraternia malarzy przy Placu św. Ducha i konkurencyjne stowarzyszenie "Sztuka Rodzima".^{2/} Natomiast w Lwim Grodzie skończyła się nawet epoka prosperity dla twórców pokupnych wytworów pędzla czy rysunku, którą zainicjowały szalejąca inflacja i ambicje nuworiszów a zakończyła reforma walutowa 1924 r. Przez kilka najbliższych lat /1927-1930/ wyrzucony warunkami bytowymi poza rodzinne miasto - straciłem możliwość obserwowania rozwoju w nim życia plastycznego. Moje spotkania ze sztuką - ograniczały się do okresów świątecznych i wakacyjnych,

2. Z rękopiśmiennego kajetu A.Krzywobłockiego pt. Śladem spotkań i wspomnień, użyzonego mi przez Autora.

kiedy bawiąc we Lwowie odwiedzałem ciekawsze ekspozycje, teatry, nawiązywałem przerwane kontakty z awangardzistami wracającymi do kraju. Przesilenie w handlu obrazami starali się pokonać bardziej pokupni malarze a przytem obrotni: jak Feliks Wygrzywalski i Władysław Bielecki założeniem Domu Sztuki w oficynie Hotelu Europejskiego na Placu Mariackim a zatem w samym centrum miasta, Ściany tego Domu miały służyć przede wszystkim takim dziełom, które znajdą chętnych nabywców, co nie wykluczało obecności tu tworców Sichulskiego, Jarockiego, Józefa Fałata, W. Kossaka, Jacka Malczewskiego, Ignacego Pieńkowskiego, więc często sprzedawanych korzystniej, bo...pośmiertnie. Z nadpełtwiańskich mistrzów zarówno w tej sali, jak i innych oddawna służących wystawom - zaczęły pojawiać się coraz częściej nowe nazwiska : Eugeniusza Gepperta, Marcina Kitza, Jana Rosena, Bronisławy Rychter-Janowskiej, zwiastujące nawrót do impresjonizmu i następnych po nim kierunków francuskich. Z rzeźbiarzy wystawiali coraz ambitniej Janina Reichertówna, Józef Starzyński, z poza Lwowa Henryk Kuna. Między artystów wielkich lotów wciskały się talenty skromniejsze - pań lubujących się w kwiatach, martwej naturze, widokach i widoczkach, trudnych nieraz do odcyfrowania portretów lub na odwrót konkurujących z fotografią. Powstały w tych latach Związek Artystek Polskich domagał się coraz głośniejsze o przestrzeń wystawową bez względu na walory artystyczne. Inna grupa Dziesięciu Plastyków założona w 1929 r. i przewyższająca tymi walorami twórcze Lwówianki - nie dorównywała im przebojowością. Smutek coraz natarczywiej wkradał się do "salomów sztuki". Inne technienia wносиły wystawy specjalnie, jak grafiki ilustracyjnej i książki zorganizowana w maju 1928 r. z okazji ogólnopolskiego Zjazdu Bibliofilów Polskich w Czarnej Kamienicy w Rynku. Dyrektorem Muzeum Historycznego w tej kamienicy był znany historyk Lwowa i dyrektor

Archiwum Miejskiego, dr Aleksander Czołowski. Było się tam czym delectować w dziale grafiki książkowej, ekslibrisu, nawet opraw wytrawnego introligatora Aleksandra Semkowicza. Historycy kultury i druku staropolskiego, ruskiego i żydowskiego znajdowali tu znakomite źródła do swych prac. Brat mój Ludwik wchłaniał małe arcydzieła ekslibrisowe, w których później sam się twórczo rozmiłował, mnie pochłaniały ryciny i oprawy. Inną kategorię doznań budziła wystawa plakatów na X Targi Wschodnie z Konkursu ogólnokrajowego. Wystąpiły też z ekspozycjami różne grupy plastyczne pozalwowskie: Plastyka, Zwornik, Jednoróg, Rytm, graficy Rytu i wreszcie z pierwszą swą wystawą nowonarodzone prawie pod dachem naszego domu zrzeszenie "Artes". 3/

Narodziny tej awangardy - już po powrocie większości jej członków z zagranicy - miało miejsce jesienią 1929 r. Daty dokładnej nikt nie zapisał, nawet mój brat, który niemal od początku towarzyszył temu porodowi. Jaskółką zwiastującą to wydarzenie - była wystawa Ottona Hahna i Henryka Stredga w czerwcu 1928, którą udokumentował swym Katalogiem Ludwik Lille, uważany za czołowego teoretyka kierunku. Nie oni jednak należeli do pierwszych twórców nowej grupy; wyprzedziła ich czwórka: Janisch, Aleksander Krzywobłocki i Mieczysław Wysocki oraz Roman Sielski, którego uznano przewodniczącym. Statut zredagował Krzywobłocki, obeznany z obowiązującymi przepisami. Po szybkim dołączeniu do tego grona mego brata - posiedzenia grupy zaczęły mieć miejsce w jego pracowni na poddaszu naszego domu przy ul. św. Pawła 8. Stąd pogłębiły się moje znajomości z tymi awangardzistami, których nie znałem wcześniej a przede wszystkim z Krzywobłockim.

3. W oficjalnych swych zapowiedziach i publikacjach nazwa ta zaczynała się od małej litery; założyciele pragnęli podkreślić równorzędność wszystkich gałęzi plastyki od architektury i sztuk dekoracyjnych przez malarstwo i grafikę do artystycznej fotografii. Dziwne jednak, że przez cały okres swego istnienia "Artes" nie zrzeszyło w swym łonie żadnego rzeźbiarza. Projektodawcą tego zwołania był R. Sielski, nie - jak się utrzymuje - Janisch.

Był to wówczas mężczyzna w moim wieku, rosły, niestety od dzieciństwa kulejący na lewą nogę. Pamiętam go zawsze z fajeczką w ustach. Wtajemniczył mnie później w swoje dzieje rodzinne. Dom jego ojca Benedykta, radcy Izby Skarbowej mieszczący się na rogu ul. Piekarskiej i Głowińskiego rozbrzmiewał w dzieciństwie Krzywobłockiego od dysput i spotkań ówczesnej lwowskiej cyganerii ; bywali w nim Jan Kasprowiec, Stanisław Przybyszewski, Stanisław Womela /poeta i dziennikarz/ i malarz Bratkowski (wuj Krzywobłockiego) i wielu innych głośnych w mieście postaci. O piękną matkę Stanisławę, pochodzącą z wiedeńskiej rodziny Zimmerów, która szczególną sympatią darzyła Womełę - toczyły się aż dwa pojedynki. Natomiast najlepsze wódki przygotowywano dla Kasprowicza i Przybyszewskiego. Oprócz dyskusji oddawano się namiętnie grze w karty, słuchano muzyki fortepianowej. Aleksander po studiach architektonicznych we Lwowie i asystenturze przy prof. Janie Zubrzyckim /katedra historii architektury /- praktykował najpierw w Urzędzie Architektury i Budownictwa /1928-1930/, następnie przy Wojewódzkim Konserwatorze Zabytków /dr Zbigniewie Hornungu / jako jego zastępca. Z obowiązków nadzoru nad trzema połudn.-wschodnimi województwami narodził się w nim kunszt fotografii dokumentacyjno-artystycznej, w której doszedł do perfekcji; pozwoliło mu to na zupełne nowatorskie fotomontaże i urzekające oryginalnością kompozycje /już na Politechnice studiował tą sztukę u znakomitego fotografa, Henryka Mikolascha/. Z podróży zagranicznej do Włoch przywoził bogactwo szkiców, rysunkowych croquis, własnych zdjęć. Już w 1927 r. uczestniczył w konkursie architektonicznym na pomnik Wolności w Poznaniu a w 1929 r. na pomnik lotnika, głośnego z przelotu Atlantyku,

Ludwika Idzikowskiego. ^{4/} Nagród w tych konkursach nie zdobył, ale nazwisko stawało się znane wśród architektów ;podołały się powszechnie jego projekty Łuka Triumfalnego i Stadionu Sportowego, odbiegające daleko od historycznie znanych wzorów. Po okupacji hitlerowskiej opuściwszy Lwów - osiadł we Wrocławiu, gdzie objął kierownictwo Urzędu Konserwatorskiego na Śląsk Dolny i odegrał wielką rolę w uratowaniu od zupełnego zniszczenia szeregu zbombardowanych zabytków sakralnych i historycznych budowli świeckich. Po przyjściu na emeryturę osiadł w Krakowie i jako jedyny żyjący w Polsce człowiek "Artesu" - stał się moim najserdeczniejszym przyjacielem.

Grupa najbardziej zagorzałych propagatorów kierunków nowatorskich, szczególnie modnego w Paryżu surrealizmu : Riemer, Hahn i Streng włączyli się w grono "Artesu" dopiero z początkiem 1930 r. Z innymi członkami tego grona :M.A. Wysockim, Pawłem Kowłunem i Lillem, który bardzo szybko zastąpił Sielskiego w przewodnictwie zrzeszenia - kontakt mój był bardzo przelotny, choć nieraz zjawiali się ^{oni} w pracowni mego brata. Wysocki w pierwszym roku istnienia "Artesu" uległ wypadkowi ulicznemu i zmarł. Dwóch innych członków Tadeusza i Stefana Wojciechowskich, nie miałem sposobności poznać.

Pierwsza wystawa "Artesu" otwarta w lokalu T.P.S.P. na II piętrze Muzeum Przemysłu Artystycznego w styczniu 1930 r. wywołała w prasie o tradycyjnych poglądach burzę oburzenia; główny atak na łamach "Słowa Polskiego" przypuścił Władysław Kozicki, piastujący już od kilku lat godność profesora historii i sztuki w Uniwersytecie J.Kazimierza. Odpowiedział mu śmiałym artykułem pt.

4. Właśnie tego roku Idzikowski w czasie przelotu zabił się na wyspie Graziosa w archipelagu azorskim. O Krzywobłockim należy dodać, że za projekt pomnika Wolności w Nowym Bytomiu otrzymał nagrodę w 1924 r. Wg jego pomysłu i planu urządzono pawilon panoram Lwowa z 1772 i 1928 r. na poznańskiej Wystawie Krajowej z okazji dziesięciolecia R.P. Projektował szereg kościołów w Małopolsce wschodniej, szkół i budynków rządowych. Za projekt typowego dworca kolej.na linii Warszawa-Gdynia otrzymał nagrodę;zarówno ten projekt, jak niektóre inne doczekały się realizacji.Wreszcie jego fotomontaże w 1978 r. powędrowały do Muzeum Światowej Fotografii w Nowym Yorku.

Dlaczego maluje się tak a nie inaczej ? na łamach tego samego dziennika - Janisch, dając wykładnię teoretyczną surrealizmu. Te założenia powtórzył też Lille w wykładzie publicznym ; opublikowano je - jak się dowiedziałem od brata - na łamach paryskiego pisma redagowanego przez artystów polskich "L'Art Contemporain" Na wystawie byłem, artykuł Janischa czytałem, ale nie byłem przekonany ; mówiąc dokładniej : sztuka ta mnie nie brała. Ciekawe, że nie zadzierżgnęła się więź duchowa między nią a moim bratem, członkiem grupy /był nawet jej skarbnikiem a więc wchodził do Zarządu/. Ulegał on także nowatorstwu w grafice, ale w duchu szkoły warszawskiej, wykształconej przez Władysława Skoczylasa i Edmunda Bartłomiejszyka. Warto przytoczyć słowa zanotowane przez Krzywobłockiego o cechach wystawy:

"Konformistycznie cisza w kręgach kulturalnych opinii publicznej - przed wystawą zrzeszenia - przeobraża się w czasie ekspozycji w wyraźne zaniepokojenie i żywe poruszenie, zwłaszcza wśród miejscowych znawców sztuki, czy na łamach dzienników czy w dyskusjach w kuluarach klubów, kasyn, kawiarni Środowisko lwowskie, jakby ... zadrażnione w swoim "zdrówym rozsądku", manifestuje wyrazy pewnego oburzenia i protestu ..." Goście wystawy - oczywiście nieliczni - żądali zwrotu cen wstępu, inni posuwali się do odpowiednich epitetów w głośnych rozmowach i ostentacyjnych /jakby dla prowokacji/ w rodzaju "wystawa żydowsko-bolszewicka", "żydokomuna" itp."

A jednak trzeba przyznać, że ten początek i następne działania "Artesu" wniosły ożywienie w atmosferę środowiska. Niewątpliwie mniej czy więcej wartościowym rezonansem ruch ten nawiązywał do przełomu w sztuce nad Sekwaną. Lwowscy pionierzy tego przełomu nie ustawiali w wystawach i publikacjach, zwłaszcza gdy dołączył

się do ruchu przybyły z Krakowa i powołany na lwowski Uniwersytet prof. Leon Chwistek, filozof i teoretyk sztuki, twórca kierunku w malarstwie p.n. strefizmu. O żywotności "Artesu" dość powiedzieć, że w ciągu dwóch lat od powstania - grupa ta urządziła ośm wystaw we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu i w znanym warszawskim Salonie sztuki Czesława Garlińskiego. Garliński w tej sprawie przyjechał do Lwowa i miałem możliwość poznać tego wytwornego i przystojnego kupca-estety na przyjęciu w domu państwa Hermannów, którzy mecenasowali młodej awangardzie /Z.Hermannowa sama malowała/. Na drugiego mecenasa młodych wysunął się bankier lwowski, Wiktor Chajes, który nieraz zapraszał ich do swego pięknego mieszkania u wstępu^{do} Parku Kilińskiego, ale - o ile mi wiadomo - płodów artesowców zbytnio nie zakupywał; wolał płótna starszych pędzli.

Bardzo przyjacielskie stosunki łączyły młodych z domem prof. filologii klasycznej Uniwersytetu J. Kazimierza, Jerzego Kowalskiego i jego małżonki Anny; pamiętam rozhukanego sylwestra w jego mieszkaniu przy ul. Supińskiego, w którym miałem przyjemność uczestniczyć. Najwierniejszym mecenasem artesowców był adwokat Marek Reichenstein, który finansowo bardziej od wymienionych angażował się dla "Artesu". Być może przy jego pomocy - ukazała się w 1932 r. Teka dziesięciu autolitografii, dość kosztowna, bo drukowane aż w Frankfurcie n/Menem. Nie wiem już, dlaczego w Tece zabrakło kartonu mego brata; być może artystycznie nie wiązał się on z kierunkiem Kolegów. Spory o ideę artystyczną trwały wśród nich silnie; były nawet próby secesji p.n. "neoartesa", ale skończyły się niepowodzeniem. Wielokrotnie byłem świadkiem - nie bezpośrednio wprawdzie, ale bardzo bliskim, zwłaszcza z relacji brata, jak w jego pracowni na poddaszu naszego domu - rozchodzili się nieraz skłócenia i skorzy do dezercji - członkowie tej samej grupy. Z chwilą, kiedy w 1937 r. Lille na stały pobyt

wybrał Francję - zwartość grupy osłabła, zmalały też zewnętrzne manifestacje jej żywotności. Brat mój mocno związał się z Związkiem Lwowskich Artystów Grafików /którego był pierwszym prezesem/, Sielscy oddali się wyraźnie postimpresjonizmowi /przez niektórych zwanym koloryzmem/, Janisch znowu wyjechał do Paryża, Streng i Hahn zasilali poczęli wystawy warszawskie i inne. Wszyscy założyciele "Artesu" wstąpili indywidualnie w szranki Związku Zawodowego Artystów Plastyków, który mógł bardziej, niż inne zrzeszenia kołatać o pomoc władz. M.i. bardzo życzliwym opiekunem tegoż Związku był prezydent miasta, dr Ostrowski, dzięki któremu w 1937 r. przyznano Związkowi piękną siedzibę w lokalu b.Domu Sztuki w oficynie Hotelu Europejskiego. W zdobyciu tej rezydencji zasłużyli się nie mało mój brat /vice-prezes ZZAP. od 1938 r/ i Roman Sielski.

Siedem lat ożywienia atmosfery Lwowa dzięki awangardowym zapędom "Artesu" - objawiło się w zmianie klimatu artystycznego nie tylko w plastyce, ale i w literaturze, teatrze, prasie i w związkach kultury miasta z resztą Polski. Pracując w mieście od połowy 1930 r. obserwowałem duże zmiany, choć sytuacja polityczna w Europie i w naszym kraju nie sprzyjała nieograniczonemu rozwojowi. Ale wizyty różnych grup twórczych Warszawy, Poznania, Wilna w postaci ekspozycji następowały w coraz szerszych rozmiarach. Niewątpliwie przyczyniła się do tego akcja bojkotu T.P.S.P. przez członków Z.Z.A.P. trwająca od 1933 do 1935 r. Przynajmniej przyczyną bojkotu był ogólnie niski poziom ekspozycji w salach Towarzystwa, którego zarząd nie przeprowadzał ostrej selekcji zgłoszonych płócien, często kierował się kumoterstwem a ospała Rada Sztuki nie wnikała w te sprawy. Dużą rolę w bojkocie odegrali oczywiście awangardiści, ale ogólnie irytowało artystów rozpanoszenie się

w salach dyletantów, nie zrzeszonych w Z.Z.A.P. i członkiń Związku Artystek Polskich, nieraz nie wykraczających swym malarstwem poza amatorstwo ze snobizmu lub nudów. Odsłaniała się ^{coraz jawniej} groza prowincjonalnego zaułka. Z bojkotem lwowskim solidaryzowali się artyści krakowscy, łódzcy i poznańscy. Zarząd Z.Z.A.P. liczył na rychłe zwycięstwo, interweniował u prof. Bulandy. A jednak T.P.S.P. przetrzymało bojkot półtora roku ; raczej przetrwali tylko tyle inicjatorzy kampanii. W czasie dyskryminacji Towarzystwo urządziło wystawę dzieł Wyspiańskiego i sławy krajobrazu Jana Stanisławskiego, malarze zaś musieli się tułać po kuluarach teatru Rozmaitości, choć adeptów palety mnożyło się coraz więcej; były formista Stanisław Matusiak pod obiecującą nazwą Fresk otworzył ^{dla nich} własną szkołę malarską. Z.Z.A.P. odwołał bojkot w styczniu 1935 r., za nim poszły inne grupy. Młodzi i starzy potrzebowali przestrzeni wystawniczej jak ryba wody. T.P.S.P. odstąpiło Związkowi duże sale własnych celów o piętro niżej. Treuga Dei zostały zawarte i nowi mistrzowie zaczęli wypełniać ściany T.P.S.P.: z miejscowych Otto Axer, Stanisław Kramarczyk, Maksymilian Fenering, Leon Chwistek, Zygmunt Menkes / trzej ostatni wchodzący w nową pozalwowską grupę pn. Nowa Generacja/, z zamiejscowych artyści warszawscy i krakowscy, nawet wiedeńscy ze Związku Akwarelistów /pamiętam tradycyjne wprawdzie, ale z niezwykłą kulturą i dbałością o piękno wykonane plansze/. Grafika coraz częściej i szerzej okupowała ściany sal wystawowych. Duży udział w tym zjawisku miał brat mój Ludwik, założyciel i pierwszy prezes Związku Lwowskich Artystów Plastyków, o czym szerzej opowiem w jednym z następnych rozdziałów. Silnym akcentem na jednej z wystaw w 1936r. wybiła się jego teka akwafort poświęcona miastu wież i zaułków, San Gimignano.

Nie mogę tu pominąć dwóch wystaw z lat 1930-tych niezainicjowanych wprawdzie przez plastyków, ale wnoszących szeroką retrospekcję w dawną sztukę polską i obcą. Była to wystawa w stulecie powstania listopadowego /1930/ zorganizowana przez wszystkie lwowskie muzea i dająca tak bogaty przegląd płócien olejnych XIX-wiecznych, akwarel, miniatur i grafiki, że z prawdziwym zainteresowaniem zwiedzałem ją trzykrotnie z katalogiem Jerzego Güttlera i Zygmunta Hartleba^{w ręku.} W czasie wędrówki wśród tych dokumentów epoki - można było odetchnąć pełną piersią kultem dla przeszłości narodowej. Jeszcze rozleglejsze horyzonty sztuki obcej i polskiej odsłonili organizatorzy XIII Zjazdu Związku Muzeów w Polsce w czerwcu 1937 r., dając w Muzeum XX Lubomirskich ekspozycję posiadanych przez nasze kolekcje dzieł Albrechta Dürera i Rembrandta a w Galerii Miejskiej wystawę Stulecie malarstwa lwowskiego 1790-1890, po raz pierwszy od wspomnianej Powszechnej Wystawy Krajowej - orientującej w roli Lwowa w dziejach kultury narodowej. Katalog tej ekspozycji opracowany i ilustrowany ze szczególną pieczołowitością jest do dziś ważnym źródłem do dziejów sztuki lwowskiej.

Stosunkowo mało w tych wspomnieniach poświęciłem rzeźbie lwowskiej w dwudziestolecu międzywojennym. Może to tym dziwniejsze, że ojciec mój wyzwolił się ^{przecież} w rzeźbie w drzewie i kamieniu, że w jego warsztacie jeszcze przed moim urodzeniem wyrabiał się w tej sztuce Wojciech Brzega, za mego dzieciństwa Janina Reichertówna /później Todtowa/, a wiele figur omentarnych wykonywał rzeźbiarz czeskiego pochodzenia Z. Plihal. Lwów po znakomitej trójcy rzeźbiarzy z przełomu stulecia :Tadeusza Barączu /pomnik Jana III na koniu/, Antoniego Popiela /statua A.Mickiewicza na Pl.Mariackim i Tadeuszu Błotnickim/pomnik Fr. Smolki/- nie miał szczęścia do rzeźbiarzy o wielkich lotach. Toteż rzeźba na wystawach

omawianych lat zajmowała wyraźnie miejsce drugie, jakby dla dekoracji sal. Widziało się tu przeważnie biusty portretowe, plakiety, akty, bardzo rzadko kompozycje rodzajowe czy alegoryczne. Początkowo najczęściej eksponował swe dzieła wspomniany Z. Kurczyński, którego twórczość łączyła się wyraźnie z konkretnymi zamówieniami, natomiast bardzo rzadko wspomniany Jan Nalborczyk. Ze starszych od nich mistrzów dłuta można było w 1928 r. zapoznać się z twórami Tadeusza Błotnickiego w pośmiertnej jego ekspozycji. Młodszą generację reprezentowali Henryk Kuna z Warszawy, Józef Starzyński i Janina Reichertówna, wreszcie tuż przed wybuchem drugiej wojny Marian Wnuk, bardzo wesoły kompan naszych rozrywek i wycieczek nad Nałtyk. Pamiętam, jak z mokrego piachu helskiego lepił leżące postacie kobiece. Czasem na polskich wystawach eksponował swe rzeźby utalentowany rzeźbiarz ukraiński Sergiusz Łytwynenko, którego osobiście poznałem jako projektanta pomnika cmentarnego Iwana Franki wykonanego /poza kompozycją z brąza / w zakładzie mego ojca już po jego śmierci. Do ostatniego dnia mego pobytu we Lwowie tj. do kwietnia 1944 r. patrzyłem w moim pokoju na znakomity w podobieństwie biust w białym kararyjskim marmurze mego ojca wykonany przez jego przyjaciela, Pawła Wojtowicza. Co się z tym dziełem stało po moim wyjeździe do Tyńca - nie wiem do dnia dzisiejszego.

Pożalowania godnym był los tego artysty; z powodu nałogu alkoholizmu przestał tworzyć i przyjęty do domu starców - błąkał się od czasu do czasu wśród mistrzów kamieniarskich Lwowa prosząc o wsparcie.

Nie mogę tu nie wspomnieć również o znakomitym modelu historyczno-urbanistycznym, wymagającym ręki zarówno architekta, jak i rzeźbiarza-dekoratora. Mam na myśli plastyczną panoramę XVIII-

wiecznego Lwowa, której podobnej nie posiada dziś żadne miasto polskie poza Toruniem. Panoramę tę gorliwie popieraną przez Towarzystwo Miłośników Przeszłości Lwowa oraz Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Sztuki i Kultury, po wielu żmudnych studiach i pracach sporządził niezwykle utalentowany architekt Janusz Witwicki, syn filozofa i prof. Uniwersytetu, Władysława. Oglądałem z zachwytem ten model, oprowadzany i objaśniany przez jego twórcę w rozległej jego pracowni przy ul. Ormiańskiej. Łoży modelu po przetrwaniu okupacji hitlerowskiej "dystryktu Galizien"- do dziś są nieznane, jego autora spotkał zaś tragiczny epilog. Kiedy paki zawierające rozebrany na fragmenty model były w 1945 r. przygotowane do repatriacji wraz z rodziną Witwickiego do Polski -wprzeddzień wyjazdu autor został wywołany z domu przez nieznanych ludzi i nie wrócił już do mieszkania.

Drugim niewątpliwym dziełem rzeźby i architektury był Cmentarz Obrońców Lwowa, wspaniale zaprojektowany przez młodego inż. Rudolfa Indrucha. Wzniesione go szerokim łukiem na zboczu Cmentarza Łyczakowskiego nachylonym ku Pohulance. Składał się z okrągłej kaplicy, szeregu katakumb i długich pasów nagrobków ; ołtarz w kaplicy był wykonany z resztek granitów z rozebranego w 1919 r. Soboru prawosławnego na Placu Saskim w Warszawie. Dziś całość tego panteonu zniknęła w wysokich zaroślach i chaszczach.

Smutnym więc akordem kończę opowieść o moich spotkaniach ze sztuką lwowską. Ale nie tylko epilog jest tak smutny. Życie artystyczne miasta - poza ożywieniem się w latach 1930-tych - cierpiało na oddaleniu od najbardziej pulsujących środowisk sztuk plastycznych w Krakowie i Warszawie. Do tych środowisk zapładniające impulsy docierały wprost z wielkich zbiorowisk sztuki zachodnioeuropejskiej; artyści lwowscy natomiast musieli sami wyprawiać do nich po inspi-

rację twórczą i szeroki oddech.

Lata narastającego faszyzmu w sąsiedztwie Polski i w Italii, tak bliskiej nam kulturą łacińską - stwarzały coraz wyższy mur i coraz trudniejsze warunki do pokonania tej przeszkody.

W walce o pozycję autora

Najtrudniej jest historykowi pisać własną biografię. Ze sztuką tą nie upora się łatwo nawet autor kilku sążnistych monografii wybitnych postaci historycznych czy ludzi pióra lub sztuki. To też nie wielu dziejopisów pokusiło się dotąd o spowiedź te swej twórczości, choć t.zw. autobiografii dla różnych celów spłodzili zapewne niemało.

Skąd te - zdawało by się - nadspodziewane i dziwne trudności? Czyżby wymogi innego stylu? czy brak pamięci o faktach własnego życia, których się nie notowało: czy wreszcie niechęć do odsłaniania własnych niedostatków w odtwarzaniu swego życia i drastycznych nieraz konfliktów z otoczeniem?

Przecież o innych ludziach z odległej czy bliższej przeszłości, pisze się tak często i tak chętnie. Ale powiedzmy szczerze: pisze się przede wszystkim o konkretnej, najbardziej uchwytniej ich działalności bądź o rozwoju ich myśli, utrwalonej w konkretnych dziełach. Nieraz udaje się historykowi wtargnąć w najintymniejsze pobudki działań swego bohatera, odnaleźć najdrastyczniejsze jego wypowiedzi czy listy, by tą drogą odsłonić jego życie wewnętrzne. A jednak zawsze brak nam do syta źródeł do poznania głębi cudzego wnętrza, impulsów czynów, nieraz wylęglonych w podświadomości. Wtedy rzetelnemu biografowi wolno zasłonić się użyciem hipotezy bądź psychologicznego domniemania, w oparciu o osobistą introspekcję.

Oczywiście inaczej wyglądać musi rzecz z autobiografią historyka, jego autoportretem, w dodatku w ujęciu pamiętnikarskim. Mówiąc o sobie trudno uciekać się do hipotez i domniemywań; odnosić się one mogą tylko do osób i okoliczności towarzyszących autorowi i jego pracy.

Zrozumiała konieczność zwięzłości tych reminiscencji, by nie nużyły czytelnika nadmiarem zupełnie małoważnych szczegółów - nakazuje mi rozpocząć je od tych najodleglejszych bodźców zainteresowań historią, które rodzą się z predyspozycji wewnętrznych a kształtują się pod wpływem warunków zewnętrznych: środowiska społecznego, rodziny,

szkoły a często pod naporem atmosfery epoki.

Dużo więc pytań ciśnie się pod pióro, gdy chce się odszukać warunki narodzin własnych aspiracji intelektualnych; i stąd sens pierwszego zdania tego rozdziału. Często upraszcza się sprawę, mówiąc o "ambicjach". Ambicje oczywiście rodzą się już od dzieciństwa - z lektury, słuchanych rozmów i nauk, z obserwacji utalentowanych ludzi, później także z widowisk teatralnych, z filmów. To wszystko wystarcza w wieku młodzieńczym. W wieku dojrzałym zaczynają grać w debiutancie nauki momenty rywalizacji i zmagania się z coraz większymi trudnościami.

O swoim dzieciństwie i wieku szkolnym przeduniwersyteckim - napisałem już chyba tyle, że bodźce zewnętrzne dla zainteresowań historycznych i to - powiedzmy odrazu - czasów porzbiorowych Polski a więc XIX wżarysowują się w tych wspomnieniach dość wyraźnie. A przecież atmosfera życia codziennego najbliższego mi kręgu rodzinnego nie sprzyjała chyba ambicjom pisarskim i poznawczym historycznym. Zarówno głęboka w najbliższym otoczeniu nieznamość pochodzenia rodziny i jej losów, jak i ciężkie zmagania się ojca o byt materialny, ~~tak~~ i ciasne stosunki towarzyskie - wszystko to nie sprzyjało wykształcaniu się ambicji, które miały by wieść do "kariery naukowej". Niewątpliwie tylko jeden moment mógł działać najsilniej: skłonności i tradycje rodzinne artystyczne.

Natomiast wpływ bodźców zewnętrznych poza domem rodzinnym - rósł już od pierwszych lat nauki w gimnazjum/1912/13/ i wzrastał się coraz prężniej. Kształcenie szkolne w duchu patriotycznym, cokolwiek by o niekorzystnym duchu austriackiego szkolnictwa chcieli jeszcze dziś niektórzy historycy dowodzić, niosło z sobą uwypuklenie pewnych stereotypów bohaterkości w martyrologii narodowej, więcej - kultu romantyzmu. Wzmacniały je ulubione - o dziwo! w wieku dorastania - spacer po Cmentarzu Łyczakowskim, wypełnionym po brzegi nagrobkami narodowych znakomitości, wiodło także do szukania lektur odsłaniających wciąż intrygu

jące dzieje walk z uciskiem, szczególnie ~~...~~ carskim i pruskim. Rodziły w tych warunkach psychologicznych - dwie najpierwsze tendencje poznania historycznego: szukania przyszłości Polski w związkach z dziejami powszechnymi, zwłaszcza prądami rewolucyjnymi i dogłębne, choć nie sprecyzowane jeszcze naukowo, przekonanie o przewodniej roli jednostki w losach narodu. Stąd szczególna później predylekcja do biografii.

Wypadki wojenne, jak lawina, uderzały w młody intelekt: Legiony Polskie w ich kolejnych formacjach / o Pierwszej Kadrowej i tragedii bliskiego mi rodzinnie Legionu Wschodniego dowiedziałem się po roku/, przejścia II Brygady, w której służyli dwaj starsi bracia Tadeusz i Stanisław, manifest obu cesarzy z 1916 r., wreszcie wybuch rewolucji w Rosji w kolejnych jej przeobrażeniach. Nic dziwnego, że na tle odczucia tych wydarzeń - zająłem się jako pierwszą mą "historyczną pracą" Arturem Grottgerem jako malarzem historycznym. Splotło się tu ciążenie ku sztuce z recepcją treści martyrologicznej cyklów: "Warszawy", "Lituanii", "Wojny". Olbrzymie, pierwszy raz w życiu na tak wielką skalę przeżyte antyrządowe demonstracje Lwowa połączone z manifestacyjnym pogrzebem zabitego przez policję studenta Mariana Czerkasa - oba fakty związane z protestem przeciw pokojowi brzeskiemu 1918 r. - wprowadziły mnie w grono nawpół konspiracyjnego "Zarzewia" w Bibliotece Studentów Prawa. Lektura nabrała już coraz bardziej skoncentrowanego charakteru: dzieje walk niepodległościowych /Szymon Askenazy, Bolesław Limanowski/ i przeszłość porozbiorowa Galicji /Stanisław Schnür Pełowski, Bronisław Łoziński/. Wybuch walk polsko-ukraińskich o Lwów i Małopolskę Wschodnią z zainteresowań historycznych przeniósł mnie w sferę czynnego udziału w wielkich wydarzeniach; wzięłem w nich udział, acz nie w bezpośrednim froncie bojowym.

wewnętrznych i

Tyle - w ogromnym skrócie - o bodźcach zewnętrznych mej przyszłej drogi rozwoju intelektualnego. Kwalifikacje przyszło zdobywać na opisanej już ławie uniwersyteckiej. Ze zdobyte na niej ostrogi debiutanta nie były z najlichszego metalu - zdają się świadczyć echa rozprawy doktorskiej, która tak rychło przybrała postać książki i zwróciła opinię naukową na moje badania.

x

Jakie owoce przyniosły by mi moje plany i marzenia o działalności naukowej - można by mówić, gdyby nie wręcz fatalne warunki zatrudnienia nauczyciela z tytułem doktorskim we Lwowie i konieczność szukania tego zatrudnienia na głębokiej prowincji, gdyby wreszcie nie odmowa mego mistrza A.Szelągowskiego co do powierzenia mi przy nim asystentury. Gdyby w końcu nie zachęcające do roboty twórczej ciężkie warunki wydawnicze w Polsce w dobie kryzysu ekonomicznego na przełomie lat 1920/1930-tych, tj. właśnie w momencie, kiedy z prowincji zawitałem do rodzinnego miasta i z wielkim trudem - po śmierci ojca - musiałem zapewnić byt sobie i drugiej matce.

Na prowincji, w małym miasteczku Radziechowie /którego życie opisuję gdzieindziej/ - pozbawiony większej biblioteki i obarczony licznymi obowiązkami nauczycielskimi mogłem za ledwie przeprowadzić dwukrotną korektę mej monografii o Tyssowskim, której druk dzięki inicjatywie Szelągowskiego podjęła Kasa im.J.Mianowskiego w Warszawie. Podwójna korekta okazała się niezbędną, gdy pierwsza spłonęła - na moje nieszczęście - w drukarni, w której ją składano. Na tym wygnaniu zdołałem też przygotować do druku kilka artykułów, najpierw treści dydaktycznej i pedagogicznej, które w 1929 r. ukazały się kolejno w "Muzeum", "Pedagogium" i "Przeglądzie Pedagogicznym", następnie dwie rozprawy historyczne o J.N.Niemcewiczu. Rozprawy

te ujrzały światło dzienne już po powrocie z "wygnania" najpierw na łamach "Ateneum Wileńskiego" dzięki zaproszeniu prof. T. J. Modelskiego, następnie w "Przeglądzie Współczesnym" w Krakowie pod redakcją prof. Stanisława Wędkiewicza. ^{1/} Wspomniałem już poprzednio, że Niemcewicz stanowił przedmiot moich zainteresowań w Uniwersytecie; na prowincji więc mogłem tylko wykorzystać i poszerzyć wcześniej **spisane** notaty. Osobowość i tło historyczne wystąpień Niemcewicza frapowało mnie jako zagadnienie biograficzne o człowieku o szerokim autorytecie moralnym, czynnym od Sejmu Czteroletniego, Insurekcji Kościuszkowskiej i doby napoleońskiej po okres Wielkiej Emigracji, działacza o rozległej strukturze wystąpień publicznych. Fascynował w jego wielokierunkowej mentalności politycznej inkarnacja od bojownika wolnościowego w poezji i czynie do moderanta politycznego w 1831 r. i stronnika obozu arystokratycznego na wychoźtwie. Do momentu moich dociekań nad Niemcewiczem - jego rolę polityczną słabo się interesowano, zwracając główną uwagę na twórczość literacką. Mój kolega Jan Dihm, utalentowany historyk, specjalnie badający tę rolę, nie ogłosił jeszcze drukiem swoich wyników, zaś ironizujący i skłonny do demaskatorstwa pamflecista Jan Zbyszewski swą mocno kontrowersyjną książkę "Niemcewicz z przodu i tyłu" opublikował w dobrych kilka lat po mnie. Nie miałem zbyt wiele materiału porównawczego, który wystarczył by do pełnej i krytycznej oceny pisarza i działacza. Nie mniej krakowski krytyk literacki, K. Czachowski w krótkiej, ale życzliwej, notatce w "Wiadomościach Literackich" /1931, nr 18/ uznał za stosowne ~~z~~ odwołać moje rozważania jako próbę nowego spojrzenia na autora "Śpiewów Historycznych".

1/ Działalność publiczna J. U. Niemcewicza w latach 1807-1813. "Ateneum Wileńskie" 1930 i nadb.; J. U. Niemcewicz w dobie Królestwa Kongresowego i nocy listopadowej. "Przegląd Współczesny" 1930, t. 35.

Nastały trudne lata w moim Sturm und Drang Periode. Pozycję publikatorską trzeba było zdobywać krok po kroku, o wydawnictwach książkowych trudno było marzyć. Trudności te ujawniały się na różnych zebraniach grona literatów i pisarzy; poczęły się jakby niespostrzeżenie zamykać w sobie wąskie kolerie autorskie. Jedną skupiała się wokół świeżo powstałego wydawnictwa Zakładu Narodowego Ossolineum, w którym dużą rolę odgrywali: Stanisław Łempicki, doradcą i wydawniczą zupełnie mi nieznany dyrektor, Antoni Lewak, brat znakomitego historyka emigracji polistopadowej Adama / z którym zapoznałem się bezpośrednio i osobiście dopiero po drugiej wojnie/. Drugi bogaty finansowo ośrodek wydawniczy reprezentowała Książnica-Atlas, wydawnictwo, które na podręcznikach i lekturach szkolnych, na mapach i atlasach dopracowywało się wielkich obrotów. O ile przy pierwszym warsztacie dorabiali się - i to nie łatwo - chleba filolodzy i poloniści, przy drugim - piekli pieczeń nieraz bardzo smaczną przeważnie profesorowie szkół wyższych wszystkich niemal specjalności. Nowe nazwiska bardzo rzadko wpisywano na umowy wydawnicze. W rozmiarach raczej skromnych odnawiało swą działalność edytorską Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych w niewielkim lokalu na ul. Kurkowej. W okresie mego powrotu z prowincji do Lwowa dyrektorował tu oficer legionowy, płk. Stefan Pomarański, zastąpili go po kilku latach Józef Zaremba /mąż bardziej od niego znanej pisarki Ewy Szelburg Zarembiny/, którego wspierał jako obrotny, nie zawsze życzliwy autorom, dyrektor administracyjny Ignacy Płazewski. Tuż chyba przed wybuchem wojny w 1939 r. zasiadł na fotelu dyrektorskim - Kazimierz Pieracki, który z gabinetu wiceministra oświaty wylądował we Lwowie. Osobiście go nie poznałem, natomiast nie pomnę, w jakim czasie i w jakim charakterze rozmawiałem przy biurku dyrektorskim także

z dr Ludwikiem Ręgorowiczem.

Do wrót tych trzech instytucji mogli nieśmiało pukać historycy debiutanci; nawet z okazałym rękopisem za pasem - pukanie to nie wróżyło horoskopów wydawniczych. Trzeba było, jak powiedziałem, zdobywać nazwisko. Dwóch ludzi podało mi rękę. Prof. Bujak we Lwowie, Władysław Konopczyński w Krakowie. Pierwszy otworzył przede mną łamy "Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych", drugi "Polskiego Słownika Biograficznego". Konsekwencje współpracy były jasne: publicystyka naukowa i recenzyjna ^{oraz} biografistyka.

Wydawać by się mogło, że opisywane wyżej warunki i moje okoliczności życiowe, że one właśnie a nie co innego, narzuciły mi te dwa rodzaje ~~publi~~^{kacji} naukowej. Było by to zbyt uproszczone i mylne wyjaśnienia. Nazwisko można było zdobywać np. częstymi, na fra-
pujące tematy odczytami, na chleb codzienny zarabiać np. w jakiejś redakcji, muzeum czy wydawnictwie, o co zresztą przybyszowi z prowincji nie przyszło by też łatwo. Dodajmy w nawiasie, że mogły te angaże ułatwić starej, znanej we Lwowie, rodzinie stosunki towarzyskie. Niestety - jak już była mowa poprzednio - ojciec mój mimo bardzo licznych kontaktów i to w różnych sferach miasta - żywił szczególną abominację do szukania i wykorzystywania t.zw. protekcji. Brat mój najstarszy Tadeusz, skierował mnie do redakcji "Gazety Lwowskiej", gdzie pracował jego kolega z ławy szkolnej niejaki p. Grotki, nawet mąż mojej koleżanki z Zakładu Historii Nowożytnej, p. Janiny G. Nic z tego nie wyszło. Zamiast wygodnej ścieżki t.zw. dziś kumoterstwa - trzeba było wypracowywać dróżkę swemu nazwisku - piórem, pracą i tylko pracą.

Szczęśliwie się dla mnie złożyło, że wymienione wyżej rodzaje pracy pisarskiej - jak najbardziej odpowiadały moim planom naukowym, więcej - memu temperamentowi i gorącemu pragnieniu

pogłębiania wiedzy historycznej. Przecież właśnie te pobudki a nie inne - pchnęły mnie zaraz po powrocie do rodzinnego miasta - do wpisania się na Uzupełniające Studium Dyplomatyczne Wydziału Prawa, które pod kierunkiem prof. Ludwika Ehrlicha właśnie w 1930 r. zainaugurowane zostały w Uniwersytecie lwowskim.

Publicystyka w sprawach nauki zawsze była w moich ambicjach jakąś gwiazdą wiodącą ku zdobyciu pozycji i znaczenia. Omawianie nowości wydawniczych z historiografii nie wynikało bynajmniej ze spekulacji na szybkie i mało angażujące wejście na łamy czasopism naukowych. Bodźce do tej pracy wynikały z innych pobudek. Jako początkujący pracownik naukowy a także nauczyciel gimnazjalny przekonywałem się wielokrotnie, na jakie rafy dezinformacji natrafia pedagog a tym bardziej naukowiec z braku aktualnej bibliografii i poradnictwa w zakresie świeżych postępów badań; ta sytuacja prowadziła ~~to~~ musiała wielu nawet sumiennych autorów do szeregu pominięć, ba nawet błędów w własnych poglądach, do przypisywania sobie pierwszeństwa w tezach, do których drzwi były od dawna rozwarte. Poza tym wielkim głosem wołała sprawa popularyzacji nauki, uprzystępnienia jej wyników ludziom, którzy nie jako twórcy a konsumenci wiedzy rzadko mieli dostęp do dzieł właściwych, mimo że pragnęli zorientować się w ich treści; w sumie postulat dotrządził^{sis} nie tylko mocno krytycznej recenzji, ale i noty sprawozdawczej, informującej. Trzeci wreszcie jak najbardziej osobisty bodziec: mój głód wiedzy o najnowszych osiągnięciach, głębokie pragnienie pogłębiania własnego arsenału wiadomości.

Predylekcyjna do biografistyki miała trochę inne ~~porządzenie~~ ^{porządzenie}.

Wspomniałem już o głębokim osobistym przekonaniu o roli jednostki w dziejach; tocząca się wojna i dwie rewolucje rosyjskie wyrzucały z oceanu wydarzeń coraz to nowe nazwiska polskie i obce. Młody człowiek stawał niemal co chwila wobec nowych nazwisk-zagadek, których nie wyjaśniały przestarzałe już encyklopedie. Ale to byłby tylko bodziec poznawczy. W moje myślenie historyczne wkładał się po lekturze Limanowskiego, Askenazego i innych coraz natrętniej czynnik emocjonalny, uczuciowy, domagający się analizy: wielkość ofiary człowieka z życia, odwaga w czynach czy propagowaniu nowych idei, odporność na cierpienia i katusze więzienne - słowem wszystko to, co ^wutartym sloganiem zwie się patriotyzmem. Już u progu studiów uniwersyteckich wzięła górę w mej mentalności ta tendencja, razem poznawcza i uczuciowa. Czy miało to oznaczać gruntowną dezaprobatę dla roli mas społecznych w dziejach? Bynajmniej. Ale już wtedy jasnym było dla mnie, że masy, nawet tłum uliczny, wiedą do wystąpień potężnie, dynamicznie przewodnie umysły, świadomi swych celów przewodcy; bez nich nawet rozkołysane i chwilowo zwycięskie żywioły tracą siły i zdobyte pozycje.

Zarówno w dziedzinie publicystyki, jak i rozpraw biograficznych - zainteresowania moje zamykały się od początku w ściśle ograniczonej tematyce, rzadko poza nią wykraczając.

Jak już wynika z poprzednich wynurzeń pociągały mnie dzieje Galicji i rodzinnego miasta /t.zw. leopolitana/ w początkowo skromniejszym, później szerszym zakresie, sprawy i ludzie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Jako współpracownik Polskiego Słownika Biograficznego wyrobiłem się także w pewnych ^{nych bohaterów} profesjach [✓], które zresztą często krzyżowały się w konkretnych postaciach, i preferowałem w pierwszym rzędzie ludzi pióra /publicystów, dziennikarzy, literatów/, działaczy parlamentarnych i samo-

rządowych, polityków narodowych i uczestników powstań, na terenie wychodźstwa polistopadowego członków Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Zasięg chronologiczny i geograficzny recenzji wybierał nieraz znacznie poza te ramy; indeks omówionych zagadnień, terenów i ludzi stanowił by długą litanię haseł, odpowiadających polskim, francuskim i angielskim tytułom. Recenzje te i omówienia bowiem obejmowały poza Polską kraje ościenne i historię Europy, w mniejszym zakresie Ameryki Północnej, często wcześniej niż wiek XIX. Publikacjami w tych ramach chronologicznych i terytorialno-etnicznych wypełniałem aż do 1939 r. "Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych", "Kwartalnik Historyczny" i "Wiadomości Historyczno-Dydaktyczne" / oba organy Polskiego Towarzystwa Historycznego/, "Nowe Książki" / do których zaprosił mnie utalentowany i znakomity redaktor wydawnictw firmy wydawniczej Trzaska, Evert, Michalski - Stanisław Lam/, wspomniane już wyżej "Social Sciences Abstracts" w Nowym Jorku, warszawką "Drogę", "Jantara" i "Baltic and Scandinavian Countries", oba organy bardzo żywotnego Instytutu Bałtyckiego w Gdyni, mniej obficie krakowski "Przegląd Powszechny". W ten sposób, informując głównie o źródłach i opracowaniach wyraźnie naukowych - unikałem omówień na łamach prasy codziennej, jak to z wielkim zresztą pożytkiem dla "niedzielnych czytelników" czynił w odcinkach "Kurieru Literacko-Naukowego" Mariana Dąbrowskiego - prof. Tadeusz Sinko, popularyzując obok siebie dzieła naukowe, pamiętniki, opisy podróźnicze, nieraz i literaturę piękną.

Zdobywanie zamówień czasopism przyniosło mi szybko powodzenie. Zamówienia redakcji zaczęły napływać coraz częściej i gęściej. Przypominam sobie, gdy w 1932 r. prof. Bujak zapytał mnie telefonicznie, czy zechciał bym omówić szczególnie dokładnie jedną

książkę angielską. Gdym się znalazł u niego, wręczył mi pokaźny zbiór referatów radzieckich na Międzynarodowy Kongres Historii Nauki i Technologii w Londynie w 1931 r. Pokaźny wolumen - jak przekonałem się z lektury - zawierał m.in. niezwykle nowatorskie poglądy o pochodzeniu zbóż i dróg ich transplatacji na tereny Rosji europejskiej i azjatyckiej. Recenzję szybko oddałem i ukazała się w najbliższym ^{tomie} "Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych" - ku wielkiemu zadowoleniu redaktora. Utorowała mi drogę również do prof. Jana Rutkowskiego w Poznaniu. Gorącym listem podziękował mi prof. Konopczyński z Krakowa za artykuł pt. Nowe Dzieło o konfederacji barskiej, omawiające szeroko tom I jego Konfederacji Barskiej, zamieszczoną w Nr 8 "Krytyki i życia", tj. dodatku do lwowskiego "Dziennika Polskiego" /1936/. Konopczyński pisał:

„Wielce Szanowny Panie !

Żadna może recenzja nie sprawiła mi jeszcze takiej przyjemności, jak Pańska o Konfederacji Barskiej. Po pierwsze, ponieważ Pan umie tę książkę należycie ocenić, powtóre: ponieważ ocenę Pańską każdy musi uznać za bezstronną. Pisało już o Konfederacji paru recenzentów, ale bez należytego wniknięcia w sedno rzeczy. Drugi tom zamierzam drukować od czerwca, więc może go ukończę na Boże Narodzenie Oczywiście tom II jak najchętniej Panu prześlę.....” list kończył się wyrazami zadowolenia, że redakcja Polskiego Słownika Biograficznego ma "teraz różne epoki i dzielnice nieźle obstawione". List nosił datę 29 lutego 1936 r., był więc natychmiastową reakcją na moją publikację. Wspomniane w liście "sedno rzeczy" odnosiło się niewątpliwie do mego określenia konfederacji jako "pierwszej rewolucji narodowej" a dzieło o nim "najukochańszym dzieckiem" autora.

Podobnych listów otrzymywałem wiele; świadczyły one o wielkiej kulturze w obyczajach ówczesnego świata naukowego, choć - rzecz jasna - nie brakowało i dowodów przeciwnych, co prawda o wiele rzadszych. ^{2/} Wyrazy szczerego zadowolenia z mego omówienia wyboru tekstów i komentarzy pt. Ideał kultury a prądy społeczne nadesłał mi autor zbioru prof. Bogdan Suchodolski /1933/; Jerzy Panejko, prof. Uniwersytetu J. Batoiego w Wilnie za ocenę jego "Genezy i podstaw samorządu europejskiego" /1935/; prof. Jan Bystron za recenzję jego ciekawych rozważań na temat "Człowiek a książka" /1936/. Wiele podziękowań w latach od 1936-1939 słał mi z Chicago kustosz tamtejszego Muzeum Wychodźstwa Polskiego i niezmordowany badacz początków polonii amerykańskiej Mieczysław Haiman; omawiałem wielokrotnie nie tylko jego własne angielskie publikacje, ale i jego dzieła organizacyjne w postaci wymienionego Muzeum i złączonego z nim Archiwum emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych.

Tak więc reakcja żywa i przychylna na me pióro recenzyjne podsycała coraz mocniej pragnienie popularyzacji wiedzy historycznej. Nasuwają się tu ~~niemal~~ ^{nimiecheden} refleksje na temat pojmowania przeze mnie recenzji jako gatunku publicystyki.

Wiadomo, że traktowane przez niektórych autorów na polu krytyki naukowej historiografia polska - może zgodnie z narodową psychiką i o wiele silniejszym niż w innych narodach indywidualizmem - zapisała się szeregiem ostrych starć nie tylko poglądów, ale i temperamentów i charakterów; nie pozostawało to często bez śladu na formie słownej, często wiodącej do zakłócenia współpracy specjalistów ze szkodą dla nauki. Byłem daleki od tego rodzaju pojmowania roli sprawozdawczej czy krytyka postępu badań; a przecież w wąskiej swej specjalności, jak dzieje Galicji i jej ruchu rewolucyjnego, później w szerszych regionach: Wielkiej Emigracji,

^{2/} Moja obfita korespondencja w sprawach naukowych znajduje się obecnie w posiadaniu działu rękopisów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

w końcu w dziejach prasy polskiej XIX w. mogłem wytknąć niejednemu autorowi, szczególnie po 1945 r. - brak wiedzy, orientacji, sumienności w dokumentacji źródłowej. Zawsze uważałem, że prac z gruntu błędnych, bezwartościowych, tendencyjnych lepiej nie popularyzować, i tak zginą śmiercią naturalną. Uwagę społeczności naukowej i kręgów kulturalnych czytelników należy zwracać ku badaniom nowatorskim, które nawet przy pewnych niedociągnięciach źródłoznawczych poszerzają wiedzę o przeszłości Polski i jej związków z dziejami powszechnymi; nie porównywalne z krajami Europy straty naszych bibliotek, archiwów i kolekcji prywatnych ^{przebież} usprawiedliwiają wielu autorów. Ale co mnie irytowało zawsze do głębi - to ignorowanie, połączone ze świadomym lekceważeniem wyników badawczych poprzedników, pewnych zagadnień jako "zupełnie nie poruszanych", "okrytych tajemnicą" itp.

Poza momentami słusznej krytyki, gdzie była merytorycznie potrzebna, uważałem - od początków mej służby recenzyjnej - przede wszystkim informację o treści danego dzieła, jego aparacie naukowym i przewodnich tezach - za istotny postulat popularyzacji. Wiadomo, że zarówno w dwudziestoleciu międzywojennym, jak i w latach Polski Ludowej - docieranie wydawnictw zagranicznych na nasze warsztaty naukowe - grzeszyło przypadkowością i zawsze zależało od bilansów handlowych państwa. W konsekwencji musiało to powodować "ciągnięcie się za ogonem" wiedzy światowej. W tych warunkach służba bibliograficzna i sprawozdawcza w czasopiśmiennictwie fachowym ~~odgrywa~~ i odgrywa olbrzymie znaczenie.

Ale czas na opowieść o początkach mego pisarstwa publicystycznego w ściślejszym znaczeniu. Publicystyka to gatunek trudny. Daleko wykracza poza informację i popularyzację, nawet krytykę konkretnego dzieła. Zadaniem każdej publicystyki jest kształtować opinię, prostować niewłaściwe postawy w sprawach szerszych publicz-

nych, zarówno w dziedzinie politycznej, jak naukowej, artystycznej, społecznej czy innej. Uprawianie publicystyki przez historyka wymaga sumiennego przygotowania i pióra zdolnego przekonać czytelników, bez uciekania się do języka propagandy, agitacji czy kalumniatorstwa.

Już w 1931 r. na łamach lwowskiego "Słowa Polskiego" poruszyłem zagadnienie **Opinii** publicznej w Polsce /nr 353/. Pierwsze zdanie tego artykułu brzmiało: "Określenie "opinia publiczna"- stanowi również dobrze pusty frazes, jak i konkretny termin, zwłaszcza w języku politycznym". Dzisiejsi prasoznawcy-socjologowie powiedzieli by może ściślej: w języku propagandy politycznej. Ale już to pierwsze zdanie oddawało dość wiernie, o co mi chodzi: o wykazanie nie nisko obiegowego waloru pojęcia, lecz o jego treść w aktualnym momencie sytuacji politycznej w odrodzonym państwie, o antynomię tendencji mocarstwowości ze skłóceniem wewnętrznym i kryzysem gospodarczym kraju. Nie były to jednak aktualne rozważania polityczne. Powołując szereg uznanych wówczas autorytetów publicystyki /M. Sokolnickiego, K. Smogorzewskiego, Al. Bregmana/ i nie rezygnując ze swego spojrzenia historyka - w lapidarnym skrócie starałem się wykazać, wśród jakich warunków rodziła się polska "opinia publiczna" w dobie niewoli ze szkodą dla jednolitej świadomości narodowej i ukierunkowania drogi do niepodległości. Artykuł umieszczony w numerze świątecznym /B. Narodzenie/ zwrócił uwagę nie tylko w kręgu kolegów, ale i historyków lwowskich. Szczególnie podkreślano z akceptacją, że zamknąłem swe rozważania tezą o indyferentyźmie i bierności aktualnej opinii w zakresie polityki zagranicznej i społecznego ładu w kraju.

W t.s. roku na łamach warszawskiej "Drogi" w porozumieniu z jej ^{reda} współkierownikiem Romanem Kołonieckim, którego poznałem we Lwowie,

zamieściłem esej pt. U źródeł polskiej myśli socjalnej. Rzecz o historii społecznej Wielkiej Emigracji. Esej dotyczący wytycznych współczesnej naszej historiografii - nawiązywał do wcześniejszego, drobniejszego mego artykułu w "Drodze" zawierającego uwagi nad współczesną twórczością historyczną w Polsce p.t. O podniesienie kultu przeszłości /1930, nr 11 /. Już w tym wcześniejszym wystąpieniu wysuwałem postulat takich dzieł historycznych, które mogłyby zdobyć szersze kręgi czytelnicze, jak zdobywali je kiedyś Julian Klaczko, Kazimierz Chłędowski, Szymon Askenazy - dzięki szerokości problemów i analizie psychologicznej bohaterów. W następnym artykule postulowałem pogłębienie trzytomowych "Dziejów polskiej myśli politycznej w okresie porzobiorowym" Włhelma Feldmana i jemu podobnych syntez o dociekliwe powiązanie naszych grup ideowych doby międzypowstaniowej z europejskimi prądami socjalnymi. Że to wołanie nie było głosem zbyt subiektywnym, płynącym z osobistych tylko zainteresowań, dowiodły lata pookupacyjne i wzrost badań i publikacji polskich w zakresie tej problematyki. Jak wynika z powyższych początków mej publicystyki - dotyczyła ona nauki i jej postulatów w zakresie szerokiej recepcji czytelniczej. Taki sens miały też dalsze moje rozważania. W organie prof. Bujaka uwypuklałem potrzebę polskiego czasopisma sprawozdawczego w zakresie aktualnych postępów całej polskiej humanistyki w rodzaju amerykańskiego "Social Sciences Abstracts" /"Roczniki" Bujaka dawały dość szeroką, aktualną bibliografię prac tylko z historii gospodarczej i nauk społecznych a omówienia i recenzje w wąskiej selekcji/. W artykule "Drogi" /1932/ pt. Z zagadnień organizacyjnych czasopiśmiennictwa naukowego w Polsce rozwijałem szerzej postulat typologii prasy naukowej z naciskiem na periodykach treści historycznej. Nie dosyć na tym. W 1933 r. pokusiłem się o zorientowanie opinii zagranicznej bodaj

w lapidarny sposób o rozwoju całej naszej prasy. Po zorientowaniu się w zakresie najważniejszych organów prasoznawczych obcych - wybrałem amerykański "Journalism Quarterly" wydawany od dziesięciu lat w Iowa i posłałem mu przegląd naszego dziennikarstwa XIX i XX w. pt. Journalism in Poland. Ku memu zdziwieniu rzecz - bez skrótów i szybko ukazała się w druku. Mogę to nazwać debiutem swoim na polu historii prasy i to debiutem na tak odległym terenie /został on rychło odnotowany na łamach prasy lwowskiej przez Bolesława W. Lewickiego/.

Wszystkie te osobiste, przeważnie przez siebie samego przeżywane sukcesy - nie otwierały jednak przede mną drzwi instytucji wydawniczych. Pracowałem wówczas nad zwięzłym i przystępnym zarysem polskiego dziejopisarstwa w XVIII i XIX w.; chodziło mi o obraz ewolucji szkół historycznych od A. Naruszewicza i H. Kołłątaja poprzez szkołę lelewelowską i romantyzm do początków Polskiego Towarzystwa Historycznego. Nadarzyła się okazja; w Państwowym Wydawnictwie Książek Szkolnych rodziła się seria popularnych broszur historycznych dla młodzieży pt. Biblioteka kultury polskiej i obcej pod redakcją doc. Kazimierza Hartleba. Przedstawiłem mu więc manuskrypt liczący około 6-7 arkuszy. Przewlekły proceder recenzyjny i ciężka choroba Hartleba dały mi długo czekać na odpowiedź. Wypadła ona negatywnie, bez zachęty do dalszych rozmów. Niewątpliwie mogły być ^{potrzebne} jakieś przeinaczenia stylistyczne. Ale nie ta sprawa stanęła na drodze do umowy. Po prostu brakowało mi poparcia w kręgu Hartleba, przy którym skupiło się grono autorów, kiedy ja pracowałem ^{wówczas} wna prowincji.

Niestety kliki w różnym wydaniu były, są i będą chyba zawsze w tych społecznościach twórczych, których członkowie po ciężkich początkach swej kariery - ustalają swój byt i powodzenie w oparciu

o czyjeś "plecy", koneksje, nieraz parantele rodzinne. Ani mój ojciec - jak wspomniałem - ani żaden z czterech braci tej drogi życiowej nie uznawaliśmy i wszyscy trzymaliśmy się zdaleka od kół zamkniętych wierząc, że tylko upartą pracą można iść naprzód. Maszynopis spoczął w szufladzie.

Niezrażony niepowodzeniem podjąłem gromadzenie materiałów źródłowych do dziejów Galicji w dobie przedautonomicznej, tj. do powstania styczniowego włącznie. Już monografia moja o Tyssowskim rozwarła wrota do ^{dziejów} kraju, pełnego zagadek, na które brak było odpowiedzi z pierwszej ręki, tj. ze źródeł archiwalnych, z rękopisów bibliotecznych, a także obcych edycji źródeł: niemieckich, czeskich, węgierskich; ~~takimi~~ historiografia Galicji nie mogła się pochwalić, więc tylko ~~w~~ wydawnictwa obce, choć fragmentarycznie, mogły ją wspomóc. Specjalnie przy redagowaniu biogramów dla "Słownika Biograficznego" coraz to zawilsze szarady, jak złośliwe chimery drwiącym uśmiechem niepokoiły biografa pragnącego wniknąć w każdy epizod życia i tajniki faktów. Trzeba się było namozolić co nie miara w fascykułach archiwalnych, w obcych listach i pamiętnikach, by wydrzeć im niejedną tajemnicę. Ale też pudło fiszek do dziejów kraju pęczniało z każdym ~~pracowit~~^{ty} rakiem, a kwartałem.

Wreszcie nie mając szans publikacyjnych większej pracy - trzeba się było jąć roboty w artykułach mniejszej objętości, nieraz i mniejszej wagi, do dzienników i czasopism. Gościnne były łamy "Kurierza Literacko-Naukowego", którymi w koncernie I.K.C. rządził dr Flach, po nim Jan Lankau. Posłałem im obficie ilustrowane /to był nieomal wymóg/ artykuły m.i. o Krakowie w 1846 r., o Walerianie Kalince, o Polskim Towarzystwie Historycznym - w 50-lecie jego istnienia, o Hugonie Kołłątaja w 125 rocznicę jego zgonu, o Muzeum Wychodźstwa Polskiego w Chicago; szybko je drukowano i

regularnie płacono. Ale to nie zadowalało mych ambicji.

Podjęcie w 1935 r. przez Zarząd Główny P.T.H. kwartalnika pt. "Ziemia Czerwieńska" poświęconego wyłącznie przeszłości byłej Galicji Wchodniej/tj. trzech województw południowo-wschodnich R.P.: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego/otworzyło korzystną okoliczność. Już w pierwszym roczniku - na zaproszenie redakcji - dałem krytyczno-syntetyczny przegląd literatury do dziejów politycznych Ziemi Czerwieńskiej pt. Galicja 1772-1914, który zorientował szczególnie młodych historyków i studentów historii, mających o badaniach tego obszaru bardzo słabe pojęcie. Aby w tym usługowym rejestrze wykroczyć ^{także} poza problematykę polityczną dodałem doń omówienie badań polskich z lat 1918-1935, dotyczących historii społecznej i gospodarczej Galicji /"Ziemia Czerwieńska" 1937/. W 1938 r. przyjęto do druku w tym samym organie rzecz szerszą pt. Demokracja galicyjska wobec wojny prusko-austriackiej 1866 r. Rozprawa ta wyjaśniła fiasko "legionu polskiego", zamierzonego przez wąskie kręgi ziemiaństwa jako manifestacji wiernopoddaństwa wobec Franciszka Józefa I a storpedowanego przez patriotów, czynnych w dobie konspiracyjnej i powstańczej.

I oto Sekcja Dydaktyczna P.T.H., której przez czas jakiś sekretarowałem /przewodniczyła jej dr Ewa Maleczyńska/ postanowiła w 1936 r. wydać zbiorowe dzieło o charakterze popularno-naukowym poświęcone przeszłości Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej. Czterech autorów: Karol Maleczyński /mąż Ewy/, dr Tadeusz Mańkowski, historyk sztuki, dr Feliks Pohorecki, wytrawny mediewista i archiwariusz i ja - podpisaliśmy umowę z Państwowym Wydawnictwem Książek Szkolnych /tj. z Stefanem Pomarańskim/ na dostarczenie w ciągu roku maszynopisu historii regionu wraz z obfitym materiałem ilustracyjnym i najważniejszą bibliografią. Narady autorskie odbywały się

w mieszkaniu Maleczyńskich; tam zapadła decyzja, że poza wymienieniem autorów na stronie tytułowej - udział ich w poszczególnych częściach nie będzie ujawniony. Przy podziale chronologicznym materiału mnie przypadła porcja najobfitsza: cały okres zaborczy i Polski Odrodzonej do 1937 r. Byłem z tego szczerze zadowolony, choć w politycznej charakterystyce okresu - ze względu na odmienność poglądów Maleczyńskich i moich - mogły wyłonić się poważne kontrowersje. Maleczyński wziął na siebie dzieje obszaru od głębokiego średniowiecza po koniec XV w., następane stulecie F. Pohorecki, cała reszta przypadła mnie; ~~antonias~~ dzieje sztuki w okresie romańskim, gotyku, renesansu, baroku i rokoko, wreszcie w XIX i XX oddano w wyjątkowo kompetentne ręce Tadeusza Mańkowskiego, mecenasu z zawodu, znakomitego badacza i autora ^{opracowań} życia artystycznego na tym obszarze. Po oddaniu naszych partii i następnie po wydrukowaniu całości okazało się, że mój udział prawie wyrównuje wkład K. Maleczyńskiego i F. Pohoreckiego, nawet ze Wstępem Ewy Maleczyńskiej. Przeczuwane przeze mnie konflikty co do terminologii "ruski - ukraiński" wystąpiły ostro przy drugiej korekcie. Maleczyński uważał za stosowne ze stanowiska endeckiego nie tylko zmienić w ~~dwu~~ostatnich moich rozdziałach/prawie 100 stron tekstu/ wszystkie przymiotniki "~~ukraiński~~" na "ruski", co było oczywistym anachronizmem i nieścisłością terminologiczną, ~~ale~~ nadto wprowadził wstawki interpretacyjne w tym duchu. Musiałem więc na przeszło pięciu arkuszach druku wprowadzić spore poprawki i dyrektor wydawnictwa uprzedził mnie, że obciążą one moje honorarium. Mimo to nie ustąpiłem i przy wypłacie spostrzegłem, że kosztowało mnie to prawie połowę honorarium. Byłem rozgoryczony. Udałem się po radę do T. Mańkowskiego, jako adwokata, czy było by celowe bronić sądowo swych praw autorskich i dochodzić wyrównania. Doświadczony prawnik

odradził mi te kroki i w ten sposób przy tej drugiej mej pracy autorskiej w formie książkowej - zostałem pokrzywdzony /za monografię o J. Tyssowskim nie otrzymałem ani grosza, choć poniosłem znaczne wydatki za dwukrotne przepisywanie na maszynie i za reprodukcje ilustracji !/. Takie to były czasy dla "początkujących" autorów. Warto o tym przypomnąć dzisiejszym debiutantom.

Czy byłem zadowolony z własnego ujęcia dziejów Galicji /do 1918r/ i historii tego obszaru w granicach odrodzonego państwa ?

Ujęcie moje zrywało z wyłącznie martyrologicznym i uproszczonym poglądem na rządy austriackie w okresie spisków i dwóch rewolucji 1846 i 1848 r., który ^{to pogląd} cechował wartościowe zresztą pod względem faktograficznym opracowania historyków, jak Stanisław Schnür Pepłowski, Kazimierz Ostaszewski-Barański czy Juliusz Starkel.

Z drugiej strony obowiązywały mnie zwięzłość i traktowanie popularyzatorskie, jak wszystkich współautorów, unikanie zbyt kontrowersyjnych ocen ludzi i faktów. Rzecz jasna, że w ciągu kilku dziesiątek lat po ukazaniu się tego wydawnictwa zarówno moje własne, jak i innych historyków, poszukiwania archiwalne pozwoliły by i poszerzyć i skorygować niejedną kwestię w naszej zbiorowej pracy. Nie mniej od pierwszej syntezy dziejów tej części Polski w postaci książki St. Schnüra Pepłowskiego /Z przeszłości Galicji, Lwów 1898, II wyd./ upłynęło prawie czterdzieści lat i nikt - prócz skróconej jej przeróbki K. Bartoszewicza /wydanej z okazji manifestu obu cesarzy z 1916 r./ nie pokusił się o bardziej obiektywne i nowatorskie rozpatrzenie rządów habsburskich w całym okresie zaboru. W ten sposób mój udział we "Lwowie i Ziemi Czerwieńskiej" mogłem uważać za pierwszą próbę wypełnienia tego zadania tym trudniejszą, że w okresie powstawania książki - opisywany region był terenem bardzo zaognionych stosunków ukraińsko-polskich i

szeregu drastycznych wystąpień rządowych. Ze względu na przeznaczenie książki spółka autorska uważała ^{za} wzajemnych stosunków zredukować historię obu narodów do wzmianek treści kulturalnej i gospodarczej.

Książka wywołała liczne pozytywne wypowiedzi, ale prawie wyłącznie w prasie codziennej; na ocenę w czasopiśmie naukowym po prostu brakło czasu, wszak w niecały rok po ukazaniu się wydawnictwa wybuchła druga wojna światowa. Ciekawe jest, że szersze informacje wydrukowano na łamach chicagowskiego "Dziennika Zjednoczenia" i w lwowskich "Ukraińskich Wiściach". Dziś książka jest zupełnym "białym krukiem"; posiadają ją tylko nieliczne wielkie biblioteki, do czego przyczyniły się m.i. czystki biblioteczne za okupacji hitlerowskiej.

Nic dziwnego, że w opisanych warunkach wydawniczych początkujący autor nie mógł oprzeć się pokusom ze strony mniej poważnych wydawców w zakresie bardzo popularnych broszur głównie dla użytku młodzieży. Reforma szkolna 1932 r. przeprowadzona przez min. Janusza Jędrzejewicza, dzieląc nauczanie w szkole średniej na dwa etapy: 4-letnie gimnazjum o ogólnym programie i 2-letnie licea zróżnicowane kierunkami kształcenia - stworzyła szerokie potrzeby nowych podręczników i pomocy lekturowych. Jeden z księgarzy lwowskich Stanisław Malinowski, dawny pracownik zasłużonej firmy księgarsko-wydawniczej rodziny Köllerów - podjął w 1936 lub 1937 r. wydawanie 4-5 arkuszowych broszurek w żółtej okładce p.n. Biblioteczka Licealisty. Seria ta miała podawać studentom najważniejsze wiadomości z zagadnień objętych programem historii, literatury polskiej i sztuki, polecać przystępne opracowania naukowe jako stawiać lekturę, w końcu szereg pytań tak zredagowanych, by zachęcić młodych czytelników do samodzielniejszego myślenia. Nie pamiętam kogo jako redaktora zaangażował Malinowski; częstym gościem w jego

księgarni na początku ul. Batorego była bardzo zdolna polonistka, dr Janina Garbaczowska / po wojnie docent, następnie profesor Uniwersytetu Lubelskiego im. M. Curie Skłodowskiej/. Ja również odwiedzałem tę księgarnię, połączoną z antykwariatem; atrakcją w niej był nie tyle sam właściciel, jako kupiec i wydawca nad miarę ostrożny w umowach, co jego niezwykle inteligentna i przystojna żona, pracująca w sklepie. "Biblioteczka Licealna" miała działy: historii i literatury polskiej. Z broszur historycznych dwie opracował prof. gimnazjalny dr Tadeusz Filar, dwie następne wyszły spod mego pióra. Jedna dotyczyła Narodzin nowożytnej kultury europejskiej, druga Wojska i sztuki wojennej w dawnej Polsce /do 1717 r./. Tytuły były ścisłym powtórzeniem odnośnych zagadnień programowych. Wiem, że w dziale polonistycznym ogłosiła bodaj dwa tytuły J. Garbaczowska. Wydawca straty nie poniósł, choć nie zabiegał o recenzje w prasie ani o t.zw. zalecenia przez Kuratorium; nakłady zresztą były niskie i autorowie nic o nich nie wiedzieli. Honoraria mizerne ustalone od arkusza, chyba 80-100 zł. od arkusza drukarskiego.

Innym moim skromnym osiągnięciem wydawniczym było opracowanie jako lektury dla młodzieży wyjątków z monografii Sz. Askenazego "Książę Józef Poniatowski". Mój wybór objął tylko czasy Księstwa Warszawskiego i stanowił drugi tomik Biblioteki Historycznej dla Młodzieży, podjętej z inicjatywy Ewy Maleczyńskiej przez Sekcję Dydaktyczną Oddziału Lwowskiego P.T.H. /1937/. Sekcja, w której sekretarzystałem, niebawem poszerzyła swą działalność; w planie wydawniczym znalazła się sprawa wydania szczegółowego konspektu do nauczania dziejów Polski na stopniu licealnym, ponieważ program ministerialny operował dość ogólnymi określeniami pozostawiając nauczycielom dużą swobodę. Powierzono mi

taki konspekt w zakresie historii Galicji, ponieważ na tle ówczesnej sytuacji politycznej i tendencji rządowych - na ten obszar był ~~zwrócony~~ szczególny nacisk. Wykonałem to zlecenie z dużą uwagą na specyfice problemu i konfliktowości zbyt jaskrawych nacjonalistycznych sprzeczności. Zanim zdołałem oddać mu maszynopis tego obszernego konspektu Ewie Maleczyńskiej - najazd Hitlera na Polskę przekreślił plany wydania.

Z powyższych wspomnień, dotyczących tematyki moich publikacji wynika, że dzieje byłego zaboru austriackiego raz po raz wysuwały się na czoło moich zainteresowań, więcej - zdobywały mi opinię znawcy przedmiotu i materiałów archiwalnych szczególnie do okresu międzypowstaniowego /1831-1864/. Istotnie moje teki pęczniały coraz widoczniej od notatek; szereg zagadnień kusił coraz natrętniej ambicją opracowania. Te ambicje wpływały zarówno z samokrytyki; jak i świadomości, że każdą publikację można poszerzyć i wzbogacić o nowe zagadnienia, czasem o odmienną od poprzedniej interpretację. Jest to naturalną konsekwencją każdego działania twórczego na niwie humanistycznej, gdzie między autorem a problemem badań zacieśnia się ścisły a mimo to wciąż niepokojący stosunek.

Chyba nigdzie bardziej, jak w biografistyce, występuje to zjawisko z natrętną siłą. Toteż każdy artykuł dla Polskiego Słownika Biograficznego stanowi dla autora swego rodzaju przygodę, przygodę nie tylko poznawczą, ale tkwiącą już w samym dociekaniu, jak dojść do najkompetniejszych źródeł wiedzy o danym człowieku. Często tropy te wiodły mnie do siedzib potomków mego bohatera czy to w dworach szlacheckich na prowincji, czy do ich siedzib ziemiańskich we Lwowie. Prawie z zasady trzeba było odnosić się do parafii, gdzie bohater się rodził, żenił lub umierał, nierzadko wędro-

wał po Cmentarzu, by doszukiwać się zapisu w księdze pogrzebów albo i napisów na grobie; nieraz uciekać się do archiwum uniwersyteckiego, do rękopisów w bibliotekach często niezinventaryzowanych i t.d. i t.d. Słowem - jeśli można tu użyć tej przenośni - rzemieńnym dyszlem wędrowało się po szlaku cudzego życia. Nie mały element przygody - wyłaniał się z konieczności śledzenia krytycznego t.zw. tradycji rodzinnej, zazwyczaj skłonnej do sublimacji, o ile nie gloryfikacji przodka. W dodatku redakcja "Słownika" w osobie niezwykle sumiennego, ale i skłonnego do kontrowersji Władysława Kopczyńskiego - wypróbowałszy mnie na nazwiskach raczej drugorzędnych - nabrała przekonania, że szczególnie ja nadaję się do tego *genre'u*. Ziemianie Galicji i Bukowiny, czynni w austriackiej Radzie Państwa i Sejmie Krajowym, spiskowcy galicyjscy i powstańcy od 1831 do 1864 r., dziennikarze i literaci, księża patrioci i początkujący socjaliści, walczący z rolą Kleru, emisariusze z emigracji i działacze najbardziej lokalni, nieraz pochodzenia ukraińskiego i żydzi - oto był świat duchów, które przez pięć lat /do wybuchu wojny/ zaludniały mój pokój pracy a - umysł niepokoiły coraz to innymi zagadkami. Nic dziwnego, że robota ta wciągała mnie w swój wir i zasadzkę, tym bardziej że od studiów uniwersyteckich biografika była głównym polem mych rozważań i wypracowań.

Jakby w związku z ormiańskim pochodzeniem mych najbliższych przodków - choć raczej zupełnie przypadkowo - zainaugurowałem swą współpracę z P.S.B. dwoma rasowymi Ormianami: Eugeniuszem i Krzysztofem Abrahamowiczami, w dodatku urodzonymi bądź działającymi na Bukowinie. Szczególną zagadkę stanowił Krzysztof. To, że oba biografy były lapidarne i krótkie, wynikało nie tyle ze skąpej wiedzy o nich, co z ówczesnych wymagań redakcji sprowadzających się do tego, by artykuły były jak najzwięźlejsze i podawały fakty tylko

najważniejsze. Nikt w pier wszych tomach "Słownika" nie pozwalał sobie tak, jak dziś, na wieloszpaltowe opisy okoliczności, warunków i przebiegu życia, szanse wypowiedzi poszczególnych autorów były więc bardziej wyrównane. Inne go rodzaju kłopot miałem z życiorysem Tobiasza Aszkenazego, adwokata i działacza asymilatorskiego we Lwowie, który w czasie walk polsko-ukraińskich 1918/19 wystąpił z memoriałem do misji gen. Berthelémy'ego, w sensie zbadania przyczyn wystąpień antyżydowskich. Konopczyński po korekcie - więc bez uzgodnienia ze mną - dodał od siebie zwrot, że Askenazy należał do "żydów neutralnych" i uczestniczył w "próbach mediacji". Wywołało to w "Myśli Narodowej" dość ostre echo, na które Konopczyński w tym samym numerze odpowiedział 1935, t. II/, łagodząc kontrowersyjność dwu stanowisk. Podobnie pełny rozwagi i godności rysował się jego stosunek do postaci ukraińskich aspiracji^{ach} narodowych. Kiedy z końcem lipca 1934 r. bojowiec nacjonalistycznej Organizacji Ukraińskiej zastrzelił na ul. Piekarskiej /niedaleko mego domu/ Iwana Babija, dyrektora Gimnazjum Państwowego z ukraińskim językiem nauczania / w którym sam pracowałem w tym czasie/ - dokonał tego czynu w związku ze zeznaniem zabitego w procesie o mord w lwowskim konsulacie sowieckim - Konopczyński zwrócił się do mnie o biogram Babija. Byłem w niełatwej sytuacji, opinia w gronie nauczycielskim ukraińskiego gimnazjum była podzielona; zgodziłem się jednak dostarczyć redakcji dane życiorysowe Babija. Biogram w tonie niezwykle spokojnym zredagował chyba sam Konopczyński, podpisując go moim nazwiskiem, choć prosiłem go o podwójne autorstwo. Babija znałem bardzo dobrze i w treści artykułu o nim słusznie podkreślono jego współpracę z władzami polskimi, tym drażliwszą dla pewnych odłamów inteligencji ukraińskiej, że sprawa uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie - wciąż była odwlekana

o sprawie autonomii przemilczana.

Zagadki życiorysowych dat często piętrzyły się przy curricula vitae konspiratorów politycznych z doby spisków, nieraz dopiero po wielu latach dające się rozwiązać. Tak np. frapująca postać Edwarda Bajera, inicjatora zamachu na arcyksięcia Franciszka Karola / w czasie manewrów galicyjskich w 1839 r. / i wykonawcy zamachu na dyrektora policji Franciszka Gutha w Przemyślu / t.r. / - ginęła w moim ujęciu w zupełnej niewiedzy o losach tego spiskowca po ucieczce z kraju. Dopiero po latach odkryłem, że Bajer zbiegłszy przez Węgry na emigrację popełnił samobójstwo w 1854 r. w Paryżu. Na takie białe plamy w życiorysach konspiratorów autor ... był narażony co chwile. Bez porównania łatwiej dały się konstruować biografie działaczy na polu literatury, dziennikarstwa, życia gospodarczego, choć rzadko mi je przydzielano. Niektóre z tych / ^{szkiców} / były pierwszymi próbami portretu, jak całość życia np. głośnego Leszka Dunin Berkowskiego, Walentego Chłędowskiego, założyciela "Haliczaczyna", Leona Chrzanowskiego, współredaktora "Czasu", Bolesława Czerwieńskiego, autora "Czerwonego Sztandaru" i socjalisty lwowskiego. Ostatnim bohaterem moich poszukiwań biograficznych, ogłoszonych do wybuchu drugiej wojny - był niejaki Kajetan Dominikowski, o którym najteżsi historycy Galicji wiedzieli tylko tyle, że tak, jak wielu powstańców 1846 r., pojmany i wydany przez chłopów wycierpiał Szpilberg, by z Wiosną Ludów pomnożyć swą osobą szerego polskie w wojnie wyzwolenczej Węgrów. Pytanie: czy zasługiwał na miejsce w panteonie znakomitości narodowych? Konopczyński dalekowszrocznia patrzył na te zagadnienia: nie sami bohaterowie i umysły genialne tworzą dzieje; w losach tysięcy niezauważonych i niezapisanych na kartach zasług - drugo - i trzeciorzędni działacze symbolizują ich wysiłki. Są jakby soczewkami kumulującymi dążenia wielkich grup i społeczności.

Ale poza hasłami opublikowanymi - miałem przygotowane w tece pokaźne materiały do trzymastu przedstawicieli domu Dzieduszyckich. Rozliczne drogi i ścieżki wiodły do poszerzenia o nich wiedzy : spotkania ze znajomymi ich ludźmi, wędrówki po bibliotekach nie tylko lwowskich /Ossplineum, Ordynacji Poturzyckiej, Baworowskich/, ale i w przemiłej, owianej stuletnią tradycją Medyce i unikalnej kolekcji raperswilianów w Warszawie, w muzeach i archiwaliach, w jednych za portretami, w drugich za aktami; ^{były} wizyty u ciekawych świadków epoki i niezliczona korespondencja. Przygód i przeżyć bez liku. Dzieduszyccy wprowadzili mnie w najskrytsze zakamarki stosunków krajowych; wszak byli wśród nich nieustępliwi politycy, jak Walerian-ów głośny "Lauran" Centralizacji Lwowskiej 1796/7 r., czy Aleksander w dobie wojny krymskiej i powstania 1863 r., byli naukowcy, jak Tytus i Maurycy, nawet pionier hodowli koni wyścigowych w kluczu jezupolskim Władysław. Ba ! przyszło mi poznać literatki w tej rodzinie : Paulinę i Talię. Najbardziej zapisały się w mej pamięci wizyty w pałacu przy ul. Kurkowej, gdzie ordynat poturzycki Włodzimierz udostępnił mi bardzo interesujące zbiory, oraz pobyt w Medyce, gdzie Michał Pawlikowski i jego gościnna małżonka pani Lela rozwarli przede mną grube teki dzieduszyccianów. Warto kilka słów poświęcić tej wizycie.

Był piękny lipcowy dzień, gdy na Dworcu Głównym we Lwowie wsiadłem do porannego pociągu w kierunku Przemyśla. W przedziale II kl. czekał już na mnie Michał Pawlikowski, redaktor i wydawca "Biblioteki Medycznej". Poznaliśmy się kilka dni przedtem w jego mieszkaniu lwowskim, o ile pamiętam, przy ul. Mochnackiego; zgłosiłem się ^u wtedy w niego w poszukiwaniu danych biograficznych tylko do Pauliny Dzieduszyckiej, ale dowiedziałem się, że w starym pałacu medycznym znajdują się teki dotyczące wielu Dzieduszyckich. Już w pociągu w miłej po-

gawędce z Michałem Pawlikowskim zebrałem moc wiadomości nie tylko do poetki i nowelistki Pauliny /piszącej pod pseudonimem Paweł Sas/, do Aleksandra Stanisława i Mieczysława Antoniego, ale i wielu innych, których Konopczyński nie zamówił u mnie. Pan Michał był nie wyczerpanym informatorem o dwóch rodach, złączonych ze sobą łańcuchem małżeństw i udziałem w "interesach galicyjskich". Po blisko czterdziestu latach trwał dowody tej chodzącej encyklopedii biograficznej znalazłem w zakopiańskiej "Willi pod Jodłami", gdzie wertowałem teki listów i notat Michała Pawlikowskiego dotyczących jego przodków. Opowiadania swe mój interlokutor przerwał dopiero, gdy pociąg stanął w Medyce. Skromna dworska dwukonka czekała na nas na stacji i nią wyjechaliśmy w aleję słynnego kiedyś parku i jeszcze głośniejszego na całą Austrię zakładu ogrodniczego Józefa Gwalberta Pawlikowskiego. Na lewo od alei błyszczała w słońcu mocno pokryta wodną roślinnością tafla stawu ogrodowego. Dawny pałac stracił dużo ze swej przedstuletniej okazałości. W jadalni parterowej uderzył mnie natomiast widok zupełnie niezwykły: w jednym z rogów pokoju wznosił się ku górze pień jakiejś palmy, która otworem w suficie przedostawała się o piętro wyżej. Istotnie za chwilę - po przywitaniu się z panią Lelą /Anielą/ - znalazłem się pod rozłożystymi konarami palmy w gabinecie pana Michała na I piętrze. Ale czas naglił do pracy. W jednym z pokoi dostałem stół pod oknem w grubym murze a ~~nastole~~stertę tek i opasłych i chudych z papierami dotyczącymi Dzeduszyckich. Znalazłem w nich sporo listów, notat, rękopisów autorskich i przeróżnych szpargałów szczególnie do Pauliny z Ratajskich Dzeduszyckiej; przepracowałem nad nimi kilka godzin do obiadu. Po obiedzie w jadalni z tą ambitną palmą w suficie - czekała mnie nowa niespodzianka. Pani Lela dożyła teki rysunkowe, by ~~mi~~ pokazać

zupełnie mi nieznaną akwarelę pędzła mego dziadka Tomasza Tyrowicza; nie był to wprawdzie oryginał, ale kopia dokonana przez panią Lelę "z dokładnością kropli wody" a przedstawiała panią Wolską z Kocmyrzowa z córeczką na ręce.

Po obiedzie siadłem do dalszej pracy nad Aleksandrem i Mieczysławem Dzieduszyckimi. Z bagażem notatek i ekscerptów wyjechałem z Medyki późnym już wieczorem. Pana Michała spotkałem raz jeszcze i to bardzo krótko w czasie wojny w ... Tyńcu pod Krakowem, gdzie w klasztorze Benedyktynów szukał części swych zbiorów. Z panią Lelą miałem przyjemność odnowić znajomość w Zakopanem, gdy w "Willi pod Jodłami" poinformowany przez Jana Paryskiego archiwariusza pawlikoszańców - dobierałem się do życiorysów Pawlikowskich.

Pilnie wystudiowane curricula vitae Dzieduszyckich przetrwały bezpiecznie okrutną okupację, by dopiero w 1948 r. ukazać się w tomie szóstym Polskiego Słownika Biograficznego.-

Dola i niedola artysty

Artysta mimo najściślejszej więzi rodzinnej - zawsze duszą i intelektem wyodrębnia się od swoich najbliższych. Poświęcam te strony memu najdroższemu bratu Ludwikowi, artyście ^{wi}plastyko z powołania a może i rodzinnego dziedzictwa, towarzyszowi mego życia już w łonie matki, najdroższemu współwędrowcowi po twardych ścieżkach życia. Pragnę tu bardziej sportretować jego psychikę i zmagania się z losem, niż wyłącznie artystyczną "karierą" z jej blaskami i smutkami; tymi jego osiągnięciami zajmowali się już niektórzy krytycy i badacze, choć mimo upływu bezmała ćwierćwiecza na syntetyczną ich ocenę dotąd się nie zdobyli.^{1/}

Dreńczy mnie już na wstępie tych wspomnień pytanie: dlaczego jażn artysty tak bardzo różni się od psychiki jemu najbliższych? czy tym, że losy jego biegną odrębnym torowiskiem a konterfekt duchowy wymaga innych farb a nieraz i innych ram. Pragnę doszukać się na to odpowiedzi, właśnie na przypadku mi najbliższym i zarazem najdroższym. Czy we wnikanie w jego przeżycia nie wystarcza moja najczulsza introspekcja jako obserwatora jego losów od dni wspólnie przebitego dzieciństwa? odbity jak niemal z kliszy fotograficznej obraz warunków bytu i myślenia?

Nie wystarczy. Urodzony czy - powiedzmy dokładniej - autentyczny artysta żyje niepokojem twórczym, który rodzi **nęrowość** i reagowanie na bodźce zewnętrzne, o wiele silniejsze niż u kogo innego, pracującego nawet w zupełnej atmosferze ładu i spokoju. Artysta - przenosi uczucia, którymi darzy własne dzieła, na najbliższe sobie otoczenie. Czyli chce **uwabiać** ludzi, na których mu szczególnie

1/Poza okolicznościowymi ocenami - głównie z racji wystaw - poświęcali mu przeważnie ciepłe uwagi :Helena Blum, Władysław Kozicki, Mieczysław Wallis, Artur Lauterbach i in., ale na całościowe ujęcie jego graficznego dorobku zdobyła się dotąd jedynie młoda adeptka dziejów sztuki, Anna Z a b r z e s k a, autorka pracy dyplomowej, wykonanej pod kierunkiem prof. Andrzeja Jakimowicza z Uniwersytetu Warszawskiego pt. Ludwik Tyrowicz /1901-1958/ Analiza twórczości graficznej /1976/.

grzebie. Matura w t.r. postawiła pierwszy drogowskaz braterskiego rozstania, na razie w studiach : ja wybrałem Uniwersytet, brat - Wolną Akademię Malarstwa.

Przez rok w uroczu wśród drzew ukrytej prywatnej "Akademii" Leonarda Podhorodeckiego ^{3/}, przebudowanej u zbiegu ul. Leśnej i Piaskowej z gospodarskich kiedyś zabudowań tegoż zubożałego ziemiannina - Ludwik znalazł się w gronie wesołego męsko-żeńskiego grona amatorów pędzla i ołówka; w gronie tym ambicje szczerze artystyczne mieszały się ze snobizmem czy dyletantyzmem starszych panów i pań. Dla młodego apepta najważniejsze było to, że po raz pierwszy począł z natury w tajemniczać się w sztukę odtworzenia aktu modelki, kształtu martwej natury czy barwnej przestrzeni pejzażu. O kompozycji - pod rutynowaną ręką takich tradycjonalistów, jak Edward M. Pietsch czy Feliks Wygrzywalski - nie było jeszcze mowy. Rychło w ten świątek, wtargnęła niewielka coprawda, ale zbuntowana grupa uczniów Kazimierza Sichulskiego ze znanej bratu Szkoły Przemysłowej; wnosili podmuchy nowych kierunków, jak ekspresjonizm i kubizm, potępianych przez ich mistrza. Ale i pod dachem Podhorodeckiego ferment ten gąsili tutejsi preceptorzy linii i koloru, wśród nich tacy sztuczkwowi realiści, jak Walerian Kryciński, autor wielu scen folklorystycznych, licznie reprodukowanych na pocztówkach.

Rok tego terminażu wystarczył, by szczupły i blady mój bliźniak wylądował w sali malarstwa dekoracyjnego prowadzonego przez Sichulskiego w uczelni na Snopkowskiej. Tu już na próbne **croquis** i igraszki pędzlem nie było mowy. Jurek Janisch, jeden z kolegów Ludwika, opisał tak to środowisko : "Sichulski cieszył się największą **ślawą**

3. Leonard Podhorodecki był przyjacielem naszego ojca z lat ich wspólnych pobyków zagranicą w młodości. Już wcześniej w r.szk. 1917/18 terminował Ludwik w nauce rysunków w "sali popołudniowej" w Państwowej Szkole Przemysłowej przy ul. Snopkowskiej.

i autorytetem ... całą siłą swego temperamentu propagował sztukę "wczorajszą" do której sam należał". Był ostry w swych wymaganiach, często opryskliwy i rubaszny. Mimo to garnęli się pod jego kierownictwo "wszyscy spragnieni umiejętności przenoszenia rzeczywistości na płótno ... Na sali światło wełniste, brudne od obustronnie umieszczonych okien, ścisku stalug. I pełno ludzi ... " ^{4/} Wracając z tych lekcji do domu - opowiadał mi Ludwik o pierwszych kontaktach z mistrzem, o swych uczuciach lęków i niepokoju. Ale miesiąc po miesiącu lody topniały, w malarskiej świadomości wyłaniały się pierwsze koncepcje kompozycyjne i dekoracyjne, pierwsze nawet pomysły witraży i fresków ściennych. Z czasem większe arkusze bristolu a także szarego papieru pakunkowego - zawisły na ścianach szeroko oszklonej werandy naszego skromnego domu przy ul. św. Pawła. Ojciec spoglądał na nie milcząco, jakby z troską w oku i jakby w pośpiechu. Niewątpliwie łączył upodobania artystyczne z mgliście rysującą się przyszłością syna. Młodemu malarzowi o zarobki będzie trudno a przedsiębiorstwo ojca w owym czasie ledwie funkcjonowało, choć szalejąca inflacja stwarzała atmosferę rozrzutności wśród spekulantów i noworiszów. Ale nie czynił ani wyrzutów ani nacisków na zmianę "zawodu", rozumiał pociąg do sztuki.

Minęły Ludwikowi pod ręką Sichulskiego dwa lata. Decyzja poświęcenia się plastyce i rozpoczęcia studiów akademickich na tym polu dojrzała. Nie łatwo było ojcu powziąć decyzję; w słowach jego wy-czuwało się atoli ^{nadal} więcej niepokoju o byt artysty, niż braku wiary w talent syna. Szaleń na zgodę wyjazdu do akademii krakowskiej przechyliła druga matka, troskliwa o losy pasierbów. Ojciec napisał list polecający do swego przyjaciela z czasów wspólnych robót przy ~~kapli-~~

4/ Opisał to środowisko w rękopiśm. swych wspomnieniach, wyzyskanych przez P. Ł u k a s z e w i c z a w książce: Zrzeszenie Artystów Plastyków Artes 1929-1935. Wrocław 1975.

cy Ogrojcowej w lwowskiej Katedrze-Stanisława Dębickiego, prof. Akademii Sztuk Pięknych / w 1904 r. Dębicki wykonywał ~~nowe~~ freski a ojciec dekoracyjne prace marmurowe/. Ze skromnym zasiłkiem, do którego i ja skąpo się dołożyłem, odjechał z początkiem 1923 r. mój kochany bliźniak do Krakowa w towarzystwie drugiej matki ; miała mu dopomóc w znalezieniu mieszkania. Znakazła je z trudem w skromnej izbie jakiegoś szewca w Podgórzu; nędza mieszkaniowa szalała w całym kraju. Niebawem Ludwik siadł do egzaminu wstępnego i czekał na wynik. Po dwóch tygodniach drogą okrężną, by uniknąć odbioru listu przez rodziców, otrzymałem od brata tragiczną wiadomość: na Akademię nie został przyjęty; na wszystko w świecie prosił mnie o zachowanie tego faktu w tajemnicy. Był to dla niego cios ogromny, pierwszy na ciernistej drodze artysty. Zrozumiałem go, napisałem długi list pocieszający. Z czasem Ludwik błądząc po uliczkach Podgórza, znalazł kościół, w którym odnawiano freski, podjął tam skromne zajęcie. Ale kiedy otrzymałem od niego opis samotnej pracy przy odnawianiu kruchty z krucyfiksem Chrystusa, przy którym łzy jego spływały do bańki z farbami - ząwilgociły się i moje powieki i zdradziłem tajemnicę matce. Wkrótce ojciec pojechał do Krakowa i bez słowa wyrzutu przywiózł syna do domu. Co więcej - zgodził się na drugą próbę : w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, Ale, by sprostać kosztom trzyletnich studiów, zdecydował się sprzedać domowy fortepian, ulubiony instrument Ludwika /ja od matury zarzuciłem już swą "pianistykę"/; sprzedaż w owych czasach nie nastroczała trudności. Uzyskana kwota złożona na książeczkę PKO miała być wiatykiem ubogiego adepta na drogę ku sztuce. W Warszawie z przyjęciem na Wydział Grafiki nie było żadnych kłopotów; fakt ten po raz pierwszy ujął szczególną predylekcję Ludwika do rylca i kredy litograficznej. Władysław Skoczyła przyjął go

bardzo życzliwie. Przez trzy lata doskonalił się u niego a także u Wojciecha Jastrzębowskiego, przejściowo u Karola Tichego. Dla zapewnienia sobie bytu w przyszłości odbył też trzyletni kurs rysunku, by otrzymać dyplom nauczyciela w szkołach średnich. ^{5/} Początkowe warunki życia w Warszawie - mimo mieszkania tam dwóch starszych braci oficerów WP - nie były łatwe. Mieszkał daleko od miasta, znowuż u jakiegoś rzemieślnika - wspólnie z naszym kolegą gimnazjalnym Franciszkiem Staruszkiewiczem, teraz uczniem historyka M. Handelsmana. Na biedną żakowską zupeł biegał do odległych byłych koszarów Blocka, na kolację musiała mu wystarczyć szklanka herbaty z kromką chleba omaszczoną smalcem. Ale studia go pochłaniały; posypały się pierwsze odznaczenia: w 1924 r. za projekt witrażu, po roku za Tekę autoligrafii, a w 1926 r. za tekę drzeworytów. Także poprawiły się nieco zarobki: warszawscy dorobkiewiczze dbali bardziej od lwowskich o zdobienie swych mieszkań akwarelowymi widoczkami i szkicami. Kiedy w tym czasie lwowscy koledzy wtajemniczali się w arkana najnowszych prądów; Riemier w Berlinie i Dreźnie, Hahn w Paryżu, Janisch i Streng we Wiedniu - Ludwik wrastał coraz silniej w warszawskie środowisko plastyczne i w szczeropolską szkołę graficzną, ^{z której} niedługo wyłoniła się znana grupa "Rytu". Kolegowali z Ludwikiem u Skoczylasa: Stefan Mrożewski, Tadeusz Kulisiewicz, Tadeusz Cieślewski / junior/, Bogna Krasnodębska i Janina Konarska, filary "sztuki czarno-białej" w okresie międzywojennym, po latach wychowawcy nowych pokoleń grafików w Polsce Ludowej. Artysty ci nie ograniczali się do drzeworytu jako specjalności swego mistrza; opanowywali coraz doskonalej litografię, miedziorytnictwo, akwafortę w jej różnych odmianach, nie zaniebdywali też

5/ Dyplom ten otrzymał dopiero po złożeniu dodatkowego egzaminu w 1929 r.

malarstwa. Wszystkie wymienione techniki w ujęciu tego środowiska silnie grawitowały w kierunku grafiki użytkowej: włókniarstwa dekoracyjnego, ilustratorstwa druków, plakatów itp. Szkoła Warszawska, już wówczas ceniona zagranicą, zaprezentowała się w Pawilonie Polskim na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu /1925/ i na poznańskiej Wystawie Dziesięciolecia Odrodzonej Polski /1928/. Nie odżegnywali się od nowych prądów, które lansowali formiści /głównie wileńscy/ i poznańscy ekspresjoniści, ale starali się bardziej od innych ośrodków o utrzymanie łączności stylu z polską grafiką XIX w., by przejść do swoistego połączenia realizmu z prymitywem ludowym i symbolizmem Młodej Polski. Te tendencje obserwowałem też u brata, nieraz realizowane z mozolnym poszukiwaniem własnego wyrazu, określenia swej osobowości w sztuce.

Studia warszawskie Ludwika ułatwiły mu stosunki w współczesnym życiu artystycznym Polski. Zaobserwowałem to w czasie wycieczki jego grupy koleżeńskiej na wspomnianą wyżej wystawę paryską; dzięki bratu i zgodzie K. Tichego - dołączyłem się z radością do tej eskapady. Był to nasz braterski pierwszy wybieg w szeroki świat; przez Zurych i Bazyleę, w których zapoznaliśmy się z tamtejszymi zbiorami, dotarliśmy do Paryża. Wprawdzie niezbyt gościnnie przyjął wycieczkę ówczesny dyrektor Ecole Polonaise na Battignol^{la} /rue Lamandé/, który ^{za}ofiarował nam tylko słomę i koce na kamiennej posadzce; ale dwa tygodnie zwiedzania wspaniałej metropolii obfitowały w tyle wrażeń i wesołych chwil, że na niewygody nikt się nie użalał. Dzięki pobytowi w Paryżu mogłem zapoznać się z rękopisami Biblioteki Polskiej i Muzeum A. Mickiewicza na Quai d'Orléans, zobaczyć siedzibę Czartoryskich w Hotel Lambert. Szereg dni zajęły nam skarby sztuki w Luwrze, historii w Musée de Clugny, architektury w Wersalu, porcelany w St. Germain en Laye, wiele innych osobliwości

z Laskiem Bulońskim i kawiarniami paryskimi włącznie. Przyjęcie wycieczki w Polskim Pawilonie na Wystawie Dekoracyjnej było dość serdeczne i dało możliwość skonstatowania, jakim szczególnym pociągiem do bufetu odznaczają się tamtejsi nasi rodacy, tak że gromadce Karola Tichego nie wiele starczyło na talerze. Z Paryża niezrównany nasz przewodnik powiódł nas ku Normandii i Bretonii; ze znanstwem opisywał prahistoryczne dolmeny i menhiry na polach Normandii; pociągnął nas do niezwykłego miasteczka na bretońskiej skale Mont-St, Michel, za każdym przypływem morza odciętego od lądu. Bardzo żałuję, że barwny opis tych peregrynacji, notowany piórem i pędzlem przez Ludwika - po jego śmierci dostał się w ręce p. Michała Kuny, dyrektora zbiorów graficznych Uniwersytetu Łódzkiego i nie jest mi dostępny. Przeżywanie tych wrażeń przez artystę, miasta i krajobrazy, widziane jego okiem i notowane jego ręką były by najlepszą ilustracją jego doznań estetycznych. Dziś po przeszło pół wieku tylko urwane fragmenty wędrówki odżywają w pamięci: przejazd kolejką wąskotorową przez półwysep Quiberon, znacznie węższy od naszego Helu ^{6/}, zwiedzanie prastarych kościółków i gospod przydrożnych Normandii, ucieczka nas obu ze skał u stóp Mont-Michel przed niespodziewanym przypływem morza, który mógł ^{był} nas porwać w odmęty.

Z Paryża ruszyłem już z bratem we dwójkę na Błękitne Wybrzeże /Côte d'Azur/, by przez Cannes i Niceę dostać się do Włoch Północnych. Żal było przejeżdżać nocą przez tak wielkie miasta, jak Nevers, Lyon, Grenoble, by ranem wylądować nad błękitem zatoki nicejskiej. Ale też błękit ten uderzył nas całym swym blaskiem, gdy

6/ W Carnac, gdzie pociąg stał dłużej - oddaliłem się na chwilę do toalety na stacji i nieomal nie straciłem odjazdu; ruch kolejowy, zwłaszcza wąskotorówką, odbywał się bez sygnału dźwiękowego. W ostatniej chwili zobaczyłem przez okno toalety zwolna poruszające się wagony, ledwie wpadłem do nich w biegu - ku uciesze współpasażerek.

z czeluści tunelu wpadliśmy w oślepiający bezmiar światła. Zamieszkaliśmy na kilka dni w Nicei, aby mieć czas na zwiedzanie wybrzeża i wypoczynek po paryskim deptaniu. Czuliśmy się początkowo zmęczeni aż do pory wieczornej; lipcowy upał pozwalał zaledwie na spacer w cieniu palm na Promenade des Anglais, na robienie szkiców przez Ludwika, na studiowanie przeze mnie francuskiego Baedekera i przygotowanie programu na popołudnie. Rychło się jednak zaklimatyzowaliśmy, zwiedziliśmy Cannes, jeszcze nie tak zurbanizowane, jak dzisiaj dla festiwalu filmowych, spokojniejsze tonące w kwiatkach Antibes i wreszcie Monte Carlo, gdzie zainteresowało nas bardziej Muzeum Oceanograficzne, niż słynne kasyno. Obserwowałem brata, w milczącym skupieniu zdawał się wychwytywać grę kolorów nieba, morza, piachu przybrzeżnego, zapylonych koron palm, ruch w porcie bądź na gwarliwej plaży. Wchłanialiśmy przestrzeń, powiew morza, wir miast. Mówiliśmy do siebie skąpo. Bo też przygód nie było żadnych.

Spotkała nas dopiero w drodze powrotnej w Wenecji. Po krótkim pobycie w Mediolanie stanęliśmy na Ferrovia nad Canale Grande i kazaliśmy kondolierowi zawieść się na prywatną kwaterę, możliwie blisko Placu św. Marka. W mieszkaniu jakiejś Włoszki szybko otrząsnęliśmy się z podróży i ruszyliśmy beztrosko na miasto. Program mieliśmy przebogaty - na razie z pominięciem najcenniejszych muzeów; bratu zależało na zwiedzeniu Międzynarodowej Wystawy Sztuki w Giardini Pubblici, oddalonych znacznie od centrum. Spędziliśmy tam, oglądając i polskie malarstwo i soc-realizm radziecki, całe przedpołudnie. Popołudniu zajęły nam najgodniejsze uwagi kościoły, wieczór przedstawienie "Pajaców" Leonvalli'ego na Placu św. Marka z Leonem Dołżyckim w roli tytułowej. Zaimponował nam entuzjazm widowni, hałaśliwe oklaski i głośnie okrzyki "Bravo ... bravissimo ...". W wieczornym świetle, bardzo niskim w niektórych uliczkach - przyszło nam wracać na nocleg. Byliśmy pewni szybkiego dojścia do celu

w tak małym - naszym zdaniem - centrum w porównaniu ze Lwowem czy Warszawą. Wchodziliśmy w jedną po drugiej uliczce, mijaliśmy jakieś place i nabrzeża kanału, lecz nie znajdowaliśmy otoczenia domów, z którego wyszliśmy. Początkujący nowicjusze w zagranicznej peregrynacji - zapomnieliśmy wychodząc z domu zapytać o jego adres. Znaleźliśmy się w matni nieznanymi zaułków. Brat pamiętał tylko napis nad dzwonkiem naszej kwatery :Antonio Penzo. Rozpoczęło się mocno zakłopotane wypytywanie starych Wenecjerek siedzących w ciepły wieczór na ławach nad kanałem; łacina dopomogła nam do klecenia krótkich zdań włoskich. Zrozumiały nas dobrze, przywołały jakiegoś Umberto. Gondolier w sile wieku zażądał najpierw sutego napiwku, wprowadził nas w gęstwą dzieci baraszkujących na ulicy i zawołał "Penzo". Podniosło się kilka głów z okrzykiem: Io Penzo !, lecz po dotarciu do ich bram spotykało nas rozczarowanie. Ogarnął nas już teraz prawdziwy niepokój. Zaproponowaliśmy gondolierowi szukania nowej kwatery. Błądziliśmy znów za nim po kilkunastu i skromnych i bogatych hotelach, niestety nigdzie ani jednego pokoju. Już i nasz przewodnik stracił nadzieję, stanął i ... po chwili stuknął się w głowę. Zażądał nowego napiwku na "una birra" i zaprowadził nas do zacisznego hoteliku godzinowego. Siedząca za kasą gruba Włoszka spojrzawszy na nas z za lady zawołała z nie ukrywanym podziwem :
simili!
 „Oh, mio Dio ! **due facce del tutto** Signori sono fratelli ?”-

Zdobyłem się na niebywały wyczyn lingwistyczny nie znając włoskiego określenia „bliźniaków” :

- "Si ! si! signora, noi siamo fratelli una ore nati - i tak-nawet daleko od rodzinnego miasta-wyjaśniłem podobieństwo, wpadające w powszechne podziwienie.

Nocleg kosztował nas drogo, prawie ostatnie liry. Ale spaliśmy pod w szerokim łożu baldachimem;na szczęście dla nas żadna kurtyzana nie zapukała do drzwi przezornie zamkniętych przez nas na klucz.

Nazajutrz wyszedłszy z hoteliku, po niewielu krokach znaleźliśmy się na placyku jakoś dziwnie zapamiętanym; w rogu stał jakiś kościół a tuż przy jego ścianie zamalowany tylko czarną farbą i odłożony ... pisuar, zjawisko częste we Włoszech. Właśnie uderzył nas ten szczegół, gdy poprzedniego dnia wychodziliśmy z domu. Z placyka wybiegała znana nam uliczka a przy niej brama z napisem "Antonio Penzo". Zmieniliśmy w jednym z banków kilkadziesiąt dolarów na liry i mogliśmy się oddać rozkoszom zwiedzania, ale już z adresem kwatery w kieszeni. Pierwsza nauuczka podróźnicza wystarczyła na całe życie.

Wróciwszy do kraju - musieliśmy rozglądać się za chlebem. Ja byłem po doktoracie, brat z dyplomem Akademii i pięknym dorobkiem. Niestety horoskopy zatrudnienia w rodzinnym mieście upiornie zawodziły. Zrezygnowani zdecydowaliśmy się na byt nauczycielski w opisanym już przeze mnie w prowincjonalnym Radziechowie pod hrabiowskiemi skrzydłami Badenich. Ludwik nie mający pełnego etatu w rysunkach objął dodatkowe stanowisko prefekta w bursie uczniowskiej; zaangażowaliśmy się w lokalnił jedynym Prywatnym Koedukacyjnym Gimnazjum im. Marszałka Stan. Badeniego. Znowu więc losy zawodowe sprzęgły nas i nasze bujne życie towarzyskie w tym partykularzu... na cztery lata. Otrzymałiśmy rozległe trzypokojowe mieszkanie, w którym brat urządził coraz lepiej zaopatrzony warsztat grafika. Rodziły się więc tu plody grafiki; jedne po drugich; światły dziedzic dóbr marszałkowskich zainteresował się nimi poważnie.^{7/} Stanisław Badeni rosłej i tęgiej statury, o nalanej twarzy i małych oczkach za cwikierem, raczej milczący-zwiedził pierwszą wystawę brata, urządzoną w miejscowej Szkole Powszechnej, zakupił na niej szereg

7/ Stanisław Badeni był synem Stanisława Marcina, marszałka krajowego Galicji i panem klucza radziechowskiego.

plansz i zamówił ... tekę graficzną "Radziechów" za bardzo przyzwoitą cenę. Szczery mecenas nie narzucał wyboru motywów, zgodził się, by każda plansza była wykonana w innej technice. Było to zadanie i ciekawe i zobowiązujące ; w tece znalazły się: pałac i park Badenich, kościół, rynek, przydrożną kapliczkę i inne osobliwości, nobilitujące po raz pierwszy cichy i mało znany zakamarek galicyjski do rangi tła inspiracji artystycznej /1929/.

Badeni przysłużył się artyście jeszcze pod koniec jego pobytu w Radziechowie /opuściliśmy to miasteczko w 1930 r./. Dzięki jego wpływom w kołach artystycznych Krakowa - mógł brat w tutejszych salach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych zaprezentować w 1929 r. całość swej produkcji graficznej i malarskiej; równocześnie dał się poznać tutejszemu światu artystycznemu, który pamknął przed nim wrota Akademii przed sześciu laty. Badeni mecenasował też następnej ekspozycji zbiorowej brata we Lwowie; hrabia zajmował w mieście obszerny pałac przy ul. 3 maja i kilkakrotnie przyjął w nim artystę.

Powrót z Radziechowa do rodzinnego miasta, gotujący mnie osobiście nowy zawód w zdobyciu pełnego etatu - był dla Ludwika nieco szczęśliwszy. Ze stosunkowo niedawnego elewa Sichulskiego awansował teraz na nauczyciela rysunku i grafiki w tej samej uczelni /przemianowanej niebawem w Instytut Sztuk Plastycznych/. Już we wcześniejszych latach zdobywszy we Lwowie, do którego co tygodnia wyjeżdżał z Radziechowa, niemałą popularność jako organizator kursów graficznych przy Muzeum Przemysłu Artystycznego, następnie w Instytucie Przemysłowym /przy ul. Boularda /-po powrocie powołany został przez rektorat Politechniki Lwowskiej na Wydział Ogólny jako kierownik pracowni graficznej /1931-1933/. Wszedł wreszcie w grono założycieli grupy "Artes" i poświęcił się bez reszty twórczości i organizacji życia

plastycznego.^{8/} Był tak pochłonięty naradami artystów, organizowaniem wystaw jednej po drugiej, wyjazdami do Warszawy, gdzie ciągnął się w szeregi "Rytu", publicznymi występami a także swą publicystyką na łamach "Słowa Polskiego", "Tygodnia", następnie "Sygnałów", że na rozmowy ze mną pozostawały przeważnie fragmenty dnia. Musiały nam wystarczyć chwile przy obiedzie czy wieczorne kwadransy lub wspólne niedzielne poranki. Chwilami zdawać się młogło, że drogi nasze rozchodzą się; w głębi duszy byliśmy temu jak najbardziej przeciwni. Z zaniepokojeniem obserwowałem sprawy sercowe brata; ~~opowiem je dalej~~. W 1933 r. w założonym właśnie Związku Polskich Artystów Grafików objął obowiązki prezesa. Ale nie koniec na tym. W dwa lata potem powołuje do życia Związek Polskich Artystów Plastyków we Lwowie, także w Warszawie zostaje jego członkiem. Zdawałoby się, że osiągnął szczyt powodzenia. Nic podobnego! Szczupy, mizerny, załatany, miał na twarzy co chwila wyraz zawodu i niepowodzenia. Prawie wszystkie okazje ponętnych w swym artystycznym założeniu zamówień czy to na szatę ilustracyjną książek czy zakup plansz zawsze ktoś z lepiej "wprowadzonych" sprzątał mu gratkę sprzed nosa. Artysta zamykał się w sobie i topił zawód w nowym dziele twórczym; troska życiowa przekształcała się w poród nowego ukochanego dziecka. Niezawsze to potomstwo zadowalało; wołał mnie i pytał o wrażenie. Mówiłem szczerze, ale z zewnętrznym oporem; nie umiałem

8. Dorobek graficzny miał już tak bogaty, że założył do własnego użytku katalog swych prac. Zamówił w drukarni lwowskiej M. Hechta kilkaset kart / w rozmiarze ósemki / z nadrukiem opisu każdej planszy / tytuł, data powstania, technika, rozmiar, uczestnictwo w wystawach, zakupy, wzmianki w prasie itp. / Pod koniec życia zostawił 13 oprawnych kajetów tego osobliwego katalogu, stanowiącego białego kruka dokumentacji artystycznej. Pierwszą pozycją zanotowaną w 1924 r. w tym katalogu była akwarela "Zakonnica", ostatnią drzeworyt kolorowy "Port rybacki w Jastarni" / 27 X 1957 r / To rękopiśmienne źródło znajduje się dzisiaj w Dziale Rękopisów i Starodruków Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi.

nawet w tak bliskiej duszy odczytać subtelnych artystycznych założeń. Nieraz siadał zawiedziony do nowo nabytego fortepianu w swej pracowni, zbudowanej na poddaszu naszego domu. Była to osobliwa budowa-wzniesiona własnym nauczycielskim groszem ; między wiązania dachu ~~wmurowano~~, cienkie i skośne u góry ściany, w stronę ogrodu wybito dość szerokie okno. Do pracowni wchodziło się po schodach od zewnątrz budynku i przez tak wąski przedsionek, że meble i fortepian trzeba było wnosić przez okno. Przez to okno wpadały do wnętrza dźwięki niedalekiej dzwonnicy cmentarnej ; podzwonne to często trafiało tu na smutek i w zadumę nad życiem. Niestety życia tego nie rozjaśniał trwały uśmiech kobiety. Zaglądały tu często były uczennice, koleżanki po palecie, modelki, zaglądały i znikaly. Wesołe zabawy w ogrodzie, w których wspominałem, należały do przeszłości. Na łaskawszy los trzeba było czekać lub szukać go na ludnych letniskach w Jaremczu, Krynicy, Zakopanem ; mnie się poszczęściło.

Wreszcie los dokonał wybryku. Strzała Kupidyna padła w przeciwnej strony, nie z łuku mego trzydziestolatka. W 1934 r. rozpoczęła naukę w dziale grafiki a więc pod okiem Ludwika - 15-letnia dziewczyna, śmiała i ruchliwa, o urodzie francuskiej, wysoka i szczupła, filuterna i dowcipna. Profesor nie zwracał na nią uwagi, traktował jak wszystkie inne. Ale odwrotnie było z jej strony. Brat nie zauważał początkowo dziwnego zachowania się dziewczyny Agnieszki K.; jej narzucanie się jednak, pościgi za nim do tramwaju, natrętne nawiązywanie rozmowy - zaczęło go dziwić i niepokoić. Próbował oddalić ją od siebie, nakazywał roztropność wobec otoczenia szkolnego. Niemniej urok młodej i ładnej dziewczyny - nie mógł być dla niego przykry. Rozmowy ich stały się coraz częstsze i coraz poufniejsze. Ale zaskoczeniem dla pedagoga było, gdy po miesiącu jego adoratorka zapytała się, czy...się z nią ożeni i ile zarabia? Trąciło to już

nie tylko deklaracją matrymonialną mimo poważnej różnicy wieku, ale i kalkulanctwem. Po czterech miesiącach Ludwik złożył wizytę jej matce, co oznaczać mogło jego determinację na przyszłość. Dom o przeszłości ziemiańskiej, co potwierdzała już tylko jednopiętrowa kamienica, prowadziły matka - wdowa i babka, obie zarażone wielkopęństwem bez pokrycia materialnego. Matka odcytana i skłonna do rozmów o sztuce sama próbowała sił w poezji, przetłumaczyła z hiszpańskiego żywot św. Teresy, przyjmowała u siebie księży. Szczegóły te są ważne dla dalszego biegu wypadków i dla faktu, że brat nabierał zaufania do środowiska, nie mówiąc o tym, że uczucie jego dla dziewczyny pogłębiało się z każdym miesiącem. Plany matrymonialne, które zaczął ujawniać przede mną, irytowały mnie do głębi. Ostra wymiana poglądów na ten temat między nami - po raz pierwszy wprowadziła rozdzwięk w braterskiej harmonii. Dziewczyna zaczęła nalegać na termin ślubu i niebawem do tych ataków dołączyła się matka; ale z drugiej strony poczęły pojawiać się fakty rażącego despotyzmu "małej" wobec matki i babki, apodyktyczność w sądach i nie liczenie się z otoczeniem. Delikatny wywiad brata o warunkach materialnych państwa K. nie prorokował spokojnej przyszłości: kamienica obciążona była długiem w banku, jedyny dochód stanowiły czynsze z dwu mieszkań - nie zawsze zajętych. Niestety uczucie i raz dane słowo przeważyły nad zimnym rozsądkiem; dziewczyna wy czuła to znakomicie i kiedy po niepełnych dwóch latach zapadła decyzja ślubu - 17-letnia już narzeczona postawiła warunki: mieszkanie z matką, zezwolenie na jej flirty i kontakty z koleżankami /co bardzo niepokoiło brata/, na oddawanie całej pensji do rąk przyszłej teściowej i córki. Brat łamał się sam w sobie, ale wierzył gorąco, że miłość wszystko wyrówna. Mijały miesiące tej udręki, przerywanej okresami serdeczności i pozornego spokoju.

W czerwcowe słoneczne popołudnie 1936 r. w małym kościółku św. Zofii kapłan pobłogosławił ten dziwny związek, a skromne grono obu rodzin w tłumie liczniejszych kolegów i koleżanek składało na wesoło mniej lub bardziej szczerze życzenia. Ja przejąłem się tą sprawą do głębi, nie okazując bratu złych przeczuć.

Młode małżeństwo i ja z żoną wyjechaliśmy na wspólne wakacje nad morzem. Nie wiem dlaczego wybór nasz padł na Swarzewo, nieciekawą wieś nad zatoką pucką. Ale bardzo szybko w domu rybackim, w którym zamieszkaliśmy wspólnie - zaczęły się dziać niezwykle rzeczy. Narzucona bratu obecność teściowej stworzyła sytuację, w której kaprysom wydatkowym córki i matki, ich ekstrawagancjom w odwiedzaniu najdroższych sklepów i lokali, ewidentnemu preferowaniu matki nad męża - brat nie chciał już u progu swego małżeństwa ostro się przeciwstawić. Agnieszka pisała jakieś tajemnicze listy do koleżanki, złego jej ducha, które ukrywała przed mężem. Wreszcie bomba wybuchła. Kilka z największym opanowaniem wypowiedzianych uwag brata rozpętały burzę. Młodociana małżonka wymierzyła bratu policzek, po czym nocą zerwała się, jak Walpurgia i w koszuli, z rozwianym włosom popędziła ku morzu. Nie zapomnę tej sceny. Przez wąski gościniec tuż przed domem wiodła piaszczysta ścieżyna przez jar i plażę ku morzu. Księżyc przyświecał tej tragikomicznej scenie pełnym blaskiem. Wybiegliśmy z bratem w piżamach za topielicą, która znakomicie zdawała sobie sprawę, że w płytkim przybrzeżu trudno się utopić. Jakoś udało się nam we dwójkę ściągnąć ją do domu, ale tu rozpętał się atak hysterii i zamknięcie się na dwa spusty w pokoju matki. I tak w niecały miesiąc po odejściu od ołtarza - miodowy miesiąc zamienił się w udrękę. Sprawa nie skończyła się na tym. Młoda małżonka była na tyle pewną siebie i dyskrecji męża, że list do koleżanki, ostentacyjnie pisany, w ukryciu, powierzyła mu do rzucenia do skrzynki. Drażniąca do głębi niepewność skłoniła brata do otwarcia tej kores-

pondencji i oto, czego się dowiedział :małżonka w niewybrednych słowach opisywała swą rzekomą „gehennę” i wyrażała tęsknotę niedwuznacznie erotyczną do jakiegoś Tadeusza. Brat znał to imię ; należało do jednego z profesorów wyższych uczelni we Lwowie, rozwodnika, który często pojawiał się w towarzystwie Agnieszki na dancingach. Brat sporządził odpis listu, ale "oryginału" nie wysłał. Prowokacje ze strony małżonki i teściowej nie ustępowały. Wreszcie w dwa tygodnie po przyjeździe młoda małżonka pod pozorem bolu zębów zapowiedziała swój wyjazd do Lwowa; wszelkie perswazje, że można je leczyć w Gdyni na nic się nie zdały. Zmaltretowany współmałżonek wreszcie wyraził zgodę. Ciekawe świadectwo ekstrawagancji daje "prośba" małżonki do niego przed odjazdem : "kup mi bilet drugiej klasy, powieść kryminalną i wino ..." / w owym czasie nawet dalsze podróże odbywało się trzecią klasą/. Po wydatkach pierwszych dwu tygodni- artysta został bez grosza ; na szczęście miał mnie przy sobie. Mieliśmy sporo czasu na rozważenie sytuacji, tym bardziej że i teściowa brata wyjechała również i to przed córką. Położenie mego najdroższego brata było nie do pozadroszczenia, ale i moje porady trudne do zdefiniowania. Wiedziałem, że brat kocha swą żonę prawdziwym, nie gasnącym pod uderzeniami jej natury uczuciem ; podobne trudności pierwszych miesięcy pożycia młodych stadeł, zwłaszcza przy różnicy wieku, były nam znane z dość licznych przykładów. Rozsądek odpowiedzialnego mężczyzny, katolika wykluczał piorunująco szybkie rozstanie drogą separacji ; o unieważnieniu związku kościelnym nawet trudno było myśleć. Wprawdzie przed ślubem słyszałem niejednokrotnie od niedoszłej jeszcze bratowej, że powiększenie rodziny wyklucza w swym życiu, ale traktowałem te wypowiedzi jako jeszcze jeden dowód jej ekstrawagancji. Ustępliwość brata pozornie wydawać się mogła wynikiem słabości męskiego charakteru i lękiem

utrąty młodej partnerki ; w istocie jego postępowania rodziło się z katolickiego wychowania i poczucia godności, zdeklarowanej do zniesienia niejednego cierpienia w życiu. W rzeczywistości cierpienia te urosły do nieprawdopodobnych rozmiarów w najbliższym czasie.

Piekło oszustw, kłamstw, podstępów rozpętało się po powrocie z "podróży poślubnej" z niemikosierną wręcz konsekwencją. Wszelkie próby rozsądnego ułożenia życia - nie tylko trafiały w próżnię, ale wywoływały nieoczekiwane awantury, domagania się ... w 10 tygodni po ślubie /! / separacji z alimentacją, pogróżki i wyzwiska. Wreszcie niemal dokładnie w trzy miesiące po ślubie listonosz wręczył bratu pierwszy list adwokata /zastępcy prawnego żony/...z żądaniem od brata "wyniesienia się " z mieszkania Agnieszki; zabrano mu pościel i "meble posagowe" / kupione w części za jego pieniądze/, w chłód jesienny odnowiono ogrzewania jego pokoju . I oto nieszczęsny fortepian, który trzy miesiące temu, wyjeżdżał przez okno w pracowni przy ul. św. Pawła - wracał teraz z tłumionym pomrukiem strun - w swe dawne zacisze, na poddasze. Wrócił i jego właściciel, ale prócz kąta dla instrumentu odzyskał dla siebie ciepło braterskiego domu. Mimo to spokoju nie zaznał. Rozzuchwalona awanturnica - użyła szpalt lokalnego brukowca firmującego się tytułem „Sprawiedliwość” a żerującego na szantażu i najniższego rodzaju sensacji - do opublikowania anonimowego artykułu pt. W zapale erosa ginie szlachetne uczucie. Na dwóch szpaltach szmatkawego dziennika niby postronny autor ubolewał nad dolą młodziutkiej uczennicy zakochanej w swym profesorze, która po ślubie z nim skazana była na głód z powodu jego skąpstwa, na wybujałą jego żądzę, na wyzwiska i próby pobicia. "Autor" nie wstrzymał się od wymienienia nazwiska tego "zwyrodnialca" i jego pozycji społecznej. Zabrakło nam wszystkim słów oburzenia na tak bezwstydną bezczelność i stek kłamstw. W grudniu Sąd Cywilny wskutek wniosku powódki zarządził trzy "posiedzenia

pojednawcze", na które kalumniatorka się nie zjawiała; wykręcała się świadectwami swego lekarza, choć równocześnie ostentacyjnie plątała się po mieście. Była na tyle sprytną, że przewidywała na "próbach pojednawczych" swą kompromitację. Atoli jej matka, zagrożona biedą z powodu utraty pensji zięcia - wznowiła sprawę i w kwietniu 1937 r. Sąd nakazał "próbę współżycia". Wstręty młodocianej mężatki zrodziły komedię w stylu romansów Balzaca : zgodziła się co trzy tygodnie na spotkanie z mężem w ... kawiarni-wyłącznie dla wyłudzenia od niego pieniędzy. Dawał już znacznie rozsądniej, ale dawał i nie tracił nadziei, że prawda i uczciwość zwyciężą. Niestety. Nie wyczerpana w swych pomysłach aranżerka quasi filmowego dramatu próbowała dopiąć celu w Sądzie Karnym, oskarżając męża o ... pobicie. Oskarżenie było tak wierutne, że nawet lekarz skarżącej oświadczył na rozprawie, że ślady na nogach klientki pochodzą z choroby hemofilii, powodującej pęknięcie naczyń włoskowatych i sine plamy na skórze. Sprawa była przegrana dla strony "pokrzywdzonej", ale ostatecznie i dla "krzywdziciela" 9/

Nagły wybuch wojny i wkroczenie wojsk radzieckich do Lwowa w 1939 r. położyły kres tej niesamowitej historii. Brat wreszcie zrozumiał swą fatalną pomyłkę i w nowozaprowadzonych urządach stanu cywilnego - udzielił swej pierwszej małżonce - separacji. W kilka miesięcy potem w 1940 r. zawarł ponowny związek jako ślub cywilny z Idą Fedaszówną, świeżo poznaną w kręgu naszych wspólnych znajomych. 10/ Tragiczne lata wycisnęły nie dające się

9. Tragiczne dzieje pierwszego małżeństwa przedstawiłem tu w olbrzymim skrócie na podstawie wspomnień własnych oraz pisma wyjaśniającego brata dla jego adwokata lwowskiego, dr Tadeusza Janiszewskiego z 1937 r.; dość stwierdzić, że relacja ta, naprowadzająca fakty poparte dowodami ze świadków - obejmowała ponad 40 stron drobnego własnoręcznego pisma.

10. Idalia Fedasz urodziła w Krakowie w 1947 r. syna Jacka, później inż geodetę i kierownika Pracowni Fotogrametrii w Łodzi. Zmarła tamże w sierpniu w 1979 r.

zatrzeć ślady w psychice mego brata; dlatego poświęcam im tyle uwagi w tych wspomnieniach. I aby tę żalną historię rozświetlić do końca, dodam, że po rozprawie o unieważnienie pierwszego małżeństwa w Sądzie Biskupim Łódzkim w 1951 r., Metropolitalny Sąd Warszawski II Instancji w roku następnym uznał je za unieważnione. Brat mógł nowym ślubem kościelnym uświęcić ponowny związek małżeński. Była to uroczystość bardzo cicha, w obecności zaledwie kilku osób; głęboka moralna treść tego faktu zdawała się rozpędzić na zawsze ponure cienie przeszłości.

Ale cofnijmy się w lata przedwojnia. Nieszczęsne przeżycia nie położyły tamy płodnej i niezwykle urozmaiconej twórczości. W r. szkol. 1938/39 dyrekcja Instytutu Sztuk Plastycznych powołała brata na samodzielnego kierownika Pracowni Graficznej; wyszło z niej szereg wytrawnych artystów miejscowego środowiska. Niezależnie od tej placówki kilka szkół handlowych zaprosiło brata na wykładowcę techniki reklamy wizualnej, doceniając nieodzowność tej umiejętności w wykształceniu kupców.^{11/} Powołany na prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków /1933-1938/ oddał się mu całym sercem. Zorganizował trzy kolejne wystawy grafiki europejskiej i szwedzkiej /1934/, węgierskiej /1935/, hiszpańskiej /1936/; przyjmował mistrzów tej sztuki z różnych stron świata, sam uczestniczył w wielu ekspozycjach zagranicznych. Odbył szereg podróży i po drugiej /wspólnej ze mną do Włoch, 1928/ wyjechał tam sam w 1935, aby w Toskanii wśród zaułków i wież San Gimignano znaleźć ucieczkę i zapomnienie od natrętnie odnawiających się koszmarów. Tak narodziła się teka San

11. W latach 1935-1939 brat wykładał ten przedmiot w Pryw. Gimnazjum Kupieckim, następnie w Liceum Kupieckim Tow. Szkoły Handlowej i Kursach tegoż Towarzystwa. W 1938 r. wydał pierwsze w piśmiennictwie polskim artystycznie ujęte Liternictwo w reklamie /II wyd. rozszerzone ukazało się w 1946 nakładem Al. Kamińskiego w Krakowie/.

Gimiguano, jedno z najpiękniejszych jego dzieł.

Szczerze zainteresował się tymi miedziorytami zaprzyjaźniony z bratem entuzjasta włoskiej sztuki, Samuel Tyszkiewicz, głośny założyciel Stamperia Polacca we Florencji i opatrzył tekę pięknym wstępem. Dzieło to szybko zdobyło miejsce w szeregu Wystaw i zawędrowało do ~~several~~ ^{zbiorów} kilku muzeów i bibliotek. W podróżniczym reportażu *"As"* 1936, nr 2/ samotny wędrowiec tak zanotował motywy swej artystycznej wyprawy i źródła plastycznych impresji:

„Podszept legendy i niedomówionych opowieści otacza ten średniowieczny zakątek ... Głęboka i niepokojąca tajemnica otacza ten gród i towarzyszy mi podczas tegorocznej podróży... San Gimignano wznoszące się ponad falami wzgórz i nieprzebraną mnogością winnic i gajów oliwnych, zachowało czystość swego średniowiecznego oblicza. ...Już zdala widać imponujące drapacze nieba, owe słynne 30 wieżyc ... Kroniki podają, że miasto posiadało ich w XIX w. 72. Stąd bierze się miano: "la citta turrita". Słońce gorące i jaskrawe rzuca cienie geometryczne w dużych i długich płatach łamiących się na płaszczyznach murów, schodków i bruku w kanciaste zygzaki. ^{Tękwidzieł mógł} ~~dwaj~~ zapomnianą przez turystów feerię - tylko plastyk-grafik, koncentrujący całą swą spostrzegawczość na grze ostrych linii i kontraście światła i cieni.

W dwa lata po tokańskiej włóczędze podążył artysta w średniowiecze i siedziby sztuki niemieckiej. Zafascynował go już przejazd statkiem rzeczny po Renie z widokiem rycerskich zamków na nadbrzeżnych skałach, ^{następnie} ~~ogarnęła~~ atmosfera malarni monachijskich, zbiory drezdeńskiego Zwingeru, słynne drukarnie Lipska. Cel podróży był poniekąd dydaktyczno-prozaiczny: zapoznanie się z postępami grafiki reklamowej i szkolnictwem w tej dziedzinie. Ale wzrok i uczuciowość artysty chwytają na żywo fenomeny na pozór nieuchwytnie: piękno i czar zaułków niezarejestrowanych przez Baedekera, odgady-

wały ducha sztuki, którą właśnie but hitlerowskiego faszyzmu starał się zdusić w imię militarnej omnipotencji. Malarz tego nie dostrzegął; goszczący go artyści nie zdradzali atmosfery niepokoju. Podróż do Jugosławii na wybrzeże dalmatyńskie w 1937 r. razem ze mną i moją żoną - miała złagodzić w jego duszy - zmore brutalnych ciosów nieudanego małżeństwa. Wątpię, czy złagodziła, choć już wtedy w naszym towarzystwie znalazła się pełna życia, ale i opanowania towarzyskiego, Ida Fedasz. Znów ze szkicownikiem w kieszeni krążył opuszczony artysta wśród architektury włosko-dalmatyńskiej, w małych i wąskich uliczkach lub przy nadmorskich białych pałacykach stanowiących jakby oazy ciszy nad błękitną ~~grębą~~ Adriatyku.

Potrzebował nastroju ukojenia, nie gwaru wielkich zbiorowisk turystycznego high-life'u. Rewanżu życiowego szukał w pracy twórczej, w wystawach, życiu organizacyjnym plastyki, głosach krytyki i walce przeważnie zawodnej - o angażujące myśl i rękę artysty, zlecenia twórcze. Rozjaśniały te zawody odznaczenia i wyróżnienia. Już w 1931 r. z dalekiej Kalifornii nadeszło nieoczekiwane Honourable Award za ekslibris eksponowany na Międzynarodowej Wystawie Ekslibrisu, w dwa lata później zaszczytne wyróżnienie na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu w Warszawie. Ale w następnym kilkunastym okresie - klęski w życiu osobistym nie wypełniły nowe wyróżnienia. Dopiero r. 1938 przyniósł pierwszą nagrodę na Konkursie Plakatu Turystycznego, za rok nagrodę za grafikę w Salonie Z.P.A.P. we Lwowie obie.

W ciszy swojej pracowni, którą - kiedy nie było zebrań Artesu mąciło od czasu do czasu tylko cmentarne dzwonienie - chwycił też za pióro. Najpierw pochłaniały go wyłącznie tajniki warsztatu graficznego, pisał o drzeworycie, o kwasorycie, o innych odmianach, o ich roli w życiu współczesnych. Ale rychło opanowała go tematyka szersza, wybiegająca poza tworzenie plastyka. Oto zagadnienie plagiatu i re-

habilitacji, idei estetyzmu w wychowaniu, roli grafiki w rozwoju gospodarczym kraju czyli problem reklamy artystycznej.^{12/}

W latach 1932-1933 co kilka dni "Słowo Polskie" przynosiło jego recenzje z wystaw plastycznych, artykuły o życiu artystycznym i aktualnych problemach sztuki; niestety fatalne przewroty w redakcji na tle politycznym - zamknęły dla niego i tę trybunę. Związany ściśle z grupą "Sygnałów", z Karolem Kurylukiem, Tadeuszem Hollendrem, Stefanem Kawynem i Klubem Kultury Współczesnej / do którego obaj należeliśmy/ - przeżywał na sobie ostrzej niż inni przypływy i odpływy ruchu artystycznego w mieście. Skandale wywołane przez pierwszą żonę nie przeszły bez echa w tej dziedzinie, aczkolwiek koło nas obu - trwała wiernie oddana grupa ludzi. ^{13/}

Kolumny publicystyki Ludwika, którą po tylu latach przerzucam teraz z większą niż kiedyś uwagą - ~~odślaniają~~ szerokość jego poglądów i ich moralne podglebie. Przebija ich głębokie, oryginalne przemyślenie, nie eksploatawanie - tak częste w publicystyce - cudzych myśli. Ale rozważać zagadnienia plagiatu w sztuce, wychowania estetycznego młodzieży, roli sztuki w świecie tonącym w koszmarze politycznych gwałtów i szantaży - mógł tylko artysta żarty niepokojem i szarpającym cierpieniem.

12/ Prace te publikowane były na łamach "Grafiki" /1932/, "Słowa Polskiego" z dodatkiem "Nauka-Literatura-Sztuka"/1933/, w "Sygnałach"/1934-1936/, wreszcie w wydaniach książkowych: oprócz wymienionego Liternictwa w reklamie - wydał brat wspólny z Emilem Ehrlichem Wystawy sklepowe /1938/.

13/ Na domiar wybryków losu - nie brakło i innej sprawy. Daleki nasz krewniak Adam Tyrowicz, syn Jerzego /nauczyciela Szkoły Technicznej w Tarnopolu/, z braku środków do życia imał się w naszym mieście różnych zajęć magistrackich, wreszcie zaczął - bez wykształcenia i większego talentu - produkować utwory graficzne i z podpisem "Tyrowicz" sprzedawał je na lewo i prawo. Nie syty tych dochodów sfingował rozmowę telefoniczną do dyrekcji Teatru Wielkiego, przedstawiając się jako wojewoda Biłzyk polecający do malarni teatralnej "znanego art. mal. Tyrowicza". Fałsz szybko wyszedł na jaw, aferzysta został zatrzymany przez policję. Sprawa nabrała rozgłosu w prasie lwowskiej i warszawskiej. Ludwik sprostował rzecz na łamach "Wieku Nowego"/25 IX 1937/ a brat Stanisław poparł go wyjaśnieniem w "Gońcu Warszawskim" z t.r. nr 227/.

Hydra faszyzmu, brutalne deptanie w Niemczech wolności życia i sztuki, likwidacja Żydów, którzy coraz to pełniejszą falą napływali do Polski, wносиły koszmarną lęków przed apokaliptyczną katastrofą świata, choć nikt w Polsce nie przewidywał jej rozmiarów. Sytuacja rodziła nastroje niepewności i bezsensu twórczości na dalszą metę.

Mobilizacja sierpniowa 1939 r. wcześniej ~~wohzpenzła~~ i nas obu w atmosferę dezorientacji i bezplanowej plątaniny po różnych miejscach służby; ~~ostatecznie~~ w związku z wyszkoleniem w latach 1919-1920 w oddziałach łączności - przeznaczeni zostaliśmy do cenzury i podłuchowania telefonicznego, Ludwik na Dworcu Głównym, ja w gmachu centralnym Poczty. Ale huragan wojny rozszalały 1 września ~~naletani~~ i bombardowaniem z powietrza najważniejszych obiektów wojskowych i rządowych we Lwowie - rozwarł piekło zniszczenia i bezładu życia. Bomby rzucone na cmentarz, przy którym mieszkaliśmy - wyrzucały trumny z mogił i nagrobków, sąsiedni z naszym domem zamieniły w kupę gruzu, blaszany dach naszego posesiakały w kilkudziesięciu miejscach. Nie będę tu opisywał potwornych przeżyć tych dni, bo zżyciem artysty nie miały one nic wspólnego. Ewakuowano nas obu z wojskiem z miasta. W panicznym odwrocie armii - pieszo lub na różnych wozach dotarliśmy do Brzeżan, gdzie 16 września zaskoczyła nas wiadomość o wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski. Nastąpiła dzika demobilizacja. Po przetrwaniu dni niepewności u siostry stryjecznej z rodu Bujnowskich oddawna osiadłych w Brzeżanach ^{14/} - przez kraj objęty partyzantką ukraińską - na żydowskiej bryczce wśród obstrzałów i krycia się w lasach dotarliśmy do domu.

14/ Eleonora Cewowa była dzieckiem Heleny /córki malarza Tomasza Tyrowicza/ i Izzydora Bujnowskiego, powstańca 1863 r. i dzierżawcy Olechowca i Nadorożniowa w kluczu Jana Potockiego. Eleonora z zawodu nauczycielka w późnym wieku wyszła za mąż za Józefa Cewego.

x

x x

Nastąpił okres wojenny w biografii artysty - przetrwanie trzeciej już wojny w życiu.

Właśnie w momencie klęski Polski - piastował godność prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków we Lwowie. W mieście zajętym przez władze radzieckie - wśród niezwykłych trudów i niedostatków - przez siedzibę Związku, pracownię brata i nasz dom przewinęła się ch- ba cała plejada artystów zbiegłych z Warszawy. Pomocy brata szukali m.i. : St. Mrożewski, T. Kulisiewicz, nawet rzeźbiarz Edward Wittig; siwy, blisko 75-letni starzec, artysta - medalier i grafik, Ignacy Łopieński posilał się u nas obiadami i z wdzięcznością wynosił z ogrodu jarzyny i owoce. Mało tego. Pewnego ranka dwóch cywilów w kaszkietach poprosiło brata do auta, by rzekomo omówić z nim losy Związku w Ratuszu. Wywieziono go do siedziby M.K.W.D. i w zamkniętej na klucz celi z rewolwerami wyłożonymi na stole dwaj funkcjonariusze domagali się informacji o "artystach-faszystach". Brat takich nie znał i milczał; po dwóch godzinach obłany potem i "z duszą na tamie- niu" z nakazem tajemnicy zagrożonym śmiercią - opuścił ten przybytek. Na szczęście dla brata - nowa organizacja życia artystycznego uwolniła go od ciężkiego obowiązku.

Musiał pomyśleć o sobie. Jego troska o utrzymanie się na powierzchni życia. Reaktywowanie zarówno przez władze radzieckie /1939-1941/, jak następnie niemieckie /1942-1944/ Instytutu Sztuk Plastycznych - tylko pod zmienionym kolejno szyldem - umożliwiło być artysty i kontakt ze sztuką graficzną. Dopiero ofenzywa Czerwonej Armii po wielkim zwycięstwie pod Stalingradem i zbliżanie się frontu do Lwowa zmusiły go do nowej wędrówki. W maju 1944 r. osiadł z żoną w Nowym Sączu i na chleb codzienny zarabiał polichromią kościelną w niedalekim Zabełczu. Zostawił mienie w umeblowaniu w rodzinnym mieście, ale - jak legendarny Eneasze z zburzonej Troi - uniósł ze sobą war-

sztat pracy, składający się ze stołu graficznego i naręcza sprzętu w ryłcach, płytach i kwasach trawiących. Następna pielgrzymka zawiadła go do Krakowa; padliśmy sobie w ramiona, by otrząsnąć się z koszmaru przeżyć i pyłu przebytych dróg. Było już po wojnie. Przed sztuką i literaturą wskutek zniszczeń i rabunków mienia kulturalnego otwierały się winokręgi tak rozległe, o jakich świat twórców nie mógł marzyć przed wojną. Ale też placówki nowe trzeba było stworzyć - wśród nieznanymi dawniej trudności, braku lokali, sprzętu i - co najważniejsze - ludzi. Wybitni artyści zginęli, jeśli nie w walce orężnej, to w obozach koncentracyjnych bądź pozostali poza granicami ojczyzny.

Już w sierpniu 1945 r. na Pierwszym Zjeździe Szkolnictwa Artystycznego w Wilanowie, zorganizowanym przez ówczesne Ministerstwo Kultury i Sztuki - brat reprezentując odnowiony Związek Polskich Artystów Plastyków przedstawił własny program naukowy dla liceów plastycznych. Powołany na dyrektora Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego w Łodzi otrzymał gmach przy ul. Narutowicza tak zatłoczony lokatorami i jakąś uczelnią, że sam sypiał w kuchni na sieniaku, szczęśliwy, że ma wodociąg i elektrykę / w tej sytuacji go odwiedzałem/. Mimo to Szkołę Przemysłu Artystycznego - zorganizował tak wszechstronnie, że po dwóch latach rozdwojono ją na dwa licea - oba pod jego okiem i ręką: Liceum Technik Plastycznych i Liceum Sztuk Plastycznych. Ten podział zrozumiałem po długich tłumaczeniach brata : jedno miało kształcić do rzemiosł artystycznych ze specyfiką łódzką, drugi artystów - twórców na szczeblu szkoły średniej. Niełatwe to było zadanie, tym bardziej że podwójny dyrektor współdziałał równocześnie przy założeniu Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w tym samym mieście, ba w tym samym gmachu; zorganizował w niej i prowadził Zakład Grafiki /do 1951 r./ A żeby jeszcze dopełnić

obraz niedostatku kadr w szkolnictwie artystycznym dodajmy, że powołano go na wykładowcę **kostiumologii** w dwóch miejscowych wyższych uczelniach : Aktorskiej i Muzycznej. Trzeba było wysiłku nie tylko dydaktycznego, ale i twórczego w zakresie redagowania planów i podręczników, udziału w konferencjach, zjazdach, imprezach. Ten styl pracy - nie był czymś wyjątkowym w życiu wyzwolonej od hitleryzmu Polsce; wszak nie brakowało takich uczonych, którzy równocześnie pracowali w trzech różnych miastach, nocami pokonując przestrzenie.

Brat musiał pokonać inną przestrzeń : między uznaniem a zawiścią i podłością najbliższego personelu w szkole i zazdrością kolegów - plastyków w Związku. Oblicze obyczajowe "polskiego Manchesteru", dalekiego w swej polsko-niemiecko-żydowskiej populacji przedwojennej od kultury szczerze artystycznej - zarysowało się grymasem najbardziej wrogim i obleśnym. A przecież w tym zmaterializowanym do gruntu środowisku potrafił brat przyczynić się z olbrzymim wysiłkiem do zorganizowania życia plastycznego tym tu bujniejszego, że nie mogło się ono rozwinąć w gruzach spalonej i wyludnionej, choć bliskiej, Warszawy. Po odnowieniu oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków prezesował mu przez dwa pełne lata /1952-1954/ a od ^{prezesury} początku do końca życia poświęcił swój czas i nerwy jako członek Zarządu. Organizował jedną wystawę po drugiej, zachęcając do udziału, walcząc o nagrody dla kolegów.^{15/} Ale kretowisko intryg kryło się nadal pod powierzchnią koleżeńskich uśmiechów i "życzliwych rad". Z pozornym uznaniem a najczęściej milczeniem przyjmowano fakty niełatwych do zdobycia nagród i odznaczeń brata : za autolitografie w miejscowym Salonie ZPAP /1946/, za całokształt twórczości powojennej /tamże 1947/, za prace na Dorocznej Wystawie Związku /1950/,

^{15/} Po dziewięciu indywidualnych wystawach grafiki /do 1939 r./, po wojnie /od 1946 - do 1956/ eksponował brat w Polsce i zagranicą swe plansze w dziesięciu własnych wystawach i pięciu zbiorowych, w tym w dwóch zagranicznych /do 1938 r. uczestniczył w 14 zagranicznych w Europie, Stanach Zj., i Kanadzie/. W 1952 Ośrodek Propagandy Sztuki w Łodzi urządził wielką retrospektywną Wystawę 25-lecia pracy artystycznej L. Tyrowicza.

srebrny Krzyż Zasługi /1952/, wyróżnienie w konkursie grafiki religijnej w Krakowie /1955/. Przeciwnicy z za palety nie czytali oryginalnych w treści a propagujących coraz szerzej ofensywę naszej sztuki rozpraw Ludwika Tyrowicza na łamach "Przeglądu Artystycznego", "Poligrafiki", "Nowin Literackich" i inn. czasopism ; nazwisko autora obudzało raz po raz ich zazdrosną uwagę i podkopy. Czekano tylko na "powinięcie się nogi".

Przeciążony obowiązkami administracyjnymi i społecznymi - zaangażował brat szwagra swej drugiej żony, b. oficera W.P. - do gospodarczej opieki nad uczelnią. Wybór wydawał się szczęśliwy i pierwsze miesiące zdawały się rokować pożyteczną współpracę. Niestety. Były oficer nie tylko dopuścił się po roku pewnych nadużyć na szkodę szkoły, ale nawiązał też zażyłe stosunki z jedną z pracownic administracyjnych. Na niewiadomy donos władze Naczelnej Izby Kontroli /NJK / zarządziły długotrwałą kontrolę. Sprawca nadużyć i jego "sympatia" tak solidarnie potrafił obciążyć odpowiedzialnością dyrektora, że protokół końcowy zawarł w sobie oskarżające go zarzuty, zresztą w sprawach błahych i opartych li tylko na zeznaniach przeciwnej mu pary. Urzędnik NIK przeprowadzający kontrolę nie ujawniał przed dyrektorem treści tych zarzutów i protokół do podpisania wręczył bratu... tuż przed wyjściem jego na pogrzeb znanego pioniera awangardowego malarstwa w Łodzi, Władysława Strzemińskiego /zmarł z końcem grudnia 1952 r./. Brat jako prezes ZPAP uproszony został do wygłoszenia mowy nad mogiłą i do głębi przejęty śmiercią i czekającym go omentarnym pożegnaniem kolegi, nie miał się chwili na czytanie aktu. Wspokojony nadto, że protokół jest jak najbardziej "obiektywny" - akt ten podpisał.

W ciągu trzech tygodni został zwolniony z obowiązków dyrektora, wytoczono mu proces karny o nie dopatrzenie nadzoru, A toli prokura-

tor Sądu Okręgowego już w czasie pierwszego przesłuchania oskarżonego - oświadczył, że kwalifikuje się do umorzenia. Istotnie po pół roku - na podstawie amnestii sprawę umorzono. Dla złośliwych - podstawy do infamii jednak pozostały.

Na dobitkę nieszczęścia młody adwokat, obrońca brata w procesie - odradził mu wniosek rewizyjny, bo "sprawa jest za błaha a amnestia pewna". 16/ ^{Artysta} ~~W~~złamany w swej godności i to bezpodstawnie, /jak się po czterech latach okazało/, odsunięty na razie od kierowniczego stanowiska - ~~co boleśniej~~ ^{szc} w zakresie swej specjalności - objął w 1953 r. wykład historii ubioru w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pl.; kierunek ten z zamiłowaniem kontynuował niemal aż do przedednia śmierci. I ta nowa problematyka z dziejów kultury pochłonęła go do głębi. Że wybór przedmiotu nie był ani przypadkowy, ani narzucony okolicznościami - świadczył wspomniany fakt, że już od sześciu lat wcześniej wykładał kostiumologię w dwóch wyższych uczelniach aktorско-muzycznych /od 1946/7 do 1951/52/ i zadał sobie trud opracowania najpierw skryptu, następnie książki pt. Podstawowe wiadomości z dziejów ubioru /1957/ w formie atlasu z bogatym i szczegółowym komentarzem. 17/ Zajęcie się zatem artysty - grafika historią i estetyką stroju od antycznego po początki XX w. - wynikało z jego niewyczerpanej pracowitości w doszukiwaniu się wszelkich form plastycznych w kulturze materialnej i potężnej roli sztuki w życiu codziennym człowieka. Wszystkie ryciny atlasu wykonane ^{swą} ręką

16/ Główna Komisja Rehabilitacyjna przy Min. Kultury i Sztuki w październiku 1957 r. dokonała pełnego oczyszczenia brata z bezpodstawnych i krzywdzących zarzutów, podkreślając jego zasługi na powierzonych mu placówce i polecając odpowiednie zatrudnienie go w wyższym szkolnictwie plastycznym. Niestety tą rekompensatą krzywdy - "obdarzono" go na kilka miesięcy przed zgonem.

17/ Skrypt ten pt. Zwięzłe wiadomości z dziejów ubioru - wydał Instytut Przemysł.-Rzem. Województwa Łódzkiego w 1974 r.; wspomnianą dalej książkę wydało Państwowe Wydawnictwo Naukowe na zlecenie Centralnego Zarządu Szkół Artystycznych. Książka więc przeszła przez ogień poważnych recenzji i była pierwszą w powojennej Polsce publikacją w tym zakresie.-

artysta oparł na wzorach zaczerpniętych z bogatej literatury zagranicznej, którą pilnie przestudiował w bibliotekach Łodzi, Warszawy i Krakowa.

Szeroka płaszczyzna współżycia artysty ze sztuką w dziedzinie tak wydawało by się - odległej od grafiki - ocierała się już niestety, o czym brat nie wiedział, z kresem jego fizycznego bytu. Jeszcze z największym rozmarzeniem planował podróż razem ze mną do Wiednia i innych miast zabytkowych Austrii, miał już paszport w kieszeni. Rok akadem. 1957/58 - zapowiadał się na podstawie otrzymanej pełnej rehabilitacji jako powrót do kształcenia młodzieży w ukochanej jego sztuce. Pisał do mnie listy długie, coraz radośniejsze, pełne planów. Niestety moje odwiedziny u niego i obserwowanie jego zachowania się obudzało posępne horoskopy; skarżył się na przemęczenie, bóle głowy, utratę pamięci. Dyrektor pobliskiego szpitala, dr Grot - skierował go na wypoczynek do Buska Kieleckiego. Wyjechał 3 lutego w towarzystwie drugiego lekarza. Po kilku dniach otrzymałem przerażający w swej formie, pisany trudem i błędami gramatycznymi list od niego ... Było to ostatecznie posłanie od najdroższej mi istoty. Po tygodniu w stanie bezprzytomnym został przewieziony do Łodzi, pod opiekę dr Grota. Z przerażeniem pospieszyłem tam z żoną, by być przy jego łożu. Przytomności już nie odzyskał; moją udręką była niepewność, czy jest świadomy mojej obecności przy nim w godzinie konania. Dr Grot orzekł krwawy wylew w mózgu; z żoną podejrzewaliśmy coś gorszego i liczyliśmy się ze zgonem. Nastąpił 17 lutego 1958 r. Sekcja pośmiertna znalazła nowotwór wewnątrzczaszkowy typu glejakowego; na to nie było ratunku. Na pogrzebie w kilku mowach nad mogiłą odnaleziono jego zasługi dla sztuki i dla miasta.^{18/}

^{18/} Przemówienia nad mogiłą, wygłosili przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych /jej prof. Wimmer/, Okręgu Związku Artystów Plastyków Tadeusz Grygieł i inni.

Ministerstwo ufundowało nagrobek według projektu artysty-rzeźbiarza. Tak chłostany przeciwnościami żywot dobiegł kresu. Straciłem najczulszego powiernika w życiu, a właśnie przede mną wyłaniały się nowe pociągające zadania.

Nie czuję się powołany do oceny całokształtu twórczości graficznej mego brata. Nie chciałbym być podejrzany o subiektywizm; co więcej - szczerze przyznaję, że niektóre jego utwory nie przemawiały do mnie. W powodzi recenzji z jego wystaw indywidualnych i artykułów o nim w prasie artystycznej, wprowadzenie jego nazwiska do dziejów sztuki polskiej przez T. Dobrowolskiego, Andrzeja Ryszkiewicza, Mieczysława Wallisa / w *Allgemeines Lexikon der bildenden Künster*, nowym wydaniu t. XXXIII, 1939 Thieme - Beckera i Vollmera, t. IV 1958/ - dorobek jego urastał do ważnej i oryginalnej pozycji w kulturze narodowej. W dorobku tym uważny obserwator - musiał spostrzec przewijające się od młodości do późnego wieku dwa nurty: uczuciowość i refleks własnych cierpień oraz jakiś nie dający się w ścisłych kategoriach określić związek ze sztuką romantyzmu polskiego i impresjonizmu francuskiego. Dlatego tak nie pasował do grupy "Artes"; kiedy ulegał podszeptom ekspresjonizmu a później surrealizmu - wychodziły spod jego ołówka i rylca utwory - moim zdaniem - nie odzwierciedlające jego wizji.

Z technik graficznych lubował się w trzech: drzeworycie, litografii, akwaforcie i jej odmianach trawionych. Po 50 r.ż. wydoskonalił się w rysunku ołówkowym, sepią, tuszem, w akwareli i gwaszu; dlatego też tęsknił do ilustratorstwa książek, ale nie miał szczęścia w zamówieniach. Natomiast wielką płodność okazał w ekslibrisie, tworząc kilkadziesiąt oryginalnych znaków bibliotecznych, ciekawie ilustrujących bądźto charakter księgozbioru bądź jego właściciela.^{19/}

^{19/} Temu dorobkowi J. Kilian - Stanisława wska poświęciła piękną monografię pt. *Exlibrisy Ludwika Tyrowicza / Łódź 1947/*.

Tylko ciężkie zmagania się z losem - popychały go do gatunków twórczych, które obce były jego osobowości : fresków ściennych i plakatów. 20/

Sukces artystyczny w drzeworytnictwie przyniosła mu "Teka karpacka", składająca się z sześciu płyt, ilustrujących krajobraz i życie Hucułów, głównie spod Czarnohory. Tecka powstała w 1940 r. i stała się akcentem dominującym w drzeworytnictwie brata do końca jego życia. Wzbogacił wprawdzie ten dział szeregiem "luźnych utworów" z ulubionego obszaru artystycznych wędrówek po Kielecczyźnie, ale na tekę dorównującą kunsztem poprzedniej - już się nie zdobył. Inaczej było z jego tworzeniem na kamieniu litograficznym ; po tece "Piękny Lwów" /1932/ przyszła kolej na "Miasta Dolnośląskie", zawierającą pięć bardzo udatnych fragmentów arbanistycznych /1950/. Motywy te uzupełniały liczne szkice kredą z zamków i ruin na szlaku sudeckim. W litografii oddawał artysta znakomicie zarówno ducha historii, jak i smutek i nastrojowość, jak w "Nokturnie" / 1938/, często reprodukowanym przy omawianiu jego twórczości. Wreszcie z umiłowania do technik trawionych zaludniło się w dorobku brata szczególnie od wielu akwafort i akwatin już to jako impresje podróżnicze z wędrówki po Bretonii i Normandii, jak później po wybrzeżu dalmatyńskim. Ukoronował wreszcie tę twórczość najgłośniejszą ze swych tek "San Gimignano" /1936/; w dwunastu planszach akwafortowych utrwalił urok pomijanego przez turystów, bo leżącego na uboczu głównych szlaków - niesamowitego zakątka Toskanii.

W dziedzinie krajobrazowego gwaszu do dziś zdobi mój dom sześć pejzaży zakopiańskich. Wspomnienie dni spędzonych w naszym domu na zboczu Gubałówki zaklął nasz drogi gość w widoki Giewontu, Kościelisk i hal widocznych z naszych okien, widoki tym dla mnie cenniejsze, że trapiiony chorobą serca - nie mogę już napawać się nimi w naturze. Z gwaszy wieje halniak, obłoki kłębią się na niebie, soczysta

zieleni ożywia surowość gór. Powiew tego piękna ~~oddala~~ bolesne
spojrzenia wtecz na dolę i niedolę artysty.

20/ Po pracy w kościele w Zabełczu /koło Nowego Sącza/ malował
jeden z kościołów w Koszalinie i farę w niedalekim Białogar-
dzie. Byłem świadkiem, jak na wysokich i niewygodnych ruszto-
waniach zmagał się ze zmurszałym tynkiem murów i..zacofanymi
poglądami proboszczów. Praca nie dawała mu zadowolenia a o
wynagrodzeniu trzeba się było nieomal^o targować.-

Starsi bracia - ich losy i przygody

Żadna z podobizn mojego grona rodzinnego - nie jest kompletna. Brak na niej jednej twarzy z naszej braterskiej piątki. Był najstarszym z braci, bo dzieckiem pierworodnym; przyszedł na świat w 1890 r. i pomazany olejami na chrzcie świętym z imieniem Stefan - zmarł po kilku miesiącach. Nie pozostała po nim w rodzinie żadna pamiątka ani wspomnienie - prócz krótkiej nagrobnej inskrypcji.

Dopiero w trzy lata po nim narodził się Tadeusz, za cztery lata następne - Stanisław.¹ To była przez długie życie - prawie nie rozdzielna dwójka, jakby przeciwwaga jeszcze młodszej i jeszcze bardziej sprężniętej ze sobą pary bliźniaczej - w mojej osobie i Ludwika.

Istnienie obok siebie tych dwu par rodzeństwa cechowała miłość braterska trwała i mocna, ale jakby podzielona na dwie generacje. Tę dziwną odrębność zrodziły, być może, odrębne zamiłowania umysłowe i zawodowe, odmienne i nieraz niebezpieczne losy w czasie pierwszej wojny światowej, przeżyte stąd długie nasze rozstania. O innych różnicach przyjdzie mi mówić, gdy w toku tej opowieści - zarysują się także różnice psychologiczne a nawet inny przebieg rozwoju fizycznego. Różnice te poczęły się zacierać dziwnie późno, bo dopiero po kataklizmie drugiej wojny światowej.

Nie zapisał się w mej wyobraźni obraz środowiska domowego, w którym ujrzałem światło dzienne dwaj starsi bracia. Było to gdzieś przy arcydługiej ul. Pańskiej; ale ani numeru domu ani jego fasady tym mniej wnętrza, nikt mi nigdy nie pokazał. Tym samym dzieciństwo Tadeusza i Stanisława stanowi niejako prehistorię braterskiego współżycia; jego "odkopenie" mogłyby ułatwić tylko ich opowiadania, jakieś za-

1. Brat Tadeusz urodził się 24 sierpnia 1893, Stanisław 27 marca 1895, obaj we Lwowie. Obaj zapoczątkowali nazwisko naszej rodziny w katalogach Szkoły Powszechnej im. św. Antoniego przy ulicy S. Głowińskiego, mojej pierwszej uczelni.

piski bądź wyblakłe już fotografie. Niestety na opowiadania nie pozwoliły rozłąki, zapiski - jeśli były - poginęły a fotografie w owym czasie robiło się w zawodowych zakładach-tylko z okazji wielkich uroczystości domowych. Krótko mówiąc między światem dzieciństwa obu par braterskich istnieje w zapisie pamięci taka pustka, jak między młodością moją a mego ojca.

Jedyne, co zakodowało się w mej pamięci z młodości starszych braci - to dotąd nie wyjaśnione dla mnie miłe przezwanie Tadeusza przez kolegów "Florkiem", coś jakby przeniesienie kobiecego imienia Flory na młodzieńca o twarzy cherubina i kręconych blond włosach. Jeśli chodzi o Stanisława - to ze wspominek matki dowiedziałem się o jego czupurności, temperamencie, skłonności do psot, które niejednemu kłopotu przysporzyły rodzicom. ² Se non è vero è ben trovato; istotnie Stanisław do późnych lat życia zachował poczucie niezależności, nawet nieustępliwości, upór w forsowaniu swego zdania. Obaj nie interesowali się nami jako dziećmi, naszą nauką i zabawami; zbyt byli pochłonięci sobą. Na częste swe wycieczki przez Lesieniec do Miodowej Groty i Czartowskiej Skały wzięli nas tylko dwa, trzy razy. Musieliśmy słuchać ich "rozkazów" i zadawałać się tym, co nam pokazywali. Pamiętam, jak na linach wdrapywali się na zbocze Skały zupełnie dostępnej z innej strony. Była to zaprawa do upragnionych ich wypraw tatrzańskich...

Ich symbioza od ławy szkolnej i w ciągu losów wojennych jako legionistów II Brygady - przetrwała niemal od progu obecnego wieku przez blisko lat dwadzieścia. Początkowe więc nauki odbyli w tej samej Powszechnej Szkole Ludowej św. Antoniego przy ul. Głowińskiego, co i ja z bratem. Ten sam dyrektor Ludwik Pierzchała podpisywał

2. Dowodem pewnego rozhukania Stasia, były jego lekkomyślne zabawy nad dołem gaszonego wapna przy remontowanym nowym domu rodziców przy ul. św. Pawła. Wpadł do tego wapna i tylko gwałtowny jego krzyk przyniósł mu natychmiastowy ratunek.

kwartalne świadectwa ich i nasze. Od 1904 r. rozpoczęli i w niedługich po sobie odstępach kończyli Pierwszą Szkołę Realną przy ul. Kamiennej /łączącej ul. Pańską z ul. Batorego/. Szkołę tą, którą dzisiaj nazwać by należało gimnazjum czy liceum matematyczno-przyrodnicze, kierował najpierw dość łagodny nauczyciel J. Gerstman, ale szybko po nim budzący niemały respekt, Stanisław Rębacz. Opowiadał mi o nich brat Tadeusz już w późnej swej starości. Ale lęki przed preceptorami mogły powodować tylko nieliczne wybryki. Nauka szła gładko, rok po roku /obowiązywało tu **sprawne** przebycie siedmiu klas **dotrząc** do matury/; liczne koleżeństwa utrwały wspólne wycieczki, początkowo tylko w okolice Lwowa, **następnie** dalej, jak do magnackiej rezydencji Sobieskich w Podhorcach lub romantycznych Skałek Bubniszcz za Stryjem. W r. 1907 a więc w 14 r.ż. Tadeusza i 11-tych Stanisława ojciec otworzył przed nimi panoramę Tatr i rozkosze turystyki górskiej.

Łączy się to ze sprawą, która wymaga w tym miejscu pewnej dygresji. Ojciec nasz cieszył się wówczas opinią nie tylko wyróżniającego się w mieście rzeźbiarza i kamieniarza, był członkiem Zarządu Cechu Rzemiosł Budowlanych a dzięki swym stosunkom w "Strzelnicy" miał dość rozległe stosunki w mieście, ale uchodził też w kołach inżynierskich za biegłego znawcy w sprawach Kamieniołomów galicyjskich. Toczyła się wówczas - być może dla ograniczenia w Galicji drogiego importu granitów szwedzkich - dyskusja nad możliwością eksploatacji skał tatrzańskich dla budowy dróg i reprezentacyjnych gmachów. Inż. Roman Dzieślewski, prof. Politechniki Lwowskiej i naczelnik Wydziału Dróg i Komunikacji w Namiestnictwie, wysunął koncepcję założenia łomów granitu w Hali Gąsienicowej a przy tym założenia kolei górskiej na Świnicę. Zaprosił ojca do dużej komisji rzeczoznawców, którzy mieli dokonać wizji lokalnej i wydać orzeczenie.

W połowie lipca 1907 r. nastąpił wyjazd ze Lwowa; ojciec zabrał dwóch synów z plecakami i w grubszym obuwiu /nie przypominającym dzisiejszych butów turystycznych/. W czasie wizji lokalnej i później ojciec orzekł nieprzydatność granitu Tatr do robót budowlanych i cmentarnych, lecz tylko na kostki brukowe, co byłoby nieproporcjonalne do wkładów finansowych. Opinia ta zwyciężyła tym bardziej, że wybuchła już wówczas silna opozycja przeciw zakłócaniu spokoju i krajobrazu górskiego. Nastąpiła w czasie wizji również modyfikacja kolejki: miała ona pobiegnąć z Hali Gąsienicowej nie na Liliowe a na Krzyżne zboczami Żółtej Turni i doliną Pańszczycy. Zawdzięczam reminiscencje tych projektów gawędom z bratem Tadeuszem, który jako zamknięty od tego czasu taternik znakomicie sprawę pamiętał. Ojciec szybko wrócił do swych rozległych obowiązków we Lwowie a dwaj raczkujący "alpinści" sami bez przewodnika "zdobyli" Giewont i Czerwone Wierchy.

Oczywiście następne wakacje /1908/ wypełniła już 4-tygodniowa wycieczka w towarzystwie o kilka lat starszego brata ciotecznego, Bolesława Uminowicza w trudniejsze partie Tatr, ich urok nie dał im spać spokojnie przez cały rok następny. W lipcu i sierpniu 1909 r. w tym samym składzie porwali się na kilka przejść przez Zawrat na jeszcze trudniejsze szczyty. Ojciec stawiał opór, bo na przedwiośniu tegoż roku znakomity muzyk Mieczysław Karłowicz zginął pod lawiną tatrzańską; wreszcie ustąpił pod warunkiem, że "chłopcy" będą pisać do domu co kilka dni. Wyjechali jak zwykle w połowie lipca i po pierwszych kartkach - nastąpiło długie milczenie. Wtem gazety przyniosły wiadomość o jakichś zaginięciach w Tatrach - bez podania nazwisk. Pamiętam - miałem wtedy ośm lat - jak zmartwiony do gruntu ojciec - co chwilę ze swej kancelarii zrywał się do mieszkania do równie zgnębionej matki, czy listonosz nie przyniósł poczty. Po kilku dniach niepokoju - doszła najspokojniejsza w świe-

cie kartka z opisem "zdobytych" przełęczy, grani i szczytów. Tegoż roku w samo Boże Narodzenie zainicjowali młodzi taternicy wyprawę narciarskie na Halę Gąsienicową i Dolinę Pańszczycy. W starym schronisku, do której klucz wręczył im osobiście w Zakopanem słynny pionier taternictwa Mariusz Zaruski - przeczytali w księdze schroniskowej z najgłębszym przejęciem - jak opowiadał mi później Tadeusz - opis katastrofy Karłowicza.

Mimo rozpoczęcia w 1910 r. przez Tadeusza Studiów na Wydziale Inżynierii Lądowej/^{Wodnej} Politechniki Lwowskiej - po nim za dwa lata Stanisław na Wydziale Architektury - nie tylko to taternictwo, ale i inne sporty zajęły w ich życiu coraz poważniejsze miejsce : tenis i piłka nożna, zimą narciarstwo.³ Zwłaszcza eksponował się w tym "Florek". Nasz dom a ściślej pokój braci w odrębnym budynku kancelarii ojca stał się niejako kolebką Klubu Sportowego "Lechia", ojciec dał się "ubrać" w godność prezesa.⁴ Teżyzna fizyczna kwitła bujnie - zgoła bez dzisiejszych zainteresowań finansowych czy ambicji gwiazdorów na zielonej murawie; natomiast sport świetnie powiększał kręgi towarzysko-koleżeńskie starszej pary braterskiej. Przed Stanisławem, mniej angażującym się w piłkarstwie - uroki życia rozbłyskiwały raczej w kołach kobiecych. Były to nie tyle głębokie sprawy sercowe, rzutujące na przyszłość, co uleganie podmuchom młodego romantyzmu. Wszystko to działo się poza domem. Młodsza para bliźniacza żyła tymczasem w swym małym, zupełnie innym światku mimo opuszczenia już ławek szkoły podstawowej i wejścia w mury gimnazjalne. Kontrast między prężnością sportowo-towarzystwą starszych a ciążeniem ku książkom i sztuce młodszych stwarzał coraz

3. Lwów w opisywanych latach żył imprezami sportowymi trzech liczących się klubów: "Pogoni" z głośnymi Kucharzami /piłkarzami/, "Lechii" i "Czarnych" /nazwa chyba od czarnych koszulek/. Brat Tadeusz brylował w I drużynie piłkarskiej jako "lewo-skrzydłowy" i miał na swym koncie niejednego gola. W tenisie wyrobił się tak, że w czasie późniejszego pobytu w Warszawie stawał w zawodach o mistrzostwo klubu wojskowego i zdobywał nagrody.

4. Godność tą piastował od 1911 do 1914 r.

szersze oddalenie; nikt na to nie zwracał uwagi ani się tym przejmował. Życie domu biegło swym codziennym torem; tylko ojciec posużył się zatopiony w rozwoju swego zakładu, który z roku na rok przemieniał się z manufaktury rzemiosła w małą fabrykę z ambicjami artystycznymi - poświęcał nam poranki niedzielne na koncerty symfoniczne w t.zw. Filharmonii, wieczory na opery w Teatrze, kupował nuty i książki. Z jednego krzewu wyrastały więc ^w coraz silniejszym od siebie oddaleniu dwie latorośle: jedna w słońcu gór i boisk i życia towarzyskiego; druga raczej w ciszy i cieniu domu, sal muzealnych widowni teatralnej czy koncertowej. Jedna gałąź pięła się ku radościom życia, druga ku tajemnicom tak dziwnie pociągającym, choć niezgłęzionym, sztuki i literatury, zwłaszcza historycznej.

Studia politechniczne braci nie biegły jednak bez zaburzeń. Odezwał się szczególnie Tadeusz w zetknięciu z tak znakomitymi a przy tym surowymi w wymaganiach pionierami wiedzy technicznej, jak Jan Bogucki /statyk i specjalista w konstrukcjach żelaznych, autor głośnej wówczas hali Zeppelina w Berlinie/, Zdzisław J.A. Krygowski /bezlitośnie wymagający matematyk/, Kazimierz Bartel /geometra/, Maksymilian Thullie /teoretyk budowy mostów i - drugi w Europie - żelbetu, wówczas zupełnej nowości w budownictwie/ i inni. Wyśrubowane wymagania tych matadorów nauk technicznych dotyczyły nie tylko sfery wiadomości studentów, ale i form towarzyskich: do egzaminów trzeba było przystępować w smokingu lub czarnym garniturze; nie mniej prof. Bartel znany ze swej rubasznosci - potrafił przyjąć kandydata sam w kalesonach. Bratu Stanisławowi /który dopiero w 1912 r. zawitał na Wydział Architektury/ pierwsze lata nie jeżyły się takimi trudnościami; wykłady historii sztuki prof. Zubrzyckiego, form architektonicznych prof. Mariana Osińskiego, ćwiczenia z perspektywy, rysunek odręczny i techniczny - raczej umilały

studia, niż uprzykszały. O zamiłowaniu do kartografii, zwłaszcza w połączeniu z ukochaniem gór - świadczy fakt, że już w 18 r.ż. potrafił wykonać pierwszą na ówczesne czasy plastyczną mapę Tatr, którą z wielkim uznaniem przyjął do gabinetu geologicznego prof. Wiśniowski.

Wśród tych zajęć, sportów i zabaw, wreszcie pierwszych wypraw narciarskich ^{-jwi} poza granice Galicji - w Alpy Rodniańskie / a więc na teryty dzisiejszej Rumunii / zimą 1913/14 - bracia dokonali pierwszego wyjścia zimowego na Pietrosa, 2305 m. W kręgu ich towarzyszy znaleźli się nietuzinkowi ludzie: wspomniany już przeze mnie artysta malarz Sewer Abgarowicz, Gustaw Zierhofer / potem prof. Uniwersytetu Lwowskiego, geograf /, Lucjan Berson / po 1918 r. wyższy urzędnik jednego z ministerstw R.P. /, Kazimierz Drewnowski / później prof. Politechniki Warszawskiej /, inż. Jan Maślanka i inni, prawie wszyscy zrzeszeni w Karpackim Towarzystwie Narciarskim bądź w Sekcji Narciarskiej Akademickiego Klubu Turystycznego; opisy ich osiągnięć były omawiane na posiedzeniach tych klubów, w kronikach sportowych prasy. Wśród tych uczestników nie mogę nie wrócić bodaj kilkoma słowami do naszego brata ciotecznego Bolesława Uminowicza. Był już inżynierem i ideologicznie związanym z grupą wszechpolaków, gdy wojska Mikołaja II zajęły w 1914 r. Lwów i całą nieomal Galicję po przedpola Krakowa. - Bolesław ku dezaprobachie naszej rodziny związał się z władzami carskimi i projektował kilka mostów na ich zlecenie. Wreszcie w 1915 r. zapadł na ciężką gruźlicę; dzięki swym protektorom wysłany został na leczenie gdzieś pod Kaukaz i zmarł tam w bliżej nieznanym nam czasie.

Tymczasem ~~się~~ ^{nie} chmury w tych pozornie pogodnych latach - zaczęły nadciągać na firmamencie politycznym. Wprawdzie tylko czynni politycy, podekscytowani wojnami w "kotle bałkańskim" i nadziejami

na odzycie sprawy polskiej w stosunkach międzynarodowych - przede wszystkim więc koła zbliżone do paramilitarnych organizacji Józefa Piłsudskiego - żyli nadzieją wybuchu wojny światowej. W naszym domu praca i życie rodzinne, studia i sporty - nie dopuszczały alarmów aktualnej polityki do codziennych kłopotów. Mimo to napór niepokoju potęgował się coraz wyraźniej. Jeszcze wiosną 1914 r. Tadeusz w gronie swych profesorów i kolegów w wycieczce naukowo-technicznej do Włoch podjętej dla studiów kolejnictwa i budowy mostów zdołał odetchnąć powietrzem Adriatyku i Triestu, Monfalcone i Wenecji. Ale już wróciwszy do kraju, zaciągnął się z Stanisławem i przyjaciółmi do Drużyn Sokolich dla ćwiczeń jawnie militarnych. Szczytów tej organizacji nie znali; powtarzane było raz po raz nazwisko Józefa Hallera, wówczas kapitana armii austriackiej a równocześnie organizatora kadr paramilitarnych o orientacji endeckiej, przeciwnej obozowi Strzelców Piłsudskiego. W jej zasięg wciągnięte było całe sokolstwo galicyjskie.

Zabawy, wycieczki, nawet nauka znikły z programu życia. Dzień w dzień ćwiczenia musztry, polowe, strzelanie; nerwowe nastroje wniósł atentat sarajewski na austriackiego następcę tronu, arc. Franciszka Ferdynanda, po nim zarządzenia mobilizacji. Lęki o najbliższą przyszłość braci zadomowiły się ^{tuż} pod naszym dachem. 29 sierpnia 1914 r. wymaszerował ze Lwowa Legion Wschodni/bo taką nazwę przybrała organizacja Hallera/. W jego szeregach opuścili nas bracia. Jak to odczułem jako 13-letni chłopak - opisałem już w jednym z pierwszych rozdziałów. Jak tę rozłąkę przeżyli bracia - o tym mieliśmy się dowiedzieć dopiero po wielu miesiącach niepewności o ich los. 5/

Zaczęła się ich wielka przygoda w ~~ich~~ życiu. Ruszyli do walki z wrogiem, który przed stuleciem a następnie półwieczem prze -

5/ Obszerny pierwszy list - relacja przeżyć od 29 VIII 1914 do lipca 1915 r. pisany w Piotrkowie dotarł do rodziców - pocztą pantoflową w lipcu 1915 r.

pędził dwie odnogi naszego rodu z zaboru rosyjskiego do austriackiego. Powstańczo-niepodległościowe nastroje wiodły ~~teraz~~ w nieznane; nie przeczuwali, jak szybko te wzniosłe idee zakłóca właśnie przywódców politycznych. Droga-wciąż piesza-wiodła przez Rudki, Sambor do Sanoka, stąd koleją do Jasła, Chabówki, Rabki. Wiadomo dziś, że góra endecji galicyjskiej, która liczyła na rozwiązanie sprawy Polski przez Rosję - doprowadziła do rozbitcia Legionu. Przed braćmi stanęła alternatywa: opuszczenia kraju bez środków i widoków przyszłości i ucieczki na Zachód bądź złożenia przysięgi na wierność cesarzowi i jego armii i wejścia w szeregi t.zw. Drugiej Brygady Legionów Polskich-pod austriacką komendą. Rozterka targala nimi do głębi, ale nazwa "Legionów Polskich" stanowiła bodziec decydujący. Po złożeniu w Rabce - równo w miesiąc po wyjściu ze ~~Ł~~Łowa /29 września/ - przysięgi wojskowej weszli w szeregi 14 kompanii trzeciego pułku piechoty II Brygady Legionów. Ich bezpośrednim dowódcą został por. Wawek Walewski a u szczytu brygady stanął generał austriacki ^{polskiego} pochodzenia, Karol Trzaska Durski, rodzony brat Antoniego, prezesa "Sokoła Macierzy" we Lwowie (Antoni był organizatorem tych właśnie Drużyn Sokolich", które złożyły się na Legion Wschodni). Te koligacje "naczelnego wodza" z pewnością nie były znane moim braciom, ale pogwarki i rozmyślenia na kwatarach rozbitków Legionu Wschodniego ~~Pod~~ ~~sycali~~ nadzieje patriotyczne, polska komenda i orzełek na czapce dodawały ducha.

Tak rozpoczął się ich udział w wojnie światowej: wymarsz w Karpaty już nie z plecakiem turystycznym a tornistrem na plecach, by stanąć znowu przed widnokregiem wysoko-górskim znanym z niedawnych wycieczek. Uczestniczyli więc ciągle-nie rozstając się z sobą- w "kampanii karpackiej" mającej ~~prz~~ zagrozić wojskim Mikołaja II w darcie się na Węgry. Przeżyli głośną w legendzie Polaków rozprawę

pod Rafajłową i Mołotkowem, następnie z wiosną 1915 r. przesunięcie Brygady na Bukowinę. Młodzieńcze tutaj przeżycia taterników i narciarzy wzbogaciły się teraz o trudy kombatantów. Różnie toczyło się to życie wojenne, raz na wozie, raz pod wozem, często w chłodzie, nieraz w głodzie. Lecz szybko los uśmiechnął się braciom. Przydzieleni już z końcem października 1914 r. do sporządzania map terenu w "sztabowym oddziale kartograficznym" - komenderowani byli do niebezpiecznych patroli wywiadowczych, bez których szkiców terenowych nie sposób było robić /za jedno z "map" otrzymali pochwałę od marszałka Durskiego/. Z początkiem grudnia przydzielono tak wyróżniających się elewów Politechniki do oddziału telefonicznego sztabu legionowego /Legiony powiększyły się już o III Brygadę/. Warunki życia i służby zmieniły się, jak w kalejdoskopie. Z wiosną już po przepędzeniu Rosjan z Galicji / po słynnym przełamaniu frontu pod Gorlicami / i odebraniu im Lwowa - łączność z domem rodzinnym została nawiązana. Sztab Legionów rezydował już w Piotrkowie i życie moich wojaków biegło by wśród pozafronowych wygod i urozmaicenia, gdyby nie tyfus w ostrym stanie, na który zapadł Tadeusz. Pół roku trwało leczenie go najpierw w Kamieńcu / na szczęście pod opieką zaprzyjaźnionego lekarza ze Lwowa, dr Józefa Pischa /, następnie rekonwalescencja w Morawskiej Opawie. Ojciec pełen trwogi a także niedającej się ukryć tęsknoty za synami - ruszył do Piotrkowa i Kamieńca, co w owych czasach przedstawiało nie byle jakie trudności. Wrócił uspokojony co do zdrowia syna, ale głęboko przejęty rozbitiem Legionów na I Brygadę i resztę, politycznym fermentem, wdzierającym się w rozwój całej formacji. Legiony dla całego społeczeństwa reprezentowały wyidealizowaną kadrę "szermierzy niepodległości" o Polskę zgodną, mocną, nie dzieloną żadnymi waśniami.

Dalsze losy obu legionistów z paskami podchorążych na kołnierzach

więzały się jak najściślej z historią i tragedią Legionów.
W ~~tych~~ skromnych wspomnieniach - nie miejsce na wędrówkę po ^{neandrach} za-
wiłych dziejów wojskowych i politycznych pierwocim armii polskiej.
Wprawdzie przeżycia braci odzwierciedlały w zakamuflowanej ^{co prawda} V-ze
względu na cenzurę polową-formie częste ich listy i kartki nadsy-
łane do domu, ale korespondencja ta zaginęła; spisywane przez Stani-
sława notatki w czasie służby w Centrali Komendy Legionów - dostały
się w moje ręce znacznie później. 6/ Przebiegnę więc w skrócie
dalsze koleje. Z Piotrkowa z Komendą Legionów ruszyli bracia na
Polesie, najpierw do Wołczeska nad Styrem. Stąd pod parciem
ofensywy Brusilowa nastąpił odwrót na linię Stochodu; w Piasecznie
sztab legionowy rozłożył się na dłużej. Nie uspokojeni w pomysłach
urozmaicenia życia polowego podoficerowie i szeregowcy o wyższych
aspiracjach intelektualnych - podjęli tu redagowanie pisma saty-
rycznego "Druż" /inicjatorem i "szefem redakcji" był kapral Kołom-
łodzki/; obaj ^{bracia} współpracowali na tym polu piórem i ołówkiem /egzem-
plarze odbijano na hektografie za "dobrotliwą wiedzę" sztabu/.
Miałem przez długie lata komplet tego "pisma", lecz losy wojenne
nie dały przechować je do dzisiaj. W 1916 r. następnym etapem
Komendy były Baranowicze; tu ^{dotarł} głośny manifest obu cesarzy Franciszka
Józefa I i Wilhelma II z 5 listopada; zapoczątkował - jak wiadomo -
dramatycznie zmiany w dziejach legionowych, a tym samym i moich
braci. Przesilenie przysięgowe I Brygady /lipiec 1917 r./ interno-
wanie opornych w Zambrowie i Szczypiórnej, aresztowanie J. Piłsudz-
kiego i Kazimierza Sosnkowskiego i uwięzienia ich w Magdeburgu,
stworzenie z II i III brygady "Polnische Wehrmacht" pod rozkazami
gubernatora okupowanej przez Prusaków części Kongresówki, Hansa
Besselera - wszystko to spadło gromem na "narodową" koncepcję

6. ~~Część z nich była w aneksach.~~ Obszerny kajet tych notatek
przechowuję do dziś w archiwum domowym.

Legionów, położyło jej kres. Wśród zamętu duchowego i napięcia nerwów musieli bracia podjąć drugą decyzję albo dezercji niebezpiecznej i bez wyjścia albo służby w Wehrmachcie. Wybrali to drugie, pozostając w "macierzystej" formacji łączności pod zmienionym szyldem; Tadeusz awansował nawet na sierżanta. Służbę przyszło ~~ni~~ im pełnić w Warszawie. Z końcem r. 1917 przerzucono ich jako "obywatele austriackich" do Przemyśla, ~~znów~~ ^{do formacji} zmienioną nomenklaturą Polskiego Korpusu Posiłkowego, ale i z ~~powrotem~~ do pierwszego swego dowódcy wojskowego: pułk. Józefa Hallera. Ożyła wiara, że nie służy się wrogowi bezpośrednio duchem i ciałem. Nastąpiło odkomenderowanie Korpusu na Bukowinę, braci w Komendzie Korpusu do jej siedziby w Mamajeszti. W lutym 1918 r. fatalny dla Polski "głodowy pokój" Austro-Węgier z Ukrainą^{w/} Brześciu - wywołał wstrząs w Korpusie: zerwanie Hallera z Habsburgami i z sojuszem państw centralnych, bitwę pod Rarańczą, przedarcie przez front na stronę rosyjską. Fakt ten zaskoczył oddział łączności nocą; rankiem resztki Korpusu - a z nim bracia - zostały rozbrojone, aresztowane i wywiezione do więzień w Hüst i Bustjahaza jako "zdrajcy stanu". Czekali ich groźny proces polityczny, tym groźniejszy, że poddany sądom ~~wojennym~~ wojennym. Mimowolnie nasuwa się refleksja o dziejach powstańczych naszego rodu: tamci uciekali przed zemstą Aleksandra II, ci ^{od} czekali na swoje kary Karola II. Znowu zerwał się dręczony niepewnością i schorowany ojciec do kaźni swych synów. Po długiej walce o przepustki i uciążliwej podróży mógł z nimi tylko krótko rozmawiać poprzez druty obozu w Bustjahaza. W połowie roku zapadł wyrok: jako bezpośrednio nie współdziałający z czynem Hallera i "nieświadomi" jego planów zostali wcieleni do 30 pp. austriackiej i odkomenderowani na drgający w walkach front włoski. Był wielkiej monarchii rakuskiej chwiał się i szybkim krokiem zmierzał

do starcia go z kart dziejów Europy. Niemniej kule śmiertelne gwałdały w powietrzu i mogły nie oszczędzić także byłych legionistów nad Piawą czy Tagliamento. Miejscem wojennego losu braci okazała się niewielkie miasteczko lombardzkie Fuggi koło San Daniele del Friuli. Na szczęście - Lwowiaków nie brakowało na żadnym froncie Karola II. Znaleźli się i w San Daniele ^{dzięki nim} i już po kilku miesiącach ^{polityki} w kraju "polenty" i makaronu"-obaj kombatanci uzyskali urlopy, rzekomo na kontynuowanie studiów politechnicznych. Nawet stojący nad grobem rząd wiedeński uważał kształcenie potencjalnych inżynierów za potrzebniejsze dla armii niż traktowanie ich jako "mięsa armatniego". W lipcu 1918 r. Stanisław i Tadeusz wrócili pod dach rodzinny zmizerowani i zbiedzeni, ale zdecydowani za wszelką cenę do dezercji i zerwania z monarchią, w której wyrosli od dziecka. Wyrabianie fałszywych papierów kwitło wówczas we Lwowie, jak i innych miastach "na potęgę". Tadeusz otrzymał dokument "repatrianta z Rosji" /jak mi później mówił "z Orszy"/, Stanisław jakiś inny i zamiast nastawiać pierś w obronie "cesarza i naszego kraju"/jak nakazywał hymn cesarski/ czmychnęli do Warszawy. Nie musieli się tu kryć; stare rodziny polskie a jeszcze chętniej młode Warszawianki - przyjmowały takich "zdrajców Austrii" otwartymi ramionami - dosłownie i metaforycznie. Szeroko rozwarte podwoje stały przed nimi przede wszystkim w rodzinie starego profesora, wychowanka Szkoły Głównej warszawskiej, humanisty i patrioty Wolskiego. Rodziła się już tajna sieć organizowania narodowej siły zbrojnej, nawet w tajemnicy przed Radą Stanu, wyłonioną z wcześniejszej Rady Regencyjnej.

Tadeusz odnalazł swego towarzysza z przedwojennych eskapad narcyarskich, prof. Kazimierza Drewnowskiego i razem z nim opracował organizację Wydziału Łączności w przyszłym Ministerstwie Spraw Woj-

skowych. Ta zakonspirowana współpraca nie czekała długo na ujawnienie. Pamiętnego 9 listopada nastąpiło rozbrojenie Niemców i ucieczka Besselera, Rada Regencyjna zdołała jeszcze podpisać pierwsze nominacje oficerów W.P. Obaj bracia otrzymali gwiazdki podporuczników, ale inne przydziały: Tadeusz objął dział zaopatrzenia w Departamencie Technicznym MSWoj, Stanisław najpierw adiutantował w/w pułk. Drewnowskiemu w Sztapie Generalnym, następnie został zastępcą szefa łączności w Dowództwie Korpusu Okręgu Warszawskiego. Stanowisko Tadeusza było ważniejsze. Ministerstwo S.W. delegowało go do odbioru od Niemców sieci telefonicznej "Oberost" w Białymstoku; dodało mu do pomocy starszego radcę poczt i telegrafu, niejakiego Markiewicza. Nie było to zadanie łatwe: Niemcy złamane na froncie zachodnim, czuli się jeszcze panami na wschodzie. Dzięki umiejętnemu postępowaniu Tadeusza dowódca centrali "Oberost" oberlejtman Adam / w cywilu prof. Uniwersytetu w Heidelbergu / odstąpił bezpłatnie centralę w Białymstoku i odpokutował to aresztowaniem pod zarzutem przyjęcia łapówki; Tadeuszowi nagrodzono to osiągnięcie krzyżem zasługi. Dzięki temu sukcesowi nawiązana została po raz pierwszy łączność telefoniczna między Dywizją Litewsko-Białoruską gen. W. Iwaszkiewicza a Sztabem Generalnym w Warszawie, konkretnie szefem "sekcji operacyjnej", kapit. Tadeuszem Kutrzebą. Wszystkie te ciekawe szczegóły, być może nieznane nawet historykom odradzającej się armii polskiej - opowiadał mi - na trzy lata przed śmiercią - brat Tadeusz. Omawiane pertraktacje z Niemcami i realizacja połączeń zajęły przełom 1918/1919 r. Po nich przyszło mu dokonać uruchomienia fabryki kabla telefonicznego i aparatów polowych w Łodzi oraz stałego zaopatrywania w te fabrykaty wojsk na froncie polsko-bolszewickim.

Z końcem roku obaj bracia awansowali na kapitanów. Dzięki osiągnięciom obu było im dane uzyskać urlopy na dokończenie studiów :

Tadeusza na Politechnice Lwowskiej /1920-1922/, Stanisława na Warszawskiej /1921-1922/. Senior grona braterskiego zjechał więc do Lwowa już z żoną /poślubioną w Przemyślu w 1919 r./ Tu narodził im się pierwszy syn Witold. Po dyplomie inżyniera i powrocie do stolicy powierzono Tadeuszowi komendę w Centralnych Wojskowych Zakładach Telefonicznych i po roku awansowano na majora /1924/. Nie wiele różniła się prestiżem dalsza kariera Stanisława. Już w 1923 r. w Szefostwie Budownictwa Wojskowego przy Dowództwie Korpusu objął kierownictwo nowych budowli i pełnił je przez siedem lat; w 1930 r. na własne żądanie zwolnił się ze służby wojskowej. Obu powodziło się świetnie. Tadeusz z żoną prowadził bujne życie towarzyskie, Stanisław czynił podboje sercowe na lewo i prawo, ale nie spieszył się do żeniaczki, choć polowano na niego w niejednym z zamożniejszych domów. Przebywając przelotnie w tej bujnie rozwijającej się stolicy, szalejącej w lokalach z "Qui pro Quo" na czele - zdumiony byłem tym rozmachem - prowincjusz już nie tylko z nadpełtewskiego grodu, ale i cichego wschodnio-galicyjskiego partykularza - Radziechowa. Karierę zawodową Stanisława wyraźnie wspierały jego koneksje w świecie wybijających się a także uznanych talentów architektury i budownictwa; udział w wielu znakomitych budowach zawdzięczał Bohdanowi Pniewskiemu, swemu przyjacielowi, cieszącemu się niezwykłym powodzeniem projektodawcy-artysty, oraz Tadeuszowi Cwierdzińskiemu.

Słabnące siły ojca - jak się okazało zżerał go rak żołądka - wymagały szybkiej decyzji co do objęcia sukcesji w firmie, cieszącej się - mimo rozpoczynającego się kryzysu ekonomicznego - poważnymi zamówieniami i domagały się rozstrzygnięcia także sprawy majątkowej.

Tadeusz napierany-----

7. Żoną Tadeusza była Michalina z Peterów, nauczycielka, córka Michała, naczelnika stacji kolejowej w Dobromilu.

przez ojca wyrobił sobie przeniesienie służbowe do rodzinnego miasta; tu powierzono mu szefostwo służby łączności w Dowództwie Okręgu Korpuśnego /DOK/. Przy tych obowiązkach jał się wtajemniczać w interesy firmowe.⁸ Ojciec obserwując zmagające się z każdym kwartałem przesilenie w życiu kraju - ponuro zapatrywał się na przyszłość założonego przez siebie i rozwiniętego na jedno z pierwszych w całej Polsce przedsiębiorstwa; dokonał^{więc} pociągnięcie, o którym wspomniałem już w pierwszym rozdziale. Aktem darowizny całe przedsiębiorstwo z poważnymi aktywami przelał w całości na najstarszego syna, trzem innym pozostawiając dom parterowy z ogrodem z prawem dożywocia w nim drugiej żony i minimalnym wyrównaniem w gotówce dla mnie i brata Ludwika; gotówka^{ta} rozłożona na raty mogłaby wystarczyć na jedną i to skromną kilkutygodniową podróż po Europie.⁹ Uszanowaliśmy wolę ojca, choć zdawaliśmy sobie w pełni sprawę z nierówności tej schedy. Dwie gałęzie rodzinnego krzewu odchyliły jeszcze bardziej od siebie. Pogłębił się - trudno tego nie wspomnąć - kontrast między sytuacją artysty-plastyka i nauczyciela - historyka a braćmi związanymi z przemysłem. To drastyczne zjawisko, które w najmniejszym stopniu nie zburzyło zgody rodzinnej, zadokumentowała niefortunna śmierć ojca, 6 stycznia 1930 r. Stanisław po swej niedawnej podróży po Francji, Hiszpanii, Maroku i Północnej Afryce - zjechał pod rodzinny dach i wraz z Tadeuszem zorganizował pogrzeb /ja z Ludwikiem pracowaliśmy jeszcze w Radziechowie/.

8. Służba w D.O.K. Lwów zbliżyła silnie brata do gen. Władysława Sikorskiego jako szefa sztabu Okręgu /dowódcą był gen. Bolesław Popowicz/. Z czasem przyjaźń ich pogłębiła się do tego stopnia, że odbywali wspólne wycieczki narciarskie. Przy odwołaniu Sikorskiego ze stanowiska we Lwowie - nie ukrywał przed bratem swego rozczarowania i niezadowolenia. Pożegnał się z nim bardzo czule i niedługo potem wyjechał do Francji.
9. Przy akcie darowizny nie sporządza się opisu i oszacowania "masy spadkowej", stąd dysproporcje podziału majątkowego mogły ujść uwadze obdarowanego.

Po pogrzebie obaj bracia zawarli nieformalną, ale na mocnych podstawach opartą spółkę. Tadeusz postanowił opuścić służbę wojskową, wzbogacić urządzenia fabryczne - szczególnie traki do cięcia bloków marmurowych i innych odmian skał, Stanisław podjął się kierownictwa i nadzoru zamówionych w firmie robót zarówno w Warszawie, jak i innych miastach. Miał już za sobą poważne projekty i ich realizację; żeby wymienić tylko najważniejsze: stację telefonów szwedzkiego Towarzystwa Cedergren w Borysławiu, Kasyno Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, projekt Domu Zdrojowego w Morszynie /I nagroda/, szereg szkół i pięknych willi prywatnych w Warszawie. Tadeusz objął rozpoczęte przez ojca roboty marmurowe, alabastrowe, trawertynowe m.i. w kościele św. Marii Magdaleny i w wspaniałym - jak na owe czasy - lwowskim "drapaczu chmur" wielkiego bussnesmana J. Sprechera. Mimo przesilenia gospodarczego maszyny pracowały w dzień i noc, poszerzyła się kadra zatrudnionych i portfel zamówień. Szczególnie atrakcyjne były roboty przy przebudowie i wykładzinach kamieniem dekoracyjnym gmachów warszawskich: Dyrekcji Kolei Państwowych na Pradze, Banku Gospodarstwa Krajowego, Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential, pałacu Brühlowskiego, przerabianego przez Min. Becka na siedzibę Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Izby Przemysłowo-Handlowej, Dworca Centralnego /który spłonął przed 1939 r./, wreszcie luksusowych sanatoriów, jak "Patria" J. Kiepury w Krynicy i Dom Zdrojowy w Morszynie. Nic dziwnego, że trzeba było zakupić kamieniołomy alabastru w Żurawnie /ówcześnie w woj. stanisławowskim / a nawet granitów w nieznanym nikomu pokładach na Wołyniu. Wspaniałe płyty marmurów włoskich i greckich, cięte w ojczystych łomach tak precyzyjnie, że w magazynach lwowskich składało się je przylegające do siebie, jak karty wielkich ksiąg. W ciągu kilku lat Tadeusz zamieszkał we Lwowie w własnej willi, wyłożonej marmurami a weekendy

spędzał w własnej górskiej rezydencji w Sławku /oba domy projektował Stanisław/.

Trudy zawodowe Tadeusza wspinał się urozmaicały coraz rozleglejsze stosunki towarzyskie i w władzach miejskich, w których się liczył; wigilię 1935 r. spożywał w towarzystwie Jana Kiepury i Marty Eggert, w swych siedzibach lwowskiej i sławkowskiej podejmował najwpływow- szych "ojców miasta" ze sfer wojskowych i bankowych. W 1936 r. Rada Izby Rzemieślniczej we Lwowie powołała tak renomowanego przedsta- wiciela firmy „Ludwik Tyrowicz” na swego prezesa, wysunęli również jego kandydaturę na radnego, lecz wyborom do Rady Miejskiej przeszkodził najazd Hitlera na Polskę.

Wichuwa zniszczenia przeleciała przez cały kraj. Kataklyzm przy- brał miarę przez nikogo nie oczekiwaną i nie dające się przewidzieć rozmiary katastrofy. Nastąpiły rzeczy nieoczekiwane i katastrofal- ne. Wszystkie szanse prosperity runęły jak domek z kart. Obaj twór- cy tak świetnie funkcjonującego przedsiębiorstwa powołani zostali do armii, która bita i wypierana coraz bardziej na południowy wschód - przeżyła epilog swej epopei w Zaleszczykach nad Dniestrem. Obu oficerom z naszego braterskiego grona trudno nawet było trafić do wyznaczonych im placówek. Opis losów ich błędania się po Polsce celem zameldowania się w właściwych formacjach /rozkazy mobiliza- cyjne mówiły o służbie łączności przy Naczelnym Dowództwie/ wyma- gał by dwóch odrębnych pamiętników, wybiegających swą scenerią i dramatyzmem daleko poza moje w tym czasie przygody. Niestety tych pamiętników nigdy nie skreślili i moja wiedza o ich przeży- ciach sprowadza się do lapidarnych opowieści i nielicznych notatek. Na kilka godzin dwaj błędzący po kraju oficerowie spotkali się w Fajsławicach pod Lublinem, by zadać sobie pytanie "co dalej ? " i zniknąć nawzajem z oczu na lat bezmała ... trzydzieści. Stanisław

bez żony i kilkuletniej córeczki,¹⁰ bez mienia i ciepłego odzienia - zmierzał ku granicy węgierskiej, jak tłumy jemu podobnych rozbitków. 21 września przeszedł granicę i dostał się do węgierskiego obozu internowanych w Eger. Tadeusz w swym własnym wozie marki Mercedes w towarzystwie kilkunastoletniego syna Witolda - dotarł do fragicznego kresu armii w Kutach nad Czeremoszem; tu u stóp wygnańczej góry Owidiusza rozwarły się wrota polskiej wygnańczej epopei. Rozpocząwszy ją 18 września, gdy wojska radzieckie już wkraczały na teren Rzeczypospolitej - zawędrował do rumuńskich obozów internowanych, w Calimanești, potem Targoviște. Udało mu się sprzedać prywatnie i za bezcen swój samochód - tak że starczyło mu na polepszenie wikt i studia Witolda w polskim gimnazjum. Tę drugą już w życiu dołą internowanego zamienili mu hitlerowcy - po związaniu się Rumunii i małego ^{Króla} Michała w 1941 r. z faszystowską Rzeszą, na los jeńca wojennego w t.zw. Oflagach niemieckich: najpierw w Dorsten / na granicy holenderskiej /, następnie w Düsseldorf / Westfalii /.

Stanisław po siedmiu miesiącach czmychnął nader niebezpieczną wówczas drogą przez Jugosławię do Francji, by zaciągnąć się tu pod ojczyście sztandary rozwinięte przez Władysława Sikorskiego do walki z Hitlerem. Barwniejszy od losów Tadeusza kalejdoskop jego wędrówki wojennej - do szczytu przygody grożącej mu śmiercią w odmętach Kanału La Manche - podniosła przeprawa morską do Anglii, gdy Niemcy wtargnęli do Francji. Znalazł^{sz} się z końcem czerwca 1940 r. na brzegach Albionu wciągnięty został do Dowództwa Szefostwa Saperów

10. Małżeństwo z Marią Janiną z Dzierżanowskich zawarł brat 21 grudnia 1933 r.; córka ich /jedyńaczka/ Krystyna Zofia urodziła się w Warszawie 12 kwietnia 1935 r. Żona zmarła w Kapsztadzie 17 czerwca 1964 r.

i przydzielony w Szkocji do grupy Fortyfikacyjnej a następnie Biura Badań Technicznych. Przez dwa lata i dwa miesiące służba ta wśród wzgórz i wrzosowisk szkockich straciła blask niebezpiecznych przygód, ale pozwoliła mu na opanowanie języka angielskiego i wzbogacenia wiedzy z historii i obyczajowości high-landerów.

W sierpniu 1942 r. otrzymał "bezterminowy urlop" z armii polskiej na obczyźnie i dopiero teraz romantyzmnie sypialni szkockich, w których sukcesy święcili nasi rodacy w mundurach a owianych poezją zamków lordowskich ogarnął go pełnym pięknem i tajemniczością. Jako zdolny architekt zauważony przez Szkotów-zaangażowany został przez Scottish Council of National Buildings Records w Edynburgu. ¹¹ Ciekawa była historia tej instytucji. Przysłowiowe skąpstwo Szkotów a jeszcze bardziej niechęć bogaczy do ujawniania swych skarbów - złożyło się na to, że wymieniona instytucja planowana przez lokalnych patriotów od dziesiątek lat narodziła się dopiero w 1941 r. w obliczu grozy bombardowania przez flotę powietrzną Göringów. Jako cel przyświecało instytucji zinwentaryzowanie i opisanie zabytków historycznych Szkocji w zamkach, kościołach, starych osiedlach i zawartych w nich zbiorów sztuki, rzemiosła artystycznego, druków i rękopisów, starego sprzętu domowego i sakralnego. Szczęściem dla Stanisława było to, że Szkoci nie posiadali wyszkolonej kadry architektów i historyków sztuki, chętnych do nisko płatnej pracy inwentaryzatorów; pozatem angażowani przez nich obcokrajowcy pełnili przeważnie służbę wojskową, co utrudniało im długotrwałe prace w innej dziedzinie. Z kandyda-

11. Szczegóły tej nietypowej dla Polaka kariery zawdzięczam przysłanemu mi przez brata Wykazowi prac inwentaryzacyjno-architektonicznych wykonanych w Szkocji w latach od września 1942 do stycznia 1950 r. dla National Buildings Records, Scottish Council w Edynburgu. /wykaz ten omawia 17 zabytkowych obiektów i osiedli opracowanych przez brata/.

tów zatem markiz of Bute, prezes Scottish Council - zaangażował do tej niezwyklej pracy tylko mego brata dodając mu do pomocy studentów architektury z trzech uniwersytetów w Edynburgu, Glasgow i Dundee. Pełen zapału i zaciekawienia zabytkami poświęcił Stanisław siedem lat wędrówce po kraju Waltera Scotta z rysownicą, pędzlem, szkicownikiem i aparatem fotograficznym w rękach. Napisał mi w liście o tych latach: "Czas jaki spędziłem w National Buildings Records, zaliczam do najbardziej spokojnych, pogodnych oraz przyjemnych, jakie miałem w życiu..." W ten sposób Muzy, zawsze mu jako rodzaj żeński przychylny, wyrwały go ze szpon Marsa i pozwoliły napawać się pięknem kraju, na którego środkowe i południowe regiony leciały bomby i torpedy powietrzne niszcząc i zabijając tysiące ludzi. Miesiącami przesiadywał w prastarych murach rodów szkockich, w średniowiecznych jeszcze kościołach, w obrosłych mchem budynkach różnych miast i osad, wśród dzieł sztuki, foliów starodruków, rzeźb, porcelany i bronzów. Dwa razy do roku składał sprawozdanie ustnie i pisemnie prezydium Rady, nie tylko otrzymując słowa uznania, ale co trwalsze dostając ^{chwalebnie} sięgając swym nazwiskiem do obfitych protokołów edynburskiej instytucji.

Warto z jego opisu tych prac wymienić bodaj te, które wymagały przeważnie kilku miesięcznego zaprzętania koło jednego zabytku. I tak ze starych zamków rodów szkockich żeglarzy /wśród nich i korsarzy/, wodzów kolonialnych i dyplomatów opisał i zinwentaryzował przede wszystkim siedziby: Dalzellów, zwaną The Binns w Linlithgow, Arniston House rodziny Dundas koło Gorebridge, Melville'ów w Fife, dom zupełnie opuszczony Lintonów w East Linton. Ze starych kościołów głębokiego średniowiecza urzekł go swoją niezwykłością Gothic Church w Tullibardine, dwie przebogate biblioteki w odrębnych gmachach: Old Library w Innerpefferay i Signet Library

w Edynburgu, głośna rezydencja grupy "poetów szkockich". Wiele miesięcy studiów i rysunków pochłoneły odwieczne małe miasta i osady nieraz zachowane tylko w nielicznych zarosłych trawą i drzewami, uliczkach i domach, świat życia mieszczan i rybaków, nieznaną zupełnie przybyszowi kontynentu. A przecież osada Airth nad rzeką Forth - jak mi opisał - żywo przypominała mi Kazimierz nad Wisłą, szkocka rzeka naszą Wisłę, wzgórza ginące w zieleni po drugiej stronie szosy - wzniesienie z farą XVI-wieczną i średniowiecznym zamkiem kazimierzowskim w ruinie. Inne miasteczko, pamiętające legiony rzymskie - Inveresk nazwał brat w liście do mnie "perłą szkockiego budownictwa osiedlowego". Mieszkając w nim cztery lata zakochał się w zaułkach, kamiennych murach, chatach obrosłych pnączami, wnętrzach starych gospód pamiętających być może "wojnę dwóch róz", z pewnością czasy królowej Elżbiety. Wykonał dziesiątki szkiców i rysunków technicznych, niezliczoną ilość zdjęć fotograficznych. Scottish Council była tak uradowana, że zainspirowała obszerny artykuł o artystycznym spojrzeniu na miasto polskiego architekta w miesięczniku "Scotland Magazine" /1958, nr 1/. Tak więc by nie przerywać toku opowiadania o losach wojennych - wkroczyliśmy w okres pokapitulacyjny brunatnej zmory nad Europą.

Cóż w tym samym czasie działo się z najstarszym z braci? Rozstaliśmy się z nim w olbrzymim obozie jeńców - oficerów w Düsset. Żyło tam ponad 2500 naszych oficerów pod obozowym komendantem polskim /czyli t.zw. "starszym", obarczonym tylko odpowiedzialnością, bez prawa do rozkazodawstwa/ w osobie gen. Leona Berbeckiego; znał brata dobrze z czasów legionowych.¹² Różny był tryb i warunki życia w tym Oflagu: jedni kształcili się w swych zawodach i nauczali

12. W swych wspomnieniach, wydanych po wojnie /Pamiętniki gen. broni. Katowice 1959 Berbecki wspomina współpracę obozową z bratem.

młodszych, inni organizowali życie artystyczne i muzyczne /teatr operowy i kabaret ze zręcznie zakamuflowaną satyrą polityczną/, wydawali pismo, rysowali i malowali; byli i tacy, którzy długo kopanym kanałem podziemnym przygotowywali ucieczkę. Tadeusz współorganizował "Koło inżynierów i techników", w którym skupiło się około 220 oficerów; brata wybrano przewodniczącym. Wykłady, ćwiczenia, laboratoria objęły prawie wszystkie działy i nauki techniki, na jakie tylko pozwalały zasoby w książkach i przyrządach. Przy zbrodniczym brutalizmie brunatnych koszul w okupowanych krajach - życie w oflagach nie tylko ~~nie~~ pozwalało przetrwać wojnę, ale i podnieść życie intelektualne. Mało **wię** się o tym, że kiedy cywilna ludność żydowska była bezwzględnie likwidowana i palona w piecach krematoryjnych - żydzi oficerowie traktowani byli na równi z aryjczykami. I tak np. w Düsseldorf prowadził na własny rachunek kuchnię w jednym z baraków brat lwowskiego aktora operetkowego Solnickiego - Salzmanna i miał nie małe powodzenie. Oczywiście warunki wyżywienia były bardzo marne, ale urodzony spryt Polaków do handlu i umiejętność porozumienia z załogą niemiecką ratowały od drastycznych niedostatków; stosunkowo obficie nadchodziła pomoc żywnościowa w paczkach Czerwonego Krzyża. Wiele pomocy naukowych z metali, drzewa, tektury wykonywano własnym przemysłem; książki niemieckie dostarczało niemieckie dowództwo obozu. Niestety pewnej nocy lotnictwo angielskie - nie rozpoznawszy terenu - obrzuciło obóz bombami, pod którymi zginęło kilkudziesięciu naszych oficerów, inni doznali ciężkich ran. Brat opowiadał mi tę katastrofę wśród ciemności nocnych, z której na szczęście wyszedł nietknięty. Kiedy wojska alianckie z wiosną 1945 r. zbliżały się do terenu obozu - zaczęła się ewakuacja już w znacznie trudniejszych warunkach. 1 kwietnia cała ~~ta~~ kawalkada oficerska uwolniona została przez amerykańską

dywizję pancerną gen. Pattona koło miejscowości Borgendreich. Po zewidencjonowaniu, nakarmieniu i opatrzeniu w odzież nastąpiła dyslokacja grup oficerskich według specjalności. Całe "koło inżynierów i techników" detaszowano do regionu Paderborn, konkretnie do miasteczka Dringenberg koło Bad Drieberg; bratem mianowanym tu **szybko** oficerem porządkowo-okupacyjnym pod wojskowym zarządem brytyjskim. Złote czasy w wyżywieniu, którego w gospodarstwach rolnych niemieckim było w bród, i w wygodach codziennego życia trwały blisko rok do przeniesienia grupy oficerskiej w rejon Mannheimu do t.zw. Polskich Oddziałów Wartowniczych. Tu żyłka technika - przemysłowca ułatwiła zorganizowanie szeroko rozbudowanych warsztatów szkolenia budowlanego, na odmianę pod amerykańskim dowództwem pułk. Praytera.

Wśród emigrantów - uciekinierów spod okupacji, wielotysięcznych rzesz zdemobilizowanych żołnierzy i oficerów walczyły ze sobą dwie orientacje : powrotu do kraju, który przeszedł bezkruawą rewolucję, bądź pozostania na łasce niepewnego życia zagranicą. Nostalgia nie trapiła tylko tych nielicznych, którzy zdobyli już silną pozycję na zachodzie dzięki sprytowi, talentowi, zamożnym ożenkom, w końcu łutowi szczęścia. Praga polska w kraju i na obczyźnie, jedna na usługach rządu londyńskiego, druga Krajowej Rady Narodowej rozwinęły agitację za i przeciw. Tadeusz nie wahał się długo; w kraju żyła żona z drugim synem Tadeuszem, ja pracowałem w Krakowie, bliźni brat Ludwik w Łodzi. Wiedział, że domu i przedsiębiorstwa we Lwowie nie odzyska, ale mimo przekroczenia pięćdziesiątki czuł się na siłach i doświadczeniu do rozpoczęcia nowego etapu życia. W maju 1947 r. poprowadził jako "komendant transportu" pociąg repatriantów przez Stuttgart, Regensburg i Czechosłowację do Dziedzie.

x

x x

Tak oto znaleźliśmy się w tej opowieści u progu połowy naszego stulecia; jego dalsze lata - niosły nurt nowych wydarzeń w dziejach mojej rodziny. Często się zdarza, że losy najbliższe trudniej opisać niż dawniejsze. Wydarzenia życiowe tak się kłębią w pamięci, emocje z nimi związane tak są jeszcze żywe, że w natręctwie drobiazgów niełatwo jest uszeregować przeżycia ważniejsze i wydobyć z zapomnienia sprawy istotne. Niech mi czytelnik wybaczy, że zabawię się raczej w kronikarza rodzinnego niż gadatliwego narratora i podam w skrócie braterskie curricula vitae, przeważnie pełne prozy codziennego wysiłku, rzadko ubarwione niezwykłością wydarzeń i epizodami godnymi anegdoty.

Tadeusz powitawszy żonę i syna w Przemyślu, rychło rzucił się w moje ramiona w Krakowie i opowiedziawszy to i owo o jenieckim żywocie - odjechał na "odzyskany" Śląsk. W ojczyźnie najtrwalszych skał i surowców tak potrzebnych do odbudowy zrujnowanej stolicy - było jego miejsce jako cenionego w Polsce fachowca. Zaangażowany w Zjednoczeniu Kamieniołomów Śląskich w Świdnicy do zorganizowania racjonalnej eksploatacji i obróbki półfabrykatów w postaci płyt, bloków i innych elementów budowlanych - zorganizował szeroko rozbudowany Wydział Produkcji. Stało przed nim pilne zadanie objęcia administracji i uruchomienie ponemieckich wielkich kłomów w Strzegoniu, Strzelinie i innych okolicach podsudeckich a także świetnie funkcjonujących do kapitulacji Rzeszy - zakładów mechanicznej i rękodzielniczej obróbki skał. Już jesienią 1947 r. zamówione zostały przez władze budowlane wielkie dostawy tych materiałów na Pomnik Powstańców Śląskich w Górze św. Anny, gmach Rady Ministrów i Ministerstw Przemysłu Rolnictwa i inne, na trasę W-Z,

na historyczną Kolumnę Zygmunta III, na gmachy Placu Konstytucji. Dla wykonania tych licznych i pilnych robót brak było fachowych sił. Toteż dla wykształcenia młodych kadr kamieniarzy-przy jego pomocy-założono w Świdnicy odpowiednie Liceum zawodowe i bratu powierzono najważniejsze przedmioty: obróbkę ręczną i mechaniczną kamienia, konstrukcję elementów budowlanych a także rysunek techniczny. W sierpniu 1950 r. Zjednoczenie i Liceum przeniesiono do Krakowa; ¹³ pociągnął tu za nimi brat wraz z żoną /syn już wcześniej rozpoczął studia na Wydziale Dziennikarskim znanej nam już Wyższej Szkoły Nauk Społ., następnie Uniwersytetu/. Obok obowiązków dydaktycznych przyszło wziąć się do opracowania podręczników, których polskie kamieniarstwo nie posiadało i przed wojną. W odstępach więc kilkuletnich wychodziły spod maszyn drukarskich coraz to nowe jego opracowania ^{14/}; prócz tego poważną ilością rozpraw zasilał prasę fachową, uczestniczył w szeregu konferencji budowlanych i eksploatorskich w zakresie kamienia, w Izbie Rękodzielniczej przewodniczył egzaminom mistrzów kamieniarskich. Wreszcie w 1955 r. objął pierwsze w kraju Centralne Laboratorium Kamienia Budowlanego w Krakowie, oparte na podstawach naukowych i eksperymentalnych. Wychowankowie jego szybko zajmowali kierownicze stanowiska w przemyśle i szkoleniu skalnym. Rok 1961 przyniósł mu emeryturę, ale nie

- 13. Przedsiębiorstwo zmieniło nazwę na Zjednoczenie Przemysłu Kamienia Budowlanego /obecnie Kombinat Kamienia Budowlanego/.
- 14. Kolejno pt. Kamieniarstwo ogłosił 3 części: Technologia surowca Kamienia /1952/ Ręczna obróbka kamienia /1954/, Obróbka maszynowa /1958/, wszystkie - w Warszawie. Przez trzy lata /1973-1976/ pracował z niezwykłym zapałem nad rzeczą zupełnie pionierską: Kamień w średniowiecznej architekturze Krakowa; jeździł do opuszczonej już kamieniołomów, odrysowywał z natury fragmenty kościołów, Wawelu, starych budynków, badał pochodzenie surowca. Dzieło gotowe jeszcze przed głośną akcją "rewaloryzacji" Krakowa, opatrzone mnóstwem rysunków i zdjęć przedstawione Wydawnictwu Literackiemu - uzyskało ocenę jako zbyt techniczne, schematyczne. A warszawska oficyna wydawnicza "Arkady" oceniła jako zbyt szczegółowe i zaproponowała druk w formie albumu. Autor zmarł bez perspektywy wydania.

oderwał od pracy.

Tymczasem bujnej działalności zawodowej nie towarzyszyło szczęście rodzinne. Żona zapadła na chorobę psychiczną z grupy schizofremii, co dotkliwie utrudniało codzienne życie. Być może - poza przeżyciami wojennymi - zrodziła ją troska o losy syna Witolda, nie dającego o sobie znaku życia z terenu Paryża. Dziwne krążyły o nim wieści, przekazywane głównie przez osoby z Krakowa czasowo przebywające we Francji /m.i.prof.Adama Vetulaniego; kustosza Biblioteki Jagiellońskiej, J.Hordyńskiego, kolekcjonera polonistów Ludwika Gocla/. Według ich relacji żył w dziwnym opuszczeniu, nieraz o głodzie i w ruinach zbombardowanych domów, ale do Polski wrócić /nie chciał; z drugiej strony opowiadał mi Bolesław Leśniorski, jak często spotykał go w Bibliotece Nationale zatopionego w książkach i rycinach. Nagle - już w cztery lata po śmierci swej żony - Tadeusz otrzymał lapidarną depeşe z Paryża : Witold zmarł w styczniu 1972 r. Wiadomość uderzyła ciosem w osamotnionego i schorowanego ojca. O wyjeździe na pogrzeb nie mogło być mowy. Pozatem depeşa nie podawała żadnych szczegółów; nazwisko nadawcy stanowiło dla nas zagadkę. Dopiero po kilku tygodniach pewna krakowianka dobrze znająca Witolda wróciwszy z Francji przywiozła po nim pamiątki, m.i. kajet z różnojęzycznymi zapisami jego przyjaciół paryskich, Francuzów, Anglików, Węgrów, Rosjan; między innymi jedną stronę rozczulających wspomnień zapisał jakiś chyba daleki agnat z rodu Stanisława Augusta - Bogdan Poniatowski. Nasza informatorka opisała też ostatnie jego lata. Relacje te odbiegały bardzo daleko od wcześniejszych: Witold władający biegle po francusku i angielskim uchodził za wziętego przewodnika w nadsekwąńskiej metropolii i za świetnego znawcę historii Polski; jego pogrzeb podobno zgromadził takie tłumy, że stanąć musiały na chwilę autobusy na szlaku

cmentarnym.^{45/}

Tadeusz

Brat opuszczony przez swoich najbliższych /syn młodszy, po ożenku wyjechał z Krakowa/ 16-czerpał otuchę tylko w kontaktach ze mną i w częstej korespondencji ze Stanisławem. Nie dziwnego, że w samotności tęsknił za ciepłem kobiecego serca. Tęsknot tych nie zaspokoila rzeczywistość, choć los zdawał się uśmiechać kilkakrotnie. Opuszczona przez męża mieszkanka tej samej kamienicy, przystojna i złamana losem p. Krystyna obudziła w nim głębokie uczucie. Nie byłby godny wzmianki ten życiowy epizod, gdyby nie znalezione w notatkach brata takie oto słowa:

"... Rano szła Kryst. do pracy, pokiwała ręką do mnie - stałem w oknie. Robi to zawsze z uśmiechem, gdy idzie do pracy ... Teraz długie godziny oczekiwania na jej powrót... Ciągle myślę o niej... tęsknota, chęć częstego przebywania z nią, rozmowy... Rano wycieczki na nią godzinami przy oknie..."

Tak utrwał na kartkach swe uczucie samotnik w 78 r.ż. Notatki zawierały też refleksje pełne goryczy i zawodu. W czasie częstych moich wizyt u niego nie ukrywał ani zachwytów, ani rozczarowania. Zdrowie jego i samopoczucie pogarszało się z każdym tygodniem, nie mógł już wychodzić z domu. 9 grudnia 1978 r. trzymany przeze mnie za rękę - oczu już nie otwierał... zmarł po kilku godzinach. Odszedł trzeci z piątki braci. Kiedyś najbogatszy braci, człowiek świetnej przyszłości, właściciel wielkiego przedsiębiorstwa /dwu willi - opuścił świat w jednym skromnym pokoju standardowego bloku.

15. Nieliczne pamiątki pozostały u ojca.

16. Mowa o synu Tadeusza, ur. we Lwowie w 1929 r., później moim słuchaczem w Wyższej Szkole Nauk Społecznych, początkującym dziennikarzem a następnie pracownikiem banków i innych instytucji produkcyjnych. Ożeniony z koleżanką ze studiów miał syna, którego na życzenie swej matki ochrzcił swoim imieniem /był więc w rodzinie Tadeusz III, w dojrzałym wieku artysta-malarz/.

Jakże odmiennie potoczyły się losy Stanisława. Jakże w prozę jego emigrandzkiego życia wplotła się niezwykłość nieoczekiwana i zdawałoby się w swym uśmiechu obiecująca i wabiąca.

W 1945 r. sprowadził z kraju do Szkocji żonę i córkę Krystynę. Małżonka jego przeżyła całą tragedię Warszawy i w czasie bombardowania zawałoną gruzami trzypiętrowego gmachu wydobyła ją żywą dzięki jakimś drzwiom, które wyrwane z futryn jednego z wyższych pięter zawisły nad jej głową na parterze. Przeszła z dziewięcioletnią córką gehennę ewakuacji i trafiła do jednej z wsi podkrajowskich; stąd moja żona przywiozła ją do Tyńca, by po wyparciu Niemców spod Wawelu przenieść się razem do Krakowa. Po wspomnianym wyżej połączeniu się rodzinnym - Stanisław pracował nadal w Inveresk ku pełnemu zadowoleniu The Scottish Council. Niepokojąco jednak zapowiadały się dalsze losy - wobec bezpardonowej brytyjskiej chęci pozbycia się Polaków i oto... Przypadkowo jeden z znajomych przekazał mu powtarzaną kilkakrotnie przez BBC ¹⁷ wiadomość, że jest poszukiwany przez niejakiego Emila Berezowskiego z Kapsztadu w Afryce Południowej. Działo się to w r. 1950. Ów Berezowski przed 25 laty wspólnie z moim bratem bumłował po Warszawie i po objęciu rządów przez Piłsudskiego opuścił Polskę. Wiadomość z eteru zaintrygowała brata. Rozpoczął poszukiwania adresu nadawcy i po dłuższych zabiegach - dwaj znajomkowie nawiązali łączność korespondencyjną: Berezowski dzięki swej żydowskiej żyłce do bussnessu dorobił się w Kapsztadzie niezłej fortuny jako właściciel magazynów materiałów budowlanych. Okradany przez własnego syna - błagał Stanisława o objęcie nad ~~z~~ nadzoru. Decyzja zapadła rychło. Trzyosobowa rodzina wylądowawszy na antypodach trafiła do gotowego domku z pełnym urządzeniem. Los zdawał się uśmiechać na długo a po-
17. British Broadcasting Corporation - największe towarzystwo radiowe angielskie.

wietrze w ogródku pod grzbietem Dwunastu Apostołów służyło całej trójce wyśmienie; bratanica Krystyna, władająca już lepiej angielskim niż polskim - rozpoczęła studia w miejscowej Akademii Sztuk Pięknych. Niestety po pewnym czasie ani rodzaj pracy nadzorczej ani wynagrodzenie nie zadowalały już ruchliwego architekta warszawskiego i brat zaangażował się jako projektodawca kolejno dla kilku prywatnych przedsiębiorstw budowlanych: "Airton", "Bergamascó i inn.; równocześnie wykonywał projekty prywatnym osobom. Początki tej kariery były słabe, do prawa korzystania z wysokiego cennika usług architektonicznych brakowało mu nostryfikacji dyplomu uzyskanego w Polsce. Tym wymaganiom stary wygrysonicy i ekierki nie zamierzał się poddać; toteż pracował na niższych zarobkach. Ale jako tańszy był chętnie angażowany najpierw przez skromniejszych, następnie zamożniejszych farmerów i dygnitarzy. Poza projektami dziesiątków kamienic i gmachów publicznych i handlowych, wykonanych przeważnie dla firm budowlanych w których pracował - zdobył sobie wzięcie także robotami podjętymi na własny rachunek. Były wśród nich i wspaniałe rezydencje bogaczy /E. Berezowskiego i Ginsberga w stylu staroholenderskim/ i szereg kościołów przeważnie sekciarskich bądź misyjnych.¹⁸ Zarobione pieniądze pozwoliły mu wreszcie zbudować dom dla siebie z widokiem na niedaleką Górę Stołową.

Córka Krystyna szybko ukończyła swe studia a z polską zdolnością do poliglotyzmu posiadała biegłą znajomość także języka włoskiego i hiszpańskiego. Jako szef recepcji Standart Oil Company - łałatwiała z gracją obcokrajowców, ale męża wybrała wśród Polaków -

18. Spisany przez niego wykaz "Prac archit. wykonanych w Połudn. Afryce 1950-1960" wymienia 74 projektów. Po tym czasie brat ograniczył się do prac technicznych w biurach architektonicznych.

Witolda Jarmołowicza. Młode małżeństwo rychło złożyło nam wizytę w Krakowie w ślad za nim brat odwiedził nas dwukrotnie: w 1968 i 1973 r. Mając za sobą podróże po Afryce Południowej i Ameryce Łacińskiej dzielił się z nami wrażeniami, wyświetlał filmy. Ale ... Ale z każdego zdania ... wiał smutek samotnika /był wdowcem od 1964 r./ nabrzmiały od oczekiwania od nas zachwytów, które sam przeżył, jakiejś wspólnoty emocji i satysfakcji z poszerzania horyzontów jakże innych od polskich. Kiedy milcząco patrzyliśmy na te obrazy - a nieraz półgłosem między sobą odbiegaliśmy od jego relacji - wpadał niemal w gniew. Tragedia emigranta, który w przemijającym zetknięciu się z ojczyzną swego dzieciństwa i młodości szukał trwałego związku obczyzny ze swojszczyzną a nie znajdował nic więcej jak okruchy refleksji. Listy późniejsze do mnie, jeden po drugim, przerażały wprost niepokojem dogłębnego zawodu nie znalezienia ciszy na ostatnie lata życia, zawodu ukrytego w dumie, że ma prawo do niepowrotu, przy którym trwał uparcie. Zawód dotyczył nie tylko utraty kontaktu z córką mimo bytowania pod jednym dachem, zupełnej obcości wnuków nie znających języka rodziców. Głęboko ukryta skarga obejmowała swym ciężarem całą społeczność rodaków rzuconych w dalekie afrykańskie środowisko; od lat żadnego kontaktu.

A przecież dla tej bliskiej sobie Polonii jeszcze w chmurnej Szkocji a potem słonecznej ziemi Burów - świadczył usług społecznych bez liku. Najpierw w zarządzie Koła Rodzicielskiego w Edynburgu walczył o narodowe wychowanie młodzieży tam wyrosłej a w Zrzeszeniu Organizacji Polskich o materialne podstawy łączności generacji starszej. W Kapsztadzie w miejscowym Zjednoczeniu Osadników Polskich /ZOP/ zrazu jako członek zarządu, następnie wiceprezes i prezes z wysiłkiem szukał mocnych węzłów wspólnoty, rozdzieranej - jak w całym polskim wychodźstwie - sporami, ambicjami, nieraz zawiściami. Zasiadając

w organizacji Skarbu Narodowego hojną kiesą i słowem, mówionym i drukowanym, Wspólnotę tę wspierał z wielkim oddaniem.

Łączność z towarzyszami broni pełnęła go nadto do przewodnictwa Komisji Rewizyjnej Stowarzyszenia Kombatantów Polskich /S.K.P./ w Cape Province. Jako człowiek czynu tak agitował na swym odcinku o emigrancką ofiarną na trwałe związanie wychodźstwa, że z udziałem Polonii Afrykańskiej stanął w Londynie wspaniałym gmachem Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego /POSK/, mieszczącym w sobie bibliotekę, teatr, Instytut im. J. Piłsudskiego, biura wielu związków, sale odczytowe i rozrywkowe. Poza POSK drogim mu był Instytut Naukowy i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego, któremu słał pieniądze, książki i własne rękopisy. W 1966 r. w wielką rocznicę Milenium jako przedstawiciel południowo-afrykańskiego S.K.P. złożył wieniec na Cmentarzu rodaków na stokach Monte Cassino.

Wszystkie te wysiłki i słowa, poświęcone rocznicom historycznym narodu w odczytach w ZOP, w kaptadzijskim radiu a nawet miejscowej angielskiej prasie - umacniały jego przewodnią rolę w latach 1950-1966. Potem rozbicie ziomków, śmierć żony, ciężkie przejścia chorobowe - siłą faktów dokonały nagłej przerwy w tej roli, uniemożliwiły jej odnowę. Los emigranta tak dobrze mi znany z historycznych studiów i badań - napełnił goryczą jedyne już brata. Z każdej nadeszłej od niego koperty wyslizgiwała ku mym oczu - hydra smutku i goryczy. Ze śmiercią Tadeusza, z którym snuł pełne uroku wspomnienia wypraw górskich i przejść legionowych - zagasły i te jaśniejsze przebliski radości. Szukał nowych dróg do rozjaśniania smutków u ... kobiet. Były to próby, jedna po drugiej - zawodne, nawet w zamierzeniach jak najbardziej platonicznych, przemijające jak blask słońca zpoza chmur. Po jednej z rodaczek, która dobiegającego do 80-tki samotnika oezarowała na krótko urokami kobie-

cości - na antypodach ojczyzny liczyć mógł już tylko na cudzoziemki.
. W jednym z listów z 1973 r. pisał do mnie: „... najpierw poznałem
jedną Irlandkę, młodą rozwódkę i miałem z nią niezłe urozmaicenia...
ale wkrótce wyjechała. Wówczas nawinęła się druga 25-letnia, bardzo
miła i inteligentna Angielka. Dużo przebywaliśmy ze sobą na basie-
nie, spacerach i na tańcach. Przy tym dzięki jej inteligencji -
prowadziliśmy ciekawe i interesujące rozmowy... Dość Ci powiedzieć,
że dzięki tym pogadankom zaczęła się poważnie uczyć polskiego, mnie
nazywała "Stasienko"... Nie posuwałem się w zachowaniu zbyt daleko
z uwagi na jej wiek i mój, na jej kulturę /ma ukończony Uniwersy-
tek z literatury, więc dużo na ten temat rozmawialiśmy/... miałem
dzięki temu czas fantastyczny..." Z dalszej korespondencji wynikało,
że i ta tak platoniczna próba mocno trzymana w ryzach zasady: honny
soit qui mal y pense - skończyła się szybko i na horyzont przeżyć
powrócił smutek i opuszczenie - los emigranta, który zerwawszy z oj-
czyzną - nie znalazł drugiej za górami i morzami. A przy tym rys
wspólny całej czwórce braterskiej; w momentach pozbawienia ciepła
serca najbliższego - nadaremnie próbowaliśmy wszyscy czterej ogrzać
się przy innym.



Konservacja przeprowadz(ł):

Anna Delimata

Wrocław, dnia 31 VIII 1988

©prawa wykonal(ę)

Henryk Siwicki

Wrocław, dnia 12 IX 1988

S.p.n. 27.09.1988 k. 134 o. J.M.



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82